

SŁAWOMIR KOPER

SŁAWNE  
PARY  
PRL



wydawnictwo czerwone i czarne

Copyright © Sławomir Koper, Czerwone i Czarne

Projekt graficzny  
FRYCZ IWICHA

Zdjęcia na okładce – Piotr Barącz/PAP; Zygmunt Januszewski/TVP/PAP; str. 15 – Zofia Nasierowska/REPORTER; str. 70-71 – Wojciech Plewiński/ FORUM; str. 142 – Andrzej Szypowski/East News, str. 143 – Janusz Sobolewski/ FORUM; str. 199 – Woody Ochnio/FORUM; str. 250 – Zbigniew Kosycarz/ arch. KFP; str. 306-307 – Sławomir Sierzputowski/Agencja Gazeta.

Redaktor prowadząca  
Katarzyna Litwińczuk

Korekta  
Weronika Girys-Czagowiec

Skład  
Tomasz Erbel

**Wydawca Czerwone i Czarne Sp. z o.o. S.K.A.**  
**Rynek Starego Miasta 5/7 m. 5**  
**00-272 Warszawa**

Druk i oprawa  
Toruńskie Zakłady Graficzne  
„Zapolex” Sp. z o.o.  
ul. Gen. Sowińskiego 2/4  
87-100 Toruń

Wyłączny dystrybutor  
Firma Księgarska Olesiejuk  
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.  
ul. Poznańska 91 05-850  
Ożarów Mazowiecki

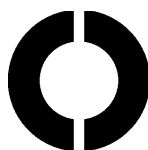
ISBN 978-83-7700-138-7

Warszawa 2014

***PaperlinX***

[www.paperlinx.com.pl](http://www.paperlinx.com.pl)

# SŁAWNE PARY PRL



Sławomir Koper

Warszawa 2014

# Spis treści

## Od autora

### Rozdział 1 - Stanisław Dygat i jego żony

FRANCUSKIE POCHODZENIE

PROBLEMY Z EDUKACJĄ

ZŁOTY CHŁOPAK PRZEDWOJENNEJ WARSZAWY

JEZIORO BODEŃSKIE

PIERWSZE MAŁŻEŃSTWO

DROGI I ROZDROŻA MŁODEGO PISARZA

W RODZINIE DYGATÓW

MAŻ I ŻONA

SPORT

ICH CZWORO

KALINA JĘDRUSIK

EROTYCZNA EMERYTURA

KOCHANKOWIE KALINY

DOM OTWARTY

GWAŁCICIEL IREDYŃSKI I HOMOSEKSUALIŚCI

AKCJA „STAN”

ŻYCIE BEZ STASIA

### Rozdział 2 - Film, jazz i miłość

W RODZINIE TRZCIŃSKICH

JAZZ I MEDYCYNA

MELOMANI

CZAS TRUDNYCH DECYZJI

SOPOT

ZOFIA

BLASKI I CIENIE ŻYCIA MENEDŻERA

ELEKTRYK JERZY SKOLIMOWSKI

WE DWOJE

NÓŻ W WODZIE

DROGA NA SZCZYT  
SCENY Z ŻYCIA MAŁŻEŃSKIEGO  
KOMEDA I WIELBICIELKI  
DEMONY KRZYSIA  
DZIECKO ROSEMARY  
ELANA COOPER  
SPEKANA ZIEMIA  
BIESZCZADY

### **Rozdział 3 - W szeregach opozycji**

RODZINA BANKIERÓW  
OFLAG W WOLDENBERGU  
PRZYGODY REPORTERA W EPOCE SOCREALIZMU  
CZERWONA BRODA STALINA  
TEATR I MAŁŻEŃSTWA  
HALINA I MARIAN  
TRUCIZNY PISARZA  
TOŚKA  
KOR  
CZAS PRÓBY  
GORZKI TRIUMF  
ŚWIAT BEZ HALINY

### **Rozdział 4 - Gustaw i Magdalena**

CHŁOPAK Z KRAKOWA  
MIŁOŚĆ I OKUPACJA  
KRAKÓW – KATOWICE  
GRUŻLICA  
ŚLUB, ROZWODY I STOLICA  
STOLIK CZYTELNIKA  
DZIADY  
MAGDALENA ZAWADZKA  
TEATR DRAMATYCZNY  
ULICA NARBUTTA  
STAN WOJENNY

### III RZECZPOSPOLITA

#### **Rozdział 5 - Wszyscy mężczyźni Maryli Rodowicz**

AWF I GITARA

ZŁOTA PRAGA

DANIEL OLBRYCHSKI

KMICIC I MARYLA

WE DWOJE

GWIAZDY I POLITYKA

ANDRZEJ JAROSZEWICZ

SPOWIEDŹ KMICICA

SCENY Z ŻYCIA GWIAZD

PODRÓŻE, PODRÓŻE

SAMOCHODY PANI MARYLI

KONFLIKTY I AFERY

KRZYSZTOF JASIŃSKI

KRAKÓW

WŁAŚCIWY MĘŻCZYZNA

#### **Rozdział 6 - Małżeństwa premiera Jaroszewicza**

NAUCZYCIEL Z PILAWY

OKSANA STEFURAK

SOWIECKIE PORZĄDKI

PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI

W DRODZE NAD OKĘ

KONTROWERSJE

ŚMIERĆ OKSANY

ALICJA DUCHIŃSKA

MACOCHA I PASIERB

CZERWONY KSIĄŻĘ

PREMIER I JEGO MAŁŻONKA

DYGNITARZE I ŚWIĘTA

OSTATNIE LATA

#### **Zakończenie**

Ważniejsza bibliografia

Przypisy

**Od autora**





Jako historyk mający już pewien dorobek coraz częściej muszę tłumaczyć się przed czytelnikami ze swoich subiektywnych wyborów. Nie inaczej jest z książką, którą mają Państwo przed sobą. O znanych parach epoki PRL można bowiem napisać kilka takich pozycji i nie wyczerpać tematu, zatem z konieczności byłem zmuszony do pewnej selekcji. A chcąc być uczciwy wobec czytelników, odrzuciłem osoby, o których pisałem już w „Kobietach władzy PRL” i „Życiu artystek w PRL”. Nie znajdują zatem Państwo Agnieszki Osieckiej i jej partnerów czy też Niny Andrycz i Józefa Cyrankiewicza. Wyczerpałem również temat Stanisławy i Edwarda Gierków oraz Mieczysława Rakowskiego i jego żon. Jedyne wyjątek zrobiłem dla Kaliny Jędrusik, ale głównym bohaterem rozdziału, w którym się ona pojawia, jest Stanisław Dygat. Starąłem się jednak wykorzystać materiał wcześniej niepublikowany w moich pracach.

„Sławne pary PRL” różnią się od innych moich książek pod względem materiału źródłowego. Więcej jest tu dokumentów archiwalnych, korzystałem również z zasobów Instytutu Pamięci Narodowej. To bardzo ważne źródło, aczkolwiek nie ukrywam, że potraktowałem je wybiórczo. W materiałach Służby Bezpieczeństwa znajduje się bowiem wiele dokumentów, których wiarygodność uważam za mocno podejrzaną, często też świadczą one o poważnych dewiacjach psychicznych ich autorów. Ja natomiast nie jestem zwolennikiem publikowania bez krytycznej analizy wszystkiego, co znajduje się w archiwach. Uważam, że taka selekcja to konieczność, gdyż poziom zakłamania, jaki odnajdujemy w zasobach IPN, jest wręcz zatrważający. A pogoń za sensacją wśród wielu historyków czy dziennikarzy dawno już przekroczyła granice dobrego smaku. Osobiście zresztą przyznam, że skala obrzydliwości części archiwaliów była dla mnie dużym zaskoczeniem.

Dlatego też wykorzystałem materiały, które wydały mi się wiarygodne, a poza tym wносиły coś nowego do opowieści.

Czasami są to informacje rzucające nowe światło na pewne wydarzenia, a czasami tylko stanowią tło narracji lub są źródłem dobrej anegdoty.

Przy okazji poświęciłem nieco miejsca wyjaśnieniu pewnych mitów, jakie narosły wokół niektórych moich bohaterów. Nie jest prawdą, że wszyscy artyści byli zawsze w opozycji wobec „jedyne go, słusznego ustroju”, ani też, że z odrazą przyjmowali wyróżnienia i zaszczyty, jakimi obsypywali ich władcy PRL. Sprostowałem również niektóre informacje o pochodzeniu bohaterów tej książki, szczególnie w przypadku Zofii Komedowej-Trzcińskiej i Piotra Jaroszewicza. Obiegowe opinie pojawiające się w różnych publikacjach nie mają bowiem wiele wspólnego z rzeczywistością.

Dla wielu czytelników dużym zaskoczeniem będzie obraz postaci, jaki wyłania się z kart tej książki. Jako historyk mam bowiem prawo do przedstawienia własnego zdania, nawet gdy znacznie odbiega ono od stereotypów. I gdy analizowałem kolejne źródła, to często widziałem, jak bezkrytycznie powtarzano relacje, które pojawiły się w materiałach prasowych czy biografiach. A częstym powodem przeinaczania faktów były opinie samych zainteresowanych niedokładnie po latach pamiętających wydarzenia lub usiłujących wręcz ukryć niewygodne fakty. Pamięć ludzka ma bowiem to do siebie, że jest bardzo wybiórcza.

W książce, którą mają Państwo przed sobą, starałem się przedstawić pary reprezentujące różne środowiska PRL. Jest zatem małżeństwo genialnego kompozytora i muzyka, Krzysztofa Komedy, a także związki ze światka artystycznego: małżeństwa Stanisława Dygata, Maryla Rodowicz i jej partnerzy czy Magdalena Zawadzka i Gustaw Holoubek. Kręgi opozycyjne reprezentują zapomniani już nieco Halina Mikołajska i Marian Brandys, natomiast sfery partyjno-rządowe – Piotr Jaroszewicz i Alicja Solska. Razem (jak mam nadzieję) daje to całkiem interesujący przegląd najważniejszych środowisk PRL.

Niestety, nie udało mi się porozmawiać z niektórymi

bohaterami tej książki. Antonina Krzysztoń w ogóle nie odpowiedziała na propozycję rozmowy (o Mikołajskiej i Brandysie), natomiast Andrzej Jaroszewicz skutecznie unikał odpowiedzi na zadane pytania. W kilku przypadkach zaś uznałem, że dostępny materiał jest na tyle bogaty, iż nie ma potrzeby rozmawiać z bohaterami czy ich potomkami. Za sukces uważam natomiast dotarcie do źródeł prasowych w USA (dotyczących Ilony Cooper, ostatniej miłości Krzysztofa Komedy) i Czechach (na temat praskiego epizodu w życiu Maryli Rodowicz).

Zawsze twierdziłem, że epoka PRL stanowi prawdziwą kopalnię tematów, i mam nadzieję, że ta książka to potwierdzi. Te nieodległe czasy są bowiem wyjątkowo niedoceniane, a przecież były niezwykle ciekawe i do tego są znakomicie udokumentowane. Nawet jeżeli autor czasami musi zamienić się w detektywa...

Na koniec chciałbym bardzo podziękować pani Marcie Czerwieniec za pomoc w badaniach genealogicznych nad pochodzeniem niektórych bohaterów tej pracy. Dzięki temu czasami udało się rzucić nowe światło na pewne wydarzenia, co dodatkowo wzbogaciło tę książkę.

*Sławomir Koper*



# Rozdział 1

Stanisław Dygat i jego żony





**Kalina Jędrusik** była arcydziełem Stasia i niewątpliwie najlepszą postacią, jaką napisał. Tyle że żywą. Była jego zrealizowanym snem o Hollywoodzie, snem zniewalającym, amerykańskim fenomenie banału. Była tym samym idealnym przykładem nieograniczonego wpływu męskości na ciało i duszę kobiety. Mitem Hollywoodu fascynował się Stasio od wczesnej młodości. Już pod koniec lat 20. słał miłosne listy do gwiazd amerykańskiego kina. Kalina była niewątpliwie ucieleśnieniem tamtych fascynacji.

(Kazimierz Kutz)

## FRANCUSKIE POCHODZENIE

Zapomniany obecnie już nieco Stanisław Dygat w czasach PRL uchodził za jednego z najpopularniejszych pisarzy. Jego powieści cieszyły się uznaniem czytelników, regularnie przenoszono je na ekran (*Jeziro Bodeńskie, Dworzec w Monachium, Disneyland, Pożegnania*), a ich autora zaliczano do elity intelektualnej kraju. Pisarz przyciągał uwagę również z powodu niekonwencjonalnego stylu życia, miał zresztą opinię „wiecznego chłopca” zakochanego w Hollywood i filmach zza oceanu. A jego życie prywatne było przedłużeniem filmowych fascynacji. Dwukrotnie poślubił aktorki – szczególnie małżeństwo z seksowną Kaliną Jędrusik wzbudzało powszechne zainteresowanie. I chociaż w czasach Polski Ludowej nie było paparazzich czy tabloidów, to jednak plotki ze świata artystycznego przenikały do społeczeństwa. W biurach i kawiarniach opowiadano o niecodziennych zasadach obowiązujących w tym związku, a także o fobiach i dziwactwach samego pisarza. Dygat był bowiem osobą wyjątkowo chimeryczną, ale ci, co go dobrze poznali, uważali, że dla jego przyjaźni „warto było się urodzić”.

Prapradziadkiem Stanisława był oficer armii francuskiej, François Digat, który zakochał się w urodziwej Polce i po klęsce Napoleona osiedlił nad Wisłą. Jego syn, Antoni, był urzędnikiem Najwyższej Izby Obrachunkowej, natomiast wnuk, Ludwik, walczył w powstaniu styczniowym. Po jego klęsce wyemigrował do Paryża, gdzie został jednym z założycieli Towarzystwa Bratniej Pomocy, a do jego podopiecznych należał Cyprian Kamil Norwid. Dygat umieścił poetę w Domu Świętego Kazimierza (przysiężnicy zajmującym się polskimi emigrantami) i według rodzinnej tradycji jego żona osobiście opiekowała się Norwidem, „zawożąc mu tam przysmaki”, a on w zamian ją „po rękach całował”. I nikomu nie przychodziło na myśl, że „ten Norwid mógł być kimś więcej niż

zwykłym, emigracyjnym, na pół zdzieciniałym staruszkiem, gryzmołącym, podobno, jakies dla nikogo niezrozumiałe wiersze”.

Stanisław Dygat był wnukiem Ludwika, urodził się w grudniu 1914 roku, już po powrocie rodziny do Polski. Podobnie jak jego rodzice zachował jednak francuskie obywatelstwo, co podczas II wojny światowej miało mieć swoje konsekwencje.

Przyszły pisarz dorastał w zamożnym domu. Jego ojciec, Antoni, był cenionym architektem, zaprojektował gmachy Wytwórni Papierów Wartościowych i Wojskowego Instytutu Geograficznego w Warszawie, a także budynki radiostacji w Raszynie i we Lwowie. W domu Dygatów panowała atmosfera „artystycznego cygaństwa”, co oznaczało, że artystów goszczono chętnie i bezterminowo. Podczas wakacji rodzina zawsze wyjeżdżała nad morze, na zmianę na wybrzeże francuskie i polskie. Państwo Dygatowie uważali bowiem, że dzieci powinny dorastać w kulturze swoich obu ojczyzn.

## PROBLEMY Z EDUKACJĄ

Stanisław uczęszczał do jednego z najbardziej prestiżowych gimnazjów w stolicy (Szkoły Ziemi Mazowieckiej), miał jednak poważne kłopoty z nauką. Systematycznie wagarował, bardziej interesował się sportem niż szkołą, a największe problemy sprawiały mu lekcje języka polskiego. Nie narzekał przy tym na brak powodzenia u dziewcząt, co zdecydowanie utrudniało mu koncentrację.

„Gdy tak się przechadzałem z najnowszym tomem Edgara Wallace'a w ręku – wspominał Janusz Minkiewicz – uwagę moją przykuła para uczniów składająca się z ferdydurkowej blondpensjonarki i sztubaka w czapce z tej samej co i ja szkoły. Choć czapki mieliśmy takie same – nie znaleźmy się. Za późno już było na udawanie, że się nie widzimy, a czapki z tymi samymi oznakami zobowiązywały, jak mundur wojskowy, do ukłonów.



On był z damą, wypadło mi się ukłonić pierwszemu.

– Kolega z jakiej klasy? – zagałł nieznajomy.

– Z szóstej. Minkiewicz się nazywam.

– Dygat jestem – odrzekł tamten, wyraźnie »grasejując«, choć w słowach, które dotąd wypowiedział, nie było litery »r« – ja także z szóstej, to dziwne, żeśmy się dotychczas nie spotkali w szkole.

Słowo do słowa, okazało się, żeśmy dotąd wagarowali na przemian. W tych dniach, kiedy on był w klasie, ja spacerowałem po parku – i odwrotnie”[1].

Wprawdzie nie wiadomo, kim była ta „blond-pensjonarka”, stała się jednak powodem miłosnej rywalizacji obu chłopców.

„Odtąd przyjaźń została zawarta – kontynuował Janusz Minkiewicz. – Mieliśmy wspólne zainteresowania, jak mecze piłki nożnej, gra w tenisa, a przede wszystkim owa blond-pensjonarka, w której i ja zakochałem się nie na żarty. Kobieta w tym wieku zmienna jest jak puch marny, toteż obaj z Dygatem przeżywalimy na przemian okresy triumfów i dumy lub zazdrości i poniżenia. Rywalizacja ta nie zrobiła z nas nieprzyjaciół, lecz przeciwnie – wzbudzała w nas obu uczucia wzajemnej szlachetności i dżentelmenerii. Jak się skończyła – obaj dziś nie pamiętamy, może przypomnieliby nam to owa panienska, ale jest to niełatwe, gdyż obecnie znajduje się ona gdzieś na terenie Australii i dotąd nie przysłała żadnemu z nas swego adresu. Zresztą, tamtą historię przyćmiły nam inne, o podobnym charakterze, ale już znacznie poważniejsze. Kochaliśmy się w tych samych osobach przez następne lat kilkanaście, szczęście sprzyjało nam na przemian, raz mnie, raz jemu. [...] W każdym razie nasze wspólne gusta romantyczne z Dygatem zakończyły się wreszcie tym, żeśmy się ostatecznie pożenili, każdy z narzeczoną drugiego”[2].

Kiedy Dygat nie otrzymał promocji do następnej klasy, to w obawie przed reakcją ojca uciekł z domu. Dotarł do Gdyni, gdzie zaciągnął się na statek odbywający rejsy po Bałtyku, lecz nie nacieszył się specjalnie wolnością. Zdążył odbyć tylko jedną krótką podróż, kiedy odnalazł go ojciec. Ale i tak po latach uznał,

że „był to najszcześniejszy okres w jego życiu”. Rodzina miała jednak inne zdanie i krnąbrnego chłopaka odesłano do konwiktów pijarów w Rakowicach pod Krakowem. Szkoła znana była z surowej dyscypliny, która w przypadku Stanisława przyniosła pozytywne efekty.

„To pociągnięcie okazało się ze wszech miar udane – wspominał pisarz. – Ku zdumieniu mojemu, rodziny, krewnych i znajomych awansowałem niespodziewanie na najlepszego ucznia w klasie, dystansując w nauce nawet gorliwych i pilnych kolegów kleryków. [...] W owym czasie po uporczywych i nieudanych bojach ze szkołą dobiegałem już osiemnastu lat i zacząłem zastanawiać się nad sobą. Znudziła mi się ta sytuacja tumana i nieuka, przekonałem się, że nauka może być miła i dawać wiele satysfakcji. Być może była w tym zasługa wyjątkowo szczęśliwie dobranego u pijarów grona profesorskiego, składającego się wyłącznie z profesorów świeckich, którzy potrafili jakoś umiejętnie skierować mój umysł na właściwą drogę”[3].

Dawały jednak znać o sobie lata zaniedbań i Dygat uzyskał świadectwo dojrzałości dopiero w wieku 21 lat. Rozczarowanie przyniósł mu zresztą egzamin z języka polskiego, młodzieniec interesował się bowiem już wówczas literaturą i miał ambicje otrzymania jak najlepszej oceny. Jego wysiłki oceniono jednak za ledwie na „dobrze”, wobec czego po latach wysłał swojemu poloniście egzemplarz debiutanckiego *Jeziora Bodeńskiego* z dedykacją: „To jest moja poprawka z języka polskiego”.

Czas spędzony w konwiktach pijarów nie był jednak beztrudny, chociaż uwalniał młodzieńca od „rodziny problemów, melancholii matki i karcącego wzroku ojca”. Chłopak nie unikał też życia towarzyskiego, chociaż ze względu na charakter placówki było ono jednak dość ograniczone.

„Staszek na pewno nie należał do przeciętniaków – uważał jego kolega z konwiktów. – Miał duże poczucie humoru, bardzo lubił opowiadać kawały. Potrafił błyskawicznie i błyskotliwie spointować sytuację. Miał też mnóstwo wdzięku. Na wieczorkach

tanecznych, na które przyjeżdżały do naszego kolegium dziewczęta uczące się u sióstr urszulanek w Krakowie, bardzo łatwo zdobywał ich sympatię”[4].

## ZŁOTY CHŁOPAK PRZEDWOJENNEJ WARSZAWY

Po maturze Stanisław powrócił do stolicy i rozpoczął studia w Wyższej Szkole Handlowej. Nauka go jednak zupełnie nie interesowała, a uczelnię wybrał wyłącznie dlatego, że tam „poszło najwięcej najweselszych i najmilszych” kolegów. Zamiast uczestniczyć w wykładach, wolał chodzić na koncerty do filharmonii i nadrabiać zaległości z literatury polskiej. Na efekty nie trzeba było długo czekać – został relegowany z uczelni, wobec czego niebawem rozpoczął studia architektoniczne. Ten kierunek również okazał się pomyłką, a po latach Dygat przyznawał, że naukę uniemożliwiła mu „zupełna nieporadność techniczna, której poczucie pogłębiało zapewne mistrzostwo ojca”. Ale nie poddawał się i tym razem zapisał się na filozofię. Nie zmienił jednak swojego postępowania i „nad wykłady profesora Tatarkiewicza przedkładał dansingi [...], gdzie brylował jako znakomity tancerz”. Upodobanie do tańca miało mu zresztą pozostać na długie lata, podobnie jak zamiłowanie do życia towarzyskiego.

„Dobił mnie jednak finał jednego z programów – wspominał pewną zabawę karnawałową Jerzy Broszkiewicz. – Był to mianowicie taniec hiszpański w wykonaniu Otwinowskiego i Dygata. Mniejsza o szczegóły. Wystarczy finał, kiedy to Dygat, grający cały czas rolę wiotkiej choć ognistej partnerki, wynosił swego partnera ze sceny na rękach”[5].

Rodzina Dygatów z niepokojem obserwowała wyczyny młodzieńca. W zapomnienie odeszły nadzieje z czasu pobytu Stanisława w konwiktach pijarów, młodzieniec lubił się bawić i w ogóle nie myślał o przyszłości.

„Rodzice moi bardzo się niepokoiли tym niezbyt poważnym stosunkiem do życia – przyznawał po latach. – A mnie naprawdę nic właściwie nie interesowało. Zdawałem sobie jednak sprawę, że coś trzeba przecież w końcu zrobić, gdyż stanę się wykojeńcem. Sztuka wydawała mi się piekielnie trudna. W ogóle bardzo mało miałem pewności siebie, wiary w swoje możliwości. Słyszałem jedynie swój własny głos, który wszystko, co zdarzyło się wokół mnie, komentował. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że to jakaś skłonność do literatury. Notowałem jednak coś zawsze na kartkach...”[6].

Nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy Stanisława, gdyby nie fakt, że w Warszawie ponownie spotkał Janusza Minkiewicza. Dzięki niemu wszedł w środowisko literackie, a największe wrażenie zrobił na nim Witold Gombrowicz. Grywał z nim regularnie w tenisa i chłonał jego twórczość.

„Ogromny wpływ wywarły na mnie *Ferdydurke* i autor tej powieści – wspominał. – Coś się we mnie otwarło. Właściwie dopiero od tej chwili zainteresowałem się literaturą – zobaczyłem pewne możliwości. Wręcz naśladowałem twórczość autora *Ferdydurke*. W *Jeziorze Bodeńskim* jest dużo takich zapożyczonych scen czy sposobów widzenia, o których, jeśli ich nawet nie zauważyła krytyka, wiem sam najlepiej”[7].

Dużo czasu spędzał w kawiarniach, ze słynną Ziemiańską na czele. Uwielbiał długie dyskusje o literaturze, sam miał zresztą wówczas okazję do debiutu.

Jako pisarza odkrył mnie Stanisław Piętak [jeden z najwybitniejszych literatów młodego pokolenia II Rzeczypospolitej – S.K.]. Poznałem go przez Minkiewicza i zaprzyjaźniłem się. Kiedyś nieoczekiwanie wpadł do mnie. Miałem na biurku jakieś zapisane kartki. Zajrzał, przeczytał i powiedział: »Skończ i daj mi za 3 dni«. Cóż miałem zrobić? Skończyłem. Tydzień później ukazało się to w »Apelu«[8].

Publikacja noweli w dodatku literackim do „Kuriera Porannego” była sukcesem, ale przyjaciele Dygata nie widzieli w

tym niczego wyjątkowego.

„Niby zapisał się na architekturę – wspominał Janusz Minkiewicz – ale wiedzieliśmy wszyscy, że jest rzadkim gościem na tym wydziale. Znacznie częściej można go było spotkać przy stoliku w literackiej kawiarni czy w knajpie, gdzie kibicował naszemu towarzystwu, zajmującemu już jaką taką pozycję w świecie artystycznym. O każdym z nas, Karpińskim, Gombrowiczu, Uniłowskim, Mostowiczu, czy kimkolwiek innym, wiadomo było, że zajmuje się jakąś konkretną pracą, że drukuje, zarabia. Po Dygacie nie było tego widać. Wydawało się nam tajemnicą, skąd i kiedy, przy tym wszystkim, posiadał tak głęboko i dokładnie wiedzę muzyczną.

– Szkoda chłopaka – mówiliśmy – nic nie robi, marnuje się. Nic z niego nie będzie.

Nawet te dwie nowelki, które zdążył napisać przed wojną, nie zrobiły na nas wrażenia.

– Jak ktoś całymi miesiącami nic nie robi, może mu się czasem wypsnąć i nowelka...”[9].

### *JEZIORO BODENSKIE*

Tryb życia Stanisława nie był jedynym problemem rodziny Dygatów w tych latach. Znacznie większy skandal obyczajowy wywołał bowiem ojciec Stanisława, który z dnia na dzień porzucił żonę i dom, aby zamieszkać z inną kobietą. Jego nowa partnerka musiała również całkowicie stracić głowę, albowiem odchodząc od swojej rodziny, opuściła dwie córki. Ze zdradą męża natomiast nie mogła pogodzić się prawowita małżonka architekta, Jadwiga, która przez długi czas wierzyła, że mąż jeszcze do niej powróci.

Tymczasem zbliżała się wojna i o „złotym młodzieńcu” przypomniała sobie armia francuska.

„Ogłoszona mobilizacja nie dotyczyła Stasia, bo jak wszyscy w naszej rodzinie miał obywatelstwo francuskie – opowiadała

Danuta, siostra pisarza. – Ale dostał wezwanie do armii francuskiej. Nigdy wcześniej nie widziałam go tak poirytowanego i zbuntowanego. Powiedział kategorycznie, że nie pojedzie służyć w obcej armii, bo tu jest jego miejsce. Miał też wzgląd na mamę, która po rozwodzie, mimo że utrzymywali z ojcem nadal przyjazne kontakty, nie czuła się najlepiej. Chyba wtedy właśnie uświadomiłam sobie pierwszy raz, że mój brat jest już dorosłym mężczyzną”[10].

Posiadane obywatelstwo zdecydowało, że po upadku Warszawy Antoni i Stanisław zostali internowani w Schule Petershausen w Konstancji nad Jeziorem Bodeńskim. Ich los podzielił zięć architekta, Jan Bogusławski, a cała trójka przebywała w obozie przez kilka miesięcy. Zwolniono ich dopiero po najeździe hitlerowców na Francję.

Wspólny pobyt w Konstancji wywarł zbawienny wpływ na wzajemne relacje ojca z synem i Stanisław zaczął okazywać więcej tolerancji dla postępowania Antoniego. Zdecydowanie mniej powodów do radości miał natomiast jego szwagier, albowiem po powrocie do Warszawy przekonał się, że porzuciła go żona, która wybrała życie u boku mało znanego wówczas pianisty i kompozytora, Witolda Lutosławskiego. Członkowie rodziny Dygatów uwielbiali jednak komplikować sobie życie...

Niebawem po powrocie internowanych do domu Niemcy wkroczyli do Paryża i przy tej okazji Stanisław stał się świadkiem sceny, której miał nigdy nie zapomnieć. Siedział właśnie w domu matki, rozmawiając z Lutosławskim, gdy w radiu podano wiadomość o kapitulacji francuskiej stolicy.

„Nagle informacja, że padł Paryż. I jednocześnie pukanie do drzwi. Otwierają, a tu stoi były prezydent Wojciechowski, zresztą sąsiad. Dygat opowiadał potem, że poczuł się, jakby sam majestat Rzeczypospolitej stanął na progu jego domu. Wojciechowski pyta, czy może zadzwonić. – Oczywiście, oczywiście – obaj panowie skwapliwie go zapraszają. Jest dla nich naturalne, że w tak dramatycznym momencie jak upadek Paryża prezydent musi

gdzieś zadzwonić. Ale co słyszą?

– Zośka, Zośka, czemu was jeszcze nie ma? Przychodźcie, mama upiekła szarlotkę”[11].

Lata okupacji Dygat spędził w stolicy, często cierpiąc niedostatek. Czasami przychodził wraz z siostrą do ojca, prosząc go o coś do jedzenia, i pan Antoni wnosił dzieciom z domu jakieś resztki. Robił to jednak w taki sposób, aby jego nowa żona niczego nie zauważyła...

Stanisław wznowił natomiast kontakty ze światem literackim Warszawy i właśnie wówczas napisał powieść *Jeziro Bodeńskie*, w której zawarł przeżycia z obozu internowania. Fragmenty utworu odczytywał na tajnych spotkaniach literackich.

„Pierwsza wizyta zapowiadała się kłopotliwie – wspominał Janusz Minkiewicz. – Dygat wyjął bowiem manuskrypt i zaczął czytać początkowe rozdziały swojej powieści. W miarę słuchania zakłopotanie mijało. Te rozdziały okazały się porywające, brawurowe. Poszczególne słuchacze czytanek Dygata, niepewni własnego sądu, telefonowaliśmy jeden do drugiego, sprawdzaliśmy swoje wrażenia. Wszystkie były zgodne. Młodzieńcza świeżość powstającej powieści była jasnym promieniem na ponurym tle okupacyjnej rzeczywistości. Buńczucznie rozpoczętą powieść potrafił Dygat doprowadzić do końca na tej samej wyżynie, na jakiej ją zaczął”[12].

Jeszcze podczas wojny utwór zakupił Władysław Ryńca, okupacyjny dorobkiewicz, który lokował nadwyżki finansowe w rękopisach. Na umowie sprzedaży Stanisław Dygat figurował jako Wacław Kurowski, a *Jeziro Bodeńskie* nosiło tytuł *Łabędź*. Na szczęście Ryńca mieszkał w Piastowie pod Warszawą i dlatego zakupione przez niego materiały przetrwały Powstanie Warszawskie. Powieść ostatecznie ukazała się w 1946 roku nakładem wydawnictwa Wiedza i szybko stała się bestsellerem.

„Dzisiaj patrzę na tę powieść jak na fragment utrwalonego życia – mówił Dygat w 1965 roku. – *Jeziro Bodeńskie* to powieść granicząca prawie że z pamiętnikiem. Tak jak by komuś śniły się przeżycia. Niedawno z pewnym Polakiem odwiedziłem te

powieściowe okolice. Nic się nie zmieniło. »O, tam było gestapo« – powiedziałem. »Tak, masz rację, bo teraz jest tam policja« – odparł mój znajomy”[13].

*Jezioro Bodeńskie* przyniosło autorowi całkiem wymierne efekty finansowe. Autor otrzymał bowiem 100 tysięcy złotych nagrody za najlepszą książkę 1945-1946, ufundowanej przez czasopismo „Tydzień” (razem z *Dwoma teatrami* Jerzego Szaniawskiego). Finanse miały tym większe znaczenie, że Stanisław był już wówczas żonaty.

## PIERWSZE MAŁŻEŃSTWO

Nie wiadomo, w jakich okolicznościach Dygat poznał aktorkę Władysławę Nawrocką ani kiedy się z nią ożenił. Przyjmuje się, że wzięli ślub około 1940 roku w okupowanej Warszawie, bliższych szczegółów tego wydarzenia jednak nie znamy, możliwe zresztą, że uroczystość odbyła się później.

Wybranka pisarza urodziła się we Lwowie 14 lipca 1917 roku, a jej matka była suflerką teatralną. Podobno podczas wojny Władysława grała na scenach teatralnych Wilna, zapewne było to w początkowym okresie wojny, podczas litewskiej okupacji miasta. Dlatego nie można wykluczyć, że Nawrocka przyjechała do Warszawy dopiero po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, czyli latem 1941 roku.

Pewne wiadomości posiadamy dopiero ze schyłkowego okresu wojny, kiedy to Dygatowie wraz z przyjaciółmi założyli lokal Pod Parasolem w Podkowie Leśnej. Sprzedawano tam „wódkę i jakieś mało poważne zakąski”, co nie było najlepszym pomysłem, albowiem nikt z właścicieli knajpy kompletnie nie nadawał się na restauratora. A gdy pewnego dnia okazało się, że zużycie alkoholu nie znajduje pokrycia w rachunkach firmy, Stanisław wziął inicjatywę w swoje ręce.

„[...] czując się najbardziej z całej czwórki odpowiedzialny, na



znak protestu wykończył resztę wódki i krzyząc: »Szczupak w pomidorach«, rzucił się w sąsiadujący z *Parasolem* ogródek. Zanim udało się go stamtąd wyciągnąć, pojawił się właściciel, który zażądał zwrotu pieniędzy za szkody wyrządzone pomidorom»[14].

Lokal szybko zbankrutował i niedoszli restauratorzy przenieśli się do Krakowa. Tam Dygat próbował założyć teatr literacko-artystyczny, chcąc wypromować żonę – aktorkę. Z planów nic nie wyszło, ale za to rodzina powiększyła się o córkę, Magdę.

## DROGI I ROZDROŻA MŁODEGO PISARZA

W 1947 roku Stanisław zrzekł się obywatelstwa francuskiego, nie interesowała go bowiem emigracja (wariant ten wybrał jego ojciec, który osiadł w Brazylii). Odczuwał zresztą osobistą awersję do Francji, którą dodatkowo pogłębiła przedwojenna znajomość z Gombrowiczem. Pan Witold bowiem zawsze sprzeciwiał się nieuzasadnionemu „uwielbieniu francuskiej kultury, języka i obyczajów”, co uważał za „niechlubne świadectwo kompleksu Polaków wobec narodów zachodnioeuropejskich”.

Dużą rolę w decyzji Stanisława odegrały również przeżycia z okresu internowania. Przebywając bowiem w odosobnieniu, miał dużo czasu na osobiste refleksje, a przymusowe kontakty z Francuzami spowodowały, że szczególnie mocno odczuwał przynależność do narodu polskiego. Opis dojrzewania tych uczuć zawarł w *Jeziorze Bodeńskim*.

Natomiast bezpośrednio po wojnie, podobnie jak wielu intelektualistów, uwierzył w komunistyczną propagandę.

„[...] był on »na serio« – wspominała Irena Szymańska – w sposób przewrotny, gdyż była to powaga Dygatowa, zupełnie odmienna niż u innych. Kiedy na przykład na początku lat pięćdziesiątych rzucono hasło pisania powieści o robotnikach i wielu pisarzy podjęło to zadanie, Staś zabrał się do tego z całą

powagą. Mieszkał wówczas na Wybrzeżu i postanowił poznać życie marynarzy. Odwiedzał portowe knajpy i toczył w nich z marynarzami długie rozmowy, by w końcu stwierdzić, że powieści napisać nie może, bo marynarze okazali się zbyt inteligentni, a i tak już zaopatrzone go w etykietkę pisarza od inteligentnych obrachunków«. Zawarł mnóstwo przyjaźni, ale powieści w duchu tamtych lat nie napisał właśnie dlatego, że program, w imię którego chciał działać, traktował serio”[15].

Po odwilży październikowej wzbudzał powszechne niedowierzanie, gdy przyznawał się publicznie, że „naprawdę chciał napisać” powieść socrealistyczną, jednak niestety „nie umiał”. Ale czy rzeczywiście mówił to serio? On, taki mistrz słowa, nie napisałby socrealistycznego czytadła?

Rok po zakończeniu wojny Dygatowie przenieśli się do Wrocławia, gdzie Stanisław dostał etat dyrektora miejscowego oddziału Związku Literatów Polskich. Dawało to nadzieję na stabilizację finansową, niestety Dygat po prostu nie lubił pracować. W efekcie dostał naganę od zarządu Związku i w 1948 roku zrzekł się funkcji. Opóźniał też ukończenie kolejnej powieści.

„*Pożegnania* Staś napisał pod terrorem – kontynuowała Szymańska. – Była to książka dla Klubu Odrodzenia, przyrzeczona subskrybentom i zapowiedziana na określony termin, a terminy subskrypcyjne traktowano jeszcze wtedy w wydawnictwach serio. Przerażeni, że Staszek nie zabrał się do roboty, po prostu porwaliśmy go, zamknęli w domu »Czytelnika« w Bierutowicach i tam, trzymając co prawda nie o chlebie i wodzie, ale odciętego od znajomych i przyjaciół, zmusiliśmy go – my to znaczy ówczesny dział wydawniczy »Czytelnika« z Zofią Dembińską na czele – do napisania w sześć tygodni książki”[16].

Podobno w niemal identyczny sposób została napisana jeszcze jedna powieść Dygata. Lenistwo pana Stanisława przybierało bowiem wręcz patologiczne cechy.

„Bodaj *Podróż* powstała w ten sposób, że ówczesny redaktor

naczelny »Przeglądu Kulturalnego« zwabił go do hotelu, zamknął w pokoju na klucz i wypuścił, gdy napisał tę książkę. Trwało to dwa tygodnie»[17].

Stanisław zawsze uważał pisanie „za coś wstydliviego”, ale ze smutkiem uznał, że „nie nadaje się do innego zawodu”. Natomiast nie miał jednak oporów w „podśmiewaniu się z tych, którzy uważali się za zawodowych pisarzy”, gdyż „dla niego było to męczące zajęcie”.

A gdy sam zajął się pisaniem, to przestał lubić rozmowy o literaturze. Czasami zresztą wpadał w paniczny lęk na spotkaniach autorskich, bał się bowiem pytań czytelników.

„Kiedy pojawił się nagle we Wrocławiu, zmusił mnie, abym poszedł z nim na rozmowę z czytelnikami w Klubie Dziennikarzy i zabrał ze sobą ręcznik. W odpowiednim momencie, na jego znak – jak to jest przyjęte na meczu bokserskim – miałem rzucić ręcznik i poddać go. I tak się stało. Zwaliła się chmura docentów z uniwersytetu, którzy stoczyli uczone wywody na temat jego książek, a potem stawiali zaskakujące pytania. On sterczał na środku sali zażenowany, trzymał się krzesła i kiwał się jak łodyga na wietrze. Odpowiadał krótko: »tak« lub »nie«, »może«, »nie wiem«. Kiedy go w końcu zapytano, co sądzi o filmach Bergmana, rzekł: »Dobrze sądzę«. I dał mi rozpaczliwy znak. Rzuciłem ręcznik. Poddałem go»[18].

Przy okazji stawał się coraz bardziej kapryśny i złośliwy. We Wrocławiu dzielił dom z Wojciechem Żukrowskim, a panowie zdecydowanie nie przepadali za sobą. I gdy Dygat po dwóch latach wyprowadzał się do Trójmiasta, to wynajął swoją część podwórka blacharzowi, który odtąd zakłócał spokój Żukrowskiemu. Córka pisarza zapamiętała jednak trochę inaczej to wydarzenie:

„Mieszkaliśmy na górze, a Żukrowski na dole. Kiedy ojciec pracował, Żukrowski włączał silnik samochodu. Kiedy pracować zaczynał Żukrowski – ojciec włączał na cały regulator muzykę. Po prostu »Paweł i Gaweł«»[19].

## W RODZINIE DYGATÓW

Według relacji Magdy Dygat w związku jej rodziców to ojciec „jednak był bardziej odpowiedzialny”, gdyż matka zupełnie „nie kojarzyła sobie wydawania z zarabianiem”. Nic zatem dziwnego, że rodzina cierpiała na chroniczny brak gotówki, a pisarz zwracał się do wydawców z ciągłymi prośbami o pożyczki i zaliczki. Narzekania na brak pieniędzy stale przewijały się przez jego korespondencję, często zresztą w desperacji wysyłał do wydawców córkę, licząc, że widok dziecka skruszy ich opory.

„Władysława Nawrocka, moja przyjaciółka – wspominała Ewa Otwinowska – tworzyła ze Stasiem parę, rzecz można, całkowicie jednolitą. Tak zaraźliwy mieli na siebie wpływ, że trzeba było doprawdy zastanawiać się, kto tu z kogo robi swojego brata bliźniaka. Solidarni nędzarze i rozrzutnicy, stale knujący coś po kątach, nieodzowni w każdej zabawie i w każdym skandalu, pełni zaskakujących pomysłów i ripost, bezwzględni dla przyjaciół i absolutnie znudzeni. A tak mocni, że Dziunia potrafiła skłonić biologicznie milczącego samotnika, jakim był Jerzy Szaniawski, do całonocnej gawędy przy wódce. Kiedy przyjechali po wyzwoleniu do Krakowa, Dziunia spodziewała się dziecka i na wszelki wypadek całymi tygodniami mieszkała w luksusowej separacie jeszcze wówczas prywatnej lecznicy pp. Sędzimirów, gościnnie i gratisowo podejmowana przez gospodarzy. Każdego dnia opuszczała zakład, by na mieście odprężyć się po wojennej grozie, aż tu pewnego razu nie ma Dziuni. W czasie stołówkowego obiadu Staś telefonował do mnie:

– Dziunia przed kwadransem urodziła Magdusię, biegnij do niej, bo się potwornie nudzi”[20].

Narodziny córki Stanisław Dygat przyjął z radością. Wprawdzie „był przez chwilę” zawiedziony, że to nie syn, ale szybko zaakceptował Magdę i już „niczego by nie zamienił”. Inne zdanie na ten temat miała natomiast jego małżonka.

„Macierzyństwo ją nudziło – zaliła się po latach Magda Dygat. – Interesowała ją jedynie sztuka. [...] Kiedy przestała grać, mając pięćdziesiąt lat, zawsze artystka, bez względu na sytuację, zaczęła malować obrazy. [...] Byłam w jej życiu czymś, co istniało, i trzeba było się z tym faktem pogodzić. Nie znaczyło to, że trzeba było się temu poświęcać. [...] Jej zainteresowanie mną ograniczało się do sporadycznych interwencji. Na ogół jednak starała się trzymać ode mnie z daleka. W atakach gniewu mówiła, że jestem zła, a kiedy pytałam, dlaczego, odpowiadała: »Bo taka się urodziłaś«. Było w tym coś z dziecięcej przekomarzanki, w której ostatecznym argumentem jest stwierdzenie: »Sama głupia!«. Kiedyś obiecała mi, że zabierze mnie do cyrku, a na moje pytanie, dlaczego nie dotrzymuje słowa, odpowiedziała: »Tylko krowy nie zmieniają zdania«. Siedzieliśmy wtedy w kawiarni Związku Literatów, w dużej grupie przyjaciół moich rodziców. »Ale świnię tak!« – odpowiedziałam. Dostałam wtedy ciastko, które się nazywało »język literackie. Innym razem wylała całą miskę owsianki na mnie i na pluszowego misia, tej samej wielkości co ja, i natychmiast rzuciła się do czyszczenia misia. [...] Była wesoła, wrażliwa, dobra i całkowicie pozbawiona odpowiedzialności. Kariera, problemy emocjonalne, towarzyskie i... »Tak. Oczywiście. Jeszcze mamy dziecko. Gdzie ono jest? Zdaje się, że w Zakopanem«[21].

Magda Dygat, spisując po latach wspomnienia, więcej empatii znalazła jednak dla ojca. O matce wypowiadała się z reguły źle lub bardzo źle. I upływ lat niewiele w tej kwestii zmieniał.

„Dlaczego mam na imię Magda? Zadzwoiłam do niej [matki – S.K.], podejrzewając, że nie będzie wiedziała.

– Nie wiem – odparła. – To ojciec wybrał ci to imię. Trzeba było zapytać ojca, kiedy jeszcze żył.

– A dlaczego mam na drugie imię Małgorzata? – zapytałam już tylko z rozpędu.

– To ty masz na drugie imię Małgorzata? Bardzo ładnie. To też na pewno ojca pomysł»[22].

Wydaje się jednak, że tak naprawdę Dygatowie niewiele różnili się od siebie. Wychodząc bowiem kiedyś z restauracji, zapomnieli o pozostawionym w szatni niemowlęciu i odzyskali córkę dopiero, gdy powrócili po parasol...

Inna sprawa, że zachowanie Władysławy wobec Magdy pogarszało się z upływem lat. „Uwielbiała stwarzać dramatyczne sytuacje – skarżyła się córka – i przy okazji wpajała mi poczucie winy. Siedząc w wannie, wołała mnie cichym głosem, pod byle jakim pretekstem: która jest godzina albo czy zadzwonił telefon. Kiedy przychodziłam, mówiła, że długo musiała czekać, że mogła się utopić i miałabym ją wtedy na sumieniu. [...] Śmiało można powiedzieć, że nie lubiliśmy się specjalnie, szczególnie kiedy z latami ja stawałam się doroślejsza, a ona coraz bardziej niepoważna w swoich pretensjach i zazdrości o ojca. Kiedyś w ataku złości rzuciła we mnie żelazkiem, co prawda zimnym, i nie trafiła. I tylko wrodzony wstręt do przemocy powstrzymał mnie od jakiegokolwiek reakcji, jak również fakt, że była ode mnie dużo niższa i słabsza. To, że była moją matką, dawno już przestało mieć znaczenie”[23].

## MAŻ I ŻONA

Pierwsze symptomy rozpadu małżeństwa pojawiły się jeszcze podczas pobytu we Wrocławiu. Dygat sprawiał wrażenie człowieka znużonego żoną, dbał jednak o to, aby partnerka czerpała pewne radości z życia. I robił to w bardzo niekonwencjonalny sposób.

Interesujące światło na relacje pisarza z żoną rzucają wspomnienia jego asystenta, Edwarda Kurowskiego. Był on wówczas studentem psychologii pedagogicznej na Uniwersytecie Wrocławskim, uprawiał boks i marzył o karierze literackiej. Przy Dygacie odgrywał rolę sekretarza, mieszkał zresztą razem z jego rodziną. Relacja Kurowskiego jest tak ciekawa, że warto ją

przytoczyć w dłuższych fragmentach.

„Od pewnego czasu pisarz przekonywał żonę – wspominał Kurowski – że powinna schudnąć, jeżeli chce wystąpić w jakimś filmie, a najlepszym sposobem byłyby gimnastyka i ewentualnie masaże, od tych spraw mamy w domu specjalistę, wykorzystajmy to, bo chyba nie chcesz, żeby jakiś obcy człowiek cię tu poklepywał, pan Edward na pewno ci nie odmówi, zresztą rozmawiałem z nim na ten temat. Specjalnego kostiumu nie masz – mówił pisarz – ale to nie szwarcarada... no to włóż suknię balową!

Pierwszy raz zobaczyłem aktorkę w takim ciasnym stroju kąpielowym, który nie tylko mnie krępował, ale również ją. Żeby ukryć podniecenie, szybko zacząłem pokazywać pani Dziuni podstawowe, umacniające mięśnie ćwiczenia, które starała się w miarę dokładnie wykonywać. Dziwiłem się trochę pisarzowi, ale nie za bardzo, że w takim stroju pokazuje mi żonę, sam nie biorąc udziału w gimnastyce. [...]

Kiedy ukończyliśmy kilka podstawowych ćwiczeń, spocona aktorka położyła się na tapczanie, a uwierający ją kostium pozostawił na wypukłościach jej ciała czerwone ślady.

– A masaż? – zapytał pisarz, wychodząc ze swojego pokoju.

– Musimy odpocząć – odpowiedziała aktorka, wciąż leżąc na tapczanie. [...]

– Dziunia, na co czekasz?... aż pan Edward się rozmyśli?

Aktorka zdjąwszy szlafrok, wróciła do sypialni, w jej ciasnym staniku nie mieściły się piersi, pisarz stwierdził, że za dużo w nich tłuszczu, który trzeba rozsmarować, obwisłe modne w Afryce. Nie bez skrępowania aktorka rozpięła stanik i położyła się na tapczanie”[24].

Nie był to wyjątek. Dygat prowokował dwuznaczne sytuacje, doskonale wiedząc, jaki będzie finał całej sprawy. Kurowski miał bowiem zaledwie 20 lat, a starsza od niego o 10 lat Władysława była atrakcyjną kobietą. I miała też swoje potrzeby erotyczne.

„Aktorka wyszła z łazienki we flanelowym szlafroku –

kontynuował Kurowski – i położyła się na moim łóżku, mówiąc, że bardzo dobrze się czuje, choć woda była ledwie ciepła. Przekonana, że mój masaż ją rozgrzeje, odsłoniła do połowy ciało, zaczęłam więc swoje zajęcia od szyi, mówiąc, że piersi aktorki już po kilku masażach stały się bardziej jędrne, co stwierdziła z zadowoleniem. Zapytałem, czy chodzący po sąsiednim pokoju pisarz nie zajrzy do nas, aktorka odpowiedziała »na pewno nie, krążąc za szybą, układa powieściowe dialogi, które podobno dobrze mu idą«. [...]

– Idźcie wreszcie gdzieś, bo mi przeszkadzacie – wtrącił pisarz, jakby nas podsłuchiwał.

– Przecież cicho leżymy.

– Ale łóżko skrzypi”[25].

Małżonkowie sypiali w oddzielnych pokojach, co sprzyjało planom Kurowskiego. Student nie ukrywał bowiem fascynacji żoną pryncypała, a ta nie miała większych oporów. I skończyło się tak, jak musiało się skończyć, przy pełnej zresztą aprobacie Dygata.

„[...] zgasiła w swoim pokoju światło – kontynuował Kurowski – uczyniłem to samo w dużym pokoju i zauważyłem, że noc jest dziś jasna, pewnie księżyc świeci, którego wybitny pisarz [Dygat – S.K.] bardzo nie lubi, bo wtedy nie może spać. Mnie nie przeszkadza, zwykle zasypiam bez trudu, ale dziś sen nie przychodzi, pewnie dlatego, że drzwi do pokoju znanej aktorki są uchylone, słysząc skrzypienie tapczanu, czyżby myślała o Stasiu? Co robi? Znany pisarz zwykle sypialnię na noc zamykał, Dziunia zostawiła drzwi półotwarte, przez pomyłkę czy specjalnie? Leży w piżamie czy zdjęła ją? [...] Czy możesz tam wejść? Nie wypada do sypialni damy, chyba że cichutko, na palcach, może jej nie obudzisz, a jednak...

– Panie Edwardzie – szepnęła – co się stało?

– Nic – przyłożyłem palec do ust.

– Czego pan szuka, termometru?

Zatoczyłem się, widząc wyciągniętą ku mnie rękę, usiadłem



na tapczanie, aktorka odsunęła się z pościelą, nie wiesz, czy chce być dalej od ciebie, czy robi ci miejsce, leżysz na kołdrze, nie wiedząc, czy się nią przykryć, jak się aktorka zachowa, jeżeli się do niej przysuniesz... gdy uczyni jakiś nieprzyjazny gest, natychmiast wyjdiesz, nic nie mówi, choć dotykasz ją kolanem, czujesz, że jest bez dolnej części pizamy, pyta, co ci jest, nadciśnienie? Możliwe – odpowiadasz – chyba tak, damska ręka dotyka twoich spodenek, chce ci je zdjąć? Próbujesz dotknąć jej biodra, nie pozwala, odruch, czy naprawdę nie wolno, kolanem można, niczym więcej...

Leżysz niby spokojnie, ale coś w tobie kipi, słyszysz własny oddech i aktorki, chcesz coś powiedzieć, czujesz pustkę w głowie i suchość w ustach, co robić? Do odważnych świat należy – to głupie, żadna odwaga, odważniej byłoby odejść teraz, nie potrafisz... musisz być zdecydowany, ale od decyzji do jej wykonania mijają długie chwile, w czasie których czujesz jej palce na swoim biodrze, całą delikatną dłoń, podsuwa się pod gumkę twoich spodenek i wtedy nagle decydujesz się wejść na jej ciepłe, prawie gorące ciało, które nie uczyniło żadnego ruchu, żeby cię zrzucić, napięte damskie nogi jakby sflaczały, uda trochę się rozeszły, więc dalsze działanie było już niezależne od ciebie, pewnie krótko trwało, po czym wasze ciała zlepiły się i ponownie znieruchomiały.

– Niech pan już idzie – szepnęła aktorka jakby resztkami sił”[26].

Sytuacja opisana przez Kurowskiego do złudzenia przypomina późniejsze relacje Dygata z Kaliną Jędrusik. Ale wówczas pisarz oficjalnie ogłosił, że ze względu na kłopoty ze zdrowiem odchodzi na „erotyczną emeryturę”, natomiast podczas pobytu we Wrocławiu liczył sobie niewiele ponad 30 lat i był w pełni męskich sił. Wydaje się jednak, że Dygat bardzo lubił flirtować, ale niekoniecznie interesowało go seksualne zbliżenie. A już regularne kontakty erotyczne z jedną partnerką śmiertelnie go nudziły. Nawet gdy miała nią być seksowna Kalina Jędrusik...

Potwierdza to wyznanie blisko zaprzyjaźnionego z pisarzem Kazimierza Kutza, który twierdził, że Dygat „wszystkie zajęcia uważał za męczące, łącznie z erotyką [podkreślenie – S.K.], był bowiem niecierpliwy jak sam najbardziej niecierpliwy diabeł”.

Na domiar złego Dygatowie często się kłócili, a po przeprowadzce do Trójmiasta awantury domowe stały się codziennością. I chociaż często miały dramatyczny przebieg, to zdarzały się również akcenty humorystyczne.

„Któregoś zimowego wieczoru w Domu Aktora w Sopocie – wspominała Magda Dygat – siedzieliśmy w pokoju, w którym palił się ogień w kominku. Było to w okresie, kiedy ojcu znudziło się zbieranie fajek i przerzucił się na pudełka po papierosach »Grunwald«. Trzymał w nich różne swoje skarby i nikt właściwie nie wiedział, co w nich jest. Po krótkiej wymianie [zdań], które mogły się kojarzyć z falami uderzającymi o brzeg podczas sztormu, matka złapała nagle kilka pudełek i wrzuciła je do ognia. Niektóre, o czym w chwilowym zapamiętaniu nie pomyślała, miały rysunki na wieczkach, zrobione przez znajomych artystów.

Nastąpiła chwila ciszy, jak w filmie, kiedy akcja zamiera, bo główny bohater zastanawia się, czy zrezygnować ze wszystkiego i wyjść na zawsze, czy jeszcze podjąć walkę i wtedy dopiero wyjść na zawsze.

Po upływie może trzech sekund ojciec rzucił się do kominka, wyciągając pudełka gołymi rękami, z okrzykiem: Jezus Maria, moja sztuczna szczeka!»[27].

Sprawa rzeczywiście wyglądała dramatycznie, zęby Dygata były w fatalnym stanie, a on wręcz histerycznie bał się dentystów. I gdy dowiedział się, że w Gdańsku praktykuje pewien specjalista, który z zagranicy przywiózł sprzęt wykorzystywany przy leczeniu dzieci, niezwłocznie go odwiedził. Tym specjalistycznym wyposażeniem okazały się zabawki, którymi stomatolog odwracał uwagę małych pacjentów, aby dyskretnie zająć się ich zębami. Dygat był zachwycony, pobawił się kolejką elektryczną i misiami, po czym wyszedł bez żadnego zabiegu...

Natomiast atmosferę w domu Dygatów najlepiej chyba podsumowuje rozmowa ojca z córką po wspólnej wizycie w kinie na *Summertime*:

„Płakałam, kiedy pociąg z Katharine [Hepburn – S.K.] odjeżdżał – wspominała Magda Dygat – a na peronie został zakochany w niej Włoch. Ojciec pocieszał mnie, że gdyby ona została i gdyby się pobrali, to by się kłócili tak jak mamusia z tatusiem”[28].

## SPORT

Pan Stanisław od młodych lat był wielbicielem sportu, ze szczególnym uwzględnieniem boksu, piłki nożnej i tenisa. Dobry mecz piłkarski potrafił porównać do inscenizacji dramatu Szekspira i często można go było spotkać na stadionach sportowych. W młodości sam uprawiał boks (pozostał mu po tym złamany nos) i grał w tenisa, a pierwsza wzmianka prasowa na jego temat pojawiła się na łamach „Przeglądu Sportowego”. Był z tego powodu niezwykle dumny i zawsze powtarzał, że już nigdy żadna inna opinia nie sprawiła mu tyle przyjemności. Motyw sportu pojawiał się zresztą w jego twórczości i nie bez powodu główny bohater *Disneylandu*, Marek Arens, był biegaczem nazywanym „kameleonem bieżni”.

„Bardzo pasjonował się sportem – wspominał Jan Koprowski. – Poszliśmy kiedyś na zawody lekkoatletyczne przy Raławickiej. Była piękna słoneczna pogoda, miało się już pod wieczór. Jak się przekonaliśmy, zebrało się tam kilku pisarzy, którzy, podobnie jak my, również interesowali się sportem. Dygat cieszył się jak dziecko. Przejmował się konkurencjami, zwłaszcza biegowymi, komentował żywo i z przejęciem to, czego byliśmy świadkami”[29].

Z drugiej strony trudno jednak wyobrazić sobie Dygata w roli czynnego sportowca (a szczególnie boksera), panicznie lękał się

bowiem kontuzji i widoku krwi.

„Na widok krwi mój ojciec mdłał – twierdziła Magda Dygat. – W trakcie jakiejś awantury małżeńskiej, w mieszkaniu, w którym były szklane drzwi, jego druga żona trzasnęła pięścią w szybę, przecinając sobie rękę. Trysnęła krew, ojciec zemdłał, a ja stałam pośrodku, nie wiedząc, kogo mam ratować.

Doceniam to, że przyszedł odwiedzić mnie w szpitalu, kiedy miałam wycięte migdałki. Przyniósł mi chińskiego ptaszka z prawdziwych piórek, ale przyszedł w momencie, kiedy mnie wywożono z sali operacyjnej, i potem już go nie widziałam, bo lekarze musieli się nim zająć”[30].

Być może jednak po prostu nie mógł oglądać krwi osób sobie bliskich. Nie mdłał bowiem, siedząc w pobliżu bokserkiego ringu, a upodobanie do tej dyscypliny spowodowało, że zatrudnił Kurowskiego. Student zapowiadał się bowiem na dobrego zawodnika, a Dygat potrzebował kierowcy i ochroniarza. Wysłał wprawdzie chłopaka na kurs maszynopisania, ale „wybitnemu pisarzowi zabrakło na drugą ratę”. W zamian Kurowski sprawdzał się w nietypowych sytuacjach, a gdy asystował Dygatowi podczas audycji u wiceministra kultury, spotkanie miało niecodzienny przebieg. Dostojnik był bowiem także wielbicielem boksu i w swoim gabinecie (!) zaproponował mały sparing:

„– Chodzi mi o to – rzekł wiceminister – żebyśmy tak lekko.

– Tylko lekko. I technicznie. Rękawic nie ma?

– Po co?

– Wobec tego pięści powinniśmy owinąć ręcznikami.

– Po co? – odpowiedział wiceminister. Przecież lekko.

Stanęliśmy naprzeciw siebie z uniesionymi pięściami, czekając na komendę.

– Start! – powiedział Stanisław Dygat.

Uczyniłem ruch taki, jakim rozpoczynam walkę w ringu, czyli zwód lewym prostym i lewy sierpowy, wiceminister jako bokser-amator uchylił się przed zwodem w prawo, wpadł na mój sierpowy i nawet nie wiedziałem, że sprawa skończona. Z prawej

brwi wiceministra Kołka ciurkiem polała się krew. [...] Wybitny pisarz wziął mnie pod rękę i poprowadził do drzwi. Na korytarzu rzekł »dobrze, że ja nie jestem wiceministrem«. Nie pojmowałem, o co naprawdę pisarzowi chodziło, żeby do takiej konfrontacji doprowadzić, nie ulega dla mnie wątpliwości, że Stanisław Dygat przy pomocy mojej pięści chciał jakąś sprawę załatwić. Często mówił o kimś »dałbym mu w pysk«, ale tego nie robił, bo nie umiał, a może chodziło mu o sprawdzenie mnie, czyja nie przestraszę się człowieka na wysokim stanowisku, od którego przecież zależy wydawanie książek»[31].

Sportowe pasje Dygata były powszechnie znane i z czasem zaczęto uznawać go za autorytet w dziedzinie sportu. Po ważnych zawodach dziennikarze często pytali go o opinię, a pisarz nie byłby sobą, gdyby nie kpiał również i z tego tematu.

„Przyrzekłem sobie, że za najbliższym razem, kiedy ktoś zwróci się do mnie o wypowiedź na temat sportowy, wyznam wreszcie tajemnicę, którą od lat ukrywam: ja w ogóle i po prostu nie znam się na sporcie. Ja, poza jednym może tenisem, nie znam się na sporcie fachowo i z tego, co na przykład dzieje się na boiskach piłkarskich, rozumiem najwyżej jedną czwartą»[32].

I chyba w polskiej piłce niewiele się od tego czasu zmieniło, albowiem przeciętny kibic dalej niewiele rozumie z tego, co ogląda. A czasami w ogóle nic...

## ICH CZWORO

Małżeństwo Dygatów nie było udane, ale zapewne przetrwałyby, gdyby nie Kalina Jędrusik. Młoda aktorka (była młodsza od Dygata o 16 lat) grała razem z Władysławą na scenie Teatru Wybrzeże, a Stanisław pełnił tam funkcję kierownika literackiego. Do ich pierwszego spotkania doszło jednak przypadkowo na ulicy, a potem mieli okazję poznać się bliżej podczas imprezy sylwestrowej. I stało się to, co musiało się stać.

Dygat sprawiał wrażenie zakochanego, przychodził na jej przedstawienia z kwiatami, towarzyszył dziewczynie podczas plażowych spacerów. A Kalina w pełni go akceptowała, zawsze zresztą miała skłonność do mężczyzn starszych od siebie.

Wprawdzie Stanisław nie byłby sobą, gdyby nie narzekał, że „aby się ożenić, trzeba najpierw się rozwieść”, to jednak z rozwodem nie było większych problemów. Gorzej natomiast przedstawiały się sprawy lokalowe i w efekcie cała gromadka (z Magdą i matką Władysławy!!!) zamieszkała w jednym, dwupokojowym mieszkaniu. Epoka PRL prowokowała jednak czasami nieprawdopodobne sytuacje.

Początkowo wśród lokatorów panowała jednak nie najgorsza atmosfera. Wszyscy cierpieli bowiem na chroniczny brak gotówki, co zgodnie uznawano za największy problem.

„Co rano wszyscy w domu wywracali kieszenie w poszukiwaniu drobnych, żeby kupić coś na śniadanie – wspominała Magda Dygat. – Potem każdy wychodził na miasto w poszukiwaniu pieniędzy. Macocha [Kalina Jędrusik – S.K.] i ja wyłączone byłyśmy z obowiązku aprowizacji domu, ja musiałam iść do szkoły, a ona na ogół leżała na kanapie z powodu jakichś dolegliwości”[33].

Sytuacja jak w rodzinie z marginesu społecznego, ale czy mieszkanie pod wspólnym dachem z byłą i aktualną żoną nie nosi cech patologii? A przynajmniej solidnej per wersji? Tym bardziej że jeden pokój zajmowały Magda z babcią, a Dygat z obiema żonami mieszkał w drugim...

„Atmosfera była przyjazna i serdeczna do momentu – kontynuowała Magda – kiedy okazało się, że druga żona ojca przez cały ten czas ukrywała swój stan posiadania. Pech chciał, że stało się to w dniu, w którym matka, w desperacji spowodowanej brakiem innych możliwości, poszła sprzedać butelki. Scena, w której z rąk macochy wyslizguje się torebka i wylatują z niej banknoty różnej wielkości, była dramatyczna, żenująca i filmowa, szczególnie że brały w niej udział dwie aktorki. Ojciec przepraszał

w imieniu swoim i nowej żony, było nawet jakieś wiarygodne tłumaczenie, ale nie udało się przywrócić beztrudnej idylli, i tak dobrze zapowiadające się życie rodzinne szóstki [dokładnie nie wiadomo, kto był szóstym lokatorem – S.K.] osób na czterdziestometrowej powierzchni musiało się skończyć” [34].

Warto przy okazji zauważyć, że sprzedaż butelek w czasach PRL nie oznaczała wcale zachowań właściwych dla ludzi z marginesu społecznego. Była to normalna praktyka, albowiem kaucja za opakowania szklane była dość wysoka. Osobiście pamiętam, że gdy w czasach Edwarda Gierka pojawiła się coca-cola, to butelka napoju (0,25 l) kosztowała 8 złotych, z czego aż 3 złote stanowiło kaucję. A za słynne szklane syfony z wodą sodową (cena 2,10 zł) należało uiścić dodatkową opłatę w wysokości 45 złotych. Nic zatem dziwnego, że puste opakowania szklane zwracali praktycznie wszyscy.

Trudno natomiast zrozumieć ukrywanie przez Kalinę pieniędzy, o których nie wiedział nawet Dygat. Ale z drugiej strony Jędrusik również miała swoje potrzeby. A czy kiedykolwiek młoda i atrakcyjna kobieta (a do tego aktorka z zawodu!) byłaby zadowolona z posiadania wystarczającej liczby strojów czy kosmetyków? Nawet w zgrzebnym i szarym świecie PRL?

Ostatecznie Stanisław z Kaliną wyprowadzili się na sąsiednią ulicę, a potem przenieśli do Warszawy. Trójmiasto było jednak dla nich zbyt małe, Dygatowi dokuczał brak życia towarzyskiego, natomiast Kalina uważała, że praca w Teatrze Wybrzeże nie rokuje perspektyw.

Władysława Nawrocka nie zrobiła w Polsce większej kariery aktorskiej i podobnie jak jej córka w latach 70. wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych. Zmarła za oceanem w 2007 roku.

## KALINA JĘDRUSIK

„[...] łączyła ich więź szczególnie silna – opowiadał o małżeństwie Kaliny i Stanisława Kazimierz Kutz. – Metafizyczna poniekąd. Tworzyli niezwykłą parę. Ich związek odcinał się wyraźnie od ogólnie dostrzegalnych stereotypów małżeńskich, a niektóre jego przejawy były dla wielu szokujące. Najoryginalniej ułożyli swój *consensus* w sferze uczuć. Ponieważ miłość stanowiła dla nich wartość ponad wszelkie inne, mieli do niej stosunek pryncypialny. Kiedy wygasło Stasiowi – był przecież od Kaliny znacznie starszy – i wspólne łóżko przestało być dla nich nieodzownym rekwizytem, dali sobie wolność w miłości i ustalili, że wspólny dom jest najlepszym dla niej siedliskiem”[35].

Właściwie można zaryzykować stwierdzenie, że Kalina nigdy chyba specjalnie nie pociągała fizycznie męża. Pisarz uwielbiał piękne kobiety, ale raczej nie był zainteresowany erotyką i chyba faktycznie nie lubił współżycia seksualnego. W Kalinie natomiast pociągało go zupełnie coś innego, dostrzegł w niej materiał na gwiazdę. I to taką gwiazdę, o jakiej sam marzył.

„[Była] arcydziełem Stasia i niewątpliwie najlepszą postacią, jaką napisał – kontynuował Kutz. – Tyle że żywą. Była jego zrealizowanym snem o Hollywoodzie, snem o zniewalającym, amerykańskim fenomenie banału. Była tym samym idealnym przykładem nieograniczonego wpływu mężczyzny na ciało i duszę kobiety. Mitem Hollywoodu fascynował się Stasio od wczesnej młodości. Już pod koniec lat dwudziestych słał miłosne listy do gwiazd amerykańskiego kina. Kalina była niewątpliwie ucieleśnieniem tamtych fascynacji”[36].

Z upływem czasu natomiast coraz gorzej układały się stosunki pomiędzy Kaliną i jej pasierbicą. Po latach, pisząc swoje wspomnienia, Magda nie szczędziła macosze gorzkich słów, a jej relacja rzuca zupełnie inne światło na osobę drugiej pani Dygat.

„Ojciec zabierał mnie też na wakacje razem z macochą. Nie są



to moje najprzyjemniejsze wspomnienia. Kpiła ze mnie nieustannie, poświęciła kiedyś cały dzień na przekonywanie mnie, że jestem niedorozwinięta, bo nie znam przekleństw, a potem wyparła się przed ojcem, twierdząc, że jestem nienormalna, bo zmyślałam takie rzeczy.

– Magda! Na litość Boską, skąd ty znasz takie słowa! – wykrzyknął ojciec, gdy zapytałam, co to znaczy.

Nie miała instynktów opiekuńczych i nie można było zwrócić się do niej o żadną poradę, odwrotnie, starałam się ukrywać wszystkie moje problemy, słabości i niedomagania. Ponieważ wiedziała, że boję się duchów, opowiadała wieczorami o zamordowanych przez ubeków młodych akowcach, pochowanych w piwnicy domu, w którym mieszkaliśmy. Jakby chciała zemścić się na ojcu za to, że zabierał mnie z nimi na wakacje. Bałam się okropnie i nie mogłam zasnąć, mimo że w tym domu nie było piwnic, więc może miała rację, mówiąc, że jestem niedorozwinięta”[37].

Podobno Kalina miała zwyczaj patrzeć na pasierbicę „wzrokiem, który mówił, że nie bierze jeńców” i często skarżyła się mężowi na jej wyimaginowane przewinienia. A chociaż Dygat zdawał sobie sprawę z tej wzajemnej niechęci obu pań, to jednak był w sytuacji nie do pozazdroszczenia. I chyba sam nie potrafił znaleźć właściwego rozwiązania.

„Jakiś czas potem – kontynuowała Magda – byłam świadkiem awantury między nimi, w wyniku której ona wyszła, trzaskając drzwiami. Kiedy zostaliśmy sami z ojcem, chcąc rozładować sytuację, stanęłam w jej obronie. Było to coś w rodzaju: »Zrozum ją, ona ma różne problemy«. Powiedział, że jestem naiwna, jeśli myślę, że podlizywanie się zmieni jej stosunek do mnie: »Ona cię nienawidzi, zawsze cię nienawidziła i robiła wszystko, żeby mnie do ciebie zrazić«. W chwilę potem trzasnął drzwiami swojego pokoju i nie odzywał się do mnie przez następnych parę tygodni”[38].

Nienawiść Kaliny do Magdy przybierała najrozmaitsze formy,

macocha zresztą szybko odkryła słaby punkt dziewczyny. I dlatego ze szczególną złośliwością mówiła o jej matce, dobrze bowiem wiedziała, jak dotknąć Magdę.

„Któregoś dnia zapędziła się tak daleko – narzekała pasierbica – że przy mnie usiłowała opisać życie seksualne moich rodziców. Pamiętam, że sama zdziwiłam się krzykiem, jaki wydałam z siebie, chcąc prawdopodobnie zagłuszyć jej słowa. Urażało to wszystkimu, co dotyczyło przeszłości ojca z moją matką i ze mną”[39].

Czy w rzeczywistości tak się działo? Wprawdzie relacja Magdy Dygat zdecydowanie odbiega od innych opinii na temat Kaliny Jędrusik, ale powszechnie było wiadomo, że aktorka pozwalała sobie na wyrafinowane złośliwości. Dziewczyna była przecież córką jej ukochanego Stasia, podczas gdy ona sama nie mogła urodzić mężowi dziecka. Wprawdzie niebawem po ślubie zaszła w ciążę, poród był jednak bardzo ciężki i dziecko zmarło. Ucierpiała również Kalina, przeszła ciężką operację, po której na zawsze pozostała bezpłodna. I do końca życia to przeżywała, wielokrotnie mówiąc, że czuje się jak pularda (wysterylizowana kura). Czy przypadkiem właśnie to nie było głównym powodem jej niechęci do Magdy? Inne bowiem relacje zgodnie podkreślają dobry charakter Kaliny.

„[...] była w moim pojęciu uosobieniem niewinności – wspominał Kalinę Daniel Olbrychski. – Cokolwiek robiła złego – a uwielbiała obgadywać ludzi, zawiązywać jakieś pogmatwane intrygi – nigdy naprawdę nie wyrządziła nikomu najmniejszej nawet krzywdy.

Poza tym klęła prawie tak dobrze jak Kazimierz Kutz, ale nie robiła tego wulgarnie jak on. Klęła nawet przy księżach”[40].

Interesującą opinię przekazał natomiast wspomniany specjalista od wulgaryzmów, Kazimierz Kutz. Mieszkając bowiem przez dłuższy czas w warszawskim mieszkaniu Dygatów przy ulicy Joliot-Curie, miał okazję codziennie obserwować Kalinę i zauważył u niej pewne cechy charakteru, na które inni nie zwr-

cali uwagi:

„[...] miała fantastyczny dar prowokowania zdarzeń, oko sokoła i niebывałe poczucie humoru na własnym punkcie. I bezlitosna była wobec kobiet. Jej opowieści o koleżankach z solarium na Legii lub teatrów mogły najmocniejszego ściąć z nóg. Jej bezwzględność obserwacyjna i dosadność formy, której używała, nie niszczyły portretowanej, tylko stawiały w nowym świetle, które utrzymywało się na zawsze. Dlatego była niebezpieczna; niszczyła złudzenie o ludziach i romantyczną otoczkę płci pięknej”[41].

## EROTYCZNA EMERYTURA

Przez większość życia Dygat narzekał na stan swojego zdrowia, ale na początku lat 60. faktycznie zaczął mieć poważne problemy z sercem. Zawsze nosił przy sobie nitroglicerynę, nie mógł też zasnąć bez środków nasennych.

„Miał swoją zmołę, czyli otaczającą go rzeczywistość – twierdził Kutz. – W boju o codzienne zerwanie z nią kładł się nie później niż o 23, nawet gdy w jego domu – na przez niego samego zorganizowanym przyjęciu – głośniejsze było niż na dyskotekę”[42].

Przyjaciele uważali go jednak za hipochondryka, wobec czego odgrażał się, że na swoim nagrobku poleci wyryć napis: „A nie mówiłem, że źle się czuję?”.

Kłopoty z sercem umożliwiły jednak rozwiązanie innego z jego problemów życiowych. Gdy lekarze zasugerowali, aby ograniczył aktywność seksualną, pan Stanisław chętnie przystał na ich propozycję. Oczywiście zrobił to w sposób sobie właściwy – ogłosił wśród znajomych, że przechodzi na „erotyczną emeryturę”, i urządził huczną imprezę.

„[...] wydał w swoich salonach uroczysty bankiet z okazji rozstania się z życiem erotycznym – wspominał Tadeusz Konwicki. – Przybyło dużo gości, a wśród nich wiele młodych,

ładnych dziewcząt. Solenizant albo denat – nie wiem, jak go nazwać – był bardzo czarujący. Z ironiczną nostalgią rozlewał alkohol, przynosił wyszukane dania. Wszyscy okazywali mu delikatną troskę i czułość. Spełniano wiele wzruszających toastów.

Nie minął wszakże tydzień, gdy doniesiono mi, że Dygat znowu randkuje z pewną panią. Głęboko poruszony tym faktem, natychmiast zadzwoniłem.

– Stasiu, jak ci nie wstyd? Po takim uroczystym pożegnaniu.

– A bokserzy też żegnają się z ringiem, a później cichcem wracają”[43].

Wydaje się, że pan Stanisław nie mógł jednak żyć bez flirtów, ale był typem uwodziciela, który nie musiał finalizować romansu. Znakomicie wprawdzie zaczynał, w ogóle jednak nie był zainteresowany dalszym ciągiem. I tak było przez wiele lat.

„Spotykam mego mistrza na ulicy – kontynuował Konwicki – kiedy z angielska wytworny, wypomadowany i wyjardlejony zdąża gdzieś z tajemniczym bukiecikiem. Jest koniec marca 1968 roku.

– Dokąd to, Stasiu? – pytam pełen najgorszych przeczuć.

– A umówiłem się z Dorotą – rzecze mistrz bagatelnie.

– Stasiu, ile lat ma jej ojciec?

– A bo ja wiem. Może czterdzieści pięć, może czterdzieści sześć – w głosie mistrza słyszę wyraźną niechęć.

– Stasiu, przecież dałeś słowo, że nie będziesz podrywać dziewcząt, których ojcowie są młodszy od ciebie.

Dygat robi się czerwony ze złości.

– Teraz już nieaktualne! – krzyczy na całą ulicę. – Po przemówieniu Gomułki wszystko nieważne! Moja przysięga też nieważna!”[44].

## KOCHANKOWIE KALINY

Stanisław, odchodząc na „erotyczną emeryturę”, pozostawił

Kalinie wolną rękę. W jej życiu zaczęli pojawiać się inni mężczyźni, którzy za pełną aprobatą męża odwiedzali ją w ich wspólnym mieszkaniu. Dygat, udając się na spoczynek, życzył żonie i jej aktualnemu partnerowi dobrej nocy, po czym zamykał się na klucz w swoim pokoju.

Wprawdzie Kalina twierdziła, że w jej życiu było zaledwie kilku mężczyzn z przewagą „biednych studentów”, to jednak nie jest to prawdą. Podobno zaczęła od romansu z Tadeuszem Plucińskim, a następnie sypiała z Władysławem Kowalskim, operatorem Wiesławem Rutowiczem i piosenkarzem Wojciechem Gąssowskim. A gdy ten ostatni remontował własne mieszkanie, Dygat zaproponował mu przeprowadzkę do siebie. Razem z Gąssowskim pojawiła się jego ówczesna żona, Małgorzata Potocka, i niebawem „stanowili zgodny, przynajmniej przez jakiś czas, trójkąt”.

Kalina nie gardziła również sportowcami i jedną z jej największych fascynacji był tyczkarz, Włodzimierz Sokołowski.

„Witek był największą miłością, najbardziej absorbującą nas wszystkich i najtragiczniejszą – twierdziła Magda Dygat. – Ta miłość uspiła jej poczucie i tak już niezbyt zdrowego rozsądku. Po raz pierwszy, i do tego przy mnie, powiedziała ojcu, że chce się z nim rozejść i że go nienawidzi. Kupiła sobie nawet mieszkanie, gdzie przesiadywała samotnie, czekając na Witka, który uciekł po tej deklaracji dość szybko, a ona sama musiała skupić się i wrócić już na zawsze do jedyne go człowieka, który traktował ją z szacunkiem. Mojego ojca”[45].

Magda nigdy nie potrafiła zrozumieć, że dwoje ludzi może wzajemnie się kochać również bez seksu. W jej oczach macocha była uosobieniem całego zła tego świata, istotą brutalną, próżną i absolutnie niemoralną.

„Druga żona mojego ojca wprowadziła w nasze życie wulgarność, brak zasad i absolutną egoistyczną wolność, z jaką wcześniej nie miałam do czynienia. Była niszczącą, demoralizującą siłą, która zbrutalizowała i tak już wymęczone niedorosłymi

rodzicami moje krótkie życie. Opowiadała przy mnie o swoim życiu erotycznym, często ze szczegółami, klęła, ośmieszała ojca, drwiła z niego. Czasami robiła to przy znajomych. Jej problemy sercowe były najczęstszym tematem w ich wspólnym domu. Kiedy się zakochiwała, rozpieszczała swoich kochanków do tego stopnia, że w końcu od niej uciekali”[46].

Kalina faktycznie miała zwyczaj rozpieszczać swoich partnerów. W domowej lodówce zawsze przechowywała dla nich smakołyki, a na nich kartki z napisami: „Nie ruszajcie tego, to jest dla Kitusia, Wicia czy Pieseczka”. I była wręcz chorobliwie nadopiekuńcza.

Na co dzień jednak faktycznie zadowalała się „biednymi studentami”. Ale miała duże potrzeby erotyczne, co wraz z jej skłonnością do sprawowania kurateli nad partnerami bywało najczęściej przyczyną końca romansu.

„Konsumowała – jeśli tak można powiedzieć – dwóch młodzieńców w skali rocznej – potwierdzał Kutz – li tylko dlatego, że nie wytrzymywali jej totalnych reżimów. Nie wypuszczała ich z rąk: otaczała całodobową opieką, gotowała dla nich i kąpała nawet. Przedobrzała w swej zachłanności i dobroci. I kiedy się w końcu od niej wyzwali – niejako z »przejedzenia« zachłanną miłością Kaliny – odchodzili z wielką estymą do Dygata, którym na początku gardzili. A niektórzy z dozgonną miłością”[47].

Pomimo że kochała przede wszystkim męża, to jednak przeżywała rozpad kolejnych związków. Wpadała wówczas w głęboką depresję, zdarzały się nawet „komplikacje endotermiczne”. Ale wtedy do akcji wkraczał Stanisław i stawał się „aniołem stróżem, najlepszym pielęgniarzem i przyjacielem”. Realizował wszystkie jej kaprysy, zapożyczając się z reguły u swojego szwagra, Witolda Lutosławskiego. Kompozytor zresztą „potem dług odpuszczał”, a kiedy Kalina dochodziła wreszcie do siebie, „wszystko zaczynało się od nowa”.

## DOM OTWARTY

Dygat mógł być znakomitym przyjacielem i opiekunem, ale nie zamierzał zmieniać swoich upodobań. Dalej wykazywał się nieprawdopodobnym wręcz lenistwem, pisał niewiele i z dużą niechęcią. Przez 32 lata (od chwili premiery *Jeziora Bodeńskiego*) oficjalnie opublikował tylko pięć powieści, a do tego doszła jeszcze podobna liczba zbiorów opowiadań i felietonów. I chociaż na początku kariery literackiej próbował sił jako dramaturg, to jednak później zupełnie porzucił ten gatunek. Pytany, czy zamierza coś jeszcze napisać dla sceny, gorliwie zaprzeczał i tłumaczył, że „życie jest dostatecznie trudne, by je sobie dodatkowo komplikować”. I oznajmiał, że „teatr go śmiertelnie nudzi”.

Zdecydowanie więcej natomiast zainteresowania okazywał dla filmu, zawsze był zresztą wielbicielem X muzy. Na podstawie jego scenariuszy nakręcono cztery obrazy (w tym dwie adaptacje jego prozy), a do dziewięciu kolejnych napisał dialogi. Nie przeszkadzało mu to oczywiście dojść „do wniosku, że nie bardzo się nadaje do pracy w filmie” i w ogóle „jego praca z kinematografią w sensie scenopisarstwa jest stratą czasu”.

Trudno jednak stwierdzić, ile w tych opiniach było faktycznego przekonania, a ile pozy znudzonego intelektualisty. Nie zmienia to jednak faktu, że pan Stanisław raczej nie lubił się przepracowywać. Miało to oczywiście wpływ na jakość życia domowego, tym bardziej że małżonkowie zachowywali się tak, „jakby nie znali systemu monetarnego”. Wprawdzie Kalina „chałturzyła ostro”, jeżdżąc z występami „od Pucka po Żywiec”, ale to wszystko nie wystarczało. Na domiar złego chałtury nie zawsze należały do przyjemności, a prowincjonalna publiczność czasami potrafiła mocno ją zirytować.

„[...] za każdą aktorką lecą ludzie – tłumaczyła matce – szczury od małych dzieci po stare, spocone matki. Bo Polska jest krajem chamów, hołoty i źle wychowanych ludzi. Polacy to

normalna, chamska dzicz...”[48].

I dodawała, że właściwie nie powinna być zdziwiona takim zachowaniem, albowiem „inteligencja została wybita w powstaniach, w więzieniach i za stalinowskich czasów”, a pozostało „trochę hołoty, która się dorobiła”. I przyznawała, że robi to tylko ze względów finansowych, albowiem „kocha pieniądze”, chociaż „tak trudno je zarobić”.

Czasami nawet jednak Dygat potrafił się zmobilizować, a wtedy pisał szybko i sprawnie, regularnie dostarczając materiał.

„Na początku lat 50. – wyjaśniał Tomasz Zbigniew Zapert – pisał dla chleba obyczajową powieść zamieszczaną w odcinkach na łamach wrocławskiej »Gazety Robotniczej«. Dziesięć lat później – pod pseudonimem Anna Tarczyńska – publikował w »Przekroju« powieść *Ze zwierzeń młodej aktorki*. Była to sensacja towarzyska, bo utwór przedstawiał warszawskie środowisko artystyczne. W postaciach można się było doszukać podobieństwa m.in. do Leopolda Tyrmanda czy Krzysztofa Komedy. Trudniej było rozszyfrować panie, choć z fabuły wynikało, że bohaterkami są studentki i absolwentki stołecznej PWST, robiące karierę przez łóżko. Także jego. W tej kwestii korzystał ponoć z pomocy żony”[49].

W latach 60. warszawskie mieszkanie Dygatów przy ulicy Joliot-Curie stało się jednym z najpopularniejszych miejsc spotkań towarzyskich. Ściągała tam (codziennie!) niemal cała śmietanka artystyczna miasta, a Stanisław i Kalina prowadzili z gośćmi subtelną grę.

„[...] udawali – że nie chcą nikogo widzieć – opowiadała Agnieszka Osiecka. – Staś o szóstej wieczorem kładł się do łóżka z migreną, a Kalina objęła się w dezabilu po kuchni, udając, że nie ma nic do jedzenia oprócz wyschniętego makaronu. Przyjaciele, ze swojej strony, kłamali beczelnie, że wcale się wieczorem do Dygatów nie wybierają. Niestety (stety) wszyscy wieczorem spotykali się na Mokotowie, wysiadawali Stasiowi w nogach, plotkowali i godzinami oglądali telewizję. Staś oglądał wszystko –



od piłki nożnej do dobranocki, i w rytmicznych odstępach czasu jęczał: »To potworne«. W ślad za nim pojękiwali goście»[50].

Kalina lubiła jednak czasami gotować, szczególnie spaghetti, a Dygat „był żarłokiem, więc to pałaszował”. I chociaż „pochodził z eleganckiego domu” i nikt nie mógł mu zarzucić niezajomości zasad *savoir-vivre*, to na Joliot-Curie „niektóre potrawy jedzono palcami”, a często „jeden brał z talerza drugiego”.

Pani domu nie uznawała za stosowne, aby na czas pobytu gości zmieniać swoje erotyczne obyczaje. Często leżała w łóżku z aktualnym partnerem, nie przejmując się zupełnie otoczeniem.

„Pamiętam wizyty na Joliot-Curie – wspominał Daniel Olbrychski. – Przeważnie z okazji meczów piłkarskich albo festiwalu w Opolu. Bywali tam Holoubek, Konwicki, przysłuchiwałem się ich rozmowom, to były dla mnie jakby wyższe studia. Przewijała się w tym wszystkim Kalina, wchodziła w jakimś szlafroczku, popatrzyła trochę, gryząc jabłko. Potem wracała do drugiego pokoju spać z aktualnym narzeczonym. Ja, wychowany w purytańskich warunkach przez babcię i mamę, byłem zaszokowany”[51].

Starzy bywalcy nie zwracali jednak większej uwagi na partnerów Kaliny. Dla nich był to widok, do którego zdążyli się już przyzwyczaić. Poza tym uznawano to za prywatną sprawę Dygatów.

„Drzwi były otwarte, wystarczyło nacisnąć klamkę – relacjonowała Zuzanna Łapicka-Olbrychska.

– Tłum kłębił się już w przedpokoju. Kalina leżała w łóżku, była goła, co było widać, gdy nogami podnosiła kołdrę. Obok niej często leżał jakiś młodzieniec. Goście siadali na tym łóżku”[52].

Na Joliot-Curie bywali pisarze, aktorzy, sportowcy. Trudno znaleźć wspomnienia z kręgów elity artystycznej tego okresu, w których nie pojawiałoby się mieszkanie Dygatów. To była prawdziwa instytucja.

„To był dom taki magnetyczny – wspominał Kazimierz Kutz – dla młodych aktorek, ale nie tylko. I pisarzy, poetów. Tam się

spotykali bardzo wybitni ludzie, którzy wtedy robili rzeczy ciekawsze czy najważniejsze, ale również bardzo wybitni sportowcy. Jak pamiętam, dwie reprezentacje olimpijskie tam się przewinęły: bokserów i lekkoatletów”[53].

A Dygat nie zmieniał się pomimo upływu lat. Dalej odgrywał rolę człowieka znudzonego otaczającą go rzeczywistością i czasami z niechęcią wypowiadał się nawet o swoim ukochanym sporcie. Tak jakby do jego przyjemności życiowych należało już tylko psucie humoru rozmówcom.

„[...] lubił się popisywać pesymizmem – wspominał Stefan Kisielewski. – Pamiętam, jak coś zaczynam mówić o sporcie, a on mówi: »Słuchaj, ty sobie nie zdajesz sprawy, to nie jest żaden sport, to wszystko jest płatne, to wszystko jest z góry umówione, to są kombinacje, nie ma żadnego sportu, nic...«. I dopiero jego siostra, żona Lutosałwskiego, powiedziała mi: »Nie słuchaj, co Staś mówi, bo on się popisuje takimi rzeczami«”[54].

Kisielewski zawsze pozytywnie wypowiadał się o Dygacie, podobna relacja nie zachodziła jednak w drugą stronę. Pan Stanisław miał Kisielowi za złe „wysługiwanie” się reżimowi, uważał go zresztą za „umysł bardzo przeciętny i nieoryginalny”. A do tego za „cymbała, grafomana bez odrobiny talentu”, który „w muzyce jest jeszcze gorszy”. Najwyraźniej wpływ czasu w niczym nie przytępił złości Dygata...

Pisarz zresztą dalej bywał coraz bardziej kapryśny i łatwo obrażał się na przyjaciół. Nie lubił przeproszać za swoje zachowanie, czasami jednak potrafił się zdobyć na słowa krytyki pod swoim adresem. I chyba miał jednak dużo dystansu do własnej osoby.

„Od czasu do czasu zrywał Staś stosunki z przyjaciółmi – wspominała Ewa Otwinowska – a bywało i tak, że przyjaciele ze względów pedagogicznych przestawali mu się okresowo kłaniać. Oceniał to jako zjawisko w gruncie rzeczy pozytywne, albowiem w dramaturgii, zwłaszcza stosowanej, bardzo gustował. W takich właśnie zwaśnionych okolicznościach spotkał się pewnego dnia na

opustoszałym przystanku tramwajowym z bliską mu parą małżeńską i zrobiło się jednak niezręcznie, żenująco. Co i raz kątem oka spoglądał na uszkodzonych bliźnich, przestępował z nogi na nogę, wreszcie przemógł się, podszedł i powiedział krótko:

– Przebrałem miarkę.

A że w gruncie rzeczy grasejował, zabrzmiało to tak pokornie i wzruszająco, tak przezabawnie, że już pozostało na zawsze w legendzie i pamięci tego grona, dla którego Staś był, jest, będzie postacią godną wielkiej księgi biograficznej”[55]. Miał jednak duży żal do Tadeusza Konwickiego, że ironicznie odmalował go w swoim *Kalendarzu i klepsydrze*. Pokłócił się również z Kazimierzem Kutzem o scenariusz do *Trędowatej*, z niewiadomych bowiem powodów pan Stanisław uwielbiał powieść *Mniszkówny*.

Film miał reżyserować Jerzy Hoffman i Kutz zaproponował Stanisława jako scenarzystę.

„Wiedziałem, że Stasiu bardzo lubi tę literaturę – wspominał Kutz. – Tak bardzo go to fascynowało i napisał scenariusz i dialogi. Hoffman w ogóle wyrzucił całą pracę Dygata do kosza i wtedy Dygat się na mnie obraził, że go wplątałem w taką historię”[56].

Pan Stanisław napisał oświadczenie, że „wycofuje z czołówki swoje nazwisko i nie chce uczestniczyć w tantiemach”. I tak się stało...

## GWAŁCICIEL IREDYŃSKI I HOMOSEKSUALIŚCI

W archiwach Instytutu Pamięci Narodowej zachowały się interesujące dokumenty dotyczące rzekomej próby gwałtu na Kalinie Jędrusik. Do wydarzenia miało dojść w drugiej połowie lipca 1961 roku, a sprawcami mieli być Ireneusz Iredyński i jego dwaj przyjaciele homoseksualiści.

Jędrusik faktycznie znała młodego literata (Iredyński miał 22 lata), pisał dla niej teksty piosenek. I pewnego dnia umówili się,

aby omówić szczegóły dalszej współpracy.

„Spotkanie miało nastąpić w jednym z barów w pobliżu CDT – czytamy w notatce służbowej Milicji Obywatelskiej ze stycznia 1962 roku. – Około godziny 23.00 spotkali się w umówionym miejscu, ponieważ bar był zamknięty, Iredyński zaproponował jej pójście do mieszkania kolegi, które znajdowało się w tym samym budynku. Jędrusik wyraziła zgodę, po czym się tam udali”[57].

Na miejscu czekało już dwóch innych mężczyzn, z których jeden przedstawił się jako właściciel mieszkania. Początkowo panowała sympatyczna atmosfera, pojawiła się nawet jakaś dziewczyna, podając kawę i ciasteczka. Cała czwórka piła wódkę, chociaż Kalina czuła „dziwną ociężałość i bezwład”. Podejrzała, że w alkoholu podano jej środki odurzające, ale nie odmawiała (!!!) następnych kolejek.

„W pewnym momencie zaproponowali jej zabawę w »butelkę«. Gdy nie wyraziła na to zgody, jeden z mężczyzn podszedł do niej z tyłu i rozerwał na niej sukienkę. W tym czasie pozostali rozebrali się do naga, namawiając do stworzenia »baletu«”[58].

Ale nie tylko Jędrusik interesowała erotycznie dwóch nieznanych jej uczestników orgii. Albowiem „między sobą ci mężczyźni ściskali się i całowali, będąc w stanie kompletnego zamroczenia alkoholowego”. Inspiratorem całej imprezy miał być Iredyński, on też rzekomo namawiał kompanów do gwałtu. Podobno siłą rozciągali nogi aktorki i przewracali ją na tapczan, ale ostatecznie nie udało się im zgwałcić Kaliny. A o 4 rano aktorka ubrała się i wyszła.

Cała historia wygląda na wyjątkowo nieudolną prowokację Służby Bezpieczeństwa, a w zeznaniach Kaliny brakuje elementarnej logiki. Trzech młodych mężczyzn przez kilka godzin miało szarpać się z odurzoną kobietą, aby ostatecznie jej nie zgwałcić? Warto również zwrócić uwagę na daty, Jędrusik opowiedziała o całej sprawie dopiero po upływie sześciu miesięcy, nie podając zresztą żadnego konkretnego adresu. Nie wymieniła

również imion kompanów Ireedyńskiego, a przecież trudno sobie wyobrazić, aby pili wspólnie wódkę i ci „dwaj zboczeńcy” się jej nie przedstawili. A co najważniejsze, z dokumentów wynika, że to nie Kalina zgłosiła się na milicję, tylko została tam wezwana.

Służba Bezpieczeństwa od pewnego czasu przygotowywała prowokację przeciwko Ireedyńskiemu i zapewne zeznania Kaliny były elementem działań operacyjnych. Funkcjonariusze SB mieli bowiem wiele możliwości nacisku na aktorkę, od zatrzymania paszportu dla niej i męża po zakaz emisji programów z jej udziałem w radiu i telewizji. A Kalina nie była najlepiej notowana w kręgach władz partyjnych, nie bez powodu opowiadano, że Gomułka rzucał kapciem w telewizor, gdy tylko pojawiała się na ekranie. Władze mogły również zakazać wznawiania książek Dygata, co oznaczałoby finansową katastrofę dla rodziny. Wydaje się zatem, że Kalinę zmuszono do złożenia fałszywych zeznań, ale zrobiła to w taki sposób, aby uniemożliwić podjęcie śledztwa.

Trzy lata później SB była już jednak lepiej przygotowana. Tym razem Ireedyńskiemu podstawiono agentkę, a w pobliżu czekał patrol milicji. Niepokorny pisarz został skazany na trzy lata więzienia...

### AKCJA „STAN”

Wprawdzie Dygat nie był pisarzem jawnie opozycyjnym, a jego książki nie znajdowały się na indeksie, to jednak władze uważały go za niebezpiecznego. Stanisław podpisał bowiem w 1964 roku *List 34* (przeciwko cenzurze i ograniczeniu dostaw papieru), a osiem lat później poparł protest wobec zmian w konstytucji (*List 101*).

„Miał kłopoty z tego powodu – wspominał reżyser, Janusz Morgenstern. – Nawet było pewne zaskoczenie, że on podpisał ten swój aneks, bo w stosunku do innych kolegów uchodził za człowieka trochę uprzywilejowanego. To z jego strony był moim

zdaniem jakiś akt odwagi”[59].

Służba Bezpieczeństwa interesowała się zresztą pisarzem od lat. Prowadzono działania w sprawie operacyjnego rozpoznania o kryptonimie „Stan”, w mieszkaniu Dygatów założono podsłuch telefoniczny, pojawiły się również „pluskwy” w ścianach. A po *Liście 101* czekano już tylko na sprzyjający moment do rozprawy z niepokornym pisarzem.

Okazja niebawem się nadarzyła. W 1977 roku nakręcono film *Palace Hotel* na podstawie jego *Dworca w Monachium*. Dygat był autorem scenariusza, co władze bez skrupułów wykorzystały.

O wprowadzeniu filmu do dystrybucji decydowała bowiem kolaudacja – komisyjny odbiór obrazu przez specjalnie dobrane grono decydentów. Uznawano to za sprawdzian dla filmu i jego twórców, kolaudacja miała bowiem wyjaśnić, czy obraz spełnia wymogi ideologiczne.

„Film się zatwierdzało na komisji scenariuszowej – tłumaczył reżyser Bohdan Poręba – której przewodniczył ówczesny szef kinematografii w randze wiceministra. Natomiast komisja składała się ze wszystkich szefów zespołów, czyli kolegów. Starszych, bardziej doświadczonych. [...] Do tego byli pisarze, dziennikarze, krytycy i także jakiś tam delegat KC. Oni dbali o to, aby nie było [...] zdecydowanie antypaństwowych akcentów”[60].

Reżimowy reżyser nie mówił jednak prawdy. W rzeczywistości bowiem odbywał się rodzaj sądu kapturowego, podczas którego badano film pod względem poprawności politycznej. Na niektórych kolaudacjach bywało „dwunastu dyrektorów czy urzędników” a tylko „czterech czy pięciu twórców”.

Kolaudacja *Palace Hotel* przebiegała w nerwowej atmosferze. Było to po *Liście 101*, w chwili próby sił pomiędzy władzą a twórcami.

„W roku 1977 zaczęła się szersza afery w całej naszej kinematografii – tłumaczył ówczesny wiceminister kultury, Mieczysław Wojtczak. – Najpierw była *Blizna* Kieślowskiego,

potem były *Barwy ochronne* Zanussiego, *Człowiek z marmuru*. *Wodzirej* [był] również już gotowy, w produkcji jest film Żuławskiego *Na srebrnym globie*. I kiedy przyszedł na moje miejsce pan Wilhelmi, to zaczął od zablokowania tych gotowych filmów”[61].

Janusz Wilhelmi był człowiekiem aparatu partyjnego. Niezwykle zdolny, bez zasad moralnych i cyniczny. Nie bez powodu nazywano go „inteligentnym szatanem”, był to bowiem właściwy człowiek na właściwym (dla partii) miejscu.

*Palace Hotel* był debiutem reżyserskim Ewy Kruk, ale jej osoba nie miała znaczenia. Na kolaudacji przeprowadzono bowiem zmasowany atak na Dygata.

„Sam skład tej kolaudacji [...] jest bardzo znamieny – wyjaśniała Joanna Siedlecka. – Straszne PRL-owskie nazwiska ludzi, którzy byli związani z partią i którzy realizowali wiernie jej politykę, a przede wszystkim był Janusz Wilhelmi. Jak wynika z materiałów SB, był tam [również] właśnie przez nią wydelegowany Andrzej Kuśniewicz, niezły skądinąd pisarz, dyżurny Europejczyk. I to on sporządził bardzo negatywny dla filmu donos. I ta kolaudacja, można powiedzieć, że to była egzekucja”[62].

Bohdan Poręba do dzisiaj ma jednak inne zdanie na ten temat. Jak przystało na nadwornego reżysera PRL, uważał, że *Palace Hotel* był „filmem nieudany”, przedstawiającym nieprawdziwy obraz okupacji. Według niego zafałszowano tam wizerunek ruchu oporu, albowiem szef podziemnej organizacji był „pijakiem” i „skrzywionym człowiekiem”, co dla komisji było „nie do przyjęcia”. A do tego pojawiał się jeszcze „upiększony obraz Niemców” i „bardzo poniżony obraz” Polaków. Dla Dygata był to wielki cios.

„Źle znosił zmiany pogody i wszelkie chamstwo – uważał Kazimierz Kutz. – Zmasowane chamstwo właśnie – naszych kaprawych nacjonalistów z PZPR – na kolaudacji [...] dobiło go. Zapędzili go w narożnik i znokautowali. Prym w tym plutonie eg-

zekucyjnym wodził Bohdan Poręba. Ale i przyjaciele zwodzili go nie raz, w chwilach dla niego trudnych. To bolało najbardziej”[63].

Dyगतowi zarzucono kosmopolityzm, brak patriotyzmu, a nawet posiadanie przed laty francuskiego obywatelstwa. Wszelkie rekordy pobili Wilhelmi i Poręba, twórcom filmu zagrożono nawet sprawą sądową za „ubliżanie narodowi polskiemu”.

Pisarz stracił panowanie nad sobą. Wykrzykiwał, że „Wilhelmi i Poręba nie będą uczyć go patriotyzmu”, nie mógł jednocześnie zrozumieć, dlaczego jego przyjaciele milczą. Nie padł bowiem żaden głos w jego obronie.

Cała afera z kolaudacją fatalnie odbiła się na zdrowiu Dygata. Z każdym dniem czuł się coraz gorzej i miesiąc później zmarł na atak serca. Umierał samotnie, Kalina była wtedy w trasie, a zawiadomiona telefonicznie siostra nie zastała go już przy życiu.

W pięć dni po śmierci pisarza SB zamknęła sprawę „Stan” z powodu „zaniechania wrogiej działalności”...

## ŻYCIE BEZ STASIA

Kalina bardzo przeżyła śmierć męża. Zbliżyła się do Kościoła, przyjęła chrzest (jej ojciec, zajadły antyklerykał, nie ochrzcił jej w dzieciństwie) i potrafiła godzinami leżeć krzyżem przed ołtarzem. Przez pewien czas nie unikała jednak kontaktów towarzyskich w dawnym stylu, tłumnie odwiedzano ją przy Kochowskiego na Żoliborzu, gdzie spędzili z Dyгатem ostatnie lata jego życia.

„Tam nawet już po śmierci Stasia – opowiadała Zuzanna Łapicka-Olbrychska – też pojawiał się zestaw ludzi, którzy by się nigdy nie spotkali, gdyby nie Kalina. Ona nimi zarządzała, wносиła dania, robiła atmosferę, a ludzie gadali ze sobą. Byli tacy trochę przetręceni, Kalina dawała im kopa energetycznego. Była jak włoska *la mamma*”[64].

W rocznicę śmierci męża zamawiała mszę za spokój jego



duszy, po czym urządziła przyjęcie dla znajomych. Podawała potrawy, które lubił, pito również jego ulubione trunki. I czasami nadal potrafiła zachowywać się jak dawna Kalina, ta z czasów Dygata.

„Spowiadaliśmy się u księdza Niewęglowskiego – wspominał Daniel Olbrychski. – Ja z Zuzią [Zuzanną Olbrychską-Łapicką – S.K.] byliśmy rodzicami chrzestnymi syna Magdy Umer – Mateusza, a Kalina i Janusz Kondratiuk – chrzestnymi samej Magdy, której rodzice – ideowi komuniści – przedtem nie ochrzcili.

Spowiada się Kalina. W pewnym momencie dochodzi do nas podniesiony głos księdza Niewęglowskiego. Zamarliśmy.

Droga Kalinko – tłumaczy ksiądz – to wszystko nieważne. Najważniejsze, czy ty kiedykolwiek kogoś znienawidziłaś, bo prawdziwym grzechem jest nienawiść.

Po drugiej stronie konfesjonału cisza.

– Uhm – odzywa się w końcu Kalina – ale ja, proszę księdza, kilku ludzi tak, kurwa, nienawidzę, że...

Po spowiedzi podeszła do nas, oczy miała czerwone od płaczu. Rozgrzeszenie oczywiście dostała [...]”.[65].

Jej kariera zaczęła się jednak załamywać, grywała jeszcze epizody w filmach i drugoplanowe role na scenie Teatru Polskiego czy Teatru Telewizji. Zamykała się w sobie, otoczona gromadą ulubionych zwierząt. Miała astmę, uczulenie na sierść groziło jej śmiercią, ale nie zwracała na to uwagi. Zwierzęta stały się bowiem treścią jej życia, mówiła nawet, że jest szczęśliwa, iż „Staś zabrał do siebie ich Żabcię” (ulubionego pekińczyka).

Kalina Jędrusik zmarła na atak astmy 7 sierpnia 1991 roku, pochowano ją u boku Dygata na Starych Powązkach w Warszawie.

## **Rozdział 2**

### **Film, jazz i miłość**



*Wymknęliśmy się z zatłoczonej sali. Poszliśmy na Wawel i tam oparci o mur, wpatrzeni w Wisłę, a potem we wschodzące słońce – przegadaliśmy parę godzin. Szybko zrozumiałam, że to jest coś głębszego, coś na całe życie.*

*I powiem wam więcej: nie pomyliłam się! Mimo różnych burz, przez które przechodziło nasze małżeństwo, zawsze trzymaliśmy się razem, wiedziałam i Krzysio wiedział, że możemy na siebie liczyć w każdej sytuacji.*

*(Zofia Komédowa-Trzcínska)*

## W RODZINIE TRZCIŃSKICH

**B**ył mały, lekko kulejący – wspominała Krzysztofa Komedę jego żona, Zofia – wprawdzie bardzo proporcjonalnie zbudowany, blondynek, lekko ryżawy. Dla mnie on był śliczny, dla mojej mamy nie. Jak moja mama poznała go przed naszym ślubem, to powiedziała do mnie: »Moje drogie dziecko, artystą to on może jest i talent ma, ale prezencji to on nie ma«”[66].

Komeda miał dystans do swojego wyglądu, zdarzało się bowiem, że sam siebie nazywał „ryżym kuternogą”. Faktycznie, utykał lekko po przebytej w dzieciństwie chorobie Heinego-Medina i dlatego dużo pracował nad swoją sprawnością fizyczną. Wiedział też, że bardzo młodo wygląda, w związku z czym po zakończeniu studiów zaczął nosić okulary. Nie miał żadnej wady wzroku, a zwykłe szkła w odpowiedniej oprawie miały mu jedynie dodawać powagi.

Krzysztof Trzciniński urodził się w kwietniu 1931 roku w Poznaniu. Pochodził z dobrze sytuowanej rodziny, a jego ojciec, Mieczysław, był wysokiej rangi urzędnikiem miejscowego oddziału Narodowego Banku Polskiego. Matka, Zenobia, prowadziła dom, a rodzina Trzcinińskich (Krzysztof miał jeszcze młodszą siostrę) zajmowała eleganckie mieszkanie w śródmieściu Poznania. Zarobki ojca gwarantowały im życie na wysokim poziomie, toteż latem regularnie wyjeżdżali nad Bałtyk, a zimą do Zakopanego. Wprawdzie stać ich było na zagraniczne wojaże, jednak w czasach II RP do dobrego tonu należał wypoczynek w polskich kurortach.

Przezwiseo, a następnie pseudonim, pod którym w przyszłości Krzysztof miał zyskać sławę, wzięty się podobno stąd, że podczas dziecięcej zabawy w wojsko napisał on na drzwiach swojego „sztabu” „Komeda” zamiast „Komenda”.

Krzysztof zawsze uchodził za człowieka nieśmiałego, zagubionego i niepewnego własnej wartości. Być może było to spowodowane tym, że państwo Trzcinińscy, mimo że kochali swoje dzieci, nie poświęcali im zbyt wiele czasu. Dziećmi na ogół zajmowała się guwernantka, a one nawet posiłki jadały osobno. Podobnie było podczas rodzinnych urlopów i w efekcie Krzysztof wyrósł na człowieka skrytego, nieokazującego uczuć.

Matka nie ograniczała się do prowadzenia domu. Była również właścicielką sklepu z luksusowymi importowanymi włóczkami, jednak placówkę tę zarejestrowano na jej brata. Żonie urzędnika państwowego nie wypadało bowiem zajmować się handlem, tym bardziej że mąż doskonale zarabiał. Jego pobory wynosiły ponad 1000 złotych miesięcznie, podczas gdy przeciętna pensja urzędnika średniego szczebla była trzykrotnie niższa.

Okupację niemiecką spędzili w Częstochowie, u rodziny Zenobii. Szczęśliwie przetrwali wojnę, a po jej zakończeniu pan Mieczysław powrócił do pracy w państwowych finansach. Dziwnym trafem (?) przeszłość w sanacyjnej bankowości nie przeszkodziła mu w dalszej karierze. Początkowo skierowano go na

Ziemie Odzyskane, gdzie został szefem wałbrzyskiej filii Narodowego Banku Polskiego, jednak już rok później trafił do Ostrowa Wielkopolskiego. Natomiast w 1952 roku, a zatem w okresie najgorszych stalinowskich represji, powrócił do Poznania, gdzie objął swoje przedwojenne (!) stanowisko. Trzeba przyznać, że niezwykle rzadko się zdarzało, by rządzący w Polsce komuniści uszanowali kompetencje sanacyjnego urzędnika. Przecież nawet twórca Gdyni, Eugeniusz Kwiatkowski, miał w tamtym czasie zakaz pobytu nad Bałtykiem... Czy w przypadku Mieczysława Trzcinińskiego zadecydowały jakieś inne, pozamerytoryczne względy?

Krzysztof i jego młodsza siostra, Irena, nie zaznali w dzieciństwie niedostatku. Rodzice nawet podczas okupacji potrafili dać sobie radę, a ojciec po wojnie nadal znakomicie

zarabiał. Młodzieńcza biografia Komedy nie była zatem podobna do życiorysów wielu innych artystów, dla których sztuka stanowiła jedyną szansę na dostatnie życie.

## JAZZ I MEDYCYNA

Krzysztof bardzo wcześnie zaczął wykazywać uzdolnienia muzyczne. Jeszcze przed wybuchem wojny pobierał lekcje gry na fortepianie i kontynuował je podczas pobytu w Częstochowie. Po przeprowadzce do Wałbrzycha chłopiec zaczął fascynować się jazzem i namiętnie słuchał przez radio zachodnich stacji muzycznych.

„W pamięci koleżanek i kolegów, do których udało mi się dotrzeć – opowiadał badacz historii Wałbrzycha, Marcin Kuleszo – pozostał jako spokojny, małomówny, zamknięty w sobie chłopak żyjący troszkę »z głową w chmurach«. W każdej wolnej chwili stukał w klawisze szkolnego pianina i w związku z tym zwyczajowo akompaniował uczniom przy różnych okazjach, akademiach itp. Nie robił tego jednak z wielkim entuzjazmem, już wtedy miał swój świat i swoją muzykę”[67].

Po przeprowadzce do Ostrowa Wielkopolskiego kontynuował naukę gry na fortepianie, coraz bardziej fascynował się jazzem i brał udział we wszelkiego rodzaju akademiach szkolnych. A przy okazji niezupęlnie dobrowolnie wstąpił do ZMP i miał kłopoty z nauką historii. Te ostatnie okazały się na tyle poważne, że musiał powtarzać klasę i świadectwo maturalne otrzymał z rocznym opóźnieniem.

Wówczas zaczął grać w zespole Karioka, w którego repertuarze pojawiały się dziwne, synkopowane rytmy. Kontakt z zachodnią muzyką wywierał ogromny wpływ na nastolatka niezdarzącego sobie jeszcze sprawy z tego, że jego wariacje na temat znanych motywów mają cechy jazzowych improwizacji. Przekonał się o tym dopiero w Krakowie, gdzie na zaproszenie

basisty Witolda Kujawskiego wziął udział w profesjonalnym jam session.

„W tamtych czasach jazz na pewno uskrzydlał życie – wspominał dziennikarz i bon vivant, Andrzej Roman – był czymś nowym, czymś, co było dla ludzi wrażliwych muzycznie ogromną szansą istnienia w tym zgrzebnym dosyć środowisku, gdzie było mało ludzi zamożnych...”[68].

Wprawdzie rodzina Komecy na brak gotówki nie narzekała, jednak gdy Krzysztof zajął się zawodowo muzyką, miał okazję zetknąć się z prawdziwą biedą. Mimo to gdy już raz podjął taką decyzję, to pozostał jej wierny.

Po maturze musiał zastanowić się nad kierunkiem studiów i ku zadowoleniu rodziców dokonał bardzo rozsądnego wyboru. Postanowił zdawać na Akademię Medyczną w Poznaniu, zawód lekarza zdawał się bowiem gwarantować stabilną przyszłość.

## MELOMANI

Okazał się bardzo dobrym studentem, choć praktycznie przez cały czas był rozdarty pomiędzy medycyną i muzyką. Pomimo wyczerpującego programu studiów stworzył na uczelni cieszący się znaczną popularnością zespół wokально-instrumentalny. Grupa zdobywała nawet nagrody na ogólnopolskich przeglądach, choć zaznaczyć wypada, że wykonywała repertuar typowo popularny, ze szczególnym uwzględnieniem utworów zza wschodniej granicy.

Zdecydowanie ważniejsza z punktu widzenia Komecy jazzmana okazała się współpraca z legendarnym łódzko-krakowskim zespołem Melomani. Doszło do niej podczas wakacji 1951 roku, kiedy to Krzysztof wykazał się zdolnościami menedżerskimi, załatwiając grupie angaż na letnie występy w restauracji w Ustroniu Morskim.

„Dreszczu emocji dodawał fakt – wspominał członek zespołu,

trębacz Andrzej Wojciechowski – iż nigdy nikt z nas nie widział na własne oczy morza i nigdy nie widzieliśmy człowieka, który nas tu sprowadził. Siedzieliśmy zatem wczesnym rankiem na krawężniku ulicy w Ustroniu i czekaliśmy na naszego bossa. Po niecałej godzinie w końcu ulicy ukazała się postać z wielką walizką w jednej ręce i jeszcze większą w drugiej. Osobnik zbliżał się do nas wyraźnie kulejąc. »Kulas« – powiedział Trzaskowski, »Rudy« – dodał Sobociński. »Rudy kulas« podał każdemu z nas rękę i powiedział: »Cześć – jestem Komeda«. I tak prawdę mówiąc, wiele więcej nie powiedział w trakcie naszego dwumiesięcznego pobytu w Ustroniu”[69].

Komeda faktycznie może nie mówił zbyt wiele, ale wspólna gra z Melomanami wywarła ogromny wpływ na całą jego karierę. W tej grupie występowali przecież Andrzej Trzaskowski, Jerzy „Duduś” Matuszkiewicz oraz „odkrywca” Komedy z Ostrowa, Witold Kujawski. A za bębniami zasiadał niepodejrzewający jeszcze swojego filmowego talentu przyszły operator, Witold Sobociński...

## CZAS TRUDNYCH DECYZJI

W pierwszych latach istnienia PRL granie jazzu było w kraju zakazane, albowiem zgodnie z obowiązującymi dogmatami muzycy powinni włączyć się w budowę przodującego ustroju, co oznaczało wymazanie zachodnich naleciałości z oficjalnego życia. Jazz uznano za muzykę burżuazyjną i zdegenerowaną, a więc graną i słuchaną wyłącznie przez wrogów Polski Ludowej. Zepchnięto go do podziemia, a za organizowanie koncertów jazzowych i branie w nich udziału groziły surowe kary.

Jednakże zakazany owoc zawsze ma swój specyficzny i kuszący smak, toteż popularność jazzu rosła w błyskawicznym tempie. Stał się on symbolem kontestacji, odpowiedzią na oficjalną propagandę, a muzycy jazzowi dokonywali karkołomnych



zabiegów, by móc oddawać się swojej życiowej pasji.

„Chcąc grać muzykę jazzową – opowiadał Jerzy Matuszkiewicz – myśmy musieli spotykać się w prywatnych mieszkaniach. Pierwsze takie spotkanie nastąpiło w 1950 roku w Krakowie, gdzie środowisko »Przekrojowe« – więc Eile, Skarżyński, Barbara Hoff, Jerzy Kern – przychodziło tam, aby posłuchać nas. Myśmy znów zjeżdżali z kilku miast, graliśmy w atmosferze zadymionej, w zamkniętym mieszkaniu, sąsiedzi byli uprzedzeni. Jeżeli przychodził ktoś z zewnątrz, a zdarzało się, że nawet milicja przychodziła, to natychmiast graliśmy »Sto lat« i udawaliśmy, że są to imieniny jakiejś naszej cioci»[70].

Czasami dochodziło do absurdalnych sytuacji, gdyż funkcjonariusze milicji gotowi byli przymknąć oko na pijackie burdy, ale nie na muzykę rodem ze zgniłego Zachodu.

„Były to znakomite spotkania – wspominała Zofia Komeda. – Wszyscy podnieceni, złąknieni muzyki i siebie. Ale przede wszystkim było kupę naprawdę dobrej muzyki. I warto było tam się znaleźć, choć komuna nękała nas dalej. W razie wizyty milicji stawiało się butelki po wódce na stole, no i trochę wódki.

Pamiętam takie zdarzenie [...] nagłe walenie do drzwi. Otwieramy – milicja. I od razu: »Co to za hałasy!! Co tu się dzieje?!«. A ktoś odpowiada spokojnie: »Ależ panowie... My sobie tylko wódkę pijemy...«. »Aaaa – powiadają – to w porządku. Bo nas informowano, że tu jakąś murzyńską muzykę grają...«»[71].

Nawet w Ustroniu Morskim, gdzie Melomani grali do tańca, musieli przestrzegać pewnych reguł. Na początek zawsze była obowiązkowa wiązanka melodii ze Związku Radzieckiego, a „potem dopiero grało się swingi, bebopy”.

„Wszyscy powinni być podobnie ubrani – tłumaczył Andrzej Wajda – wszyscy mieli się podobnie zachowywać, wszyscy mieli być podporządkowani. Indywidualność, zachowanie swobodne, tak jak mnie się podoba, było uznane za coś niewłaściwego, za coś, co wymykało się spod kontroli partii, spod kontroli władzy, która to zwalczała. Przecież amerykański jazz, to była największa

zbrodnia za czasów stalinowskich”[72].

Ukończenie studiów wiązało się dla Komedy z koniecznością dokonania wyboru pomiędzy niepewnym losem artysty a dobrze zapowiadającą się karierą medyczną. Jego muzyka została zepchnięta na margines życia kulturalnego, więc musiał liczyć się z faktem, że grając ją, nie osiągnie żadnych dochodów. Wiedział również, że czasochłonne ćwiczenia, próby i koncerty uniemożliwią mu prowadzenie praktyki lekarskiej.

Nic więc dziwnego, że zwlekał z ostateczną decyzją, a mógł sobie na to pozwolić, bo dzięki protekcji znanego laryngologa, profesora Aleksandra Zakrzewskiego, nie groził mu nakaz pracy. Obowiązujące wówczas prawo było bowiem bezwzględne i zgodnie z nim absolwentów szkół wyższych kierowano tam, gdzie występował niedobór specjalistów w ich profesji. A w związku z tym, że lekarzy zawsze brakowało, Komeda mógł się spodziewać etatu w prowincjonalnym szpitalu albo w wiejskim ośrodku zdrowia, gdzie pracowałyby za minimalne wynagrodzenie, a o muzyce w ogóle mógłby zapomnieć.

Profesor Zakrzewski wysoko cenił Komedę i uważał, że młodzieniec ma przed sobą piękną karierę medyczną. Wiedział też o jego muzycznych fascynacjach, postanowił więc nie dopuścić do utraty tak zdolnego lekarza. Zaproponował mu trzyletnie stypendium w Pradze, co było marzeniem większości absolwentów uczelni medycznych. Komeda jednak zwlekał z odpowiedzią i przez pewien czas pracował w klinice, prowadząc jednocześnie założony przez siebie Sekstet Komedy (grali w nim m.in. Jan „Ptaszyn” Wróblewski i Jerzy Milian). Wreszcie postanowił poświęcić się wyłącznie jazzowi, a duży wpływ na jego decyzję miał fakt, że właśnie tą muzyką pasjonowała się dziewczyna, z którą chciał się związać.

## SOPOT

Tymczasem w kraju zachodziły pewne zmiany i w końcu władze uznały, że w polityce wobec młodzieży konieczny jest jakiś wentyl bezpieczeństwa. Stał się nim jazz, który nareszcie mógł wyjść z podziemia. Nie oznaczało to oczywiście, że komuniści z dnia na dzień stali się jego wielbicielami, jednak nie zakazywali już publicznych koncertów. Dzięki temu w sierpniu 1956 roku w Sopocie udało się zorganizować I Ogólnopolski Festiwal Muzyki Jazzowej, na którym nie mogło zabraknąć Krzysztofa Komedy i jego zespołu.

„Do Sopotu przyjechały dziesiątki tysięcy ludzi z całej Polski – relacjonował Jan »Ptaszyn« Wróblewski. – Kiedy szedł legendarny, otwierający festiwal pochód, to na sopockim deptaku nie było gdzie palca wetknąć. Przez 24 godziny na dobę trwała przedziwna, wspaniała atmosfera. Tłumy nieustannie przewalały się po deptakach, tysiące ludzi koczowały na plażach. Wszyscy ze sobą od razu nawiązywali kontakt. W Sopocie pojawiły się określone środowiska”[73].

Młodzież kontestowała „socjalistyczne ideały”, na czele pochodu maszerowało kilku muzyków (wśród nich Komeda i Wróblewski) niosących trumnę z napisem „Stare polskie przeboje”. Przepasani byli szarfami przodowników pracy z napisem „300% normy” (!!!), co można uznać za bardzo odważne zachowanie. Tym bardziej że czynniki partyjne z uwagą i niepokojem obserwowały wydarzenia nad Bałtykiem.

„Oni się przestraszyli – wspominał Franciszek Walicki. – To była pierwsza, potężna manifestacja młodzieży przeciwko panującemu od lat ponuractwu, drętwej mowie, szarzyźnie i nudzie. [...] To ich bardzo zabolowało, w latach 50. obowiązywał pewien typ socrealistycznej szarości. Wystarczyło mieć kolorowe skarpetki i wzorzysty krawat, zatańczyć boogie-woogie, by być uznanym za bikiniarza, czyli wroga ludu”[74].

Sekstet Komedy wzbudził prawdziwą sensację. Muzycy grali modern jazz, daleki od bardziej popularnych dixielandowych klimatów i będący w Polsce zupełną nowością. Poza tym młodzieńcy starannie przygotowali swój image. Członkowie zespołu byli ubrani w czarne spodnie o wąskich nogawkach i satynowe czarne koszule z szalowymi kołnierzami. Całości dopełniały fryzury z tzw. hamletowskimi grzywkami[75].

„Nadszedł festiwal i dzień naszego debiutu – wspominał perkusista Jan Zylber. – I znów okazało się, że Krzyś miał rację, bo sekstet odniósł sukces, który był przecież jego sukcesem. Przywołuję ten obraz i Krzysztofa-przyjaciela: cofnięty w głąb sceny, drobny, uśmiechnięty, trochę zażenowany, dziękował za oklaski, zdając się mówić: »to nie ja – to oni!«”[76].

Sukces przeszedł najśmielsze oczekiwania, wielotysięczna widownia dostała prawdziwego amoku i na cześć muzyków odśpiewała nawet chóralne Sto lat. A ponieważ i prasa nie pozostała w tyle, Sekstet Komedy z dnia na dzień stał się gwiazdą pierwszej wielkości. Temu wszystkiemu przyglądała się 27-letnia atrakcyjna kobieta, będąca impresariem zespołu Andrzeja Kurylewicza i Wandy Warszawskiej. Zofia Lach wiedziała już, że jej przeznaczeniem jest lider sekstetu, młodszy od niej o dwa lata Krzysztof.

## ZOFIA

„Tak, był kobieciarzem – przyznawała po latach Zofia Komeda. – Ale to nie jest sprawa lojalności, to jest taka przywara męska”[77].

Krzysztof zawsze miał słabość do płci pięknej, co dyskretnie potwierdzał również Tomasz Stańko:

„Czy Komeda lubił kobiety? Ja nie wiem, bo tam Zośka pilnowała go bardzo poważnie, Zośka była wszędzie, zawsze. Tak, ja nie wiem, ale chyba tak”[78].

Podobno pierwsze poważniejsze uczucie przeżył podczas pobytu w Ustroniu, a jego obiektem była spędzająca tam wakacje pianistka, Barbara Hesse-Bukowska. Młodzi dużo czasu przebywali we dwoje, ale ich znajomość nie przetrwała wakacji. Natomiast już podczas studiów Komeda związał się z najładniejszą studentką swojego wydziału, planował nawet ślub. Porzucił jednak dziewczynę, kiedy wdał się w burzliwy romans ze znacznie starszą od siebie żoną pewnego lekarza. I chyba pozostało mu upodobanie do kobiet dominujących i decydujących za niego. Taka właśnie okazać się miała Zosia.

Poznali się jeszcze przed festiwalem w Sopocie, podczas pobytu Komedy w Krakowie. Spotkanie zrobiło na nich duże wrażenie, a gdy ponownie trafili na siebie (także pod Wawelem), sprawy potoczyły się już szybko.

„Gdy po raz drugi spotkaliśmy się w Krakowie – wspominała Zofia – w trakcie »Turnieju Jazzowego«, który ja organizowałam, a on tam przyjechał z zespołem Jerzego Grzewińskiego z Poznania, a potem na nocnym jam session i gdy nagle, jakoś tak irracjonalnie, poczułam ogromną ochotę, aby był przy mnie, rozmawiał ze mną [...] Krzysio, jak się potem przyznał, też chciał być ze mną.

Wymknęliśmy się z zatłoczonej sali. Poszliśmy na Wawel i tam oparci o mur, wpatrzni w Wisłę, a potem we wschodzące słońce – przegadaliśmy parę godzin. Krzysio opowiadał mi o swojej miłości do jazzu, o fascynacjach Modern Jazz Quartetem, Gillespiem, Davisem, Garnerem. Mówił o swojej pracy w klinice laryngologicznej, zespole, który tworzył, muzykach z nim pracujących, o próbach, jakie odbywali w jednej z poznańskich świetlic, o tym, jak ktoś zawsze musiał czuwać, jak grali, i pilnować, by nikt ich nie odkrył, ponieważ świetlica z fortepianem była nielegalnie wynajmowana od stróża nocnego w jakiejś instytucji. [...] Po paru godzinach wiedziałam, że to jest coś głębszego, coś na całe życie. I powiem wam więcej: nie pomyliłam się! Mimo różnych burz, przez które przechodziło nasze małżeństwo, zawsze trzymaliśmy się razem, wiedziałam i Krzysio

wiedział, że możemy na siebie liczyć w każdej sytuacji...”[79].

Komeda zafascynował Zofię, a ta przecież nie była już niewinną, nieznaną życia dziewczyną. Miała bowiem za sobą nieudane małżeństwo, macierzyństwo, a od kilku lat obracała się w kręgach krakowskich elit artystycznych. Jednak Komeda był inny niż wszyscy mężczyźni, których dotychczas poznała.

„Byłam zauroczona, szczęśliwa i zafascynowana. Chyba każdy o tym marzy: spotkać kogoś, komu bez reszty można zaufać... Znałam wielu ludzi, wielu mężczyzn, artystów, twórców – osobowości nietuzinkowych, wciągających w swoją orbitę. Krzysio górował nad nimi jeszcze jedną niepospolitą cechą, był nie tylko wrażliwym, utalentowanym artystą, ale także delikatnym, subtelnym i mądrym człowiekiem.

Z natury mało mówny i opanowany, nie wykazywał pazerności w chęci zrobienia kariery, wręcz nie dbał o nią, mimo że urodził się dla muzyki. Ta pokora ducha w połączeniu z wielką twórczą pasją, pedantyczną, czasami wręcz do znudzenia dokładnością i rzetelnością w traktowaniu spraw zawodowych sprawiła, że przeniknął mnie swoim niepowtarzalnym urokiem i choć z pozoru wydawać by się mogło, że jest to mężczyzna mało atrakcyjny, potrafił i spowodował to, że życie z nim stało się wielką, podniecającą przygodą”[80].

Komeda natomiast potrzebował kogoś takiego jak Zosia. Z natury był raczej mało przebojowy, a pragnął poświęcić się wyłącznie muzyce. Nie interesowały go (przynajmniej wówczas) krótkie przygody erotyczne, chciał mieć obok siebie kobietę, która potrafiłaby urządzić mu życie. A Zofia miała duży talent organizacyjny, dzięki czemu Krzysztof znalazł w niej impresaria i kochankę, a niebawem także i żonę. Zapewne nie bez znaczenia była również jej aparycja, albowiem Komeda zawsze był wrażliwy na damską urodę.

## BLASKI I CIENIE ŻYCIA MENEDŻERA

Przeszłość Zofii była dość burzliwa. Pochodziła ze spolszczonej niemieckiej rodziny Tittenbrun, nie jest jednak prawdą, że jej ojciec nosił tytuł barona. Nie przysługiwał mu również przyimek *von* przed nazwiskiem, choć z takim twierdzeniem można się spotkać w różnych publikacjach (także w biografii Komedy pióra Emilii Batury). A najbardziej mylące jest twierdzenie, że Zofia pochodziła ze żmudzkich (czy też litewskich) baronów. Nie miała bowiem nic wspólnego z Litwą, urodziła się w Dryszczowie na Lubelszczyźnie, gdzie jej rodzina posiadała majątek. A całe nieporozumienie być może wzięło się stąd, że Dryszczów leży w gminie Żmudź (obecnie powiat chełmski).

Zamieszanie powiększała jeszcze sama zainteresowana, podając w wywiadach udzielanych u schyłku życia, że nazywała się *von Tittenbrun* i pochodziła z kurlandzkich (!!!) baronów. Oprócz skojarzeń z genealogią pewnego prezesa z powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza zdziwienie musi budzić fakt, że Zofia w wydanych drukiem wspomnieniach nie poświęca rodzinie ojca zbyt wiele uwagi, a bardziej koncentruje się na swoich bliskich ze strony matki. Tymczasem Tittenbrunów nie ma w żadnym wykazie polskich rodów posiadających tytuł barona, nazwisko to nie występuje również w najbardziej kompetentnym wykazie szlachty kurlandzkiej z 2004 roku (*Genealogien kurländischer Ritterschaftlicher Geschlechter die bisher weder im Genealogischen Handbuch der Baltischen Ritterschaften, Teil Kurland, noch im Genealogischen Handbuch des Adels erschienen sind*). Zatem rewelacje pani Zofii o przysługujących jej siedmiu pałkach w koronie herbowej (symbol tytułu barona) wydają się zwykłą konfabulacją.

A już w prawdziwe osłupienie wprawia inne stwierdzenie pani Komedowej, że „pochodzi z Kresów – co prawda bliskich,

znad Bugu, ale już etnicznych ziem ukraińskich, gdzie ludność wiejska była Ukraińcami, gdzie były cerkwie i pięknie śpiewano msze gregoriańskie”[81]. A przecież w chwili jej urodzenia, w 1929 roku, Chełmszczyzna leżała w samym centrum Polski, a za „etniczne ziemie ukraińskie” nie uważali jej nawet liderzy OUN i UPA...

To zresztą niejedyny przypadek przeinaczania faktów związanych z rodziną Zofii. Jej syn, Tomasz Lach, napisał, że jego dziadek (Stefan Tittenbrun) zginął w kampanii wrześniowej. W rzeczywistości ojciec Zosi zmarł w 1939 roku, ale w kwietniu, a więc na kilka miesięcy przed wybuchem wojny.

Podczas okupacji hitlerowcy pozbawili rodzinę majątku, a w 1943 roku Zofia została łączniczką zgrupowania „Jodła” Armii Krajowej. Po zakończeniu wojny trafiła do Krakowa, gdzie ukończyła liceum krawieckie. Maturę zdała zresztą z dużymi problemami, była bowiem już wówczas mężatką.

Jej wybrankiem był Ludwik Lach, starszy o dziewięć lat inżynier leśnik, znany krakowski „dżoler”.

„Dżoler« wtedy to był facet w pięknych, zamszowych półbutach na korkowej podeszwie – wyjaśniała po latach Zofia. – Był to facet, który miał kilka garniturów, do każdego garnituru odpowiedni kapelusz z szerokim rondem obszytym lamówką, długi parasol cieniutko zwinięty i miał słoneczne okulary z jasnego pleksiglasu, prosto z Czechosłowacji przywiezione. »Dżoler« miał czeskie pióro kulkowe, które dokładnie obejrzały moje wszystkie nauczycielki, bo to wtedy była taka rzadkość. »Dżoler« to typowo krakowskie określenie. To taki facet, co wszędzie bywa [...]. On mnie zabierał do »Akademickiej« na »fajfy«, tam gdzie grały orkiestry pana Figla, ojca znanego muzyka i kompozytora Piotra Figla, i Kluczkiewicza, znakomity zespół ze Lwowa. Pan Kluczkiewicz wspaniały, dystyngowany – tam poznałam wielu ciekawych ludzi, wprowadzona zostałam w środowisko studenckie, w »wielki świat« [...]. W dodatku pan Lach, mój narzeczony, był przystojny, inteligentny, z dyplomem



w kieszeni, więc czy młoda, naiwna dziewczyna mogła nie zakochać się w kimś takim?”[82].

Pobrali się trzy dni po osiągnięciu przez Zofię pełnoletności. Na początek był to tylko ślub cywilny, a sama uroczystość miała niecodzienny przebieg.

„Mieliśmy kłopot ze świadkami. Jeden był kolegą pana Lacha, drugiego po prostu wzięliśmy z ulicy. Potem piechotą poszliśmy do »Zdulecznej« – małej knajpki na Pijarskiej i była wódeczka, i śledzik, i piwo.

W tej cudownej, malowanej knajpeczce, gdzie muzykowała przy fortepianie pianistka z drewnianą nogą, a koncert życzeń odbywał się według takiego rytuału, że zamawiający daną melodię stawiał na fortepianie kieliszek z wódką dla artystki, odbyło się nasze »przyjęcie weselne« z niesłychanie aktywnym w sprawach alkoholowych świadkiem z ulicy”[83].

Po roku państwo Lachowie wzięli ślub kościelny, a związek został zaaprobowany przez matkę Zofii i rodziców Ludwika. Miodowy miesiąc spędzili w Zakopanem, niebawem jednak zaczęły się problemy. Lach był bowiem fatalnym kandydatem na męża.

[...] choć miał dyplom inżyniera leśnika opowiadała Zofia – absolutnie nie chciał wyjechać na wieś, podczas gdy ja wyobrażałam sobie, że będę wiodła życie pani leśniczyny, ciche, w otoczeniu przyrody, psów i koni, w podświadomości chyba marzyłam o powrocie do scenerii z dzieciństwa. I wtedy postanowiłam »wywieźć« go do Poznania. Zamieszkaliśmy w mieszkaniu, które wyremontowała z gruzów moja matka. Chodziło mi przede wszystkim o to, by odciąć go od starego środowiska, by zacząć żyć normalnie. Już nie jako »dżoler« pan Lach poszedł do pracy wykorzystując przed-studyjny dyplom technika budowlanego, ja dorabiałam, jak mogłam, szyjąc coś dla Cepelii. Niestety, nasze małżeństwo podupało. Zabrakło wspaniałych teściów, którzy łagodzili konflikty, zabrakło z jednej strony pogody i beztroski, z drugiej odpowiedzialności i powagi.

Nigdy nie zaadaptowałam się w Poznaniu, nie lubiłam i nadal nie lubię tego miasta. Rozczarowania rodziły konflikty, pomimo iż okazało się, że jestem w ciąży. Nie uratowało to jednak naszego małżeństwa. Gdy nasz synek, Tomek, miał kilka miesięcy, przegrodziłam mieszkanie szafą, gdy miał siedem – spakowałam się i z powrotem wyjechałam do Krakowa”[84].

Dzieckiem zajęła się matka dziewczyny będąca wówczas kierownikiem wiejskiego ośrodka zdrowia w pobliżu Bydgoszczy, natomiast Zofia została zatrudniona w wytwórni bombek choinkowych, Praca była ciężka i monotonna, ale dziewczyna zaczęła udzielać się w miejscowych środowiskach artystycznych, co niebawem miało przynieść wymierne efekty. Poznała Leszka Herdegana, Sławomira Mrożka, Ludwika Flaszena i Tadeusza Nowaka, weszła również w krąg ludzi związanych z Marianem Eilem i „Przekrojem”. A przede wszystkim słuchała jazzu, z którym miała związać swoje życie.

„Mniej więcej w tym czasie zrodziła się idea powołania do życia Krakowskiego Jazz Klubu. Jako datę powołania do życia tego klubu można przyjąć rok 1955, choć już wcześniej w 1953, w listopadzie odbywały się pierwsze jam sessions przy ulicy Królowej Jadwigi. Lecz dopiero gdzieś latem 1955-go roku w prywatnym mieszkaniu zebrało się około 20-tu zapaleńców z Jackiem Borowcem na czele i tak powstał Krakowski Jazz Klub. Przez parę miesięcy nie było stałego lokalu i dopiero wiosną 1956 roku otrzymaliśmy pomieszczenie. Jacek Borowiec był pierwszym prezesem, sekretarzem jego żona Krysia, zwana przez nas »Borówką« [...]. Na skarbnika powołaliśmy Jasia Szewczyka, niesłychanie solidnego, całą duszą oddanego sprawie społecznika. Członkami założycielami Jazz Klubu byli między innymi, oprócz wymienionych, Marian Eile, Lidia Minticz, Jerzy Skarżyński, Zenek Leszczuk – lwowiak i ja. Było nas chyba dziesięć czy dwanaście osób, może trochę więcej”[85].

Borowiec niebawem zrezygnował i jego następczynią została Zosia. Klub nie działał przy żadnej oficjalnej instytucji, nie

otrzymywał też dotacji, a to sprawiało, że z wielkim trudem znajdowano środki na jego działalność.

Zofia okazała się jednak osobą wyjątkowo energiczną, a pomysłów nigdy jej nie brakowało. Wykorzystywała każdą nadarzącą się okazję: organizowała Juwenalia, Jazz Campingi, Turnieje Jazzowe, Zaduszki (kina i restauracje były w ten dzień zamknięte), uciekała się nawet do pomocy urodziwych studentek, aby tylko zachęcić jazzmanów do grania. A w ostateczności pozostawały argumenty nie do odparcia, czyli solidny obiad i ćwiartka wódki. Po takim poczęstunku muzycy raczej nie odmawiali...

Zdecydowanie gorzej szła praca w terenie. Prowincja nie była przygotowana na odbiór jazzu, Zofia jednak wiedziała, że niebawem będzie miała w ręku poważny atut. Był nim Komeda i jego zespół.

## ELEKTRYK JERZY SKOLIMOWSKI

Krzysztof ostatecznie zrezygnował z kariery medycznej, czego nie mogli zrozumieć jego rodzice i przyszła teściowa. Zdecydował się jednak na muzykę, a Zosia utwierdzała go w przekonaniu o słuszności tego wyboru. Od tej pory sam siebie nazywał „lekarzem chwilowo niepraktykującym”, choć nigdy nie ukrywał, że decyzja o porzuceniu medycyny nie była dla niego łatwa:

„Studia ciekawiły mnie bardzo i dały wiele głębokich przeżyć. W medycynie miałem świetny start, realną perspektywę. Odchodząc z kliniki profesora Zakrzewskiego, musiałem rozstać się z własną salą chorych, która dawała mi przecież wiele powodów do dumy”[86].

Zespół Komedy zaczął regularnie koncertować, trafił nawet na ogólnopolską antenę radiową, jednak muzycy nadal borykali się z typowymi dla socjalizmu problemami. Nie mieli odpowiednich (sprawnych!!!) instrumentów, brakowało zapisów nutowych

kompozycji zachodnich wykonawców, kłopoty były nawet z salą prób. Utwory notowali ze słuchu i ćwiczyli w świetlicy nielegalnie wynajmowanej od pewnego nocnego stróża. Z obawy przed dekonspiracją nie zapalali tam nawet światła, toteż próby odbywały się w kompletnych ciemnościach.

Niemniej zespół zdobywał coraz większą popularność, a niektórzy fani jeździli za nim z koncertu na koncert. Szczególnie interesującym przypadkiem okazał się jeden z nich, niespełna dwudziestoletni student etnografii, Jerzy Skolimowski. Był tak bezgranicznie oddanym wielbicielem zespołu, że zaproponowano mu wyjazd w trasę w charakterze specjalisty od oświetlenia. A jak można się było spodziewać, chłopak był po prostu fatalnym elektrykiem.

„[...] już w trakcie pierwszego koncertu okazało się – narzekała Zofia – że on nie miał zielonego pojęcia o elektryczności. Ciągłe wkładał wtyczki nie tam, gdzie trzeba, wybuchały tablice, paliły się bezpieczniki-piekło!

Po wtóre, »pierwszy kibic« uwielbiał kawały. [...] Chcę wyjść na scenę, bo prowadziłam także konferansjerkę, a tu okazuje się, że jestem przywiązana linką do drabinki. Szamocę się, szarpię, a z tyłu Skolim chichocze, zaciera ręce... A tu luka w koncercie, napięcie spada...

Albo kiedyś w Filharmonii Łódzkiej... Było tylko jedno wyjście na scenę – wąskie drzwi. Ruszam, a w przejściu ogromna miednica z wodą. I co??? Mam na oczach publiczności dźwigać ją, przesuwac? Więc musiałam wejść do lodowatej wody i jak gdyby nigdy nic, uśmiechnięta, promienna, poczępać w lakierowanych, złotych szpilkach na estradę, a za mną mokre plamy”[87].

Na domiar złego w wolnych chwilach Skolimowski usiłował uczyć się grać, oczywiście bez zgody właścicieli instrumentów. W efekcie wielokrotnie otrzymywał solidną porcję razów od oburzonych muzyków, co jednak nie przynosiło efektów wychowawczych. Po koncertach z reguły odbywało się prawdziwe polowanie na samozwańczego elektryka, któremu urządzano

„bitki à la Skolimów”. Przyszły reżyser nie przejmował się tym specjalnie i bardziej interesowało go to, by jego nazwisko widniało na plakatach jako osoby odpowiedzialnej za „efekty świetlne”. A także tym, by zostało ono napisane tej samej wielkości czcionką co nazwiska muzyków.

„[...] był niebywale skąpy – kontynuowała Zosia. – Do tego stopnia był oszczędny, że gdy na przykład szliśmy na obiad, oczywiście wszyscy razem i każdy coś tam sobie zamawiał... powiedzmy jeden kotlet schabowy, drugi sznycel, trzeci bryzol, to Jurek zawsze zamawiał to samo: bukiet z jarzyn i ziemniaki. A potem było słycać przy stole: »D-daj ugryźć...«. I w ten sposób zjadał więcej mięsa niż każdy z nas i oczywiście nie ponosił żadnych kosztów. Wychodził najedzony, no bo ten dał mu kawałek i ów... w sumie siedem kawałków mięsa. A przecież dochody dzieliliśmy równo i Skolimowski brał dokładnie tyle samo co Komeda czy którykolwiek z muzyków. Dzięki temu zyskał sobie nowe przezwisko – »Daj ugryźć«” [88].

Koncerty jazzowe nie gwarantowały muzykom dochodów zapewniających utrzymanie, dlatego też w 1957 roku zespół ruszył w trasę koncertową jako grupa rockandrollowa. Muzycy Sekstetu dokooptowali dwóch gitarzystów i wokalistkę, Krystynę Mrozińską, i pod nazwą Jan Grepсор i Jego Chłopcy wykonywali repertuar popularny. Był to wprawdzie tylko epizod bez większego znaczenia, ale warto pamiętać, że dzięki temu Sekstet Komedy (w rozszerzonym składzie) stał się prekursorem polskiego bigbitu. Dopiero bowiem półtora roku później (w marcu 1959 roku) odbył się pierwszy koncert legendarnej grupy Rhythm and Blues...

## WE DWOJE

Działalność Jana Grepсорa i Jego Chłopców była tylko chwilowym oderwaniem się od jazzowej rzeczywistości, a Komeda

musiał podjąć kolejną ważną decyzję. Pragnął zamieszkać razem z Zosią, tymczasem ona nie chciała wyprowadzać się z Krakowa. Zresztą panowała tam dla jazzu zdecydowanie bardziej przychylna atmosfera niż w Poznaniu, toteż lider sekstetu we wrześniu 1957 roku przeniósł się pod Wawel.

Zamieszkali w jednopokojowym mieszkaniu Zosi przy ulicy Chodkiewicza. Był to niewielki lokal bez kanalizacji, do którego doprowadzono tylko wodę (bez odpływu). Mimo to oboje byli szczęśliwi, że wreszcie są razem, nawet gdy zimą, z powodu niskiej temperatury, przed snem musieli rozbierać się pod kołdrą. Czasami nie mieli pieniędzy na bilety komunikacji miejskiej, ale w zamian tłumnie odwiedzali ich przyjaciele. Wtedy w małym pokoiku Komedów potrafiło się zmieścić nawet kilkanaście osób.

„[...] podobno było tam bardzo wilgotno – wspominał Piotr Skrzynecki – ale tego nie było widać. Wszystko było zakryte kotarami, dość pięknymi, kolorowymi. Było ładnie, bardzo przytulnie. Kiedy się tam przychodziło i popijało czy herbatę, czy kawę, to naprawdę wilgoci nie było widać”[89].

Zosia nie przyznała się przed matką, że mieszka z Krzysztofem, planowali zresztą zalegalizować swój związek. I faktycznie doszło do tego w rok po przeprowadzce Komedy do Krakowa.

Uroczystość miała niecodzienny charakter, jednocześnie bowiem ślub brali pianista Andrzej Trzaskowski i Teresa Ferster. Obie panie były rozwiedzione, natomiast dla ich partnerów było to pierwsze tego rodzaju doświadczenie życiowe.

W sali ślubnej zabrzmiał *Marsz weselny* Mendelssohna zaaranżowany na sześć saksofonów przez Andrzeja Kurylewicza. Następnie barwny pochód ruszył przez Rynek na ulicę Świętego Marka, do siedziby Jazz Klubu, gdzie odbyło się przyjęcie weselne.

„Zabawa trwała przez całą noc – wspominała Zofia. – Można by rzec – była to huczna zabawa, szczególnie gdy zwróci się uwagę na znaczenie słowa »huczna«. Uatrakcyjniono ją wybuchem petardy, którą dla kawału położył pod kwiaty Andrzej

Trzaskowski z Leszkiem Sokołowskim, krakowskim pianistą jazzowym, a którą to petardę dostał od Leszka w prezencie ślubnym. Nie przewidzieli tylko jednego: w małym pomieszczeniu – w klubowej łazience, w wannie pełnej kwiatów petarda zadziałała jak granat: wyleciało troje drzwi, pogruchotane zostały sanitariaty i oczywiście nielecho wystraszyliśmy się wszyscy. Ale na szczęście nic się nikomu nie stało, no niezupełnie – Grażynka Matuszkiewiczowa z bolącym uchem musiała jechać do lekarza. Ale dzięki temu Rada Klubu miała okazję do ofiarowania nam prezentu ślubnego: nie musieliśmy pokrywać odszkodowań – rachunki za remont wręczono mi jako prezent ślubny – dla prezesa Klubu”[90].

Trzaskowski grał już wtedy z Krzysztofem w jednym zespole. Przeprowadzka Komedy do Krakowa oznaczała bowiem koniec Sekstetu, chociaż pod Wawel przenieśli się również Wróblewski i Zylber. Weszli oni w skład nowej grupy Krzysztofa, obok Trzaskowskiego, Romana Dyląga i Wojciecha Karolaka. Zespół otrzymał nazwę Jazz Believers, a próby odbywał z reguły w Klubie Plastyków przy ulicy Łobzowskiej. Zagościł również na stałe w Piwnicy pod Baranami.

Zofia została bowiem kierownikiem Piwnicy i już na wstępie zażądała dopuszczenia na scenę grupy Komedy. W efekcie Jazz Believers występował w czwartki, a po każdym spektaklu kabaretu mieli grać do tańca. Nie był to jednak specjalnie udany pomysł.

„Byli to ludzie bardzo utalentowani – twierdziła współzałożycielka kabaretu, Janina Garycka – bardzo pięknie grali, ale wyłącznie jazz najwyższego lotu, nie melodyjny, najmniej nadający się do tańca. Naturalnie nie dało ich się namówić do zagrania jakichś melodyjnych, sentymentalnych utworów, które wtedy były modne i przy których tak uroczo się tańczyło. Żadne tam *Płynął strumyk z wolna* czy *Siwy włos* nie wchodziły w rachubę i tak cała noc upływała na oschłym dreptaniu w takt tej ich Sztuki przez duże »S«. Potem dali sobie

jakoś radę, zapuścili korzenie. Ale początek był rozpaczliwy”[91].

Znacznie lepsze wspomnienia o Komedzie zachował natomiast Piotr Skrzynecki:

„On grał wspaniale. Ja zacząłem się nim zachwycać i dla Kurylewicza wyglądało to podejrzanie. Wziął mnie na dół i mówi: »Buła, ty im nie włącz w dupę, ja ci zabraniam uwielbiać Komedę«. Ja z kolei zawsze Kurylewicza miałem bliżej siebie, krakowianin, myślę, ten wyjedzie, ten zostanie, będzie mnie prześladował”[92].

Zofia miała talent menedżerski połączony z darem przekonywania. Uznała, że Piwnica powinna zaprezentować się poza Krakowem, i nakłoniła zespół do trzymiesięcznych występów w Zakopanem. I chociaż ustaliła bardzo wysokie ceny biletów, zarówno kabaret, jak i jazzmani osiągnęli duży sukces. A przy okazji Komeda mógł oddać się swojej pasji narciarskiej, pomimo bowiem nie do końca sprawnej nogi jazda po ośnieżonych stokach stała się dla niego jedną z ulubionych rozrywek.

Zespół Komedy nie ograniczał się tylko do występów w Piwnicy. Pojawił się na pierwszym festiwalu Jazz Jamboree w Warszawie, dał również cykl koncertów w Filharmonii Narodowej. Krzysztof nigdy zresztą nie ukrywał, że ma ambicje wykraczające poza sale klubowe. I nie mógł przeboleć, gdy odrzucono jego podanie z prośbą o przyjęcie do Związku Kompozytorów Polskich. A jak niebawem miało się okazać, zrobiono to nie po raz ostatni...

## *NÓŻ W WODZIE*

Gdy Komeda zdobywał ogólnopolską popularność, w Szkole Filmowej w Łodzi studiował pewien ambitny, niewysoki młodzieniec. Roman Polański chciał zostać światowej sławy reżyserem, a chociaż wiedział, że droga do celu jest bardzo daleka, nie zamierzał zrezygnować ze swoich ambicji. Właśnie przystąpił



do realizacji etudy studenckiej *Dwaj ludzie z szafą* i poszukiwał odpowiedniego kompozytora do stworzenia oprawy dźwiękowej filmu. Kochał jazz, więc jego wybór padł na Komedę.

Był tylko jeden problem, bo Krzysztof nigdy wcześniej nie komponował muzyki ilustracyjnej.

„Wiedziałem, że nie pracował dotąd dla filmu – opowiadał po latach Polański – i w nadziei, że taka propozycja może go zainteresować, umówiłem się z nim na spotkanie. Przyszedł w towarzystwie żony, Zofii, która cały ciężar rozmowy wzięła na siebie. Sam Komeda, rudowłosy okularnik, lekko utykający – pozostałość po paraliżu dziecięcym – siedział tylko i słuchał. Z początku wydawało się, że go nic to nie obchodzi – był chłodny jak jego muzyka. Kiedy poznałem go bliżej, zdałem sobie sprawę, że jego rezerwa jest oznaką chorobliwej nieśmiałości, pancierzem, pod którym kryje się łagodność i niezwykła inteligencja”[93].

Komeda był już ogólnopolską sławą, natomiast Polański pozostawał nikomu nieznanym studentem łódzkiej filmówki. Mimo to panowie szybko znaleźli wspólny język, choć istotną rolę w ich rozmowach często odgrywała Zosia.

„Pokazałem im materiały robocze i z niepokojem czekałem na werdykt Komedy. Znowu pierwsza zabrała głos żona, ale nie uległo wątpliwości, że Komeda jest zachwycony. Mimo że film nie był skończony, spodobał się Komedzie na tyle, że napisał wpadającą w ucho, pulsującą ilustrację muzyczną, tak istotną dla nastroju całości”[94].

Krzysztof zapewne nie podejrzewał, że w ten sposób rozpoczyna nowy rozdział w swojej muzycznej biografii, który z czasem miał całkowicie zdominować jego życie zawodowe. Został nadwornym kompozytorem Polańskiego, a poza tym zaczął pisać muzykę do filmów innych twórców. Etiuda *Dwaj ludzie z szafą* wzbudziła duże zainteresowanie, zdobyła brązowy medal na Międzynarodowym Konkursie Filmów Eksperymentalnych w Brukseli, otrzymała wyróżnienia na przeglądach w San Francisco, Oberhausen i Monte- video. Polański stał się postacią znaną w

świecie filmu i to samo można powiedzieć o Komedzie.

Pełnometrażowym debiutem Krzysztofa byli *Niewinni czarodzieje* Andrzeja Wajdy. Komeda wystąpił w tym filmie również przed kamerą, grając siebie samego. Pisał też muzykę do obrazów Jerzego Passendorfera (*Wyrok*), Janusza Morgensterna (*Do widzenia, do jutra*) i Jerzego Skolimowskiego. Tak się bowiem złożyło, że nieporadny elektryk Sekstetu odnalazł swoje powołanie i po studiach w Łodzi został znakomicie zapowiadającym się reżyserem. Jednak najważniejsze z punktu widzenia kariery Komedy okazało się skomponowanie muzyki do *Noża w wodzie*, pełnometrażowego debiutu Polańskiego.

„Lubiłem z nim pracować – wspominał reżyser. – Czułem muzykę filmową jak mało kto. [...] Mówiłem, pisz tę muzykę, bo całkowicie mu ufałem. Dawałem mu całkowicie wolną rękę, *carte blanche*. Wielokrotnie, do wielu filmów. Już nagrał muzykę, a ja dopiero jej słuchałem. Nie pytałem, co mi proponuje”[95].

Trudno nie doceniać wpływu, jaki Polański wywarł na biografię artystyczną Komedy. Gdyby nie on, Krzysztof raczej pozostałby przy jazzie i zapewne nigdy nie napisałby kołysanki do *Dziecka Rosemary*...

Nóż w wodzie okazał się dla Komedy przepustką do kariery w świecie filmu. Obraz Polańskiego został bowiem nominowany do Oscara (jako pierwszy polski film!), a trudno o lepszą promocję w tej branży. Kompozytor zaczął otrzymywać oferty z zachodniej Europy, a tam pracował za rozsądne pieniądze. Nawet jeśli w kraju przeliczano dewizy na złotówki po absurdalnym, „oficjalnym” kursie, a część zarobków trzeba było oddawać PAGART-owi.

„[...] to był pierwszy wyjazd na Zachód – wspominała Zofia wizytę w Danii – okno na świat, to było nieprawdopodobne przeżycie. Przede wszystkim jak jechałam taksówką w Kopenhadze z lotniska do hotelu, to byłam zaskoczona, że wszystkie szyby lśnią czystością”[96].

Duński reżyser Henning Carlsen zaangażował Krzysztofa do skomponowania muzyki do filmu *Hvad med os? (Epilogue)*.

Muzyk szybko znalazł wspólny język z filmowcem, panowie wyjątkowo przypadli sobie do serca.

„Natychniało połączyła nas jakaś chemia – wspominał reżyser. – Bywały wesołe dni. Ciężkie dni. Nigdy nie widziałem Komedy pijanego. Pewnie dlatego, że gdy on był pijany, ja byłem jeszcze bardziej zalany. Byliśmy chyba wtedy w drugim okresie dojrzewania, obaj”[97].

Sukcesy w wolnym świecie nie oznaczały, że Krzysztof lekceważył krajową kinematografię. Pisał muzykę do dziesiątków polskich filmów, wówczas też wypracował swój indywidualny styl pracy.

„Miałem szczęście, że to z nim zaczynałem swoją pracę zawodową – wspominał Tomasz Stańko. – Bo prostota oznaczała, że z trzech nut można zbudować bogaty i długi utwór muzyczny. Pisał na przykład jeden czy dwa motywy, zwykle jeden. Potem zmieniał tonację z moll na dur. Skracał go albo wydłużał. Jak on do tego dochodził? Był mistrzem w zastosowaniu lejt- motywów w filmach”[98].

Komeda miał nieprawdopodobny talent do komponowania chwytliwych melodii. W jego utworach jazzowych nie było to specjalnie widoczne, improwizacja bowiem często zagłuszała inwencję melodyczną artysty. Natomiast w filmie potrafił tworzyć tematy zapadające w pamięć na długie lata.

Nie unikał również piosenek, a autorów tekstów (i wykonawców) dobierano mu z najwyższej półki. Współpraca z Komeda nie była jednak łatwa, o czym przekonała się Agnieszka Osiecka:

„Chyba pierwsza piosenka moja i Krzysztofa, to była piosenka do sztuki *Śniadanie u Tiffany’ego*. Pisanie tej melodii, a właściwie pisanie tego tekstu, to była droga przez mękę, ponieważ Krzyś był z duszy i serca muzykiem improwizującym. I pamiętam, że spotkaliśmy się w mieszkaniu u Krzysztofa i Zosi, na Sadach Żoliborskich. Muzyka powstała pierwsza, więc Krzyś siadł do pianina i zaczął mi tak jakoś cichutko i niezgrabnie grać tę

melodię, a moje zadanie było bardzo proste. Powinnam była się tej melodii nauczyć, zanotować ją sobie w formie tak zwanej »rybki« czy »prym-ki«, ale żeby to zanotować, to musiałabym raz czy drugi tej melodii posłuchać. Natomiast Krzyś za każdym razem grał to inaczej. On po prostu nie umiał nie improwizować. To była taka ni to muzyka, ni to opowiadanie, a przecież nikt nigdy nie opowiada jakiejś historyjki dwa razy tak samo»[99].

Pomimo tych trudności współpraca Komedy z Osiecką miała swój ciąg dalszy, czego najlepszym dowodem jest piosenka z filmu *Prawo i pięść*. Chociaż wtedy trudno było podejrzewać, że powstanie coś tak znakomitego i ponadczasowego:

„W zasadzie mogliśmy tę piosenkę napisać, siedząc spokojnie w domu, ale panowie reżyserzy [...] uparli się, że musimy przyjechać do Torunia. Ja nigdy nie zapomnę tej drogi, albowiem była taka bardzo krzyśkowata, taka komedowata. Krzyś był mrukiem, miał takiego małego volkswagena »garbusa«, bardzo typowego dla lat 60. i jechaliśmy sobie tym volkswagenem z Warszawy do Torunia. Szaro było, pusto było, nudno było, Krzyś nie powiedział do mnie ani słowa, ja też nie powiedziałam do niego ani słowa, bo jakże tak. Przyjechaliśmy tam, byli panowie, co kręcą film, byli aktorzy, ale nikt nam nie umiał wytłumaczyć, o co chodzi. A zasada była taka: »przyjedźcie, to poczujecie atmosferę planu«. [...] Wreszcie Hoffman czy Skórzewski bardzo się spiął i powiedział tak: »Mamy dla was pomysł. Taką napiszcie piosenkę, żeby było country i refren«. [...] Nic z tego nie zrozumieliśmy, znowu wsiedliśmy w tego volkswagena i jechaliśmy, jechaliśmy, jechaliśmy... Strasznie nudno... Wreszcie gdzieś już pod Warszawą Krzyś powiedział: »Słuchaj, ja ci coś powiem. Zrób tekst pod Okudźawę, ja zrobię muzykę pod western. I to będzie to, o co im chodzi«»[100].

I jak zwykle Krzysztof miał rację. W ten bowiem sposób powstała piosenka *Nim wstanie dzień*, którą mistrzowsko zaśpiewał Edmund Fetting...

Komponowanie muzyki filmowej oznaczało dla Komedy

wejście w świat zupełnie odmienny od środowiska jazzowego. Najwyraźniej zasmakował w towarzystwie Polańskiego, Kostenki oraz Frykowskiego, na którego zakopiańskim ślubie z Agnieszką Osiecką wystąpił nawet w roli świadka...

## DROGA NA SZCZYT

„Kiedy Komeda pojawił się w Warszawie – wspominał Andrzej Roman – to wszyscy byli stale jakby w przededniu czegoś nowego. Otwierały się perspektywy, lata 60. to był czas, który wnosił coś nowego po tej brzydkiej stabilizacji lat 40. i 50. Otwierały się nowe horyzonty człowiek mógł coś powiedzieć, pokazać, zrobić i wszyscy szukali możliwości znalezienia się wokół tego, co zaczyna pulsować”[101].

W 1959 roku Komedowie przenieśli się do Warszawy. Odbudowana po zniszczeniach wojennych stolica na nowo stała się centrum kulturalnym kraju, a w takim miejscu nie mogło zabraknąć Krzysztofa, tym bardziej że otrzymał propozycję pracy w studenckim klubie Stodoła, co oznaczało stabilny, państwowy etat.

O mieszkanie w Warszawie było jednak trudno i przez dwa lata Komedowie błakali się po wynajmowanych pokojach. Na szczęście Krzysztof zarabiał coraz lepiej, dzięki czemu wynajęli samodzielną kawalerkę, a w końcu zdobyli własne mieszkanie w pobliżu placu Inwalidów. Zosia mogła wreszcie sprowadzić do siebie syna, który dotychczas wychowywał się u jej matki.

Kiedy Krzysztof zaczął osiągać wysokie dochody, ujawniła się druga strona jego charakteru. Komeda miał bowiem skłonność do różnego rodzaju „zabawek dla dorosłych chłopców” – lubił rzeczy ładne, drogie i nie zawsze konieczne mu do życia. Jego największą pasją stała się motoryzacja.

Na początku lat 60. prywatne samochody należały w Polsce do rzadkości, bardziej natomiast dostępne były motocykle i

skutery. Kompozytor kupił zatem taki pojazd, ale oczywiście nie zadowolił się polską osą, musiała to być włoska lambretta.

Później, zasmakowawszy już w motoryzacji, nie mógł nie zapragnąć samochodu. Na początek kupił leciwego volkswagena „garbusa”, a po pewnym czasie wymienił go na nowszy egzemplarz. Następne było bmw 2000, a w kraju tylko Jerzy Gruza jeździł podobnym.

„Bardzo kochał samochód – przyznawała Zosia. – Trochę miałam o to do niego pretensji, bo ciągle chciał mieć sprawniejszy, szybszy samochód. A ja chciałam mieszkanko, mebelki jakies ładne”[102].

Miłość Komedy do samochodów była jednak trochę nietypowa, bo traktował swoje pojazdy czysto użytkowo i nie przejmował się specjalnie, gdy ulegały one uszkodzeniom, a działo się to nierzadko z jego winy.

„Patrzę, on tak jedzie, jedzie – wspominał perkusista, Andrzej Dąbrowski – i akurat jedzie tyłem w kierunku tego drzewa. Ale widzę, że nie hamuje, tylko po prostu uderza w to drzewo. Zagiął cały zderzak. Ja myślę sobie: »Boże, co to teraz będzie?«. A Krzysztof wychodzi leniwie, zupełnie spokojnie z tego samochodu, patrzy na ten zgięty zderzak... Widzę, że schyla się, coś bierze w palce i mówi: »Żywica świeża. Jak ładnie pachnie«”[103].

Komeda nie był zresztą wyjątkiem. Kiedy polscy jazzmani zaczęli wyjeżdżać na Zachód i zarabiać realne pieniądze, łatwo ulegali pokusom konsumpcyjnego stylu życia. Do legendy przeszła rywalizacja między Andrzejem Kurylewiczem i Wojciechem Karolakiem, która w tamtym czasie bawiła całe środowisko jazzowe. Panowie konkurowali bowiem ze sobą o to, który z nich chodzi modniej ubrany – liczył się kształt kłap marynarek, a nawet kolor guzików, nie mówiąc już o takich atrybutach męskości jak krawaty, pióra czy zegarki.

„Ale najważniejsza, najbardziej prestiżowa, to była rywalizacja o okulary – opowiadała z humorem Zosia. – Co któryś wyjechał na Zachód, to przywoził sobie najmodniejsze,

najznakomitsze. Pewnego razu w takich okularach pojawił się Karolak. Kuryl zachorował. A trzeba pamiętać, że nie było wtedy tzw. prywatnej inicjatywy, a przynajmniej nie w tej skali. Nie było prywatnych optyków, nie było tak częstych wyjazdów.

Kuryl był zmuszony odczekać swoje. Jak się wyrwał za granicę, jak gdzieś tam wypatrzył, jak kupił, włożył i pokazał się w Krakowie w najznakomitszych, najmodniejszych okularach, to nie było już wątpliwości, kto jest najlepszy”[104].

Niestety nie cieszył się nimi zbyt długo. Nieszczęście dopadło go na gościnnych występach w Bułgarii.

„Siedziałyśmy z Warską u niej w hotelu, w pokoju, chłopaki gdzieś na plaży – kontynuowała Zosia. – I nagle staje w drzwiach Kuryl. Zdenerwowany, ręce mu się trzęsą, w ciężkim stresie. »Wandzia, Zo- sia« – prawie że płacze. Wiecie co się Kurylowi stało?... Okazało się, że jak chciał się wykapać, to zdjął koszulę, wsadził do kieszeni słynne okulary, przewiesił koszulę przez barierkę, a one wpadły do morza lub w piasek. Cały zespół ich szukał, ale niestety, nie znalazły się i Kuryl taki zdenerwowany kończył swoją relację tak: »Kuryl stracił okulary. Takje piękne okulary [zaciągał z lwowska – S.K.]... a jak Kuryl nie ma okularów, to na ch... Kurylowi zegarek!!« – zdjął z ręki słynny w Krakowie, najlepszy na świecie zegarek i rąbnął nim z całej siły o ścianę”[105].

Kurylewicz musiał mieć oczywiście „najlepszego, najznakomitszego” na świecie psa, ogara polskiego o imieniu Kaśka. Był z niego bardzo dumny, więc kiedy usłyszał od swojej znajomej (telewizyjnego reżysera dźwięku), że Kaśka jest mieszańcem, nie wytrzymał nerwowo:

„[...] zeszywniał, spurpurowiał, zatrząsł się cały. »Co?! Moja Kaśka mieszańcem?! Sama jesteś mieszańcem!... Połączenie dupy z magnetofonem!!«. I tak się skończyła ich zażyłość”[106].

## SCENY Z ŻYCIA MAŁŻEŃSKIEGO

Jak się pobieraliśmy – mówiła Zofia w wywiadzie udzielonym tuż przed śmiercią – to [Krzysztof] zastrzegł, że nie chce mieć dzieci. Powiedział: »Ty już masz dziecko i ono będzie nasze. A jak ja bym miał dzieci, to robiłbym nie to, co chcę, ale co muszę, żeby miały co jeść. Sprzedałbym się«. Mnie to było na rękę. Ze względu na Tomka. Nie chciałam, by czuł się gorszy, że on ma ojczyzna, a jego rodzeństwo ojca»[107].

Zofia i Krzysztof podzielili się domowymi obowiązkami, co w praktyce oznaczało, że wszystko wzięła na siebie żona. Całkowicie uwolniła partnera od codziennych problemów – on miał tylko grać i komponować. Z czasem zaczęło to przybierać wręcz groteskowe formy.

„Ja byłam kucharką – opowiadała Zosia. – Ja byłam niańką. Ja byłam fryzjerką jego, żeby nie tracić czasu. Ja wszystko mu załatwiałam. On nie znał numeru swojego kołnierzyka, numeru swojego buta. Od tego wszystkiego byłam ja»[108].

W domu nie mieli nawet telewizora (choć na odbiornik mogli już sobie pozwolić), Krzysztof nie odczuwał bowiem takiej potrzeby, a żona podporządkowała się jego woli. Była nie tylko panią domu, lecz także impresariem i menedżerem męża. Na jej barkach spoczywało praktycznie wszystko.

„Począwszy od prania brudnych gaci jej »chłopów« [...]– wspominał pasierb Komedy, Tomasz Lach – a skończywszy na umowach, całej »papierkowej« biurokracji i perfekcyjnym egzekwowaniu grafiku trasy koncertowej, porządku występów, tury nagraniowej do nowej płyty, do filmu, polskiego, skandynawskiego, belgijskiego czy angielskiego, nieważne... To trzeba załatwić. Nie jutro. Teraz i skutecznie. Jeżeli chciałoby się Zosię doprowadzić na cito, natychmiast do szafu, to wystarczy jej powiedzieć, że tak, zrobię to jutro... Odreagowuje, odpoczywa tak, jak to jest »teraz« możliwe [...]. Nie teraz. To jest »Czas



Komedy»[109].

Odporność psychiczna pani Komedowej miała jednak swoje granice. Czasami „nocą zamykała się w ciemnej łazience i z głową na desce wucetu płakała”. I coraz częściej sięgała po alkohol, a wobec innych ludzi bywała agresywna. Ale dla męża nadal stanowiła jedyną podporę i bez niej nie byłoby sukcesów Krzysztofa.

Znakomicie natomiast układały się stosunki Komedy z pasierbem. Krzysztof dobrze wszedł w rolę opiekuna albo raczej starszego brata chłopca. Imponował mu, doskonale zresztą wiedział, w jaki sposób może zyskać jego uznanie. Gdy Tomek zaczął pasjonować się muzyką Beatlesów, niezwłocznie ściągnął z Zachodu (!!!) ich najnowszą płytę. W czasach PRL niewielu mogło sobie na to pozwolić.

„Na wychowanie mnie nie miał zbyt wiele czasu – wspominał Tomasz Lach – dlatego umówiliśmy się, że rozmawiamy jak kumple. Przed wieloma rzeczami mnie uchronił. Teraz myślę, że pomogły mu studia medyczne, znajomość psychologii. Obserwował mnie i uprzedzał zachowania oraz reakcje. Kiedy zobaczył, że mam uzdolnienia plastyczne, dostałem od niego pierwsze farby. Gdy zacząłem mówić o fotografii, kupił mi aparat od operatora Jerzego Lipmana. Poniemiecki. Ze swastyką!”[110].

Podobno Komeda sprzeciwiał się wszelkim kontaktom chłopca z jego biologicznym ojcem. Chciał go od niego odciąć także pod względem finansowym. Dlaczego jednak nie zdecydował się na adopcję pasierba? To przecież załatwiłoby wszystkie problemy. Kolejna tajemnica...

Zofia była Komedzie niezbędna do życia, ale chyba gdzieś popełniła błąd. Niewykluczone, iż zlekceważyła fakt, że mężczyźni rzadko odczuwają pociąg seksualny do kobiet zaborczych i nadopiekuńczych. Tymczasem ona ustawiła się na pozycji nieomal matki swojego partnera, podczas gdy Krzysztof nie sprawiał wrażenia człowieka cierpiącego na kompleks Edypa. A może po prostu prawdziwe jest to stare powiedzenie, że kobieta

może dać mężczyźnie szczęście, ale zadowolenie dadzą mu dopiero kobiety? I to w liczbie zdecydowanie mnogiej...

## KOMEDA I WIELBICIELKI

Ciekawe światło na osobowość Krzysztofa i jego stosunki z żoną rzuca wypowiedź plastyka, Rosława Szaybo.

„Raz Krzysztof przyszedł do mnie i mówi: »Wiem, Rosław, że marzysz o *Lambretcie*, bo zawsze gładzisz siodełko, gdy rozmawiamy. Sprzedam ci moją *Lambrettę* za niewielkie pieniądze«. Przymknął oczy i mówi: »Jestem żonaty i wożę tylko Zosię. To nie jest dobre, ty mógłbyś wozić ciągle inne, piękne dziewczyny tym skuterem. Dlatego oddam ci go»[111].

Po latach Zosia twierdziła, że mąż tylko raz ją zdradził. Podobno była to przygoda z pewną aktorką, która w Komedzie widziała wyłącznie genialnego kompozytora i chciała go wykorzystać dla własnej kariery. Jednak w innym wywiadzie pani Komedowa przyznała, że zdrady partnera stanowiły pewien problem. I to wcale nie jednostkowy:

„Ja to traktowałam w stosunku do tych pań niejednokrotnie jako nielojalność, bo one jak wdzierały się do mnie do domu, to pod pretekstem, że są moimi przyjaciółkami. Przeważnie to były aktorki śpiewające i ja tylko pograżałam i mówiłam: »To nie dla twojej urody Krzysiu, tylko chcą mieć akompaniatora i kompozytora. [...] Ja byłam rzeczywiście potworna, ja byłam rzeczywiście bardzo despotyczna. Ale on się przecież mnie nie bał, on był tylko taki cichy z natury, ale on i tak załatwił wszystko, co on chciał»[112].

W krytycznych chwilach Komeda nie kłócił się z żoną, tylko spokojnie czekał, aż minie jej atak furii. I nawet wtedy, gdy go spakowała i wypchnęła za drzwi, to grzecznie stał na korytarzu z walizką w ręku. I słusznie, bo po 40 minutach Zofia otworzyła drzwi i zaprosiła go do mieszkania, mówiąc, że „już jej przeszło”.

Komeda wzbudzał zainteresowanie nie tylko „aktorek śpiewających”. Był utalentowanym muzykiem i kompozytorem, a do tego miał wiele chłopięcego wdzięku. I to wystarczało, by dziewczyny patrzyły na niego zupełnie inaczej niż na pozostałych mężczyzn. Bo czy znajdzie się kobieta, która choć raz w życiu nie chciałaby zostać żoną genialnego artysty?

„[...] patrzyłam, jak na niego patrzą dziewczyny – wspominała recitale w »Hybrydach« Agnieszka Osiecka. – To był specjalny typ dziewczyn. To nie były żadne takie rozwydrzone kanarówki ani żadne zetempówki w moim tamtejszym stylu. Tylko to były delikatne, nieumalowane dziewczyny, równie milczące jak Krzyś, które jakoś tak zwieszały się z pianina i czegoś bardzo ważnego po tej muzyce się spodziewały i dostawały od tej muzyki to coś”[113].

Zofia starała się panować nad sytuacją i kiedyś przyznała nawet, że czasem jeździła z mężem wyłącznie po to, by pilnować jego wierności. I miała rację, bo Krzysztof potrafił korzystać z okazji. I tak oto, gdy Zofia przyjechała do Londynu, do męża pracującego nad muzyką do filmu Polańskiego, znalazła tam dowody jego niełojalności:

„[...] odebrała dziwny telefon od Catherine Deneuve, której wtedy jeszcze nie znała – opisywała biografka Komedy, Emilia Batura. – Francuska aktorka wraz z mężem zaprosili ją, również z mężem, na obiad do eleganckiej restauracji. I kiedy już siedzieli przy stoliku, Catherine wyjawiała powód tego zaproszenia. Otóż nie chcąc robić plotek, w obecności Krzysia poinformowała panią Komedową, że przez przeszło tydzień mieszkała u jej małżonka pewna pani, która na trzy dni przed przyjazdem Zosi wyniosła się – oczywiście do Krzysztofowego przyjaciela”[114].

Zosia mogła narzekać na niewierność męża, ale sama również nie zawsze była lojalna. Miała romans z duńskim dokumentalistą, Jørgenem Lethem, który był zaprzyjaźniony z Krzysztofem. Z jego wypowiedzi można nawet wywnioskować, że małżeństwo Komedów miało raczej otwarty charakter.

„[Komeda] lubił przebywać wśród mężczyzn, ale i wśród

kobiet – opowiadał Duńczyk. – Był uwodzicielem! Ale na przykład wybaczył mi mój romans z Zofią. Po jednej z takich nocy, gdy awantura wisiała w powietrzu, [...] następnego dnia odlatywał do Krakowa i na lotnisku powiedział mi, żebym nie martwił się o naszą przyjaźń”[115].

Podobno przyczyną wielu nieporozumień między małżonkami były ambicje Zofii. Pani Komedowa nie „chciała być tylko częścią” muzyki męża, ale „sama chciała być Komedą”. A on „nie chciał być Zosią”, co „powodowało zgrzyty”. I może to właśnie było podstawowym problemem tego związku.

### DEMONY KRZYSIA

„[...] ja rządziłam domem, byłam głową, szyją właściwie – przyznawała Zosia. – My tutaj, w Warszawie, żyliśmy w tym małym mieszkanku, 42 m. [...] W jednym pomieszczeniu była kuchnia oraz biurko i łóżeczko Tomka, a w drugim nasz pokój z wnęką, w której pracował Krzysiu. Biurko naprzeciw pianina, a na półce mikrofon i magnetofon, na którym wszystko nagrywał. Bo jak komponował, to śpiewał. Według mnie fałszował. Mówiłam mu: nie śpiewaj. Wtedy gwizdał, ale równie źle. Gdzieś te nagrania jeszcze są. Jemu tak łatwo przychodziło komponowanie, że mógł pisać nawet trzy piosenki dziennie. Ale tego unikał. Piosenki pisał tylko, jeśli wymagała tego akcja filmu. A jak już coś napisał, to brał kolegów, żeby mu powiedzieli, czy to nie plagiat. Bał się, że będzie wtórny”[116].

Komeda nie tylko grał i komponował, lecz także znajdował czas na słuchanie nowej muzyki. I nie zmienił swoich preferencji towarzyskich, bo pomimo odnoszonych sukcesów pozostał tym samym człowiekiem co dawniej. Miał wprawdzie dla przyjaciół mniej czasu niż wcześniej, ale nigdy nie zachowywał się jak gwiazda.

„Chciałem zaprosić kilka osób na obławanie mieszkania i nie

mogłem znaleźć – wspominał Witold Sobociński. – Jedynym moim przyjacielem był Krzysztof, który akurat nawinął się pod rękę. I zaprosiłem go i jeszcze jednego kolegę, perkusistę Federowskiego. Skończyło się tym, że słuchaliśmy muzyki przez dwa dni i dwie noce bez przerwy. Było wspaniale – sami w całym pustym domu, pustym mieszkaniu, tylko magnetofon na ziemi. To były wspaniałe chwile”[117].

Pomimo swojej ułomności Komeda kochał sport, znakomicie jeździł na nartach, świetnie pływał, był dobrym nurkiem. Podczas pobytu w Bułgarii potrafił tak daleko wypłynąć w morze, że na plażę przywieźli go łodzią miejscowi pogranicznicy. Jednocześnie miał wiele słabości – był somnambulikiem (lunatykiem), cierpiał również na zaburzenia pamięci i koncentracji na tle dysleksyjnym. A pod maską beznamietności kłębiły się w jego duszy prawdziwe demony.

„Wszyscy zazdrościli mu opanowania i spokoju – mówiła Zosia. – Ja też myślałam, że on takim jest. Dopiero z czasem zorientowałam się, że to jest wszystko maska, że to jest powierzchowność, którą sobie narzucił, że ten człowiek wewnątrz jest cały czas w jakimś ogromnym napięciu, zdenerwowany i przeżywający wszystko ogromnie. W nocy nieraz krzyczał bardzo. I wtedy ja go budziłam, i mówiłam: »Krzysiu, Krzysiu, tobie się coś śni. Wszystko jest dobrze, teraz śpimy, jest noc«”[118].

Komeda miał również cały repertuar osobistych rytuałów i przesądów. I o ile można było jeszcze zrozumieć nawyk długiego moczenia dłoni w gorącej wodzie przed koncertem, o tyle inne jego zachowania były już zupełnie irracjonalne. Potrafił przejawiać paniczny strach w najmniej spodziewanych chwilach.

„Bał się bardzo widoku spękanej ziemi – kontynuowała Zosia. – Czasami jest taka glina, wysuszona przez słońce, na której jest dużo takich rys. [Ten widok] wytwarzał w nim jakiś lęk ogromny. Śmiałam się z tego, nie mogłam tego zrozumieć, dlaczego się tego boi. Jak przyjechałam do Kalifornii, po raz drugi, wtedy gdy

Krzysio już był ciężko chory, umierał, popatrzyłam na ziemię, tam tak ziemia wygląda. Tam jest ciągle słońce. Przestraszyłam się bardzo wtedy tego”[119].

### DZIECKO ROSEMARY

Startujący do wielkiej kariery Roman Polański nie zapomniał o swoim przyjacielu. Wprawdzie do pierwszego filmu powstałego na Zachodzie (*Wstrętu*) musiał zatrudnić innego kompozytora, jednak niebawem mógł już sobie pozwolić na dyktowanie swoich warunków.

„Roman był zawsze hojny i lojalny wobec swoich przyjaciół – wspominał producent, Gene Gutowski – dlatego razem walczyliśmy o to, by Krzysztof Komeda uzyskał pozwolenie na pisanie muzyki do naszych filmów kręconych w Anglii. Później Roman zmusił wytwórnię Paramount do zatrudnienia Komedy w Hollywood przy filmie *Rosemary’s Baby*”[120].

Krzysztof skomponował muzykę do *Matni* i *Nieustraszonych pogromców wampirów*, a gdy Polański rozpoczął pracę w Hollywood, to również i on pojawił się w Kalifornii. Inna sprawa, że kompozytor zza żelaznej kurtyny był znacznie tańszy od miejscowych twórców, a w „fabryce snów” potrafią liczyć pieniądze.

„Wracaliśmy kiedyś z Krzysztofem z Łodzi – opowiadał Witold Sobociński – on nagrywał jakąś muzykę do jakiegoś filmu, ja robiłem zdjęcia. [...] Jechaliśmy nocą jego samochodem. Była piękna, księżycowa noc. Stanęliśmy na takim parkingu gdzieś koło Sochaczewa. Wyszliśmy sobie nad rzekę i tak każdy snuł swoje plany na przyszłość. Krzysztof mówił, że jego najważniejszym marzeniem jest napisanie jakiejś muzyki do dobrego filmu. Uważał, że miejsce w Ameryce, tam w Hollywood, to jest właściwe [dla niego]. Bardzo wierzył w ten wyjazd. Okazało się, że to było nasze ostatnie spotkanie”[121].

Polański wezwał Komedę w październiku 1967 roku, gdy ten przebywał wraz z żoną na wakacjach w Jugosławii. Było jeszcze ciepło, mógł zatem do woli nurkować w morzu i łowić kraby oraz mule. Podobno chciał wyjechać do USA dopiero po świętach Bożego Narodzenia, ale Polański naciskał. Odleciał zatem za ocean już w połowie grudnia.

I nie zawiódł swojego przyjaciela, skomponował bowiem znakomitą ilustrację muzyczną, a słynny motyw przewodni z *Dziecka Rosemary* do dzisiaj pozostaje jednym z najśłynniejszych tematów filmowych. Znany jest zresztą z bardzo wielu interpretacji.

„[...] napisał dwie kołysanki do *Dziecka Rosemary* – wspominał Polański – obie tak świetne, że długośmy się wahali, zanim wybraliśmy tę, która stanowi lejtmotyw filmu. Była być może mniej komercyjna, ale lepiej pasowała do kontekstu. Chcieliśmy, by delikatnie, sugestywnie nucona, zabrzmiała na początku filmu. Zamiast zwrócić się do zawodowej piosenkarki, poprosiłem, aby zaśpiewała ją Mia [Farrow – S.K.], chodziło mi przede wszystkim o to, by publiczność słyszała głos bohaterki. Zdumiało mnie, jak wspaniale Mia wywiązała się z zadania: w rezultacie nie ma żadnej wątpliwości, że to jej głos towarzyszy czołówce. Nie pierwszy raz mój film nabierał dodatkowego wymiaru dzięki cudownej, pełnej inwencji muzyce mojego przyjaciela Komedę”[122].

Muzyka Krzysztofa do filmu Polańskiego odniosła wręcz nieprawdopodobny sukces komercyjny, a także została nominowana do Złotego Globu. Amerykańskie stacje radiowe nadawały ją niemal bez przerwy, czego świadkiem była Zofia, która na przełomie stycznia i lutego przyjechała do swojego męża:

„Tam się jeździ otwartymi samochodami i [jest tam] *Top Twenty*, taka radiostacja, która nadaje na okrągło te pierwsze czterdzieści czy pierwsze dwadzieścia kompozycji, które są na topie, najważniejsze. I myśmy jeździli samochodem otwartym i myśmy słyszeli, cały czas słyszeli ze wszystkich samochodów

dobiegającą tę kołysankę z *Rosemary's Baby*, więc Krzysztof był zachwycony, był szczęśliwy i dumny. I mówił: »Ja, popatrz, ja. Moje, moje« [123].

Komeda początkowo zatrzymał się u Polańskiego i jego narzeczonej, Sharon Tate, a następnie przeniósł się do apartamentu opłacanego przez Paramount. Hotel nie był jednak dobrym miejscem do komponowania, więc po pierwszej solidnej zaliczce zamieszkał w wynajętym domku w Beverly Hills. Okolica bardzo mu odpowiadała, a widok pobliskich wzgórz wydawał się najpiękniejszy na świecie. Jednakże początki pobytu w Kalifornii nie należały do najłatwiejszych.

„Krzysztof przez pierwsze miesiące po przybyciu do Hollywood potrzebował pomocy – pisał jego pasierb, Tomasz Lach. – Potrzebował kierowcy, przewodnika w miejskim labiryncie Los Angeles i w gąszczu zabudowań studyjnych wytwórni filmowej. Potrzebował sekretarza. Kogoś, kto wie, jak wynająć samochód, apartament, meble, sprzęt muzyczny. Gdzie robić zakupy, gdzie oddawać ubrania do prania. Gdzie i jak normalnie żyć, egzystować jak każdy inny Kalifornijczyk” [124].

Rolę sekretarza wziął na siebie mieszkający od lat w USA plastyk, Marek Niziński. Przez pierwsze dwa miesiące Paramount opłacał jego usługi, a w tym czasie panowie polubili się i Niziński został jednym z najbliższych przyjaciół Krzysztofa.

Drugim bliskim przyjacielem Komedy stał się Marek Hłasko, również ściągnięty do Kalifornii przez Polańskiego. Miał tam pisać dla niego scenariusze, okazało się jednak, że jest zbyt mało amerykański, by podołać temu zadaniu. Pozostał jednak w Beverly Hills i spędzał czas głównie z Komedą oraz Nizińskim. Panowie konsumowali wspólnie ogromne ilości alkoholu, co jednak nie przeszkadzało kompozytorowi w pracy. Krzysztof był bowiem profesjonalistą i potrafił oddzielić obowiązki zawodowe od zabawy.

Komeda zachłysnął się Ameryką i praktycznie wszystko w Kalifornii mu się podobało.



„Los Angeles, olbrzymi ruch i ogrom miasta sprawiły go w stan rozmarzenia – wspominał Polański. [...] W czasie jednej z hollywoodzkich wypraw – pożyczyłem mu motocykl Yamaha, który traktowałem jak zabawkę – zatrzymała go na autostradzie policja, ponieważ jechał za wolno. Kiedy łamaną angielszczyzną wytłumaczył, że się boi, policjanci eskortowali go do samego domu, by zaoszczędzić mu stresu. Ten przyjacielski gest – zupełnie nie do pomyslenia w Polsce – sprawił go w osłupienie”[125].

Natomiast Zosia nie potrafiła się zaadaptować w USA. Wszystko ją tam irytowało, a najbardziej to, że Krzysztof wcale nie myślał o powrocie. Miał w planach następne filmy, a za oceanem wreszcie poczuł się docenianym artystą. I chyba imponowało mu środowisko filmowców, czego pani Komedowa nie mogła zrozumieć. Podobnie zresztą jak mentalności Amerykanów.

„Tam jest wieczna walka o pozycję – narzekała po latach – pogoń za sławą i coraz większymi pieniędzmi. To mówię o artystach. Reszta społeczeństwa ma niesłuchanie »konsumencki« stosunek do życia: praca, zarobek, pokazanie innym swojego sukcesu. [...] Z Krzysiem często rozmawialiśmy na ten temat. Tłumaczył mi: »Nie możesz tego wszystkiego wrzucać do jednego worka, bo skąd by się wzięła ich wspaniała literatura, muzyka, film, teatr, malarstwo, wszystkie sztuki plastyczne, architektura? Tutaj jest mnóstwo wspaniałych ludzi, tylko że żyją w hermetycznych środowiskach, dotrzeć do nich – to problem«”[126].

Zofia kontestowała miejscowe otoczenie, chodziła na przyjęcia „w chodakach skandynawskich, jeansach, wkładała Krzysia sweter z przydługimi rękawami”. Nie ukrywała niechęci wobec ludzi z branży, co nie było najlepszym rozwiązaniem. Mąż miał przecież kontrakt z Paramountem, a ona zachowywała się jak mała, obrażona na cały świat dziewczynka. Tymczasem Komeda naprawdę myślał o związaniu się z Hollywood na stałe, bo tam miał szansę na światową karierę. A poza tym zasmakował w

luksusowym stylu życia.

„[...] Ameryka to jest zupełnie coś innego – tłumaczyła Ewa Krzyżanowska, matka Marka Nizińskiego. – Powiedziałabym, że coś, co fascynuje z miejsca i chciałoby się wszystkiego dotknąć, wszystko zobaczyć, wszystko połknąć po prostu. [...] To jest ta jedyna woda sodowa w Ameryce, którą ja zauważyłam u Komedu. Wynajął sobie porsche, co go szalenie drogo kosztowało. Obłąd w oczach z rozkoszy prowadzenia tego auta – to było [przecież] sportowe auto. A potem zmienił sobie to porsche na mustanga. »Ja wiem, że obłąd mnie wtedy ogarnia« – mówił – »bo to jest to«. [...] Powiedział kiedyś, że gdyby nie był muzykiem, to pewnie byłby sportowcem i zapewne też rajdowcem”[127].

Porsche wynajmowane przez Komedę pochodziło z limitowanej serii – był to model 911S, wkrótce zresztą wycofany ze sprzedaży w USA jako zbyt niebezpieczny. Ale Krzysztof znalazł godną rekompensatę, bo silnik jego żółtego forda mustanga miał podobno moc aż 300 koni mechanicznych, a pojazd był dodatkowo wyposażony w radiotelefon...

Zosia powróciła do kraju, w Polsce trwały bowiem burzliwe wydarzenia 1968 roku, a 14-letni syn pozostawał pod opieką jej wiekowej matki. Ponadto uznała, że ma za dużo lat, aby zaczynać wszystko od nowa. Poza tym niektórzy uważali, że nie mogła zaakceptować faktu, iż w USA była tylko panią Komedową, czyli żoną przy mężu. Na to była stanowczo zbyt ambitna...

„Nigdy nie było mowy o jakimkolwiek pozostaniu na Zachodzie – konfabulowała Zofia po latach. – Nigdy. Natomiast jeśli chodzi o Amerykę, [to] nigdy w życiu Krzysztof nie powiedział mi, że planuje zostać w Ameryce. Wręcz odwrotnie – powiedział mi, że szykuje mu się wspaniała propozycja, ponieważ Paramount Pictures Corporation proponuje mu stałą współpracę. Zresztą gdy powiedział im, że on chce wrócić do Polski, to oni powiedzieli mu: »To nic nie przeszkadza, podpiszesz po prostu z nami umowę, że jesteś zobowiązany wykonać dla nas trzy filmy w roku. Czasem przyjedziesz do nas do Hollywood, czasem tę muzy-

kę będziesz robił w Londynie. A czasem w ogóle obejrzysz gdzieś materiały, napiszesz w Polsce, a tylko wyjedziesz gdzieś nagrać”[128].

Informacje pani Komedowej są jednak dość wątpliwej jakości. Być może Paramount rzeczywiście złożył Krzysztofowi podobną ofertę, ale zapewne nie obejmowała ona jego powrotu do Polski. Kompozytor faktycznie mógłby pracować gdzieś w wolnym świecie (podobnie jak Ennio Morricone we Włoszech), ale na pewno nie za żelazną kurtyną. W krajach komunistycznych zawsze bowiem istniała groźba zatrzymania paszportu, co dla koncernu filmowego oznaczałoby poważne straty. Na domiar złego w tym czasie w Polsce wrzało po protestach studenckich, a wojska Układu Warszawskiego interweniowały w Czechosłowacji. W życiu Krzysztofa pojawiła się zresztą nowa kobieta i nie był to wcale przelotny romans.

#### ELANA COOPER

Według Romana Polańskiego po wyjeździe Zofii Komeda poczuł się wreszcie szczęśliwy. Uwolnił się bowiem „od zaborczej i kłótlivej żony”, a do tego „zakochał się w izraelskiej aktorce”, co zdecydowanie poprawiało mu samopoczucie.

Inne zdanie na ten temat miał pasierb kompozytora, Tomasz Lach. Uważał on, że po wyjeździe żony Krzysztof czuł się „koszmarnie” i w efekcie „pił za dużo, spał znacznie za mało i poza pisaniem muzyki zawałał wszystko”. Jednak biorąc pod uwagę fakt, że zawodem Komedy było komponowanie, trudno uznać, by separacja z żoną miała negatywny wpływ na jego karierę zawodową.

„Zofia jest w Polsce – pisał Krzysztof do Henninga Carlsena. – Z nami już chyba koniec. Powinienem być playboyem, ale mam tu dziewczynę. I nowy kłopot. Więc nie tylko ty masz problemy. Kiedy pogadamy? Bywam tu samotny i musimy to

przeczekać”[129].

Elana Lani Cooper była młodsza od Krzysztofa o dziewięć lat (od Zosi o jedenaście), urodziła się w Bat Yarn w okolicach Tel Awiwu. Jej ojciec pochodził z Rosji i był z zawodu ogrodnikiem, natomiast matka przysłała na świat na ziemiach polskich. Rodzice Elany wyjechali do Palestyny na początku lat 30. XX stulecia i ten kraj uznawali za swoją ojczyznę.

Wybranka Komedy zaczynała karierę aktorską jeszcze w Izraelu, tam też odbyła służbę wojskową (obowiązkową dla kobiet), przez rok asystując operatorowi ciężkiego karabinu maszynowego. W 1958 roku w Londynie jako Elana (Elena) Eden wzięła udział w castingu do filmu *Pamiętnik Anny Frank*. Roli nie dostała, ale jej semicka uroda zapadła w pamięć producentom.

„[...] już prawie zrezygnowała z bycia aktorką – pisała dziennikarka »The Milwaukee Journal Sentinel« w marcu 1960 roku – kiedy z Londynu przyszło zaproszenie na casting do roli Rut. Była jedną z dziewczyn, które kierownik obsady z 20th Century Fox sfotografował przed filmem *Pamiętnik Anny Frank*. Po przesłuchaniu setek dziewcząt kandydujących do roli Rut nagle przypomniał on sobie zdjęcie Elany i jej smagłą karnację, która mogła ją uczynić doskonałą Rut lub inną podobną postacią biblijną”[130] (tłum. M. Czerwieniec).

Panna Eden dostała rolę, odniosła sukces, a jej marzeniem stało się ściągnięcie rodziców do Hollywood. Niestety było to nierealne, Elana dobrze bowiem wiedziała, że oni „w żadnym wypadku nawet na krótko nie opuszczą swojej farmy”. Uważała jednak, iż „mieli tak ciężkie życie, że byłoby wspaniale coś dla nich zrobić”.

Wywiad z aktorką w „The Milwaukee Journal Sentinel” wywołuje bardzo pozytywne wrażenie. Panna Eden udzielała rozsądnych odpowiedzi, nie było w niej nawet cienia gwiazdorstwa. Pomimo odniesionego sukcesu pozostała skromną osobą, która wie, że jest dopiero na początku drogi do kariery.

„Ta inteligentna dziewczyna kilka lat wcześniej raz pracowała

w gazecie (ma tylko 19 lat), ale od zawsze pisała wiersze i ma ambicję być we wszystkim coraz lepsza. Ma chłonny umysł i każdego dnia coś czyta.

Elana mieszka sama w jednopokojowym mieszkaniu z kuchnią, łazienką oraz garderobą i codziennie chodzi do studia. Od urodzenia zna ciężką pracę, a swojego pierwszego dolara zarobiła w wieku dwunastu lat, sprzedając kwiaty z ogrodu ojca. Kocha Amerykę, ale wie, że klimat Hollywood jest zupełnie inny niż ten w Izraelu”[131].

Reporterka amerykańskiej gazety była pod wrażeniem osobowości Elany. I przyznała, że rzadko „miała okazję rozmawiać z tak interesującą dziewczyną”. Albowiem Izraelka mówi „swobodnie i szczerze odpowiada na pytania”, a do tego nie jest „afektowana ani też nie stara mi się przypodobać”.

Po sukcesie *Historii Rut* Elana została uznana za „najpiękniejszą z izraelskich gwiazd”, brała udział w programach telewizyjnych, pojawiała się również w obsadzie seriali. W 1962 roku niespodziewanie wyjechała jednak do Izraela. Nie znamy przyczyn tej decyzji, być może zadecydowały sprawy osobiste. Po powrocie do kraju wyszła bowiem za mąż za pisarza i dramaturga Nissima Aloni. Była dalej aktywna zawodowo, aczkolwiek małżeństwo się nie układało i po trzech latach zakończyło rozwodem.

Tomasz Lach ma natomiast własne zdanie na temat przyczyn porzucenia Kalifornii przez Elanę. Według niego dziewczyna była po prostu agentką Mosadu.

„Bomba wybuchła w styczniu 1962 roku. Jordańskie służby specjalne ogłosiły listę dziewięciu najbardziej wpływowych i stanowiących największe zagrożenie dla świata arabskiego amerykańskich artystów, takich jak Elizabeth Taylor, Jerry Lewis, Paul Newman... i Elana Eden, którą oskarżano o czynną i wyjątkowo aktywną współpracę z izraelskimi służbami specjalnymi. Kilka tygodni po ukazaniu się tych denuncjacji Elana Lani Cooper-Eden wróciła do Izraela i wiosną tego samego roku

wyszła za mąż za Nissima Aloni [...]”[132].

Tylko czy ktoś będący przy zdrowych zmysłach uwierzy w arabską propagandę? Tym bardziej, że Elana po rozwodzie wróciła do USA. Jednak dla pasierba Komedy jest to kolejny „dowód” na jej współpracę z izraelskim wywiadem.

„[...] powraca w grudniu 1966 roku do Hollywood, przekraczając granicę jako Elana Lani Cooper, ale po dotarciu z Nowego Jorku do Los Angeles wynajmuje samochód i hotelowy pokój jako Ilana Elena Eden. Mieszasz. I tragedia, ponieważ nikt tu już na nią nie czeka i nikt nie wybaczy jej zerwania tak obiecującego kontraktu z 1962 roku! Hollywoodzkie gwiazdy nie lawirują, byłoby to wbrew zasadom uznawanej, lecz przede wszystkim monetarnej fizyki [...]. Gwiazda upadła nie wraca. Bo co to byłby za interes?”[133].

Innym dowodem miała być częsta zmiana pseudonimów, a szczególnie nieużywanie własnego nazwiska. Tym razem Tomasz Lach zdaje się zapominać, że w Hollywood nazwisko Cooper było raczej zarezerwowane dla pewnego gwiazdora westernów...

Po powrocie do Kalifornii Elana próbowała swoich sił jako piosenkarka, miała zresztą interesujący głos i zbierała niezłe recenzje. Obracała się jednak głównie w kręgach United Jewish Appeal (żydowskiej organizacji dobroczynnej), co raczej nie powinno dziwić. Brakowało jej bowiem odpowiedniej siły przebiecia oraz dobrych kompozycji. Zagrała także w jednym z odcinków serialu telewizyjnego *It Takes a Thief*, pojawiła się również na planie „mydłanego spektaklu serialowego”.

Pasierb Komedy sugerował, że Elana pozostawiła w Izraelu dziecko, na co dowodem miała być opinia Marka Nizińskiego, który widział dziewczynę w kostiumie kąpielowym. Nie wyjaśnił jednak, jakie to miały być dowody, ślady po cesarskim cięciu pozostają bowiem w bardzo intymnych miejscach. Ale podobno Niziński znał się na kobietach jak mało kto...

Z dużą niechęcią do Elany odnosił się również Marek Hłasko. Podczas pobytu w Izraelu poznał bowiem wystarczającą liczbę

tamtejszych dziewcząt, by teraz czuć się uprawnionym do przestrzegania Komedy. Tylko że nikt nie zapytał Hłaski, czyjego izraelskie przyjaciółki na pewno dobrze go wspominały. Ci, którzy znali pisarza, mogli w to powątpiewać.

Kolejnym dowodem na agenturalną działalność Elany miała być jej znakomita znajomość języków obcych:

„[...] hebrajski i jidysz, to wiadomo, i do tego angielski, francuski oraz o dziwo niemiecki perfekty, lecz nie tylko, również rosyjski i jak to kiedyś Marek Niziński wydedukował, przysłuchując się oraz obserwując rozmowę prowadzoną przez Krzysia i Marka Hłaskę w jej obecności... musi znać również polski, tyle że to ukrywa, ponieważ – co nie umknęło spostrzegawczości Nizicha-fotografa – reaguje spontaniczną mimiką i gestem, a także wtrącaniem się, oczywiście po angielsku, w tych momentach dyskusji, które stają się dla niej ciekawe lub niebezpieczne. Kim więc jest Elana, vel Elena, vel liana, vel Lani Cooper-Eden-Foch-Kuper-Myrow? Lekkomysłną, niestabilną psychicznie i niedorośli emocjonalnie dziewczyną z dalekiego, kwiecisto-lazurowego śródziemnomorskiego Bat Yarn, pechową i niespecjalnie rozgarniętą femme fatale, [...] wojującą feministką, funkcjonariuszką Jednostki Specjalnej No. 131, czyli izraelskiego Mosadu [...]”[134].

Zadziwiająca jest spostrzegawczość Nizińskiego, który zachowywał się w taki sposób, jakby sam był agentem tajnych służb. Znajomość polskiego stosunkowo łatwo można wytłumaczyć tym, że przecież matka Elany pochodziła z naszego kraju, a wśród imigrantów w Izraelu język polski był powszechnie znany. Elana zresztą mogła tylko rozumieć po polsku, co wyjaśniałoby, dlaczego nie używała tego języka. I chyba specjalnie znajomości polskiego nie ukrywała, skoro wtrącała się po angielsku do rozmowy prowadzonej w naszym języku! A zdolności lingwistyczne nie czynią jeszcze z nikogo agenta Mosadu...

Lach przyznał zresztą, że większości swoich pseudonimów

Elana używała jeszcze w Izraelu, gdzie wraz z mężem występowała w objazdowej trupie Seasons Theatre. I warto jeszcze wiedzieć, że Ilona, Elana, Elena czy liana są różnymi wersjami tego samego imienia (Helena), którego brzmienie zależy od obojętnego w danym kraju języka...

Komeda poznał Elanę na jakimś przyjęciu w Hollywood. Zrobiła na nim duże wrażenie, on również jej się spodobał. Zostali parą i Krzysztof był chyba z Elaną szczęśliwy. Być może ona miała nadzieję, że jego kompozycje pomogą jej w muzycznej karierze, ale czy było w tym coś złego? Ostatecznie partnerzy powinni wspierać się wzajemnie, a Komeda był modnym kompozytorem. Dla niego stworzenie przeboju nie stanowiło żadnego problemu. A czy mężczyzna może czegoś odmówić ukochanej kobiecie?

## SPEKANA ZIEMIA

Po przyjeździe do Warszawy Zofia usiłowała żyć normalnie. Zdawała sobie sprawę z tego, że Krzysztof do Polski już nie wróci, ale zapewne miała jeszcze nadzieję, że dojdą do porozumienia. I jeżeli nawet Komeda zostanie za granicą, to przecież będą mogli razem zamieszkać gdzieś w zachodniej Europie. Nie wiadomo, czy wiedziała o niewierności męża, ale z drugiej strony nie była to przecież jego pierwsza zdrada.

Zosia dalej pracowała w Polskiej Federacji Jazzowej, natomiast w domu dorabiała szydełkowaniem. Pomagała jej w tym Ewa Frykowska, pierwsza żona Wojtka, która zamieszkała u niej.

„[...] była bardzo energiczna i piekielnie zaradna – wspominała Ewa po latach. – Wymyśliła, że będziemy zarabiały robótkami ręcznymi, sprzedając nasze kreacje znajomym. [...] Interes kwitł. Robiliśmy długie spódnice, a dla tych, co miały zgrabne nogi, hotpanty, czyli krótkie majtki, które wchodziły wtedy w modę. Nosiło się je z botami wysokimi aż za kolana. Ja byłam specjalistką od krawatów. Sprzedawałam je na pniu,



najczęściej znajomym, których zaskakiwałam w kawiarniach”[135].

Obie panie prowadziły bogate życie towarzyskie, a mieszkanie Zosi stało się bardzo popularnym miejscem spotkań.

„[...] odwiedzały nas tłumy znajomych – kontynuowała Ewa. – Wywiązywały się niespodziewane balangi. Przychodzili głównie muzycy związani z Federacją Jazzową, a także nasze zamożne klientki. Słynny Kulomiot [Władysław Komar – S.K.] wpadał przed każdym treningiem. Odstąpiłam go później Córce Marszałka Polski [Małgorzacie Spychalskiej – S.K.] za czarne rajstopy, które były wtedy w naszym kraju cenniejsze niż olimpijski bohater. [...] Pojawiały się nawet żony, które jeszcze niedawno nie dotykały alkoholu, rockmani, aktorki, młodzi pisarze, malarze, graficy i dziennikarze. Było w czym wybierać”[136].

Na podziw zasługuje charakterystyczna dla Zofii podzielność uwagi. W mieszkaniu trwała niekończąca się impreza, a ona nie przerywała pracy:

„Gospodyni siedziała na centralnym miejscu, [...] wokół niej, na dwóch gdańskich fotelach siedzieli ci, co przyszli pierwsi. Inni goście zalegali gdzie popadło – na zydlach, pufach, a przeważnie na dywanie.

Telewizor był włączony [Komeda kupił go rodzinie tuż przed swoim wyjazdem – S.K.], na bieżąco kontrolowaliśmy, co się dzieje. Ale jednocześnie po drugiej stronie tapczanu waliła muzyka z kolekcji longplayów męża gospodyni. Każdy gość wkupywał się butelką czerwonego wina Gellala. Wszyscy palili ekstra mocne lub sporty. Gospodyni nie przerywała szydełkowania, była tak biegła, że nie musiała patrzeć ani liczyć oczek. Mnie goście rozpraszali. Wolniej mi to szło, ale zarobkami dzieliłyśmy się po równo. Ja odwalałam za to większość robót domowych i chodziłam na zakupy. Czasami gotowałam”[137].

Faktycznie warto było obserwować wydarzenia na ekranie telewizora. Trwał bowiem burzliwy rok 1968, a antysemitka kampania zataczała coraz szersze kręgi.

Gdy Zosia szydełkowała w towarzystwie Ewy, w Kalifornii pojawił się Wojtek Frykowski. Właściwie nie wiadomo, czym dokładnie się zajmował. Podobno próbował prowadzić nielegalne interesy. Niektórzy sugerowali, że łączyły go bliskie kontakty z mafią i handlarzami narkotyków. Tymczasem Polański usiłował pomóc mu odnaleźć się w świecie zachodniego filmu. Frykowski związał się wtedy z Abigail Folger, bliską przyjaciółką Sharon Tate. Dziewczyna pochodziła z niezwykle zamożnej rodziny właścicieli Folger Coffee Company. Wprawdzie Zofia i jej syn sugerowali, że Frykowski zachowywał się jak typowy łowca posagów, ale raczej nie było to prawdą. Podobnie jak stwierdzenie, że Abigail została przez rodzinę wydziedziczona i utrzymywała się wyłącznie z pracy w pomocy społecznej w Los Angeles. Rzeczywiście była tam zatrudniona, ale wynikało to wyłącznie z osobistego zaangażowania w sprawę wspierania najuboższych. Gdyby bowiem została przez rodzinę pozbawiona majątku, to raczej nie mogłaby zainwestować poważnych kwot w nowy salon fryzjerski przyjaciela Sharon, Jaya Sebringa.

Frykowski wszedł do kręgu towarzyskiego Komedy, bo obaj panowie doskonale znali się jeszcze z kraju. Wojtek miał też mieć bliskie kontakty z Elaną i rzekomo oboje usiłowali wykorzystać Krzysztofa. Podobno chcieli zmusić muzyka do napisania dla dziewczyny kilku chwytliwych przebojów, które miały jej zagwarantować sukces płytowy.

Jedna z małych wytwórni muzycznych – pisał Tomasz Lach – wyspecjalizowana w produkcji płyt do szaf grających, zgodziła się wydać singiel z dwiema balladami śpiewanymi przez Ilonę. Z przeznaczeniem dla szaf grających na całym świecie. Był to znakomity, stuprocentowo pewny i dający dwustuprocentowy zysk interes, a do tego genialny start, ponieważ obecny w setkach tysięcy szaf grających wykonawca stawał się automatycznie gwiazdą!”[138].

Ilona napisała już teksty, producentem miał być Frykowski, a cała sprawa rozbiła się wyłącznie o niechęć Komedy. Podobno

Paramount miał wyłączność na jego kompozycje i muzyk nie chciał ryzykować zerwania kontraktu. Ale czy tak było naprawdę? I czy wytwórnia miała również monopol na utwory niezwiązane z produkcją filmową? Przecież Komeda posiadał w swoim dorobku wiele kompozycji, które przy odpowiedniej aranżacji znakomicie nadawałyby się na przeboje dla Elany.

A przy okazji – czy agentka Mosadu przywiązywałaby tak dużą wagę do swojej kariery? Jak pogodzić to z twierdzeniem, że podobno nie pozwalała się nawet fotografować, aby uniknąć dekonspiracji? Ona, której fotosy w czasach promocji *Historii Rut* rozpowszechniano na całym świecie...

Zapewne nigdy się nie dowiemy, jak było naprawdę, na pewno jednak Zosia i jej syn nie darzyli Elany sympatią. Ostatecznie ta dziewczyna odebrała im Krzysztofa, a Frykowski miał tak zszarganą opinię, że można go było bezkarnie oskarżać o całe zło tego świata.

Niebawem zresztą wszystkie problemy rozstrzygnął bezlitosny, ślepy los.

„Kiedys Krzysztof przyszedł do studia – wspominał Roman Polański – i miał czarne obwódki wokół oczu, jak panda. Pytam: »Co się stało?«. Mówi, że szli pijani z Hłaską. Komeda upadł, rozbił sobie głowę, a Marek go niósł, bo był typem macho. I razem upadli”[139].

Idiotyczny, pijacki wypadek położył kres karierze jednego z najzdolniejszych polskich kompozytorów. Krzysztof już nigdy nie powrócił do zdrowia.

„On na własne życzenie wyszedł ze szpitala – opowiadała siostra Krzysztofa. – A przecież był lekarzem i zdawał sobie sprawę z tego, czym to grozi. W dalszym ciągu grał i potrafił mdleć”[140].

Zdażył wybrać się jeszcze na narty z Markiem Nizińskim, ale z każdym dniem czuł się coraz gorzej. Na domiar złego przyplątała się jeszcze grypa, z którą osłabiony organizm nie potrafił sobie poradzić. Miał wprawdzie jechać z Polańskimi do Europy, ale był

zbyt słaby, by zdecydować się na podróż.

„W przeddzień naszego wyjazdu – opowiadał reżyser – zadzwoniła do mnie jego przyjaciółka, Elena, bardzo zaniepokojona. Pytała, czy mogę do nich przyjść. Krzysztof wyglądał fatalnie. Powiedział mi, że ma gripę – w Los Angeles panowała epidemia – i nie czuje się na siłach z nami jechać. Obiecał dołączyć do nas później”[141].

Polański przebywał jeszcze w Europie, gdy lekarze wykryli u Komedy krwiaka mózgu. Konieczna była operacja, po której kompozytor zapadł w śpiączkę.

„Zaraz po powrocie do Los Angeles odwiedziliśmy Krzysztofa w szpitalu. Leżał z obandażowaną głową, z rurkami w nosie i gardle, zastosowano bowiem tracheotomię. Oczy miał otwarte, ale nie widział nas. Był w stanie śpiączki. Wychudły, z zapadniętymi policzkami, miał dziwny wyraz twarzy rozdrażnionego dziecka.

Bardzo powoli zwróciłem się do niego po polsku: »Krzysztof, jeśli mnie słyszysz, ścisnij mi rękę«.

Poczułem uścisk. Zostawiłem swoją rękę w jego dłoni, a palce Krzysztofa nadal kurczowo się zaciskały.

Nigdy nie dowiedziałem się, czyjego uścisk był świadomy, czy nie”[142].

Komeda był w śpiączce, ale czasami miewał przebłytki świadomości. Chociaż lekarze twierdzili, że to niemożliwe, to jednak chwilami miał kontakt ze światem zewnętrznym.

„Raz Wojtek Frykowski – opowiadał reżyser, Andrzej Krakowski – przyniósł mały przenośny odtwarzacz [magnetofon – S.K.] i puścił muzykę z *Dziecka Rosemary* i Krzysztof dosłownie usiadł. Patrzył na nas zamglonymi oczami i znów opadł do tyłu. Wszyscy uznaliśmy, że to cud”[143].

Zdarzyło się również, że „nabazgrał parę niespójnych zdań po polsku”, a wśród nich znalazły się słowa „Zosia przyjedzie”. Pani Komedowa uznała to później za ostatnie życzenie męża, natomiast inni twierdzili, że chory w ten sposób wyrażał swoje obawy przed pojawieniem się żony w Kalifornii...

„Teraz miała nad nim władzę – uważał Henning Carlsen. – Nie mógł jej powiedzieć: »Nie chcę do ciebie wracać«”[144].

Zofia dowiedziała się o chorobie męża dopiero wtedy, gdy zapadł on w śpiączkę. I chociaż podobno wcześniej często do niej dzwonił, to jednak nic nie powiedział o wypadku. Wspominał tylko o grypie i bagatelizował ten problem.

Dzięki pomocy Małgorzaty Spychalskiej pani Komedowa dostała paszport w ciągu zaledwie dwóch dni (!!!) i odleciała za ocean. Na miejscu natychmiast przejęła kontrolę nad wszystkimi sprawami męża.

„Była tam niejaka Ilona Kuper – wspominała po latach – początkująca piosenkarka z Izraela, która postanowiła zrobić karierę w Hollywood, a którą początkowo fascynował się stary pan Kaper, kompozytor przeboju *Lili*. A pan Kaper, jak się znudził, podrzucił ją Krzysiovi i ona mając nadzieję na zrobienie kariery, stawiała na głowie, by poderwać, zresztą ze skutkiem, Krzysia. Może to ona skumała się z Frykowskim? Efekt tego był taki, że z domu zginęło pięć kołysanek jazzowych, nie mówiąc już-o innych kompozycjach [...], pieniądzech, złotej zapalniczce, zegarku dobrej marki”[145].

Tylko skąd Zofia tak dobrze знаła wyposażenie mieszkania męża? Nie było jej przecież w Kalifornii przez ostatnie kilka miesięcy i początkowo była nawet przekonana, że ford mustang, którym jeździł Krzysztof, jest wypożyczony, a nie kupiony na raty. Ale zapewne dużo opowiedzieli jej Niziński i Hłasko, którzy nie lubili Elany i Wojtka.

Zemsta porzuconej kobiety bywa z reguły straszna i Zofia zrobiła wszystko, aby przedstawić Frykowskiego i Elanę jako parę potworów w ludzkim ciele.

„[...] to właśnie Ilona, zabiegająca o Krzysia wsparcie w branży filmowej aktoreczka, i Wojtek Frykowski wywieźli Krzysia »skarby«. Zarówno intelektualne, jak i materialne, Bóg wie, ile sobie po tym obiecując. Faktem jest, że Krzysia książeczka płatnicza została wielokrotnie użyta, a konto »dienne« w banku

kompletnie wyczyszczone. I ślad po tym tajemniczym użytkowniku zaginął. Kolejne raty za Mustanga, gdy Krzysio leżał bez przytomności, a samochodem »woził« się Fryko z Iloną [...], nadal były płacone, tak jak i tankowania paliwa – z Krzysia konta. Aż trudno sobie taką perfidną podłość w stosunku do umierającego przyjaciela wyobrazić. Gdy leżał w śpiączce, jeszcze przed moim przyjazdem, w tajemniczy sposób zniknęły z mieszkania prawie wszystkie nowe nuty i szkice nutowe, taśmy z nagraniami, nie mówiąc już o innych, bardziej prozaicznych »dobrach«. Włamania i kradzieże nie było. A klucze miał Fryko...”[146].

Dziwnym trafem pani Zofia nie wspomniała jednak, że w tym czasie Elana mieszkała u Komedy i muzyk mógł ją upoważnić do korzystania ze swojego konta. Nie mamy zresztą bliższych informacji na temat jego relacji z dziewczyną ani też szczegółów kontaktów z Frykowskim. Osobą dobrze zorientowaną był natomiast Polański i zapewne dlatego odmówił Zofii pomocy. Dobrze bowiem wiedział, że w życiowych planach Komedy nie było już dla niej miejsca.

W świetle prawa pozostawała ona jednak legalną żoną kompozytora i przejęła inicjatywę w swoje ręce. Amerykańscy lekarze nie dawali Komedzie szans na wyzdrowienie, a leczenie w USA jest bardzo kosztowne. Zofia zlikwidowała zatem interesy Krzysztofa i podjęła decyzję o przewiezieniu chorego do kraju. 23 kwietnia 1969 roku, w pięć dni po powrocie do Polski, Krzysztof Komeda zmarł, nie odzyskawszy przytomności.

„[...] najbardziej w pamięci utkwiał mi jego pogrzeb – wspominał reżyser Janusz Nasfeter. – Cmentarz. Grano jego kołysankę z filmu *Rosemary's Baby*. Żegnano go muzyką, a więc tym, co najbardziej ukochał. Jego własną muzyką”[147].

Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że nad całym hollywoodzkim gronem znajomych Komedy ciążyła jakaś klątwa. Kilka tygodni po śmierci Krzysztofa w niemieckim Wiesbaden zmarł Marek Hłasko. Nigdy nie wybaczył sobie tego, że przyczynił się do zgonu Komedy. Odszedł po dużej dawce alkoholu i środków nasennych.

Czy było to samobójstwo? Nie wiadomo.

Niespełna dwa miesiące później banda Charlesa Mansona napadła na dom Polańskich w Beverly Hills. W okrutny sposób zamordowano będącą w ósmym miesiącu ciąży Sharon Tate (aktorkę powieszono na belce u sufitu i zadano jej szesnaste pchnięcie nożem). Zbrodniarze zamordowali również jej gości: Wojtka Frykowskiego, Abigail Folger i Jaya Sebringa.

Dwa lata później samobójstwo popełnił Marek Niziński, z kolei Elana Cooper zniknęła wkrótce po śmierci Komedy. Tomasz Lach twierdzi, że nie udało mu się ustalić jej późniejszych losów, co raczej nie jest prawdą. Pasierb Krzysztofa wydał swoją książkę w 2013 roku, natomiast już kilka miesięcy wcześniej Natasza Ziółkowska-Kurczuk, reżyserka filmu *Komeda, Komeda...*, ogłosiła, że posiada sprawdzone informacje na temat dalszych losów Elany, która po śmierci Krzysztofa „zapadła na chorobę psychiczną i [do dzisiaj] żyje w zakładzie opieki w Izraelu”[148].

Trzeba przyznać, że jakoś nie pasuje to do postaci wyrafinowanej oszustki i na dodatek agentki Mosadu...

## BIESZCZADY

„Po pogrzebie Krzysia zaczęłam z powrotem chodzić do pracy – wspominała Zofia. – Chciałam ten ból przyćmić pracą, lecz nie udało mi się. W lecie nastąpiło u mnie załamanie nerwowe, równocześnie dostałam dyskopatii, to podobno także następstwo chorych nerwów. Równocześnie teściowie zaczęli procesować się ze mną o spadek po Krzysiu. Prawdopodobnie myśleli, że ich okłamałam i te dwadzieścia parę tysięcy dolarów przechowałam dla siebie. Wykaz wydatków przesłany z Los Angeles przez adwokata Krzysia nie zadowolili ich”[149].

Zosia na dwa miesiące trafiła do sanatorium dla nerwowo chorych w pobliżu Strzelec Opolskich, a po powrocie do Warszawy znowu usiłowała żyć normalnie. Nie mogła jednak

odżałować, że nie udało się jej zatrzymać pianina męża. Decyzją sądu instrument trafił bowiem do rodziny Trzecińskich w Poznaniu.

Sytuacja wymagała od niej zdecydowanego działania, po powrocie z USA była bowiem potwornie zadłużona. Za oceanem wydawała duże sumy na leczenie męża i honoraria dla prawników, a przecież Krzysztof żył w Kalifornii z dnia na dzień, wydając praktycznie wszystko, co zarobił. Wprawdzie Zofia spieniężyła wyposażenie jego mieszkania, ale zrobiła to w pośpiechu i odzyskała tylko część poniesionych kosztów.

W związku z tym ponownie podjęła pracę w Polskiej Federacji Jazzowej, powróciła też do chałupniczego szydełkowania. Zmieniła jednak krąg odbiorców, bo tym razem jej klientelą stała się elita stołecznych cór Koryntu.

„»Zosiu, po co się tak mordujesz? – pytała ją Iza, była prostytutka, żona Andrzeja Kondratiuka. – Dla tych wszystkich paniuś mecenasowych, doktorowych, tych redaktorek z telewizji, które tu przychodzą zgrzane, spocone... I w dodatku traktują cię jak jakąś wyrobnicę, płacą marne grosze od sukienki... Ja ci dam dziewczynki z miasta. Przecież to cię nie obrazi. One będą płacić pięciokrotnie więcej, one są zawodowo czyste, świeże, pachnące i jeszcze ci będą wdzięczne, że je wpuszczasz do swojego domu, traktujesz normalnie«. I tak się stało. [...] Były dla mnie bardzo dobre. Jak chorowałam, przynosiły mi jedzenie, soki z »Pewexu«, obsługiwały mnie jak pielęgniarki, dbały o mnie, były bardzo serdeczne... masowały chory, bolący kręgosłup”[150].

Gdy Zosia już nieco doszła do siebie, znalazła nowy cel w życiu, poświęcając się promocji twórczości męża. I jak zwykle działała z właściwą sobie przebojowością.

„Szalała, piła, pracowała, podróżowała – wspominał Tomasz Lach. – Próbowała pogodzić się z tym, z czym przecież nigdy, nikomu nie udało się pogodzić. Jeżeli kochał. Jej sprawność menadżerska, dynamika działania, skuteczność działania nigdy nie były doskonalszymi. Teraz walczyła o pamięć, o Komedy na



Panteonie Wielkich pozycję. Dla Komedowej nadal trwał »Czas Komedy«[151].

Zofia organizowała dziesiątki prelekcji i koncerty z cyklu „Muzyka pozostała”. Dbała o to, by o jej zmarłym mężu cały czas było głośno. Dysponowała zresztą poważnym atutem, posiadała bowiem bogaty, gromadzony przez lata zbiór jego nagrań. Na rynku wydawniczym zaczęły pojawiać się płyty z muzyką Komedy.

Zapłaciła za to wysoką cenę, bo prowadziła przecież skrajnie wyniszczający tryb życia:

„Tygodnie, miesiące, lata w podróży. Siedem lat. Na tyle starczyło jej siły, zdrowia. Wychudła jak Twiggy, rozedrgana, odpalająca papierosa od papierosa, pokonująca zakręty na dwóch kołach, nigdy nie hamująca... Spalała się. Żyła dniem, pozorem. [...] Cieszyła się z każdego, malutkiego nawet sukcesu, sukcesu, który tak często dzięki niej był też sukcesem innych. [...] Coraz więcej piła”[152].

Alkohol stał się jej ogromnym problemem, pod jego wpływem zachowywała się brutalnie. Nie tolerowała ludzi, którzy nie zgadzali się z jej zdaniem, i miała coraz więcej wrogów. Znajomi odwracali się od niej, przyjaciele zrywali kontakty.

Pewnego dnia miała już wszystkiego dość i postanowiła uciec od warszawki. Wyjechała w Bieszczady, zamieszkała w Chmielu w gminie Lutowiska, próbowała zbudować tam pensjonat. Jak zwykle bezzwłocznie przystąpiła do działania i osobiście zaczęła karczować działkę.

„To było jedno z licznych szaleństw mamy – opowiadał Tomasz Lach – które po dwóch dniach skończyło się pobytem w szpitalu mamy, jej przyjaciela Tadeusza i moim z opuchniętymi rękami. Idei pensjonatu niestety nigdy nie udało się zrealizować. W stanie surowym powstał budynek z 8 pokojami gościnnymi, 6 garażami, ale budowa nigdy nie została ukończona”[153].

Pozostała jednak w Bieszczadach, zżyła się z tamtejszym środowiskiem, zaangażowała również w ochronę miejscowej

przyrody. Walczyła z rabunkową wycinką drzew, wrogo odnosiła się do działań słynnego pułkownika Doskoczyńskiego, pragnącego bez końca rozszerzać rządowy ośrodek w Arłamowie. Zainteresowała się nią Służba Bezpieczeństwa, stała się bowiem osobą znaną w bieszczadzkim środowisku.

„Mama miała dużą bibliotekę, ponad 1000 książek i chętnie pożyczała je sąsiadom. Wiele z tych książek nigdy do niej nie powróciło, ale ciągle żyją w Bieszczadach razem ze wspomnieniami o mamie”[154].

W jej życiu pojawiali się różni mężczyźni (Zdzisław Maklakiewicz nawet się jej oświadczył), ale z żadnym z nich nie związała się na stałe. Nikt nie był w stanie rywalizować z Krzysztofem...

„Poznałem Zofię Komedową w leskiej synagodze, gdzie powstała galeria sztuki Bieszczadzkiego Domu Kultury – wspominał publicysta Andrzej Potocki. – Zapytała mnie, czy ktoś byłby zainteresowany kupnem bonów dolarowych. Dziś mało kto pamięta, ale w PRL-u zamiast dolarów, a te Zofia Komedowa otrzymywała z tantiem ze Stanów Zjednoczonych, wypłacane były bony dolarowe. W tamtej siermiężnej rzeczywistości, w szarych Bieszczadach, była niczym kolorowy ptak, szalona dziewczyna z dużego miasta, po pobycie w Los Angeles i z jednej paczki towarzyskiej z Markiem Hłasko, Romanem Polańskim i Agnieszką Osiecką. Bardzo aktywna, zaangażowana w zakładanie pierwszej w Polsce Solidarności Rolników Indywidualnych oraz współorganizatorka pierwszego chłopskiego strajku w Ustrzykach Dolnych”[155].

Zainteresowanie polityką miało jednak swoją cenę – Zofię napadnięto kiedyś w jej własnym domu, a sprawcy okradli ją z najcenniejszych dokumentów. Innym razem rozbiła swojego nissana na zakręcie przed Lutowiskami, w miejscu, które pokonywała setki razy. W wypadku odniosła poważne obrażenia, a oględziny pojazdu wykazały, że przewód hamulcowy został przecięty przez „nieznanych sprawców”. I zapewne dlatego

zawsze lepiej czuła się w otoczeniu przyrody niż ludzi.

„Późną jesienią, nocą – wspominała pani Komedowa – złożył mi wizytę w mojej bieszczadzkiej zagrodzie niespodziewany gość. »Zośka, uważaj, nie wychodź! Masz na podwórku niedźwiedzia!« – postawiło mnie rano na nogi wołanie z szosy. Wyjrzałam ostrożnie przez okienko na ganku. Jest! Ursus arctos, wielki niedźwiedź brunatny, nasz bieszczadzki władca śpi sobie smacznie na rozwalonym śmietniku. A całe podwórko w śmieciach i resztkach ogrodzenia. Zaniepokojony trwożnymi okrzykami i moją obecnością poderwał się, spojrzął w moją stronę i zapewne pomyślał, że nie ma strachu – to tylko Zośka Komedowa, bo przeciągnął się leniwie, mruknął coś jeszcze i kilkoma rozbujanymi, miękkimi jak kocie, ruchami zniknął w wiodącej na Otryt gęstwinie. »Żegnaj, przyjacielu« – powiedziałam za nim cicho. »Bywaj zdrowy«”[156].

Bieszczady opuściła w połowie lat 90., ale do dzisiaj jest tam pamiętana. Resztę życia spędziła, pisząc wspomnienia i dbając o kolejne edycje płyt męża (ukazało się łącznie kilkadziesiąt pozycji). I to właśnie dzięki niej Komeda bywa nazywany „współczesnym Chopinem”, a jego nazwisko znane jest niemal każdemu Polakowi. A chociaż od chwili wyjazdu muzyka do USA ich małżeństwo praktycznie przestało istnieć, to warto jednak pamiętać, że bez Zosi Krzysztof nigdy nie stałby się „wielkim Komedą”. Tak wiele bowiem zrobiła dla swojego męża zarówno za jego życia, jak i po jego śmierci.

Zofia Komeda-Trzczińska zmarła na atak serca w Warszawie 20 sierpnia 2009 roku. Pochowana została na Powązkach u boku męża i w ten oto sposób los połączył na zawsze genialnego artystę i jego znakomitą menedżerkę.

„Zofia Komedowa najpierw nosiła popielatosrebrny warkocz do pasa – wspominała żony polskich jazzmanów Agnieszka Osiecka. – Potem obcięła włosy na »na chłopaka«. Grażyna Matuszkiewicz miała 2 123 245 piegów. Teresa Trzaskowska jak wichura jeździła na nartach. Lilka Urbańska jak pastuszek grała na

flecie.

Pamięta się .te dziewczyny, pamięta się te żony!... Te dziewczyny, które godzinami umiały (chciały) słuchać muzyki, dziewczyny, którym mąż na pewno niczego »nie załatwił« i »nie popchnął«, dziewczyny, które nieraz nie miały się komu poskarżyć, dziewczyny, które musiały być muzą, matką i... powietrzem.

Cierpliwe, natchnione, zapracowane żony!”[157].

## **Rozdział 3**

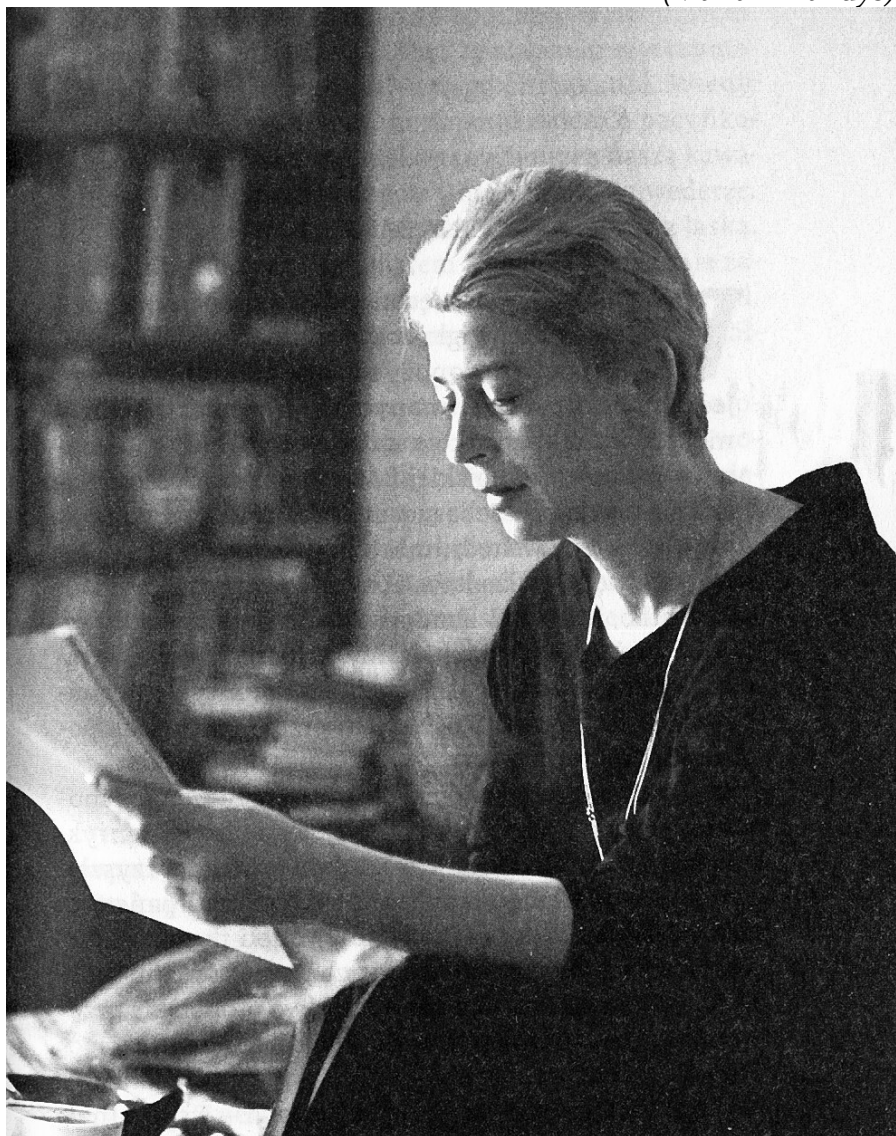
### **W szeregach opozycji**



*W domu ZAiKS-u w Zakopanem podeszła do stolika, gdzie siedziałem z jedną panią, która bardzo mi się podobała, i powiedziała: „Siedzi pan przy niewłaściwym stoliku, z niewłaściwą kobietą”. Zabrała mnie do swojego stolika i tak już zostało. Miałem wtedy 43 lata, odpowiadał mi stan wolny i tylko energia mojej przyszłej żony, która miała wtedy 30 lat, doprowadziła do tego, że zostaliśmy małżeństwem. Ja byłem jej*

*trzecim mężem i tylko zastrzegłem, że to ma być już ostatni raz.*

*(Marian Brandys)*



## RODZINA BANKIERÓW

**W** książce poświęconej sławnym parom epoki PRL nie mogło oczywiście zabraknąć przedstawicieli opozycji antykomunistycznej. Jednym z najbardziej znanych (a przy okazji bardzo nietypowych) związków z tego kręgu było małżeństwo Haliny Mikołajskiej i Mariana Brandysa. Związali się bowiem ze sobą stosunkowo późno, gdy on był już mężczyzną w średnim wieku, a ona miała za sobą rozpad dwóch małżeństw. I chociaż różniło ich niemal wszystko, to jednak zbudowali udany związek, który przetrwał aż do śmierci Haliny. Powszechnie uznawano ich za „wspaniałą parę małżeńską”, niezwykle prawych ludzi, bardzo „kochanych przez tych, co ich poznali”.

Marian Brandys pochodził z zamożnej spolonizowanej rodziny żydowskiej, jego ojciec, Henryk, był właścicielem domu bankowego w Łodzi. Przyszły pisarz urodził się w styczniu 1912 roku, a państwo Brandysowie cztery lata później mieli doczekać się jeszcze jednego syna, Kazimierza. Ojciec rodziny (jak przystało na neofitę) miał wyjątkowo propolskie przekonania, co czasami stawało się problemem dla jego dorastających potomków.

„Przy którejś wigilijnej kolacji – wspominał Kazimierz Brandys – ojciec jak zwykle zaczął recytować z pamięci opis śmierci Podbięty w oblężonym Zbarażu. Znosiłem to od lat, tym razem wytrzymałem do momentu załzawionego chrząkania. Wtedy z sadystycznym spokojem napomknąłem o pacyfikacjach ukraińskich wsi, dokonanych przez naszą kawalerię, i o niedawnej wizycie Goebbelsa w Belwederze. Wybuchła awantura, ojciec rzucił się na mnie z laską. Mocując się z nim, widziałem jego apoplektycznie zaczerwienioną twarz, całą w drgawkach. Było mi go żal, mimo to dysząc, mówiłem jeszcze o bezrobociu i o fałszerstwach wyborczych”[158].

Matka była przeciwieństwem ojca. Małomówna i



zrównoważona, nie narzucała nikomu swoich przekonań i pozwalała mężowi dominować w niemal wszystkich aspektach życia rodzinnego.

„Nie mamy nawet zdjęć matki – zalił się po latach Marian Brandys. – Matka, córka bogatego kupca łódzkiego, była bardzo ładna i straszliwie nieśmiała. Jeździliśmy co roku do uzdrowiska, dzisiejszej Polanicy-Zdroju, i matka zwracała ogólną uwagę: taka mała, śliczna pani z dwoma małymi chłopcami. W domu zdrojowym miał miejsce rytuał, na który czekała cała sala: pewien człowiek kładł róże przed matką, a ona strącała je parasolką. Którejś niedzieli na kiermaszu wpatrywaliśmy się z bratem w ołowianych żołnierzy. On kupił nam tych żołnierzy i poprosił, by nasza matka choć raz odpowiedziała na jego ukłon. Kiedy matka dowiedziała się o tym zdarzeniu, chyba od portiera, powiedziała: »Zrobiliście rzecz straszną, zdradziliście waszą matkę«. Spakowała rzeczy i jeszcze tej nocy wyjechaliśmy”[159].

Tajemniczym wielbicielem okazał się niemiecki dramatopisarz, Ernst Toller. Postać tragiczna, komunista z przekonania, były minister efemerycznej Bawarskiej Republiki Rad. Przeciwnik reżimu hitlerowskiego i emigrant polityczny. Kilkaście lat po wizycie w Polanicy, już na wygnaniu w USA, zakończył życie samobójstwem.

Ojciec rodziny, Henryk Brandys, był znakomitym bankierem i twardym realistą życiowym. Nie miał natomiast kompletnie zrozumienia dla sztuki i nie uznawał żadnej fikcji, nawet literackiej. Czasami przynosiło to humorystyczne efekty.

„Mój brat dostał kiedyś piątkę za wypracowanie »Opisz swoje zwierzę domowe« – wspominał Marian Brandys. – Opowiadanie było piękne, o kózce, która mieszkała z nami i była taka dobra, że poszła do nieba. Tyle że u nas w domu nigdy nie było żadnego zwierzaka. Ojciec, zdenerwowany, odwołał mnie na bok: »Słuchaj, jestem przerażony, twój brat ma chorobliwe skłonności do kłamstwa«. Ojciec był inteligentnym, wykształconym człowiekiem, ale ani przez myśl mu nie przeszło, że jego syn ma

zdolności literackie”[160].

Młodzi Brandysowie otrzymali staranną edukację, uczęszczali do elitarnej Szkoły Zgromadzenia Kupców Miasta Łodzi. Wczesne lata szkolne na zawsze zadecydowały o problemach zdrowotnych starszego z braci, ich przyczyną była jego nieprzeciętna wrażliwość.

„Byłem bardzo ambitny i przewodziłem grupie chłopców w wieku 7-8 lat w parku Sienkiewicza. Jak wybrali innego szefa, poczułem się zdradzony i próbowałem popełnić samobójstwo. Całą noc moczyłem nogi w wodzie, żeby dostać zapalenia płuc i umrzeć. Tak nabawiłem się astmy. Jeszcze kilka razy w młodości targałem się na życie”[161].

Bracia zdecydowali się na studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim, co było typową ścieżką kariery dla młodych ludzi z ich sfery. Do wybuchu wojny Marian zdążył ukończyć naukę i rozpoczął nawet aplikanturę, chociaż w tym czasie jego „głównym zajęciem było chorowanie na astmę”. Inna sprawa, że u schyłku lat 30. w Polsce narastały nastroje antysemityczne, co znacznie utrudniało znalezienie odpowiedniej pracy.

„Było dla mnie dużo miejsc zamkniętych w endeckiej Polsce – opowiadał po latach. – Sędzia Polender mówił o mnie: ten facet o wyglądzie Rumuna. Nie chciał powiedzieć, że Żyd. Praca w sądownictwie stała się dla mnie niemożliwa”[162].

Problemy miała zresztą cała rodzina Brandysów. Senior rodu, gorący patriota i siostrzeniec powstańca styczniowego, został oskarżony o spekulacje giełdowe i trafił na trzy miesiące do Berezki Kartuskiej. Jego starszy syn uznał to za „perfidną prowokację”, której autorami mieli być wrogowie ojca z kręgów endeckich.

„To, że ojciec został bankowcem – twierdził po latach pan Marian – stało się przyczyną jego nieszczęść. [...] Każdy zawód byłby lepszy. Komisja Stabilizacyjna wysłała do ojca list adresowany: Hersz Brandys, czyli Henryk w jidysz. Dyrektorem komisji był eks-legionista, też z pochodzenia Żyd. Doszło między nimi do wielkiej awantury, zakończonej spoliczkowaniem.

Komisja Stabilizacji od tej pory śledziła ojca. Ojciec był wesoły, lubił bibki, dziewczynki, można było na niego zdobyć materiał. [...] To, co się wtedy stało się z moim ojcem, rzutowało na całe późniejsze moje życie. Ja uwierzyłem w roku 1945, że powstanie państwo, w którym takie rzeczy, jak aresztowanie niewinnego człowieka, będą niemożliwe”[163].

## OFLAG W WOLDENBERGU

Marian jednak nie interesował się wówczas polityką. Pomimo problemów zdrowotnych odbył służbę wojskową, pracował jako pomocnik buchaltera i prowadził bujne życie towarzyskie.

„[...] najbardziej interesowały mnie panienki – przyznawał. – Ośmiela mnie do tego wyznania fakt, że Izaak Singer odważył się powiedzieć coś podobnego na łożu śmierci. Niestety, po matce odziedziczyłem jej nieśmiałość i moim przekleństwem było, że się wciąż czerwieniłem. Ale miałem wielkie powodzenie, szczególnie gdy występowałem w mundurze”[164].

Tuż przed wybuchem wojny został zmobilizowany i jako dowódca plutonu karabinów maszynowych brał udział w bitwie pod Kockiem. Trafił do niewoli i w obozie jenieckim po raz kolejny zetknął się z polskim antysemityzmem – w oflagu w Woldenbergu został osadzony w specjalnym baraku, co uznał za wyjątkowe upokorzenie. Uważał się bowiem za Polaka i najbardziej go dotknęło, że inspiratorami odosobnienia okazali się polscy oficerowie, którzy „nie życzyli sobie spędzać świąt Bożego Narodzenia z Żydami”. Brandys myślał wówczas o powrocie do tradycji judaistycznej (oczywiście po zakończeniu wojny), ale ostatecznie uznał, że „jego królem zawsze będzie Łokietek” i że „każdy ma prawo wybrać sobie ojczyznę”. A za swoją uważał „pisanie po polsku”.

Inna sprawa, że w „żydowskim baraku” znalazło się wyjątkowo dziwne towarzystwo, osadzono w nim bowiem 80

polskich oficerów pochodzących z różnych oflagów.

„[Trafili tam] też tacy, którzy od pokoleń byli Polakami, niektórzy nie mieli nawet pojęcia o swoim pochodzeniu. Byli tam m.in. bracia Lewingerowie, ksiądz i obywatel ziemski; w dworze ich ojca pod Wadowicami w czasie strajków chłopskich była kwatery główna zaprzyjaźnionego z nim Witosa. Byli też Natansonowie, od stu lat wrośnięci w polskie społeczeństwo; przed wojną biskup poświęcał ich fabrykę papieru”[165].

Ludzie ci bez większych strat przetrwali wojnę i Holokaust, Wehrmacht zarządzający oflagami respektował bowiem postanowienia konwencji genewskiej. Zdecydowanie mniej szczęścia miały natomiast ich rodziny pozostawione w kraju, tam spotkał je okupacyjny los polskich Żydów.

Senior rodu Brandysów zginął na Pawiaku, matka zmarła w roku zakończenia wojny, brat przetrwał okupację po „aryjskiej” stronie Warszawy. O losach swojej rodziny Marian dowiedział się dopiero po wyjściu z obozu.

Podczas wojny zaczął pisać i za jedno z opowiadań dostał nawet nagrodę na obozowym konkursie literackim. Tuż przed wyzwoleniem zakopał jednak swoje utwory i nigdy ich już nie odzyskał.

Zdążył jednak pojawić się jeszcze na froncie, tym razem w charakterze korespondenta wojennego. W szeregach Ludowego Wojska Polskiego brał udział w operacji berlińskiej i jako pierwszy z Polaków (razem z Edmundem Osmańczykiem) trafił do zdobytej kancelarii Rzeszy. Opowiadał później, że pisał wówczas swoje frontowe reportaże na zdobyczym papierze listowym Hitlera.

Po latach pojawił się jeszcze raz w Woldenbergu, po wojnie miejscowość ta (jako Dobiegniew) znalazła się bowiem w granicach Polski.

„Pamiętam, że swego czasu wiadomość o powstaniu w Woldenbergu gospodarstwa hodowlanego żywo mnie dotknęła. Teraz, patrząc na świeżo pobielone baraki, zmieniam zdanie. A cóż, u diabła, miało tu powstać? Muzeum? Park narodowy? Przez

pięć lat w tych obskurnych barakach mieszkali po świńsku ludzie, niechże sobie teraz świnie pomieszkają w nich po ludzku”[166].

## PRZYGODY REPORTERA W EPOCE SOCREALIZMU

Pan Marian nie zamierzał wracać do zawodu prawnika, zasmakował bowiem w dziennikarstwie i z tą profesją zdecydował się związać swoją przyszłość. Jako członek PPR, a następnie PZPR pisał zgodnie z socrealistycznym kanonem, specjalizując się w reportażach z terenu. W odróżnieniu jednak od wielu innych ówczesnych dziennikarzy Brandys posiadał autentyczny talent, a swoje obserwacje potrafił umiejętnie przelewać na papier.

„[...] jechał gdzieś w Polskę na głuchą prowincję – wspominał Ryszard Kapuściński – wędrował po jakimś ospałym, niemrawym miasteczku, spotykał kogoś na swojej drodze, był to zwykle inteligent, i słuchał, słuchał, słuchał”[167].

Pisał „piękną, czystą, klarowną polszczyzną” o zwykłych, ludzkich problemach. Inna sprawa, że w tych latach dziennikarz raczej nie mógł uciec od polityki i Brandys na dłuższy czas zadomowił się w Nowej Hucie, na terenie sztandarowej inwestycji PRL. Powstał wówczas cykl reportaży *Początek opowieści*, którego entuzjastyczna wymowa wywołała konsternację w gronie bardziej doświadczonych kolegów po piórze.

„Po ukazaniu się książki – wspominał wiele lat później – wśród moich przyjaciół zapadło kłopotliwe milczenie. Jestem człowiekiem uczuciowym i lubię jasne sytuacje. Do dziesięciu pisarzy, też starszego pokolenia, przesłałem książkę z dedykacją, że jestem dziennikarzem, który debiutuje jako pisarz, a ponieważ wyczuwam, iż w książce jest coś nie w porządku, proszę o szczerą krytykę. Nie odpowiedział mi nikt! Prawdopodobnie nie uwierzyli, że dorosły człowiek może być aż tak naiwny, pewnie podejrzewali prowokację”[168].

Miał jednak również niezaprzeczalne osiągnięcia, czego

przykładem były jego *Spotkania włoskie* – cykl reportaży z Włoch, dokąd udał się jako przedstawiciel „Przekroju” i Czytelnika.

„[...] to wciąż świetna, bardzo przenikliwa literatura – uważał Kapuściński. – Jest tam taki kapitalny opis wioski, gdzie w całej okolicy rosną tylko pomarańcze i gdzie robotnikom pracodawca płaci wyłącznie pomarańczami, a ci robotnicy solą pomarańcze, żeby choć trochę przypominały chleb. Wtedy w Polsce – to był rok 1949 – pomarańcze były symbolem absolutnego luksusu, a tu ukazano je jako symbol nędzy. W taki prosty sposób pokazuje Brandys paradoksy świata, to, jak ta sama rzecz może mieć inne wartości, inne znaczenia w różnych kulturach”[169].

Obiektywnie trzeba jednak przyznać, że pan Marian nie miał szczęścia do tematyki zagranicznej. Gdy przygotował cykl *Dom odzyskanego dzieciństwa* poświęcony koreańskim sierotom wojennym w Polsce, to początkowo książka trafiła nawet na listę lektur szkolnych. Niebawem jednak rozeszły się drogi komunistów chińskich i sowieckich i książka stała się niepoprawna politycznie. Nie można było przecież tolerować entuzjastycznych opowieści sierot o „chińskich ochotnikach, którzy walczyli po stronie Korei Północnej”...

Podobnie stało się z kolejnymi książkami pana Mariana. Gdy w 1956 roku został wysłany do Afryki, przygotował dwie znakomite pozycje dla młodzieży (*Śladami Stasia i Nel i Z panem Biegankiem w Abisynii*). Niestety, w Sudanie doszło do przewrotu wojskowego i pierwszą z książek usunięto z kanonu lektur szkolnych. Schemat powtórzył się przy okazji drugiej części cyklu, bo po obaleniu cesarza Hajle Sellasje (władcy wręczono specjalny egzemplarz oprawiony w skórę i z tłoczonymi literami) również i ta książka „wypadła z kursu i już jej nie wydawano”.

Przez wiele lat Marian uchodził za tego „mniej znanego Brandysa”, który nazwisko „już miał, ale imienia jeszcze nie”. Jednak niebawem miało się to zmienić, zniechęcony bowiem do współczesności poświęcił się reportażowi historycznemu. Jeszcze

podczas wyprawy do Egiptu zafascynowała go postać pułkownika Sułkowskiego, poległego nad Nilem adiutanta Napoleona. A kilka lat później przyszło zainteresowanie osobą Stanisława Poniatowskiego, zapomnianego bratanka ostatniego króla Polski. W efekcie powstały dwie książki (*Nieznany książę Poniatowski i Oficer największych nadziei*), które przyniosły Brandysowi sławę i uznanie czytelników. Pan Marian kontynuował swoje fascynacje (*Kłopoty z panią Walewską, Kozietułski i inni* oraz kilkutomowa epepeja *Koniec świata szwoleżerów*), co zapewniło mu poczesne miejsce w kanonie polskiej literatury. I nikt już go nie mylił z młodszym bratem.

Pisał o XIX stuleciu, chcąc uciec od otaczającej go rzeczywistości, ale czytelnicy i tak doszukiwali się w jego książkach aluzji do współczesności. „Marian Brandys nie lubił – wspominał Adam Michnik – gdy krytyka aktualizowała jego książki, gdy w realiach Królestwa Kongresowego doszukiwano się aluzji do PRL. Ten typ lektury zawsze go drażnił. I najpewniej autor miał rację. Jego książki nie mają nic [...] z prymitywnej aluzji. Ale my, czytelnicy, także mieliśmy swoje racje, gdy podczas lektury o losach Królestwa Kongresowego, które było rodzajem państwowości bez suwerenności, dostrzegaliśmy w opozycji kaliskiej prekursorów koła poselskiego »Znak«, w ugodowcach tamtej epoki – naszych współczesnych ugodowców, a w spiskowcach, którzy porywali się z motyką na słońce [...]– samych siebie, śmiesznych konspiratorów, których mądrzy i wykształceni współcześni wykipiwali z pobłażliwym uśmiechem”[170].

I chociaż Brandys „odsądził się na 150 lat od współczesności”, to polityka i tak bezpośrednio go dopadła. A stało się to za sprawą kobiety jego życia, aktorki Haliny Mikołajskiej.

## CZERWONA BRODA STALINA

Przyszła ikona polskiej opozycji była młodsza od Brandysa o

13 lat, urodziła się w Krakowie, w marcu 1925 roku. Talent odziedziczyła zapewne po matce, Maria Piątkowska miała bowiem „czysty sopran i świetny słuch” i przez całe życie pisała wiersze. Marzyła o studiach polonistycznych lub filozofii, ale pod wpływem rodziców postanowiła „zdobyć wpieryw zawód” i ukończyła Akademię Handlową w Krakowie. Uczyła też w szkole i studiowała polonistykę, aby ostatecznie poświęcić się domowi.

Rodzice Heleny (takie było jej właściwe imię) byli blisko ze sobą spokrewnieni. Maria wyszła bowiem za mąż za swojego brata ciotecznego, Mariana Mikołajskiego, i do zawarcia małżeństwa potrzebny był indult papieski. Ojciec był z wykształcenia inżynierem, służył w armii i przez pewien czas pełnił funkcję dyrektora naukowego w Szkole Uzbrojenia na Cytadeli. Jego związek z Marią uchodził za udany, małżonkowie dochowali się czterech córek.

Podczas kampanii wrześniowej trafił do niewoli i resztę wojny spędził w oflagu. Natomiast jego żona z dziećmi ewakuowała się do Tarnowa, a następnie dotarła do Lwowa.

Zgodnie z paktem Ribbentrop-Mołotow miasto znalazło się pod okupacją sowiecką, w tym okresie wojny znacznie bardziej okrutną niż rządy hitlerowców w Generalnej Guberni. Sowietci, szermując hasłami ideologicznymi, przystąpili bowiem do brutalnego wyniszczania polskiego żywiołu na Kresach. Jeszcze w listopadzie 1939 roku mieszkańcom okupowanych terenów przymusowo nadano obywatelstwo ZSRR i przystąpiono do parcelacji ziemi uprawnej. Ale głównym zadaniem bolszewików stała się eksterminacja polskich elit. Aresztowano byłych członków władz, w więzieniach znaleźli się byli premierzy (Prystor, Kozłowski i Skulski), ministrowie, wielu posłów i senatorów. Oskarżono ich o kontrrewolucję, a nawet o udział w wojnie z 1920 roku! Następnie przystąpiono do systematycznego wyniszczania polskiego żywiołu. W czterech turach deportowano około 350 tysięcy osób, osadzając je w północnej Rosji i w Kazachstanie. Wywożono całe rodziny urzędników państwowych



(do szczebla referenta), ziemian, kupców, dziennikarzy, harcerzy, studentów, członków różnych partii, a nawet filatelistów i znających esperanto.

Bolszewicki terror nie był jednak niczym nowym w dziejach ZSRR. Była to normalna metoda sprawowania władzy, której – oprócz Polaków – ofiarą padły miliony radzieckich obywateli: Rosjan, Ukraińców, Kazachów, Tatarów, Uzbeków. A kiedy jeden z polskich oficerów przesłuchiwany przez NKWD stwierdził, że Polaków jest 30 milionów i niełatwo będzie ich eksterminować, to usłyszał, że w Związku Radzieckim więcej ludzi przebywa w łagrach...

Rodzina Mikołajskich miała jednak szczęście, udało się jej bowiem powrócić na tereny Generalnej Guberni. A powodem takiej decyzji przypadkowo stała się 15-letnia Helena.

Dziewczyna uczyła się wówczas w lwowskiej szkole sióstr sercanek (zakon sióstr Sacre-Coeur), elitarnym gimnazjum dla dziewcząt. Szkoła funkcjonowała dalej pod sowiecką okupacją, zakonnice jednak „zdejły habity, bo nauczyciele mieli być świeccy”. Do planu nauczania wprowadzono język ukraiński, a do kalendarium szkolnego sowieckie święta.

Według relacji młodszej siostry Heleny, Barbary, przy okazji przygotowań do obchodów 1 Maja obok popiersi proroków komunizmu ktoś postawił kubły z czerwoną farbą. Dla Heleny i jej koleżanek okazało się to zbyt dużą pokusą i na efekty nie trzeba było długo czekać.

„[...] domalowały batuszce czerwoną brodę – wspominała po latach pani Barbara Krzysztoń. – Nie oszczędziły również Lenina i Marksa, a na środku wielkiej gwiazdy wysmarowały czarne »G«. Na drugi dzień zaczęło się. Przyszli dwaj obcy komisarze i razem z naszym zarządzili apel. Były pogróżki i perswazje, wreszcie jeden z nich dał słowo honoru, że dziewczynki, które dopuściły się tego haniebnego czynu, nie zostaną ukarane, jeżeli same się przyznają”[171].

Słowa dotrzymał, aczkolwiek Helena, która jako jedyna się

przyznała, musiała przejść serię przesłuchań.

„Jeżeli Helusia – kontynuowała jej siostra – malując to »G«, jeszcze nie wiedziała, jak wyartykułować to swoje »nie«, to w czasie tego przesłuchania nauczyła się raz na zawsze prawdziwego »nie«. Tak dalece poszła w zaparte, że nawet w domu nie zdradziła nazwisk tych dziewczynek”[172].

Jedyną konsekwencją, jaka spotkała Helenę, było przymusowe napisanie listu do Stalina z prośbą o ułaskawienie. Jednak Maria Mikołajska na wszelki wypadek postanowiła wyjechać z dziećmi do Krakowa.

Był to bowiem czas wymiany polskiej ludności pomiędzy hitlerowcami a Sowietami. Tysiące polskich obywateli rzuconych w najdalsze zakątki kraju powracali do domów, na granicy radziecko-niemieckiej funkcjonowały specjalne komisje wydające zezwolenia i właściwe dokumenty. Rodzina Mikołajskich przed wojną mieszkała na terenie Generalnej Guberni i otrzymała stosowne dokumenty uprawniające ją do wyjazdu.

Pozostaje jednak pewien problem podważający nieco relację Barbary. Mikołajscy pojawili się w Krakowie w drugiej połowie kwietnia, zatem Helena nie mogła malować na czerwono posągu Stalina z okazji 1 Maja. Nawet jeśli założymy, że w szkole bardzo wcześniej rozpoczęto przygotowania do robotniczego święta. Przesłuchania dziewczynki trwały bowiem przez pewien czas, podobnie jak załatwianie dokumentów uprawniających do przekroczenia granicy. Zapewne po latach siostrę Heleny zawiodła pamięć i w rzeczywistości chodziło o inne sowieckie święto. Prawdopodobnie był to Dzień Armii Czerwonej obchodzony uroczyście 23 lutego.

## TEATR I MAŁŻEŃSTWA

W Krakowie Helena zetknęła się z twardymi realiami życia. Matka i dwie siostry zapadły na tyfus i dziewczynka musiała zająć

się najmłodszą z rodzeństwa. Sprawdziła się w tej roli, a przy okazji wykazała się wręcz nieprawdopodobnym tupetem.

„Halina po kursie przygotowawczym – wspominała Barbara Krzysztoń – sama załatwiła pracę w Monopolu Tytoniowym przy ulicy Dolnych Młynów. Poszła wprost do dyrektora monopolu, którym był jakiś oficer niemiecki, i wyklarowała mu, że jej ojciec jest majorem polskim i siedzi w oflagu u Niemców, więc on jako oficer niemiecki powinien jej pomóc i dać pracę w monopolu. Tego Niemca to rozbawiło i rzeczywiście kazał jej dać pracę biurową. Halina załatwiła tego dnia wszystkie formalności i z dumą wróciła do domu. Poczuli się dorosła [...]”[173].

Przy tej okazji zmieniła również swoje imię. Aby poczuć się bardziej dojrzałe, przestała nazywać się Heleną i zaczęła używać imienia Halina. Uznała bowiem, że to brzmi zdecydowanie bardziej dorosłe i tak też miało pozostać już do końca jej życia.

Fabryka działała na potrzeby przemysłu niemieckiego, zapewniała zatem dobre papiery chroniące przed wywózką na roboty do Rzeszy. Halina uważała jednak, że nie obowiązuje jej lojalność wobec pracodawcy (ostatecznie trwała przecież wojna), i zajęła się szmugłem papierosów poza teren zakładów. W proceder ten wciągnął ją kolega z pracy, Janusz Ballenstedt.

Ten drobny kombinator „umiał sobie czas, wymyślając coraz to nowe sposoby doprowadzania niemieckich urzędników do szewskiej pasji”. Do jego ulubionych zajęć należało blokowanie telefonów biurowych tak, że po odebraniu połączenia w słuchawce panowała głucha cisza. Do naprawy „wzywano specjalistę z centrali” (był nim oczywiście Ballenstedt), któremu płacono „od godziny”. A on, nie „spiesząc się, rozkręcał wszystkie aparaty” i oczywiście wyjątkowo długo pracował, zanim osiągnął cel.

Zarobki w fabryce wraz z dochodami z kradzieży papierosów poprawiły sytuację finansową rodziny i „siostry Mikołajskie zaczęły się lepiej odżywiać”. A po zaspokojeniu podstawowych potrzeb Halina pomyślała o realizacji ambicji artystycznych. Miała bowiem niezły głos, od dawna marzyła o karierze operowej, a

jeszcze przed wybuchem wojny dostała nawet zaproszenie na przesłuchania w Operze Narodowej w Warszawie.

W okupowanym Krakowie zaczęła pobierać prywatne lekcje śpiewu u pani Mściwojskiej, gdzie poznała inną śpiewaczkę – Helenę Hrabi-Szałkiewicz. Najwyraźniej obie panie uznały, że Halina rokuje nadzieje, i zaczęły rywalizować o względy uczennicy.

„Ta również [Szałkiewicz – S.K.] zachwyciła się jej głosem, barwą i skalą – ale była odmiennego zdania co do metody kształcenia. Pani M. uważała, że Halina ma sopran koloraturowy, i pracowała nad »górá«, a pani S. orzekła, że jest to sopran dramatyczny, i zaczęła udzielać dodatkowych lekcji, w tajemnicy przed konkurencją, stawiając na »dół«. To miała być niespodzianka. Na imieninach pani Mściwojskiej Halina wykonała arię Halki i wybuchła awantura. Pani M. krzyczała: Wszystko popsuliście”[174].

Halina nie zrobiła jednak kariery wokalnej, zdecydował o tym brak konsekwencji w pracy nad głosem oraz nałogowe palenie papierosów. Dziewczyna specjalnie tego jednak nie żałowała, przyłączyła się bowiem do kółka teatralnego założonego przez Adama Mularczyka. Ze współpracy nic jednak nie wyszło, bo panna Mikołajska okazała się osobą wyjątkowo niepunktualną i kapryśną. A jej priorytety wprawiały w osłupienie młodych zapaleńców teatru.

„Jesteśmy na dole – stajemy jak wryci – wspominał Mularczyk. – Członkini zespołu oczekiwana przez nas minut trzydzieści stała pod czerwonym mu-rem kamienicy i nie przejmując się późną porą (dla nas), rękę swą oddała jakiemuś facetowi, który zapomniał o bożym świecie, całował ją bodaj po raz dziesiąty”[175].

Próba ostatecznie odbyła się, ale Halina całkowicie straciła zapał do gry. Nie przysłała na kolejne spotkanie, a członkowie zespołu po dłuższych poszukiwaniach ustalili, że udała się do kina. Ale miała ważny powód, była bowiem zakochana.

Jej wybrańcem okazał się znany nam już specjalista od blokowania telefonów i szmuglu papierosów, Janusz Ballenstedt. Podobno oczarował Halinę swoją „erudycją i ekscentrycznym stylem bycia”, był bowiem „wybitnie zdolny”, chociaż miał „porywczy i trudny” charakter. A sam Ballenstedt stwierdził wiele lat później, że wprawdzie Halina miała wówczas „zaczerwienioną twarz wieśniaczki pracującej przy żniwach”, to jednak zrobiła na nim takie wrażenie, że „pierwsza jego myśl była: ta, żadna inna. Właśnie ta”.

Pod jego wpływem zainteresowała się literaturą, historią sztuki i malarstwem. Pobrali się w 1946 roku, a Haliny nie zraziły nawet zapowiedź przyszłego małżonka, że najważniejszą osobą w ich domu „będzie jego Mama”, i prośba, aby „o tym nie zapominała”.

Halina nie nadawała się jednak na posłuszną żonę. Jeszcze przed ślubem przystąpiła do egzaminu do Studia Teatru Starego, nic sobie nie robiąc z gwałtownych protestów Ballenstedta wykrzykującego, że „jego żona nie będzie aktorką”.

Panna Mikołajska zawsze przejawiała dużo tupetu i po raz kolejny udowodniła to podczas egzaminu do szkoły teatralnej. Braki w wiedzy o teatrze nadrabiała brawurą, a do tego miała wręcz nieprawdopodobne szczęście.

„Kiedy wysoka bardzo liczna komisja [...] spytała mnie – wspomniała po latach – dlaczego stawiałam się na egzamin, odpowiedziałam bez cienia wątpliwości, że po prostu jestem utalentowana. Wysoka komisja bardzo się rozbawiła i następnie zapytała mnie, jakie role kiedyś chciałabym grać; odpowiedziałam, że nie kiedyś, tylko już zaraz bardzo bym chciała grać role takie jak Modrzejewska”[176].

Nazwisko Modrzejewskiej poznała dopiero tego dnia rano, gdy idąc na egzamin, przechodziła przez cmentarz Rakowicki. W alei głównej obejrzała grobowiec słynnej artystki i zapamiętała wyryty na nim napis. I na pytanie komisji wyrecytowała dokładne daty oraz miejsca urodzenia i śmierci Modrzejewskiej, co okazało

się w zupełności wystarczające. Encyklopedyczna wiedza dziewczyny zrobiła bowiem odpowiednie wrażenie i egzaminatorzy uznali, że mają do czynienia z pasjonatką historii teatru. Natomiast próby recytacji rozwiały wątpliwości komisji co do talentu adeptki.

W szkole teatralnej nie czuła się jednak dobrze. Była bowiem osobą niecierpliwą i gdy nie obsadzono jej w roli „wypisz, wymaluj dla niej”, opuściła placówkę. Inna sprawa, że nie miała specjalnego wyboru, albowiem zdążyła już wejść w konflikt z wszechwładnym Juliuszem Osterwą. Legendarny aktor i reżyser w tym czasie grał swoją popisową rolę Fantazego i młoda studentka ośmieliła się go skrytykować.

„Mikołajska się już interesująco zapowiadała – wspominał Andrzej Hausbrandt – ale miała nieszczęście gdzieś powiedzieć, że Osterwa jest za stary na Fantazego, którego on właśnie grał. I Osterwa wtedy wpadł w szal i powiedział, że na zawsze usuwa ją i że już nigdy nie będzie mogła studiować. [...] I Halina rzeczywiście przez parę miesięcy nie mogła się pojawiać w teatrze, ale jak wiemy, Osterwa szybko rozstał się nie tyle z Krakowem, co z życiem i sprawa stała się zdecydowanie nieaktualna”[177].

Przerwę w nauce aktorstwa poświęciła na przygotowania do matury, a następnie pod wpływem męża rozpoczęła studia na historii sztuki. Po raz kolejny zmieniła jednak plany (Osterwa już nie żył) i powróciła do szkoły aktorskiej. Tym razem miała więcej szczęścia, dostrzegł ją bowiem Edmund Wierciński i zaproponował główną rolę w *Orfeuszu* Anny Świrszczyńskiej. Nie zmarnowała szansy, a kolejne lata przyniosły jej następne kreacje i dalsze sukcesy.

Powodzenie na scenie nie znalazło jednak przełożenia na szczęście rodzinne, albowiem małżeństwo z Ballenstedtem nie należało do udanych. W efekcie już dwa lata po ślubie Mikołajska opuściła mieszkanie na Długiej w Krakowie, które dzieliła z mężem i teściową, natomiast rozwód orzeczono ostatecznie w 1949 roku. Bezpośrednią jego przyczyną był romans aktorki z

innym mężczyzną, Halina przyznała się bowiem przyjacielowi, że „nie umie się »zakonspirować« i właśnie dlatego się rozwodzi”.

Inna sprawa, że Ballenstedt okazał się prostakiem i podczas kłótni domowych zachowywał się jak damski bokser. I jeszcze wiele lat później pisał do byłej żony listy pełne nienawiści, grożąc, że gdyby ją teraz spotkał, to „miałaby okazję przenieść się wspomnieniem w najlepsze ich lata, bo sprawiłby jej tęgie lanie”[178]. Fakt bicia żony przez Ballenstedta potwierdzały zresztą koleżanki Mikołajskiej.

Po rozwodzie Halina przeniosiła się do Wrocławia, w tamtejszym Teatrze Kameralnym grała w *Niemcach* Kruczkowskiego. Poznała wówczas malarza Aleksandra Stefanowskiego, za którego niebawem wyszła za mąż. Partnerzy przenieśli się do Warszawy (Mikołajska narzekała na brak zajęć nad Odrą), co jednak nie uratowało ich związku. I chociaż aktorka uważała, że „Olek w ogóle jest dobry, bardzo dobry w stosunku do niej”, to jednak chyba zabrakło z jej strony głębszego uczucia. Stefanowski okazał się bowiem dla niej tylko wytchnieniem po burzliwych latach u boku Ballenstedta i nie potrafił zatrzymać jej przy sobie. Halina wyprowadziła się z ich wspólnego mieszkania przy ulicy Pięknej, a niedługo potem orzeczono rozwód małżonków.

## HALINA I MARIAN

Mikołajska poznała Brandysa w domu ZAiKS-u w Zakopanem, gdzie oboje spędzali urlop. Marian osiągnął już wówczas wiek średni i był zupełnie „zadowolony ze swojego stanu kawalerskiego”. Wobec tego inicjatywę przejęła pani Halina i jak zwykle tupetu jej nie zabrakło.

„Odbiła mnie w sposób niesłychany – wspominał Brandys. – W domu ZAiKS-u w Zakopanem podeszła do stolika, gdzie siedziałem z jedną panią, która bardzo mi się podobała, i

powiedziała: »Siedzi pan przy niewłaściwym stoliku, z niewłaściwą kobietą«. Zabrała mnie do swojego stolika i tak już zostało. Miałem wtedy 43 lata, odpowiadał mi stan wolny i tylko energia mojej przyszłej żony, która miała wtedy 30 lat, doprowadziła do tego, że zostaliśmy małżeństwem. Ja byłem jej trzecim mężem i tylko zastrzegłem, że to ma być już ostatni raz»[179].

Pisarz przed ślubem zapytał jednak swoją przyjaciółkę, Irenę Szymańską, „czy kobieta może pokochać mężczyznę o 14 lat starszego od siebie”, i dopiero po uzyskaniu twierdzącej odpowiedzi zdecydował się na małżeństwo. Pobrali się w lipcu 1955 roku w Warszawie, wzięli tylko ślub cywilny (Brandys nie był ochrzczony).

Stworzyli udany związek i pomimo upływu lat wciąż inspirowali się wzajemnie. I nie była to przelotna fascynacja, tak jak w przypadku poprzednich małżeństw Haliny.

„Jestem tak czuła na Twój wdzięk, którego Ty nie jesteś w stanie sobie uprzytomnić – pisała aktorka do męża blisko 20 lat po ślubie – że jak sobie o Tobie pomyślę, to mi się robi ciepłutko koło serca i cieszę się, że Cię zobaczę, chociaż pewnie będziesz w »wyjątkowo« złym humorze, ale to trudno. Mariańciu miły, ja Cię kocham, mój dziwaku! I bardzo, bardzo potrzebuję»[180].

Nie ma jednak związku bez konfliktów, szczególnie gdy partnerzy należą do osób o dużej wrażliwości. Lektura *Dzienników* Brandysa potwierdza, że drobnych problemów małżeńskich nie brakowało, a Mikołajska czasami potrafiła zachowywać się wobec męża wyjątkowo zimno i oschle.

„Wczoraj przyjechała Halina z Toską [swoją siostrzenicą, Antoniną Krzysztoń – S.K.]. Halina piękna, młoda. Ale chłodna. Nie odwzajemniła moich powitalnych pocałunków. Pozwalała się całować i patrzyła w przestrzeń. Było mi bardzo przykro. Rozpływa się nad Toską. Ale parę razy zrobiła nieprzyjemne uwagi na temat mego przywiązania do Tośki. [...] Taka wspaniała kobieta jak Halina i taka małostkowa w pewnych sprawach. Trudno to ze



sobą pogodzić”[181].

Mażonkowie dużo czasu spędzali oddzielnie. Halina jeździła po kraju z gościnnymi występami i odwiedzała rodzinę w Krakowie, natomiast Marian całe tygodnie spędzał w Domu Pracy Twórczej w Oborach. I dalej pozostał wrażliwy na urodę innych pań – mając już 60 lat, nie potrafił ukryć rozczarowania, gdy z nowym turnusem pojawiły się tam „same kociaki powyżej siedemdziesiątki”...

Doskonale jednak wiedział, że na nastroju żony odbijają się jej liczne obowiązki. Chociaż bowiem sama nie miała dzieci, to jednak bardzo angażowała się w sprawy swojej licznej rodziny. Zresztą jej kariera zawodowa także nie rozwijała się właściwie.

„Tak mi jej strasznie żal – notował pisarz we wrześniu 1972 roku – a nie mogę nic pomóc. Moja miłość do niej przejawia się tylko w martwieniu się o nią. Wtedy naprawdę czuję, że ją kocham. Halina przeżywa prawdziwy dramat – nie dęty, jak większość moich. Czuję, że jest w impasie. W teatrze nie czeka ją już nic dobrego, z telewizji czy z radia nie dzwonią. [...] Ta wspaniała istota, obdarzona wielkim rozumem, inteligencją, zdolnościami, w każdym innym zawodzie przeżywałaby obecnie najwyższy rozkwit. W tym piekielnym teatrze schnie i nie ma na to rady. I wiem, że ma poczucie tego”[182].

Jedną z przyczyn niepowodzeń zawodowych Mikołajskiej był jej trudny charakter. Czasami nie potrafiła dojść do porozumienia z częścią reżyserów, poza tym była wręcz patologicznie niepunktualna. Wprawdzie nigdy nie spóźniła się na przedstawienie, ale na próbach regularnie pojawiała się z dużym opóźnieniem.

„Jest to chyba kalectwo – przyznawała aktorka w wywiadzie radiowym. – Ja nie chcę się spóźniać, tylko ja nie mam poczucia czasu. Rano szczególnie jest kiepska sprawa, ponieważ ja bardzo źle śpiam, biorę jakieś środki uspokajające i jestem tak rozespana z rana, że dużo czynności bezcelowych robię. Tak się kręcę dookoła siebie samej, idę gdzieś, po drodze zapominam po co, to

idę do łazienki, to do kuchni, to sobie kawę stawiam, a tu sobie przypominam, że w pokoju mam jakieś interesy. I tak mi to przelatuje, że sama nie wiem, kiedy okazuje się, że jest za pięć dziesiąta i ja jestem jeszcze kompletnie niegotowa i już jestem spóźniona. Wtedy trzeźwieję i zaczynam działać piorunująco szybko, ale jest już za późno”[183].

Dyrektorzy teatrów nakładali na nią kary finansowe, co nie przynosiło efektów. Spóźniała się zawsze, a Kazimierz Dejmek zwolnił ją nawet z tego powodu z Teatru Polskiego. Niezrażona tym Mikołajska przenieśli się do Teatru Domu Wojska Polskiego (przemianowanego następnie na Teatr Dramatyczny) i tam również miała sprawy dyscyplinarne z powodu niepunktualności. Tak samo było zresztą na scenie Teatru Współczesnego.

Na domiar złego oboje Brandysowie cierpieli na depresję. Marian „nie umiał cieszyć się życiem” i „zamartwiał o każde głupstwo”, regularnie też zażywał antydepresanty, natomiast Halina przez całe lata zwalczała przygnębienie za pomocą alkoholu.

„[...] dzień zakończył się niezbyt wesoło – zapisał pan Marian jesienią 1972 roku. – Halina z nadmiaru wzruszeń mocno zaprawiła się winem, od czego już się prawie odzwyczailem. Po krótkiej drzemce była rozkoszna, a potem popadła w najgorszą depresję. Wylały się z niej wszystkie tłumione rozpacz. [...] Rozpacz Haliny są zawsze natury metafizycznej, są objawami »bólu istnienia«, buntem i protestem przeciwko zasadniczym prawom życia: przeciwko starzeniu się, śmierci, niespełnionym marzeniom młodości. Długo płakała, rozpaczliwie wtulona we mnie. Powiedziała: »Gdybym nie miała ciebie, zabiłabym się«. Nigdy nie kochałem jej tak bardzo jak w chwilach takiej metafizycznej rozpacz, na którą nic pomóc nie mogę”[184].

Według opinii męża Halina lubiła „w swoim czasie dosyć tego popijać”, jednak problem ten został rozwiązany praktycznie jednego dnia. Usłyszała bowiem, że podobno aby wejść do SPATiF-u, należy „najpierw wypić kieliszek z panią Mikołajską”,

co wystarczyło, żeby z miejsca niemal zupełnie odstawiła alkohol. I przestał on odgrywać w jej życiu jakąkolwiek rolę.

Brandysowie nie mieli dzieci, chociaż Halina tęskniła za życiem rodzinnym. Niedosyt rekompensowała sobie bliskimi kontaktami z rodziną, czasami jednak nie potrafiła ukryć wzruszenia, gdy opadała ją fala wspomnień.

„Pamiętam jako jedno z najbardziej wzruszających przeżyć z Haliną jej opowiadanie (w łóżku po jakimś pijaństwie) o tym, jak kiedyś jako mała dziewczynka była z rodzicami i starszymi siostrami w górach. »Było tak cudownie, świeciło słońce, zbieraliśmy kwiaty, byłam taka, taka szczęśliwa – opowiadała mi prawie z płaczem – i to już nigdy nie wróci, nigdy ta chwila się nie powtórzy«”[185].

## TRUCIZNY PISARZA

Depresja nie była jedyną dolegliwością pana Mariana. Przez większość życia cierpiał na ostrą hipochondrię, a w jego zapiskach znaleźć można dokładne opisy kolejnych schorzeń. Oprócz astmy prześladowały go niemal wszystkie pospolite choroby, regularnie narzekał również na funkcjonowanie większości narządów wewnętrznych. I jak na rasowego hipochondryka przystało, dożył sędziwego wieku (86 lat) i o kilkanaście lat przeżył swoją znacznie młodszą żonę.

Innym problemem Brandysa był ciągły brak weny, można odnieść wrażenie, że czasami wręcz bał się pisać. A już do absolutnej rozpaczki doprowadzały go chwile, gdy nie potrafił wydobyć z siebie nowych fragmentów tekstu.

„Znowu ta straszna męczarnia – notował w sierpniu 1972 roku – jak co dzień od już bardzo dawna. Pięć godzin nad pustą kartką papieru, z piekłem w sercu i głowie. Po przeczytaniu tych dwóch korekt [pierwszych dwóch tomów *Końca świata szwależerów*] dochodzę do wniosku, że uległem czarowi kilkun-

stu niepublikowanych listów i dokumentów. [...] Na to szaleńcze zamierzenie mógł się targnąć tylko człowiek niespełna rozumu. [...] Najlepiej byłoby, gdyby cenzura dwa pierwsze tomy zatrzymała, a ja miałbym na tyle siły, aby przejść nad tym do porządku dziennego, wyrzec się dalszego ciągu i robić minę godną męczennika. Ale ja tak nie potrafię. Dopiero po obiedzie usiądę nad tymi książkami i papierami i znowu będę łamał sobie głowę do zupełnego zamętu”[186].

W takich sytuacjach często uciekał w chorobę, z czego doskonale sam zdawał sobie sprawę.

„Męczy mnie astma. Poważny, ciężki atak. To chyba nie jest przypadek, że niezależnie od warunków atmosferycznych te napady złego samopoczucia zdarzają mi się zawsze, kiedy stoję wobec trudności w pracy”[187].

A gdy fizycznie dochodził do siebie, to niemal zawsze „miewał zapaści psychiczne” i „wszystko widział w czarnych kolorach”. Doskonale zresztą wiedział, że wiele zależało od opinii cenzury, Brandysowi bowiem nie udało się „uciec w historię”.

„Ostatecznie w literaturze historycznej można było mówić więcej niż we współczesnej – przyznawał pisarz – więc musiało się to skończyć. Nie było do czego się przyczepić, bo przy wszystkich analogiach trudno było oficjalnie utożsamiać carat ze Związkiem Radzieckim. Ale nowy radca ambasady radzieckiej zabrał się szparko do rzeczy i paragraf znalazł. Nic, co by mogło drażnić sąsiada. Zaczęło się od trzeciego tomu trylogii Jasienicy (*Dzieje agonii*), po wydaniu którego rozpętała się na wysokościach burza. Ale to chyba tylko pretekst, bo tak czy inaczej musiało to nastąpić. W cenzurze podobno oszaleli z przerażenia”[188].

Pan Marian miał najwyraźniej skłonności do historycznych zachowań, albowiem cenzura zażądała od niego tylko drobnych korekt. Ale Brandys przeżywał z tego powodu falę frustracji, a przy okazji zupełnie nie mógł zrozumieć, na jakich zasadach funkcjonuje Melchior Wańkowicz. Ten bowiem znany był ze swoich antykomunistycznych przekonań, ale w epoce wczesnego

Gierka prosperował niemal jak za czasów Piłsudskiego.

„Ten dziarski osiemdziesięciolatek jest najmłodszym i najpłodniejszym z polskich pisarzy. Można go nie lubić, można go nie szanować, ale imponować musi każdemu. Co za huraganowa żywiołowość. Co za przedziwne połączenie kresowego żubra z amerykańskim biznesmenem. Chwalił się przede mną swoimi wyczynami seksualnymi. Ma olbrzymią, doskonale zorganizowaną fabrykę książek, zatrudniającą dziesiątki reserczerów i sekretarek. Pracuje jak starzy mistrzowie. Dzieło przygotowane przez siły pomocnicze przychodzi do niego już w stanie prawie gotowym, on daje mu tylko ostatni szlif, *personal touch* mistrza. Ten rok jest dla niego szczytowy. Wydaje się o nim trzy książki. Jest najpopularniejszym człowiekiem w Polsce. Jest to, co prawda, popularność bardziej telewizyjnego »Wicherka« [prezentera pogody – S.K.] niż wielkiego pisarza, ale nie wiem, czy robi mu to szczególną różnicę”[189].

Wańkowicz zawsze zachowywał się z właściwym sobie tupetem i władze były wobec niego bezsilne. Gdy w 1958 roku w związku z *Listem 34* został skazany na trzy lata więzienia, to zwolniono go natychmiast po procesie. Decydenci partyjni nie kwapili się z wykonaniem wyroku, a Wańkowicz nie zamierzał składać apelacji. Po Warszawie krążyła nawet plotka, że pisarz „ze szczoteczką do zębów i ciepłymi gaciami w teczce parokrotnie stukał do drzwi więzienia na Rakowieckiej”, chcąc rozpocząć odbywanie kary. Sprawa okazała się jednak wyjątkowo niewygodna dla władz. Proces i wyrok, zamiast dać nauczkę pisarzowi, przysporzyły mu bowiem wiele uznania w kraju i za granicą.

Doskonale jednak wiedział, że jego mieszkanie jest na podsłuchu, ale pewny bezkarności kpił z inwigilacji. I urządzał suto zakrapiane imprezy, na które bywał zapraszany również Brandys.

„Jak zawsze Wańkowicza przedziwne przysmaki z puszek: grzechotnik, tygrys, płetwy rekina, krewetki i jakieś specjały,

których już nie pamiętam. I do tego ta niezrównana litewska wódka, która sama wchodzi do gardła, a stamtąd do głowy”[190].

W imprezach uczestniczyli luminarze naszej kultury o opozycyjnych poglądach (Kisielewski, Woroszyński, Kąkolewski, Miklaszewska), dyskusje zahaczały o najrozmaitsze tematy. Ale Wańkowicz, pamiętając cały czas o podsłuchu, kpił głośno:

„Melchior w czasie rozmowy co pewien czas zwraca się w stronę ściany lub sufitu i głośno oznajmia: »Proszę zauważyć, że to nie ja mówię, panie majorze«”[191].

Pan Marian szczerze zazdrościł Wańkowiczowi jego witalności, natomiast wobec innych pisarzy często miał krytyczne zdanie. A już w ogóle nie potrafił zrozumieć twórców młodszego pokolenia i z przerażeniem notował, że „do Obór zjechał Ireduński i powiało grozą”.

Oczywiście można zrozumieć Brandysa, że nie przepadał za ekscesami młodszych kolegów po piórze, zresztą różnica wieku bez wątplenia wpływała na postrzeganie ich twórczości. Czasami jednak można było odnieść wrażenie, że Brandys przybierał pozę autorytetu moralnego, zapominając o swoich wesołych, młodych latach. Gorzej, gdy wpływało to na jego oceny literackie.

„Kupiłem powieść Agnieszki Osieckiej pod tytułem *Zabiłam ptaka w locie*. Jest to jednak klasyczna grafomanka. I już druga jej książka z ptakiem w tytule. Freud miałby tu coś do powiedzenia. Tak jak tamtemu Moniusiowi z dowcipu wszystko kojarzyło się z d..., tak jej wszystko kojarzy się z ptakiem”[192].

## TOSKA

W 1958 roku w wypadku motocyklowym zginął szwagier Mikołajskiej, Jerzy Krzysztoń. Pozostawił po sobie dwie małe córki (Grażynę i Antoninę) i w tej sytuacji Halina sprowadziła siostrę wraz z dziećmi do siebie. Marian zaakceptował decyzję żony, a szczególne więzi połączyły go z młodszą z dziewczynek,

którą zawsze traktował jak własną córkę. W pewnej chwili doszło zresztą do nieformalnej adopcji dziecka.

„Kiedy Tosia była w szóstej klasie – pisała biografka aktorki, Joanna Krakowska – Halina Mikołajska ustaliła z siostrą, że »Tosia będzie Haliny«. Ta niecodzienna umowa musiała sprowadzić rozliczne emocjonalne komplikacje. Marian Brandys kochał Tosię jak córkę. Halina Mikołajska żądała od niej swoiście pojmwanej lojalności. Były sobie bliskie, ale nie była to bezwarunkowa miłość matczyna. Przyciąganie i odpychanie, akceptacja i uczuciowy szantaż, a przede wszystkim chyba brak poczucia stabilności emocjonalnej sprawiały, że dom na Marszałkowskiej nie był szczęśliwy. Z małżeńskim kapitałem Brandysów, którym był jakiś rodzaj niespełnienia, z siostrzaną relacją opartą na jednostronnym podporządkowaniu i uzależnieniu trudno było zapewne budować rodzinę zdolną w równym stopniu zadbać o indywidualne potrzeby jej członków, a zarazem stworzyć prawdziwą wspólnotę”[193].

W 1970 roku do Brandysów wprowadziła się jeszcze matka Haliny i Barbary, nazywaną przez Mariana Babcią. Często go irytowała, ale jednocześnie przyznawał: „ta moja teściowa to wyjątkowy okaz zacności, godności i wszelkich możliwych zalet ludzkich. Ona jedna wprowadza jakiś porządek do naszego życia domowego i zespala w ognisko domowe nasz rozchwierutany, egoistyczny i chimeryczny, stale podenerwowany klub kawalerów”[194].

Halina była jednak osobą zaborczą i czasami bywała wręcz zazdrosna o uczucia, jakie Marian żywił do Tośki. Czuł bowiem wielką dumę z wychowanicy, z radością obserwował, jak dorasta, zachwycał się jej próbami poetyckimi..

„Andrzej [Nowicki, poeta i tłumacz – S.K.] czytał wiersz Tosi. Ma pogląd zbliżony do mojego, dziewczyna zdecydowanie może pisać. Pierwsze wersje, obrazowe – najlepsze. W innych za dużo »organizowania« młodzieńczego. Chociaż ta metafora z dzwonami, które »tulą serca do brązu metalu«. Oczywiście tak Tośce podbiłem

bębenka, że teraz wyczuwam jej rozczarowanie. Muszę z nią na serio pomówić i przypomnieć słowa małej Kowalskiej: »Co to za zawód, kiedy ciągle musisz czekać, żeby cię chwalono«”[195].

Pan Marian widział w Antoninie przyszłą poetkę. Zachwycał się jej sposobem bycia, sukcesami towarzyskimi, martwił natomiast kłopotami z nauką. Całkowicie wszedł w rolę jej opiekuna, a dzisiejsi wielbicieli talentu Antoniny Krzysztoń powinni być mu wdzięczni za to oddanie.

Tosia była jego faworytką, natomiast znacznie mniejsze przywiązanie okazywał jej starszej siostrze, Grażynie. Nie ukrywał radości, gdy dziewczyna wyszła za mąż i wyprowadziła się ze wspólnego mieszkania.

„Wspaniały dzień – zanotował w grudniu 1972 roku. – Po wyprowadzeniu się Grażyny poczułem się po raz pierwszy od kilkunastu lat całkowicie na własnych śmieciach. Pierwszy dzień bez nieporządku, hałasu i niezyczliwości – którymi mi z przedziwnym talentem wypełniała cały dzień. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak bardzo ciążyła mi jej obecność”[196].

Małżeństwo Grażyny nie było udane, a pisarz coraz bardziej niepokoił się o Toškę. I wpadł w zupełną panikę, gdy dziewczyna oświadczyła, że też wychodzi za mąż. Miała jednak wówczas już 24 lata, była studentką Akademii Teologii Katolickiej i zaangażowała się w działalność opozycyjną. Dlatego też nie zamierzała zwracać uwagi na opinie Haliny i Mariana. A cała sprawa z małżeństwem ulubienicy nasunęła Brandysowi szereg ponurych refleksji, zdał sobie bowiem sprawę z faktu, jak bardzo Toška przypomina Halinę:

„[...] one obie są tak straszliwie zawzięte. »Stało się między ciocią a mną coś takiego, że już nigdy nie będzie tak jak było«. »Włożyłam w nią kawał życia, a ona to podeptała – mówi Halina – jak jej mogę to przebaczyć«. A przy tym są tak bardzo do siebie podobne! Kobiety z rodziny Mikołajskich są wspaniałe, szlachetne we wszystkich pozytywnych działaniach. Ale są straszne, kiedy ujawnia się ich bezgraniczny egotyzm, kiedy zagra w nich urażona



ambicja”[197].

Halina była jednak nieustępliwa i nie pojawiła się (!!!) na ślubie siostrzenicy. W tym celu wyjechała nawet specjalnie z Warszawy, natomiast jej mąż oczywiście wziął udział w uroczystości. Zanotował, że Tośka wyglądała „ślicznie i wzruszająco”, pozytywne wrażenie zrobili też na nim rodzice pana młodego. Brandys udobruchał się nieco, chociaż nadal uważał, że żona poniosła „tyle ofiar i wyrzeczeń” na rzecz siostrzenic, a one „pchały się w idiotyczne małżeństwa bez perspektyw”. A może po prostu obie panny Krzysztoń chciały jak najprędzej opuścić dom, gdzie było im zbyt ciasno? I małżeństwa stanowiły jedyną drogę ucieczki?

Inna sprawa, że Brandys również przez cały czas miał bliżej nieokreślone pretensje do żony o zaniechanie jego osoby. Doskonale jednak wiedział, że Halina angażuje się bez reszty w masę spraw rodzinnych oraz zawodowych i nie może poświęcać mu zbyt wiele czasu. Od 1976 roku doszła jej jeszcze działalność opozycyjna w ramach Komitetu Obrony Robotników. A Brandys od lat zachowywał się, jakby chwilami tracił kontakt z rzeczywistością.

„Zaraz z rana zapodziały mi się gdzieś spodnie od piżamy – irytował się. – Cały dom przewróciłem do góry nogami, ale ich nie znalazłem do teraz. Po prostu cud. Potem wyszedłem z pięknym, wczoraj kupionym (za siedemset złotych) parasolem japońskim (*automatic extralux*). Nigdzie nie wstępowałem, byłem tylko w PKO i parasol zginął jak zaczarowany”[198].

Roztargnienie Brandysa przybierało czasami wręcz katastrofalne rozmiary i nieobecność żony odczuwał wyjątkowo boleśnie. Halina bywała wprawdzie niepunktualna i apodyktyczna, ale trzeźwego spojrzenia na życie nikt nie mógł jej odmówić. A sam Marian czasami przekonywał się, że żyje jednak w zupełnie innym świecie.

„Spodnie od piżamy znalazłem w poszwie kołdry. Parasol oczywiście przepadł. Ale w każdym razie zasypiam spokojnie –

cudów nie ma”[199].

## KOR

24 czerwca 1976 roku premier Piotr Jaroszewicz w przemówieniu sejmowym zapowiedział drastyczną podwyżkę cen żywności. Osobiście pamiętam konsternację moich rodziców, gdy z transmisji telewizyjnej dowiedzieli się, że cena za kilogram cukru ma wzrosnąć z 10,50 do 26 złotych!

„Przemówienie Jaroszewicza obfitowało w rzeczy bezczelne – zanotował Stefan Kisielewski – których zresztą oni wcale za bezczelne nie uważają, bo stracili czucie, gdzie są i kto ich słucha – telewizja to jednak nie zebranie partyjne. A więc nieustające samochwalstwo, a więc utożsamianie partii i rządzącej klikki z narodem, no i najbezczelniejsze, że oni mają do narodu łaskawe »zaufanie« i wiedzą, że ich poprze”[200].

Dodatkową wściekłość społeczeństwa wywołała zapowiedziana struktura rekompensat finansowych mających złagodzić skutki podwyżek. Ustalono bowiem jednolity system procentowy, dzięki czemu najwyższe rekompensaty mieli otrzymać ci, którzy zarabiali najwięcej.

Następnego dnia zastrajkowało kilkadziesiąt zakładów pracy na terenie kraju, a do najgwałtowniejszych zajęć doszło w Ursusie i Radomiu. Wystraszone władze wycofały się częściowo z podwyżek (to wtedy wprowadzono bony na cukier), nie zrezygnowano jednak z przykładowego ukarania „warchołów”. W całej Polsce zwolniono z pracy tysiące osób, a kilkadziesiąciu robotników (najczęściej zupełnie przypadkowych uczestników wydarzeń) postawiono przed sądami.

W odpowiedzi na represje władz z inicjatywy Piotra Naimskiego i Antoniego Macierewicza powstał Komitet Obrony Robotników, który 22 września ogłosił *Apel do społeczeństwa i władz PRL*. Nawoływano do „solidarności i wzajemnej pomocy”,

prześladowani robotnicy otrzymać mieli pomoc prawną i finansową, zapowiedziano również bieżącą akcją informacyjną dla społeczeństwa. Apel podpisało 14 sygnatariuszy, a tydzień później do KOR przystąpiła Halina Mikołajska.

Komitet był pierwszą w dziejach PRL oficjalną organizacją opozycyjną. Jego członkowie działali jawnie, pod własnymi nazwiskami, nie zamierzając się ukrywać. I to właśnie najbardziej zaniepokoiło władze, stanowiło bowiem widoczny symbol erozji systemu komunistycznego w kraju.

„Wśród członków założycieli znaleźli się – pisał Paweł Wieczorkiewicz – odgrywający rolę swego rodzaju szyldów reprezentanci starszego, przedwojennego pokolenia, działacze polityczni (Antoni Pajdak i Adam Szczypiorski z PPS oraz ppłk Józef Rybicki, dowódca Kedywu Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej), adwokaci Aniela Steinsbergowa i Ludwik Cohn, ks. Jan Zieja, intelektualiści i artyści (ekonomista Edward Lipiński, historyk sztuki Jan Józef Lipski, pisarz Jerzy Andrzejewski, poeta Stanisław Barańczak), Macierewicz z Naimskim oraz Jacek Kuroń. [...] Z czasem skład Komitetu coraz bardziej się rozszerzał – głównie – choć nie tylko [...] o młodzież z zaciągu marcowego”[201].

Szczególne znaczenie miał akces Mikołajskiej, aktorki zawsze bowiem stanowili najbardziej rozpoznawalną grupę artystyczną. I chociaż Halina nie udzielała się zbyt często przed kamerą, to jednak jej twarz była zdecydowanie bardziej znana niż pozostałych opozycjonistów.

„Ona była jedną z założycielek KOR-u – wspominał Andrzej Łapicki – i działała od razu bardzo ostro politycznie, co w tamtych czasach, w tym środowisku było czymś wyjątkowym. [...] Ona budziła podziw tą swoją postawą, zdumienie i pewne takie niedowierzanie, że coś takiego jest możliwe. I myślę, że ona była takim chodzącym wyrzutem sumienia środowiska. [...] To było w połowie lat 70. w ogóle niespotykane, ona była właściwie jedyna [...] Było parę osób, które kilka lat później brało udział w jakichś

impresach kościelnych, ale tego nie da się porównać z udziałem w tym oporze, który ona demonstrowała. To zwracało uwagę i było dla nas wszystkich czymś niezwykłym, [gdyż] nikomu nie przyszło do głowy, że można w ten sposób pokierować swoim życiem”[202].

Warto zwrócić szczególną uwagę na tę wypowiedź. W późniejszych latach (zwłaszcza już po powstaniu Solidarności) w szeregach opozycji faktycznie pojawiło się wielu przedstawicieli środowiska aktorskiego. Ale kiedy zakładano KOR, to Mikołajska była jedyną, gdyż jej koledzy wprawdzie narzekali na ustrój, ale ułożyli sobie wygodny konsensus z władzą ludową. Opinia Łapickiego przypomina zresztą wypowiedź jednego z działaczy Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom. Po upadku PRL tak wiele osób przyznawało się bowiem do działalności w kościele św. Marcina, że gdyby była to prawda, to nie starczyłoby dla nich pracy przy dystrybucji paczek dla poszkodowanych przez władze komunistyczne...

Natomiast dla Haliny z dnia na dzień „nieważna stała się kariera” i „nieważne było to, co się gra”, znaczenie zaczęło mieć „poświęcenie dla sprawy, dla ludzi, dla idei”. Aktorka była w tym wręcz nieprawdopodobnie konsekwentna, wiedziała, że zapłaci wysoką cenę za swoje zaangażowanie, ale nie myślała o tym, aby się wycofać.

Marian w pełni popierał działania żony, sam zresztą również stał się innym człowiekiem. Nagle przestał mieć problemy ze zdrowiem (poza astmą i regularnymi zaziębieniami) i nie odczuwał już braku weny. Inna sprawa, że życie Brandysów nabrało takiego tempa, iż nie było już czasu na narzekania i refleksje. Wprawdzie pan Marian bezpośrednio nie angażował się w sprawy KOR-u (ktoś musiał przecież zarabiać na rodzinę), ale mieszkając pod jednym dachem z Haliną, znajdował się w samym centrum wydarzeń.

„Przez ich dom przechodziło wiele KOR-owskich spraw –

wspominał Adam Michnik – które Brandys postrzegął w perspektywie szczególnej: nie tylko osobistej, widział w nich także kolejny skrawek długiej historii polskiej wolnościowej inteligencji. Inteligencji, która spiskowała: która jasno wypowiadała słowa prawdy przeciwko zniewoleniu; która nieraz już przeżywała chwile swej moralnej potęgi, a potem gorzyc swych politycznych porażek”[203].

Mikołajska wcześniej nie angażowała się politycznie. W połowie lat 50. dyrektor Teatru Polskiego, Bronisław Dąbrowski, napisał o niej w służbowej notatce, że prezentuje „stosunek polityczny lojalny” i „społecznie nie udziela się”. Zmiana przyszła po wydarzeniach Marca 1968 roku, kiedy to ojciec aktorki był świadkiem brutalnej pacyfikacji demonstracji studenckiej. Pan Mikołajski do końca życia nie zapomniał tego widoku, prześladował go nawet na łożu śmierci.

„Nagły, gwałtowny powrót do życia nastąpił dopiero na krótko przed śmiercią – podczas dyżuru Haliny – wspominał Brandys agonię teścia. – Bezwładne ciało jakby odzyskało całą dawną siłę. Nieme usta przemówiły pełnym głosem. Począł się wyrwać do wstania z łóżka. »Muszę iść im pomóc! – krzyczał w gorączce – milicja bije dzieci! Muszę iść ich bronić!«. Halinie nie starczało sił, by utrzymać go w łóżku. Uspokoił się dopiero, kiedy mu przysięgła, że ona zrobi to za niego, że nie dopuści do tego, aby milicja biła dzieci. Składając przysięgę, nie bardzo wiedziała, o co chodzi umierającemu ojcu. Dopiero po jego śmierci dowiedzieliśmy się [prawdy] od Babci. [...]. Halina uznała ważność przysięgi złożonej umierającemu ojcu. Teść umarł we wrześniu 1970 roku. W trzy miesiące później wybuchły wydarzenia grudniowe na Wybrzeżu. To przyspieszyło jej decyzję”[204].

Na postawę Haliny wpłynęła również znajomość z Adamem Michnikiem, od którego dostała wycofaną ze sprzedaży książkę *Teatr i film Trzeciej Rzeszy*. Po jej lekturze doszła do wniosku, że jako artystka jest „częstką pewnego obrzydliwego monopolu, monopolu propagandy”. Wstępując w szeregi opozycji, wiedziała,

że ryzykuje całe swoje życie zawodowe, ale nie zawahała się.

Członkowie KOR nie dążyli do rewolucji i przejęcia władzy, oni walczyli o wolność i godność człowieka w zniewolonym społeczeństwie. Było to „zmaganie garstki ludzi z potęgą »łagodnego« totalitaryzmu drugiej połowy Gierkowskiej dekady. Czasy odzyskiwania wolności duchowej i nikczemnych poczynań aparatu władzy”, a pan Marian okazał się chyba najlepszym kronikarzem tych wydarzeń.

„Jacy piękni jesteśmy na kartach dziennika Brandysa – wspominał z nostalgią Adam Michnik. – I jak okropnie oszpeciły nas późniejsze lata...”[205]. Faktycznie, trudno o lepszy komentarz, jeżeli patrzy się na losy członków KOR w III Rzeczypospolitej...

## CZAS PRÓBY

Ekipa Edwarda Gierka nie odważyła się na oficjalne represje wobec działaczy opozycji. I podczas gdy w innych krajach bloku wschodniego przeciwnicy władz siedzieli w więzieniach, to ich polskim kolegom starano się wyłącznie obrzydzić codzienne życie (śmiertelne pobicie Stanisława Pyjasa w Krakowie było raczej wyjątkiem potwierdzającym regułę). Polskim władzom zależało na pozytywnym wizerunku na Zachodzie (kredyty!!!), co wykluczało brutalną rozprawę z opozycją. Nie zmienia to jednak faktu, że Służba Bezpieczeństwa miała szerokie możliwości nękania członków i sympatyków KOR, z czego bardzo umiejętnie korzystano. A czytając wspomnienia z tamtych lat, trudno wręcz uwierzyć, do jakiego poziomu podłości zniżano się w dręczeniu opozycjonistów.

Każdy wyjazd na procesy robotników oskarżonych o udział w czerwcowych zamieszkach kończył się zatrzymaniem przez milicję i wielogodzinnymi przesłuchaniami. A przy okazji usiłowano jeszcze wplątać działaczy w pospolite przestępstwa,

zdarzyło się nawet, że Mikołajską zatrzymano w Krakowie pod zarzutem kradzieży kozucha w kawiarni! Natomiast znajomi udzielający jej noclegu z reguły następnego dnia byli wzywani na przesłuchania połączone z zastraszaniem.

Dokładano również starań, aby same podróże upływały w szczególnej atmosferze. I gdy opozycjoniści wybierali transport kolejowy, to zawsze mogli liczyć na wyjątkowe atrakcje:

„Przez całą drogę [Haliny] do Krakowa szykanowało ją dwóch osobników o jednoznacznym wyglądzie. Próbowali się wdrzeć gwałtem do jej przedziału sypialnego, a kiedy im się to nie udało, rozlokowali się w sąsiednim przedziale i przez całą noc walili pięściami w ścianę, żeby nie mogła spać. Hałasy zaalarmowały cały wagon. Świadkiem awantury była między innymi nasza dawna przyjaciółka, aktorka Zofia Rysiówna. Proszony o interwencję konduktor jeszcze Halinie nawymyślał. Na ostatniej stacji przed Krakowem siepacze »wydziału rozrywkowego« wynieśli się z pociągu”[206].

Na adres domowy Brandysów przychodziły dziesiątki listów z wyrazami dezaprobaty dla działalności opozycyjnej Mikołajskiej. Marian początkowo próbował naiwnie korespondować z „oburzonymi”, ale okazywało się, że adresy zwrotne nie istnieją. Listy przychodziły zresztą całymi seriami, najwyraźniej SB za każdym razem mobilizowała siły w innym rejonie kraju.

„Znowu te ohydne listy – notował zrezygnowany Brandys. – Sam je otwieram i nie oddaję Halinie, chociaż każdego dnia dopytuje się niespokojnie o pocztę. Od kilku dni piszą wyłącznie kobiety z prowincji. Widocznie pchnięto do działania aktyw Ligi Kobiet. [...] Że akcja jest zorganizowana, to nie ulega wątpliwości. Listy napływają falami: dokładnie po dziesięć dziennie. Po tym dwa, trzy dni przerwy i znowu – po dziesięć”[207].

Cały czas nękano Brandysów telefonami. Zachrypnięte, męskie głosy nakazywały Marianowi, by „powiedzieć tej kurwie [Mikołajskiej – S.K.], żeby rzuciła swoją parszywą działalność w KOR-ze, bo człowieka można łatwo zabić”. Czasami rozmówcy

nawet nie próbowali prowadzić dialogu, tylko ponurym głosem powtarzali: „umrzesz... umrzesz... umrzesz...” Innym razem „głos męski – uprzejmy, nieledwie kulturalny”, grzecznie zapytał o możliwość zakupu dolarów, bo „podobno pani Mikołajska dużo dostaje z zagranicy”. Była to oczywista aluzja do rządowej propagandy głoszącej, że KOR jest piątą kolumną opłacaną przez zachodnich imperialistów.

„Kiedyś, w marcu roku 1968 – wspominał Brandys – próbowano takim telefonem postraszyć Stanisława Dygata. Najwytworniejszy z naszych pisarzy odpowiedział bez namysłu:

– A ty, chuju, myślisz, że będziesz nieśmiertelny?”[208].

Niestety, Brandysom zabrakło dystansu Dygata, chociaż pan Marian z obawy o samopoczucie żony starał się kontrolować korespondencję i telefon. Niestety, nie był w stanie nad wszystkim zapanować, a „nieznani sprawcy” nękali ich coraz bardziej. Regularnie demolowano też samochód Haliny, który był jej niezbędnym do działalności w Komitecie. Czasami odbywało się to w najprostszy z możliwych sposobów, poprzez wybitcie szyby, zdarzało się jednak, że wrzucano do wnętrza środki chemiczne, „po których nie dało się wytrzymać w samochodzie przez kilka dni”.

„Po powrocie do Warszawy Halina wita mnie wiadomością o nowym figlu »wydziału rozrywkowego« Pooblewali cały samochód różnokolorowym lakierem. Zużyli na to z pewnością kilka puszek, ale w takich wypadkach nie oszczędza się społecznych pieniędzy. Zrobił się dookoła wielki ruch. Kiedy przyjechali członkowie KOR-u i młodzież zabrała się do mycia samochodu, dwóch »cichych« zaczęło ich fotografować. Dla postraszenia”[209].

Dla Służby Bezpieczeństwa nie istniały żadne granice obrzydzania Brandysom życia. Dręczono ich, nie cofając się przed najbardziej absurdalnymi pomysłami.

„Wszystkie zamki w drzwiach pozatykane jakimiś świństwami (głównie opiłkami metalowymi), że nie można



wsadzić klucza. Zamek yale całkowicie zniszczony. Trzeba będzie wprawić nowy”[210].

Poza obowiązkową wizytą ślusarza pozostawał jeszcze problem zakupu zamka, co w tych czasach było praktycznie niemożliwe. Kłopoty stanowił nie tylko zamek, poważny problem powstał również, gdy „przypadkowo” u Brandysów zgasło światło.

„Próbuję zmienić korki, ale to nie pomaga – notował zrezygnowany pan Marian. – Widocznie coś poważniejszego. Dzwonię do dozorca, czyli »gospodarza domu«, ale go nie ma. Szukam więc w książce telefonicznej numeru pogotowia elektrycznego, świecąc sobie zapałką. Dzwonię przez okrągłą godzinę, numer jest stale zajęty. [...] Znosi się wszystko na dłużej, trzeba kupić świece. Biegnę do jednej, drugiej drogerii, ale świec nie ma. Są natomiast – nagrobkowe. Po krótkim wahaniu decyduję się na kupno nagrobkowych, chociaż głupio jakoś. Kiedy wracam z tym makabrycznym sprawunkiem, przypadkowo napotkany znajomy informuje, że świece można kupić w trzeciej drogerii – przy ulicy Partyzantów – o której istnieniu w ogóle nie wiedziałem. Tam rzeczywiście świece są”[211].

Gospodarka socjalistycznego niedoboru umożliwiła także inne metody szykanowania Brandysów. Po jednym z przedstawień teatralnych Halina dostała pięknie opakowaną bombonierkę, którą postanowiła zachować dla matki pod choinkę. Wigilię uratowało „łakomstwo Tośki” (dobre wyroby czekoladowe należały już wówczas do rzadkości), która tak „długo męczyła Halinę”, aż aktorka pozwoliła jej zerwać folię i zajrzeć do środka. Wewnątrz oczywiście nie było czekoladek, tylko cuchnący rozkładający się śledź...

Nie oszczędzono nawet suczki Brandysów, Feli. „Nieznani sprawcy” wysypali przed klatką schodową specjalnie spreparowane „dwa wiadra kości drobiu”. Kostki były odpowiednio połamane i miały „ostre jak szpilki” końce, tak że pies zapewne zakończyłby swój ziemski żywot, gdyby ich spróbował.

Eskałacja szykan postępowała i niebawem pojawiły się sprawy obyczajowe. Anonimowi rozmówcy pytali przez telefon Mikołajską, „ilu mężczyzn przepuszcza dziennie przez łóżko”, Brandysowi zaś wmawiano, że żona ma romans z Adamem Michnikiem. Znając metody SB, można zresztą podejrzewać, że przygotowywano już na ten temat odpowiednio spreparowane zeznania świadków. Dwa lata później w podobny sposób zaatakowano Tośkę, rozsiewając na uczelni pogłoski, że dziewczyna ma pięciu kochanków...

Najtrudniejsze dla Brandysów było jednak to, że odwróciło się od nich wielu znajomych niezwiązanych z KOR-em. Przyjaciele nie chcieli angażować się w opozycję, pragnęli mieć święty spokój, bez milicyjnych wizyt i przesłuchań na komisariatach.

„Najgorsza jest ta Sahara, jaką wytwarzają wokół nas – mówiła Halina. – Wszystkie te brutalne, małpio złośliwe dokuczliwości można jeszcze jakoś wytrzymać, ale narastająca pustka jest trudna do zniesienia”[212].

Tymczasem władza ludowa przeszła do bezpośredniego zastraszania. Sięgnięto po sprawdzony w marcu 1968 roku „aktyw robotniczy” i w grudniu 1976 roku urządzono najście na mieszkanie Brandysów.

„Okolo godziny 9.00 z rana rozległ się ostry dzwonek u naszych drzwi – opisywał pan Marian. – Wyjrzałem przez wizjer. Trzej nieznanomi mężczyźni: »delegacja robotników z Ursusa w życiowej sprawie«. Tak się wtedy mówiło, zakłęcie »w życiowej sprawie« znaczyło, że chodzi o coś bardzo ważnego. Po krótkich pertraktacjach przez drzwi wpuściłem ich. Ale razem z nimi do mieszkania wdarło się okolo dwudziestu innych drabów, którzy stali przedtem ukryci na schodach – poza zasięgiem wizjera. Całe to towarzystwo podniosłymi głosami poczęło domagać się rozmowy z członkiem Komitetu Obrony Robotników, aktorką Haliną Mikołajską. Musieli być poinformowani o rozkładzie naszego mieszkania, bo bez żadnych pytań wepchnęli się wszyscy do pokoju, gdzie Halina leżała jeszcze w łóżku. Z twardą,

proletariacką bezpośredniością »w imieniu robotników z Ursusa i całej klasy robotniczej« zażądali od mej żony »zaprzestania antypolskiej działalności w KOR-ze«. [...] Napastnicy grozili Halinie, że jeśli nie zaniecha »przeszkadzania im w uczciwej pracy dla kra-ju«, oni też potrafią przeszkadzać i »żeby się pani nie dziwiła, jak na scenę polecą zgniłe jaja«. [...] Nie wiem, może i było wśród nich kilku prawdziwych robotników, wykonujących zlecone zadanie partyjne, bo niektóre twarze odbijały wyrazem przykrego niezdecydowania od butnych i zadowolonych z siebie mord większości. Ale nie zmieniło to w niczym bijącego w oczy faktu, że napaść na nasz dom była zaplanowaną akcją »organów«. Nasza trójka – Babcia, Tośka i ja – odniosła się we właściwy sposób do tego prymitywnego teatru grozy. Moja teściowa przytłaczała bojówkarzy swoim majestatycznym sposobem bycia i nieskrywaną pogardą. Po prostu wiało od niej Grottgerem i Historią. [...] Ja próbowałem przygwoździć napastników szyderstwem i pytałem wprost, dlaczego przyszli do nas nie w mundurach, lecz przebrani za robotników. Tośka robiła wrażenie rozbawionej całą awanturą. [...] Jedynie Haliny nie stać było na żaden dystans. Wyrwana z najgłębszego snu, w który zapadła nad ranem po nieprzespanej nocy, jeszcze na w pół przytomna, od pierwszej chwili uwierzyła w to na chłodno obmyślane oszustwo. Trzy miesiące wcześniej zrezygnowała z »normalnego« życia, aby wstąpić do KOR-u i bronić robotników prześladowanych za udział w wydarzeniach czerwcowych 1976 roku. Teraz dowiadywała się, że robotnicy nie chcą jej obrony ani pomocy, że odcinają się od niej jak najbardziej zdecydowanie i brutalnie, że będą się na niej mścić”[213].

Wydawać się mogło, że SB osiągnęła wreszcie swój cel. Halina załamała się psychicznie i jeszcze tego samego dnia usiłowała popełnić samobójstwo. Zażyła duże dawki valium i tuinalu, ale organizm od lat przyzwyczajony do środków uspokajających (używała ich jako leków nasennych) poradził sobie z zagrożeniem. Wprawdzie Halina „rozpaczała, że się obudziła”, to jednak miała żyć dalej. To, co jej nie zabiło, to ją wzmocniło – od tej pory już

nigdy nie przeżywała żadnych rozterek.

## GORZKI TRIUMF

W lipcu 1977 roku władze PRL ogłosiły amnestię, podobno była to osobista decyzja Gierka zaniepokojonego reakcją kół zachodnich. Okazało się, że „potężny, najbardziej nowoczesny aparat ścigania wszystkimi swymi siłami walczący z kilkunastoosobową grupką ludzi dobrej woli” przegrał konfrontację. Na nic zdały się podsłuchy w telefonach i ścianach, zwalnianie z pracy, grzywny za „nielegalne zbiórki pieniędzy” na rzecz uwięzionych robotników. Aresztowania członków KOR-u spotykały się z protestami kół intelektualnych na Zachodzie, a taki hałas był Gierkowi zupełnie niepotrzebny. Miał bowiem wystarczająco dużo kłopotów w kraju, a bez dopływu dalszych kredytów gospodarce groziło całkowite załamanie. Na domiar złego w PZPR narastała opozycja przeciwko władzy pierwszego sekretarza.

Działacze KOR uznali amnestię za ogromny sukces i we wrześniu 1977 roku przekształcono organizację w Komitet Samoobrony Społecznej KOR. Jednocześnie zainaugurowano działalność Towarzystwa Kursów Naukowych (początkowo jako tzw. Uniwersytet Latający), stowarzyszenia mającego przełamać monopol edukacyjny państwa na poziomie uniwersyteckim. Wykłady odbywały się w mieszkaniach prywatnych, a deklarację założycielską podpisało kilkudziesięciu naukowców (w tym czterech członków PAN) oraz wielu intelektualistów. Nie mogło tam zabraknąć Haliny Mikołajskiej (jako jedynej przedstawicielki środowiska aktorskiego), natomiast Brandys został członkiem rady programowej.

Oczywiście władze usiłowały wszelkimi dostępnymi metodami paraliżować działalność TKN. Wykładowców zatrzymywano, uniemożliwiając im prowadzenie zajęć, czasami

jednak okazywało się, że organizatorzy dysponują taśmami magnetofonowymi z nagraniem wykładów, których wysłuchiwało zamiast prelegenta. Do mieszkań, gdzie prowadzono zajęcia, wkraczali milicja lub przedstawiciele samorządów, ogłaszając, że spotkania są nielegalne, i rozpędzając uczestników. Ale TKN cieszyło się coraz większą popularnością i zgłaszali do niego akces kolejni naukowcy.

W działalność opozycyjną zaangażowała się również Tośka, studentka Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Dziewczynę regularnie zatrzymywano na 48 godzin, traktowała to jednak jako specyficzną atrakcję życia w rodzinie Brandysów.

„Tośka przeżyła swój areszt jak wesołą przygodę. Upiekło jej się, że nie została ukarana za stawianie oporu władzy, bo tak się broniła przed aresztowaniem, że aż czterech milicjantów musiało ją wynosić z mieszkania Onyszkiewicza, którym opiekowała się w chorobie. Wrzeszczała przy tym i śpiewała rewolucyjne piosenki. Posadzono ją w celi z trzema więźniarkami skazanymi za przestępstwa gospodarcze. Mówi, że bardzo porządne dziewczyny (śniadania i kolacje miała z ich paczek). Tak się z nimi żyła, że kiedy wychodziła, żegnały ją ze łzami. Cała korowska młodzież odnosi się tak samo lekko jak Tośka do sankcji, które jeszcze niedawno wzbudzały grozę. Nie wiadomo, czy się martwić tym, czy się cieszyć”[214].

Jedną z planowych sankcji wobec opozycjonistów miało być osadzanie ich w celach razem z pospolitymi przestępcami. I to akurat władzy ludowej się kompletnie nie udało, osobiście pamiętam relację jednego z kolegów ze studiów, który we wczesnych latach 80. został zatrzymany w nielegalnej drukarni. Opowiadał, że w celi przyjęto go jak bohatera, albowiem tym różnił się od innych, iż „działał nie dla siebie, ale dla dobra wszystkich”.

Aktywność opozycyjna Tośki spowodowała, że codzienne pogróżki zaczęły dotyczyć również i jej. Nieznani mężczyźni prosili do aparatu „córeczkę”, albowiem „chcieliby sobie

popierdolić”...

Inna sprawa, że z powodu swojej działalności Antonina miała również problemy na studiach, chociaż Akademia Teologii Katolickiej wydawać się mogła uczelnią raczej odporną na naciski władz. Ale jej ówczesny rektor doskonale wiedział, w jakim kraju żyje, i czasami usiłował wpłynąć na dziewczynę. Oczywiście bezskutecznie.

Problemy zawodowe zaczęła natomiast mieć Halina. Wprawdzie Krzysztof Zanussi odmówił wycięcia jej epizodu z *Barw ochronnych*, ale władze zażądały usunięcia aktorki z Teatru Współczesnego. Dyrektor placówki, Erwin Axer, początkowo stawiał zajadły opór, jednak ostatecznie musiał ustąpić. Na Brandysach nie zrobiło to już jednak większego wrażenia, uznali, że „z głodu nie umrą”, gdyż książki Mariana znakomicie się sprzedawały. Z gorszą reakcją Haliny spotkały się natomiast próby podważania jej dotychczasowego dorobku aktorskiego. W prasie zamieszczano bowiem opinie, że „Mikołajska to w gruncie rzeczy żadna aktorka”.

„Pamiętam popłoch w twarzy Haliny – wspominał tamte chwile Marian – gdy się o tym dowiedziała, jej oczy pełne łez i słowa: »Z tej strony sankcji karnych za wstąpienie do KOR-u nie mogłam się spodziewać!«”[215].

Ubocznym skutkiem zaangażowania się Mikołajskiej w działalność opozycyjną był jej powrót do katolicyzmu. Dom Brandysów do tej pory był ateistyczny i podobno nawet Tośce nie pozwalano w dzieciństwie na udział w lekcjach religii. Halinę przez długi czas irytował zresztą „ogólny szal »patriotyczno-religijny«” w szeregach opozycji i nawet „zdjęła z szyi krzyżyk, bo nie mogła ścierpieć »zbiorowej wymiany legitymacji partyjnych na krzyżyki“”. Ale z czasem następowała w niej przemiana duchowa, prawdopodobnie uświadomiła sobie, że w Polsce katolicyzm i niepodległość zawsze były ze sobą blisko związane. Dalsze zmiany światopoglądowe miały przynieść najbliższe lata, Halina stała się gorliwą katoliczką i tak miało już pozostać do

końca jej życia.

Przed sierpniem 1980 roku boleśnie jednak odczuwała wyobcowanie. Chociaż w kraju chwiała się władza komunistów, to jednak wielu znajomych wciąż unikało kontaktów z Mikołajską. Uważali ją za zagrożenie dla własnej „małej stabilizacji”, nawet gdy ta stabilizacja oznaczać miała kilometrowe kolejki w sklepach, zakłamanie mediów i ostrą cenzurę.

„Bardzo się martwię o Halinę – notował Brandys w lipcu 1978 roku. – Przez działalność polityczną odcięła się całkowicie od swojego środowiska. Najlepszym tego dowodem są tegoroczne wakacje spędzone w rozjazdach pomiędzy Łaskami a Szymanowem. Już nic więcej jej nie pozostało. Ta pustynia wokół nas, której tak bardzo się obawiała, staje się coraz realniejsza i dotkliwsza. To jest gorsze od szykan policyjnych”[216].

## ŚWIAT BEZ HALINY

Po wprowadzeniu stanu wojennego Mikołajska została internowana. Przebywała w obozach odosobnienia w Jaworzu, Gołdapi i Darłówku, zwolniono ją pod koniec kwietnia 1982 roku. Zdecydowały o tym naciski środowiska aktorskiego (wówczas już wielu kolegów nawróciło się na antykomunizm) i zły stan zdrowia pani Haliny.

Z internowania Mikołajska powróciła odmieniona. Tej samej nocy zażądała od Kazimierza Kutza, aby ją natychmiast przechrzcił na Ślązaczkę.

„Zetknęła się z grupą kobiet ze Śląska w drugim obozie internowania – tłumaczył Kutz – i nie miała dla nich słów uznania. Widać panie z »księstwa«, z którymi siedziała w pierwszym obozie internowania, na to zapracowały. »Ochrzcilem« więc Halinę czystą dawką alkoholu na Ślązaczkę i przez chwilę czułem się »biskupem« od Górnego Śląska”[217].

Na krótko powróciła do gry na scenie, została bowiem

niezwłocznie zaangażowana przez Kazimierza Dejmka do Teatru Polskiego. Cieszyła się ogromną popularnością, ale już nie jako aktorka, lecz bardziej jako „ikona narodowa”. Żartowała, że „zswisa ze sceny jak sztandar narodowy”, a publiczność patrzy na nią „jak na Emilię Plater”.

„Ja sama dobrowolnie wycofałam się z ruchu zawodowego, z teatru – mówiła w wywiadzie dla Sekcji Polskiej BBC w kwietniu 1986 roku. – Z wielu względów. Były tam również motywy osobiste, że tak mi się życie układało. Miałam przez parę lat umierającą matkę i nie bardzo mogłam sobie pozwolić na systematyczne, stałe zajęcie. Potem sama się bardzo rozchorowałam i zaczęłam ten teatr uprawiać sama. [...] Zaczęłam jeździć z recitalami, kiedy mogłam sobie na to pozwolić, kiedy ja dysponowałam i rządziłam swoim czasem”[218].

Chociaż miała propozycje z telewizji, to jednak nie ich nie przyjęła. Ale wcale nie z powodu bojkotu ogłoszonego przez środowisko aktorskie po wprowadzeniu stanu wojennego. Inna sprawa, że pani Halina mogła sobie na to pozwolić, akurat jej nikt nie mógł zarzucić kompromisu z komunistami.

„[...] bojkot mi się podobał – wyjaśniała Mikołajska – ale gdyby tego bojkotu nie było, to też bym odmówiła. [Zresztą] po trzykrotnym odmówieniu nikt mi już nic nie proponuje. Nie wiem, czy ten bojkot trwa, czy na ile ja jestem bojkotowana i wcale mnie to nie interesuje. Poza tym mam z telewizją swoje dawne porachunki, z telewizji w imię zbiorowej odpowiedzialności wylano moją siostrę, telewizja prowadziła przez jakiś czas coś w rodzaju czarnej listy i nie wolno mi było występować. Ja po prostu przestałam lubić występować w telewizji”[219].

Udzielając wywiadu dla BBC, była już poważnie chora, zdiagnozowano u niej nowotwór. I gdy nadeszły pierwsze wolne wybory w czerwcu 1989 roku, to umierająca przebywała w szpitalu. Jednak na jej prośbę została zanieśiona na noszach do punktu wyborczego, aby mogła zagłosować. W tym też czasie Marian przyjął chrzest i Brandysowie wzięli ślub kościelny,



ponieważ Halina chciała, żeby „spoczęli we wspólnej mogile”. Zmarła 22 czerwca 1989 roku.

„[...] nie popełniłam żadnego bohaterskiego czynu – bagatelizowałam swoją działalność na trzy lata przed śmiercią. – Po prostu jestem na tyle nierasową czy nietypową aktorką, że nie miałam poczucia konieczności pełnienia tego zawodu. To nie jest żadna moja zaleta, po prostu to jest nietypowe, dlatego też nie czuję się upoważniona do mówienia o całości środowiska i wygłaszania jakichkolwiek ocen o tym, co się tam wśród moich kolegów dzieje. Bo jeżeli ktoś musi [...], bo tak odczuwa swoją powinność i jedyną możliwość realizacji swojego życia, to musi... Ja tego poczucia nigdy nie miałam, więc łatwo mi było ryzykować...”[220].

Po jej śmierci Brandys chciał kontynuować dzieło żony i zastąpić ją w gronie dawnych znajomych z kręgów opozycji.

„Marian za życia Haliny szalenie skromnie uczestniczył we wszystkich zebraniach towarzyskich – opowiadał Jerzy Markuszewski – to byli goście Haliny. Nie wchodził się witać, o jakiejś porze zawsze stawał w drzwiach, z wystraszonymi oczyma, i znikał. W miesiąc czy dwa po pogrzebie Marian powiedział, że odczuwa wewnętrzny przymus, żeby ten dom po śmierci Haliny nie opustoszał. Jej przyjaciółki zaczęły odwiedzać Mariana, dołączyli nowi stali bywalcy. Marian, który jest człowiekiem nieśmiałym, nauczył się otwierać na ludzi. Jest uwielbiany przez kobiety i sporo kobiet się na nim skupia”[221].

Najwyraźniej do końca życia musiało w Brandysie pozostać coś z dawnego, przedwojennego oficera. Lubił otoczenie pięknych pań, a one czuły się dobrze w jego towarzystwie.

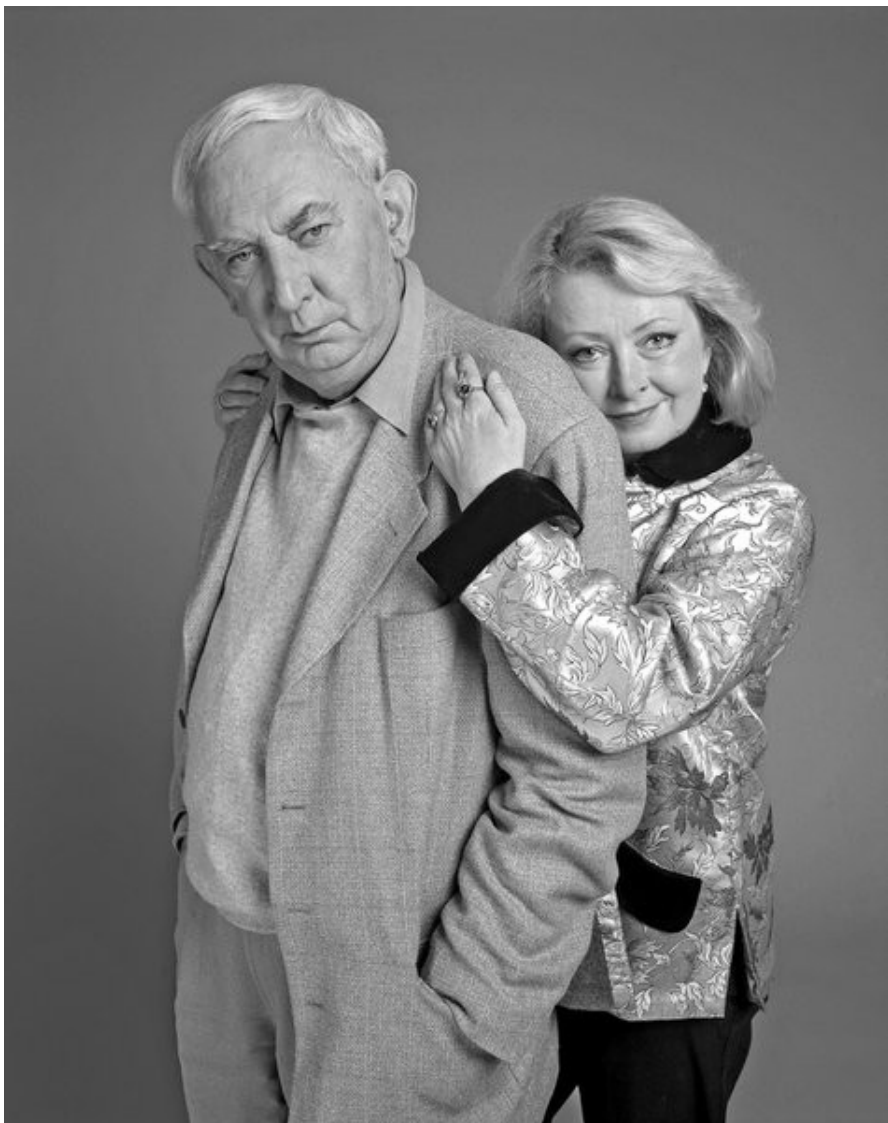
„Osiemdziesiąte piąte urodziny Mariana – wspominał Ryszard Matuszewski – któreśmy obchodzili w styczniu 1997 roku, na niespełna 2 lata przed jego śmiercią, utrwaliło dla mnie rzewne, kiedy je dziś oglądam, zdjęcie jubilata w wianuszkach adorujących go pań. Jaka szkoda, że na odwrocie tego zdjęcia widnieje groźne zastrzeżenie: »zdjęcie nie do publikacji«. Ale może to już

nieaktualne?”[222].

Marian Brandys zmarł 20 listopada 1998 roku i spoczął u boku żony na cmentarzu leśnym w Laskach. Tam, gdzie znajdują się groby: Jana Lechonia, Antoniego Słonimskiego, Jerzego Zawieyskiego, ks. Jana Ziei, a niedawno pochowano także Tadeusza Mazowieckiego. I chyba trudno o lepsze miejsce wiecznego spoczynku dla dwojga małżonków, którzy tyle poświęcili na rzecz walki o demokrację w naszym kraju...

## **Rozdział 4**

### **Gustaw i Magdalena**



**Wtedy tak naprawdę po raz pierwszy przyglądam się panu Gustawowi, którego do tej pory znam właściwie tylko ze sceny i ekranu. Ma miłą łagodną twarz i ogromne oczy, nieprawdopodobnie niebieskie i prześwietlone, z czającymi się**

*chochlikami. Przyciągają jak magnes. Gęste, czarne, aż granatowe włosy z lekkim szpakiem na skroniach i śniada cera jeszcze bardziej podkreślają charakter tych oczu. Duże, odstające uszy dodają łobuzerskiego wdzięku. Można powiedzieć, że te oczy i uszy są jego znakiem firmowym. Nienaganne maniery, styl bycia i wysławiania się, dowcip i wesołość. Piękny, męski, właściwy tylko jemu głos. Zdaje mi się czarującym mędrce. Patrząc zdumiona i zastanawiam się, jak to możliwe, że do tej pory widziałam w nim tylko wielkiego aktora, a nie fascynującego mężczyznę.*

*(Magdalena Zawadzka)*

## CHŁOPAK Z KRAKOWA

Ojciec Gustawa Holoubka podobno wzruszał się za każdym razem, gdy usłyszał austriacki hymn. Płakał również, gdy grano hymn Czech i nie ukrywał łez, słuchając *Mazurka Dąbrowskiego*. Pan Gustaw Holoubek senior był bowiem klasycznym produktem multietnicznej monarchii Habsburgów – z pochodzenia Czech, który służył w armii austriackiej, a następnie osiadł w Krakowie. Pod Wawelem szybko uległ polonizacji, chętnie jednak jeździł nad Wełtawę, nigdy bowiem nie zapomniał o swoich rodzinnych stronach. Ale wybrał narodowość polską i pozostał w tym konsekwentny. Jeszcze przed I wojną światową należał do Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, podczas konfliktu walczył w szeregach II Brygady Legionów i był dwukrotnie ranny. A po wojnie sprowadził do Krakowa żonę.

Małżonka jednak niebawem zmarła i Holoubek pozostał z dwojgiem dzieci. Na tej samej ulicy mieszkała też pewna wdowa po urzędniku magistrackim z dziećmi – i tych dwoje dotkniętych podobnym nieszczęściem ludzi zbliżyło się do siebie. Wzięli ślub, a owocem ich związku był urodzony w kwietniu 1923 roku Gustaw Holoubek junior.

Ojciec rodziny był oryginalnym człowiekiem, jego największą życiową pasję stanowił sport. Piastował funkcję przewodniczącego sekcji gier sportowych krakowskiego „Sokoła”, a obowiązkom działacza oddawał się „w zapamiętaniu, bez chwili zmęczenia”. Zdarzało się, że „uciekał z domu o ósmej rano, by wracać – niekoniernie tego samego dnia – późnym popołudniem albo wieczorem”

„[...] te powroty właśnie – wspominał jego syn – były jak powrót słońca. Rozpromieniony, oszalały z radości, obdarowywał nas jakimiś dziwadłami. Za dużymi albo za małymi butami, nie na tę porę roku, albo kwiatami zaklętymi w szklanych kulach, albo ciastkami w ilości mogącej pożywić kompanię wojska. Nie miał

gustu, a może jeszcze bardziej wstydził się kupować. Brał wszystko, co mu podsunęto albo co wydawało . mu się ładne, bez wybierania, w panicznym pośpiechu. Biedna matka musiała używać podstępów, aby dowiedzieć się, skąd wytrzasnął dla niej niebieskie pończochy. Biegła potem do sklepu z pretensjami, domagając się zamiany: »Ten pan – mówiła sprzedawczyni – żądał tych z wystawy. Tłumaczyłam mu, że są spłowiałe od słońca, ale on oświadczył, że nic mnie to nie obchodzi«. »Na drugi raz niech pani nie słucha wariatów« – oświadczyła matka”[223].

Ojciec zmarł, gdy przyszły aktor miał zaledwie dziesięć lat, udało mu się jednak zaszczepić u chłopca zamiłowanie do sportu. Przez całe swoje życie Gustaw miał być zapalonym kibicem piłki nożnej i wielbicielem Cracovii.

„My młode dzieci, czym się zajmowaliśmy? Kopaliśmy w piłkę na błoniach krakowskich. Ale po to, żeby zobaczyć prawdziwą piłkę, trzeba było iść na mecze na boisko Cracovii. Było to dosyć trudne, bo nie mieliśmy pieniędzy, nie mogliśmy kupować biletów, więc przyczepialiśmy się do dorosłych ludzi, żeby nas zabrali ze sobą. Słynny pan Wiecheć zawsze od czasu do czasu otwierał swoją budkę, domek i wpuszczał nas niekiedy za darmo na boisko. Oprócz tego wchodziło się na grandę, czyli przez płot. Potem zostało to troszkę bardziej utrudnione, ponieważ wymyślono, żeby konna policja pilnowała granic boiska, ale i to pokonywaliśmy. A na boisku działy się rzeczy wspaniałe”[224].

Gustaw Holoubek junior spędził dzieciństwo w dzielnicy Zwierzyniec w gronie miejscowych andrusów. Jeszcze wiele lat później twierdził, że „jest w nim pamięć ulicy, na której się wychował”, a już jako dorosły człowiek potrafił pobić chuligana na meczu koszykówki. Z drugiej jednak strony uczył się w elitarnym gimnazjum imienia Bartłomieja Nowodworskiego, a matka marzyła, aby „został urzędnikiem magistrackim lub księdzem”.

Nie był jednak specjalnie pilnym uczniem, albowiem w latach szkolnych najbardziej interesowały go piłka nożna i dziewczęta.

„Najpiękniejsze panienki – wspominał po latach – uczęszczały do Dziesiątki, czyli żeńskiego gimnazjum na Oleandrach. Wiosną i latem defilowały wystrojone na deptaku przy Błoniach. Nie można było nie biegać tam codziennie i nie podziwiać ich. Ale najwięcej miejsca w wyobraźni zajmowały urszulanki z prywatnego gimnazjum prowadzonego przez Zgromadzenie Sióstr Urszulanek. Wychowane w groźbie przed grzechem, hamowane w swoim rozwoju, były najbardziej podatne na występki. Zadawać się z urszulanką to znaczyło przechodzić szczególny stopień wtajemniczenia. Naszymi sąsiadkami, po drugiej stronie placu Na Groblach, były uczennice żeńskiego gimnazjum Towarzystwa Szkół Ludowych, nowoczesnej szkoły o wyraźnie lewicowym zacięciu. Nazywaliśmy je w skrócie TeeSeL-ki. Były wyraźnie wysportowane. Grały na placu w siatkówkę i koszykówkę. Dzieliliśmy z nimi boisko sportowe”[225].

Upodobanie do płci pięknej stało się zresztą przyczyną jego „największej młodościowej kompromitacji”. Zdarzenie miało miejsce podczas zajęć z przysposobienia obronnego, a całą scenę wykorzystał po latach Stanisław Dygat w powieści *Disneyland*:

„W kolejny piękny dzień wiosenny wkroczyliśmy w szyku marszowym na plac Na Groblach. Zdarzyło się, że opodał na boisku do siatkówki grały dziewczyny, nasze gimnazjalne sąsiadki. Nie wiem, co mnie podkusiło, pewnie chęć zabłyśnięcia przed kolegami, że krzyknąłem: »Co ta mleczarnia tu robi!«. Usłyszał to porucznik K. Komenda: »Kompania (krok defiladowy) stój! Czwórki w prawo zwrot!« zabrzmiała wyjątkowo energicznie. »Który junak to powiedział?!«. Wystąpiłem trzy kroki i stanąłem w pozycji na baczność. Powiedział: »Junak Holoubek! Biegiem marsz do dziewcząt! Powtórzyć zarzut! I przeprosić!«. Wykonałem. Dziewczyny tarzały się ze śmiechu, a ja nie dość upokorzony musiałem jeszcze na rozkaz porucznika trzykrotnie okrążyć biegiem nasz oddział, oddział w marszu, defilujący przed dziewczynami żeńskiego gimnazjum. Duch opiekuńczy porucznika nie opuszczał mnie. W jakiś czas potem nasza klasa IV B otrzymała od



dziewcząt z TSL-u zaproszenie na bal maturalny. Takimi samymi czcionkami jak samo zaproszenie było wydrukowane: »Z wyjątkiem kolegi Gustawa Holoubka, któremu w tańcu boimy się nastąpić na uszy«. Podpisał wójt klasy czwartej»[226].

Defekt urody w postaci potężnych uszu miał być zresztą powodem dowcipów towarzyszących aktorowi przez całe życie. Zdarzało się bowiem, że na planie filmowym przyklejano je plastrami (!), aby zbytnio nie odstawały od głowy. Holoubek potrafił jednak zachować dystans do problemu, a nawet opowiadać na ten temat dowcipy. Gdy był już dyrektorem Teatru Dramatycznego, to twierdził, że przez szacunek dla niego, jako dyrektora, w bufecie placówki nie zamawia się barszczu z uszkami...

W czasach szkolnych był jednak młodym i ambitnym człowiekiem, dlatego też uznał list od dziewcząt z TSL za wyjątkowo obraźliwy. Sprawiedliwość postanowił wymierzyć osobiście i gdy następnego dnia podczas przerwy „wypatrzył wójta chichoczącego ze swoimi koleżankami”, to nie wahał się długo. Podbiegł do dziewczyny, „kopnął ją w tyłek”, a następnie uciekł. Okazało się jednak, że „niedaleko i stosunkowo nie na długo”.

Inne chłapiące stresy przeżywał za sprawą matki. Tak jak to bowiem z troskliwymi rodzicielkami z reguły bywa, pani Eugenia nie zwracała zupełnie uwagi na obecność kolegów syna ani na formę swoich wypowiedzi.

„Umierał [...] ze wstydu – wspominała Magdalena Zawadzka – gdy z balkonu całego w czerwonych pelargonjach wychylała się mama, przywołując go na posiłek: »Gogusiu, chodź na górę, bo ci jajeczka wystygną«»[227].

## MIŁOŚĆ I OKUPACJA

W maju 1939 roku Holoubek zdał małą maturę, a inwazja hitlerowska zastała go na obozie przysposobienia wojskowego. Został zmobilizowany i skierowany do kompanii pomocniczej

przy 20. Pułku Piechoty w Krakowie. Oddział jednak szybko stracił kontakt z macierzystą jednostką i wraz z tłumami uciekinierów znalazł się na obszarze wschodnich województw Rzeczypospolitej. Gustaw zdążył wziąć jeszcze udział w potyczce z Niemcami w Jarosławiu, gdy nadeszły informacje o wkroczeniu Sowieców. Nie chciał iść do niewoli, jego grupa przebijając się na zachód, a głodujący rekruci zjedli nawet „dwa psy i kota”. Podczas próby przeprawy przez San wpadli jednak w ręce Niemców i Holoubek zakończył kampanię w obozie jenieckim.

W niewoli przebywał przez kilka miesięcy, tam też z powodu fatalnych warunków bytowych i ostrej zimy pojawiły się u niego symptomy gruźlicy, która miała go prześladować przez wiele lat.

„W kwietniu 1940 roku przyszło zwolnienie – wspominał. – Staraniem mojej matki, która słała podania, powołując się na austriackie ordery ojca z pierwszej wojny światowej, a także na przepis o nieletnich jeńcach, zostałem odesłany do domu. [...] Stałem przed drzwiami mieszkania i nie mogłem nacisnąć dzwonka. Stałem tak bardzo długo, kiedy drzwi się uchyliły i przez szparę wyjrzała moja matka. Usłyszałem szloch, dławiący, spazmatyczny. Rozebrałem się do naga, porzucając na schodach brud i zawšenje ostatnich siedmiu miesięcy, i pokryty strupami zastygłej krwi przekroczyłem próg domu. Zanurzony w ciepłej wannie, myty ręką matki dotknąłem wreszcie ustami jej twarzy. Ciągle płakała. Nawet wtedy, kiedy już spowitemu w szlafroki i szale postawiła na stole pierwsze danie obiadu. Zaraz potem zasnąłem”[228].

W Krakowie znalazł pracę w gazowni. Początkowo zajmował się szlakowaniem pieców, czyli odbijaniem żużlu od krawędzi pieca, następnie trafił do służby fabrycznej. Pracował na trzy zmiany, a zaletą tego zajęcia było posiadanie nocnej przepustki, dzięki czemu nie obowiązywała go godzina policyjna.

I właśnie wówczas, w samym środku okupacyjnej beznadziei, przyszła do niego miłość. I to z najbardziej nieoczekiwanej strony.

„[...] w kwietniowy słoneczny poranek stanąłem na balkonie

mojego mieszkania, aby odetchnąć upragnionym powietrzem mojej ulicy. [...] kiedy nagle, jak mi się zdawało z naprzeciwka, dobiegł mnie cichutki, ale wystarczająco wyrazisty głos dziewczyny: »Kłapouch«. Ponieważ nie mogłem zidentyfikować źródła, »Kłapouch« powtórzył się raz jeszcze, wyraźnie dając do zrozumienia, że chce być zdemaskowany. I zobaczyłem naprzeciwko, w odległości piętnastu metrów, w oknie spowitym w lekko drgającą muślinową firankę, wśród doniczek pelargonii, twarz... wójta»[229].

Życie bywa jednak najlepszym scenarzystą. Dziewczyna, która rok wcześniej dotkliwie go upokorzyła i na której zemścił się w chamski sposób, teraz zamieszkała w bezpośrednim sąsiedztwie.

„Zawsze była paskudna – kontynuował pan Gustaw – a teraz, tego ranka, piękna. Co to się stało? Czy słońce tak padało, że jego promienie łamały się na czerwonych pelargonkach, odbijając się na jej ustach różową poświatą? Czyjej oczy przez azur firanek nabrały przenikliwości? Czy może to ja, przez pół roku izolowany od życia, stęskniony za czułością, w instynktownych przeczuciach czegoś niezwykłego, zobaczyłem ją taką, jaką chciałem zobaczyć? Nie wiem. W każdym razie zaczęło się»[230].

]Basia była sierotą i sprowadziła się niedawno, aby zamieszkać z dziadkiem. Po kilku dniach Gustaw zdobył się na odwagę i zapytał, czy dziewczyna przypadkiem nie posiada pewnej książki, mając nadzieję, że mu ją pożyczy. Traktował to wyłącznie jako pretekst do osobistego spotkania i stało się to, o czym oboje marzyli.

„Kiedy wszedłem, stała na środku pokoju z książką w ręce. Zbliżyłem się, aby ją wziąć, ale nie wypuszczała jej z ręki. Staliśmy tak długo, zdawało mi się, że wieczność, naprzeciwko siebie, bardzo blisko, aż wreszcie, drżąc z lęku, pocałowałem ją w usta»[231].

Eugenia Holoubek niechętnie przyjęła ten związek. Jako matka czterech synów „nie przepadała za dziewczynkami” i w każdej z nich widziała potencjalną rywalkę. Sama zresztą

doskonale pamiętała własne postępowanie wobec mężów i teraz dawała synowi szokująco szczere rady na temat kobiet:

„Jeśli żona powie ci, że się źle czuje – nie wierz jej; ona zawsze będzie się źle czuła, a ty umrzesz wcześniej. Kiedy żył twój ojciec, którego bardzo kochałam, miałam reumatyzm, gruźlicę, raka, wszystkie nieuleczalne choroby, kiedy umarł, poczułam się jak nowo narodzona. Albo: »Jeżeli już musisz zadawać się z tymi dziewczuchami, to przynajmniej z ładnymi«. »Dlaczego?«. »Bo brzydkie są takie same« [232].

Wpływ matki na syna był jednak coraz mniejszy, a ich więzi szybko ulegały rozluźnieniu. Holoubka absorbowwały nie tylko praca i dziewczyna, ale również krąg przyjaciół, w których towarzystwie spędzał czas. Była to specyficzna grupa, tworzyły ją bowiem cztery pary, chłopcy ze swoimi narzeczonymi. Przysięgli sobie wzajemnie, że zawsze będą razem, przyciągała ich bowiem podobna wrażliwość, tak że tworzyli „coś w rodzaju rodziny, która praktycznie przez całą okupację nie rozstawała się ze sobą”.

Letnią rezydencją Gustawa i jego przyjaciół stała się Lanckorona, gdzie korzystali z „izby w wynajętej chacie”. Uwielbiali tam przebywać, a doznania im towarzyszące były czasami wręcz metafizycznej natury. Łączyły się w nich miłość, młodość i zachwyt nad światem, do którego nie docierała wojna. I kiedy pewnego dnia Gustaw spacerował z Basią po lesie w okolicach Kalwarii Zebrzydowskiej, to przeżył coś, czego nie zapomniał do końca życia:

„[...] buchnęła muzyka. Najprawdziwsza w świecie. Absurdalna i gwałtowna, bo gnana i powiększana echem lasu. Organowa toccata i fuga d-moll Jana Sebastiana Bacha. Jak Boga kocham! Ciągłe opętani sobą zaczęliśmy biec w jej kierunku i w miarę zbliżania wszystko się wyjaśniło. W kościółku, w jednej z kalwaryjskich kaplic Grobu Matki Bożej, jakiś muzyk organista ćwiczył sobie na miejscowych organach. Byliśmy sami. Usiedliśmy w ławce najbliższej ołtarza. Organista ciągle grał, jak się nam teraz wydawało, wyłącznie dla nas. Nie mogłem postąpić inaczej.

Wszystko się na to złożyło. Pochyliłem się do jej ucha i szepnąłem: »Kocham cię. Chcę, żebyś była moją żoną«. Myślicie, że byliśmy odosobnieni. Wszyscy byliśmy wtedy sobie zaślubieni. Nie rozstawaliśmy się przez pięć lat wojny i w ciągu tych pięciu lat zazналиśmy wszystkiego, co może przynieść miłość. Od dzikiej namiętności, poprzez dni zmęczenia i rodzącej się na nowo tęsknoty, przez ból podejrzeń, nieufności, ataków zazdrości do aktów skruchy, błagania o przebaczenie i nowych obietnic szczęścia”[233].

Innym okupacyjnym azylem Gustawa i jego przyjaciół była pewna willa przy ulicy Królowej Jadwigi w Krakowie. Właścicielem domu był niejaki „Andrzej, student wydziału elektronicznego, mniej więcej nasz rówieśnik”, który „ich zwabił i na oścież otworzył im swoją posiadłość”.

Andrzej mieszkał z matką i dwiema siostrami, przejawiał natomiast dość dziwne upodobania.

„Jeździł na przykład na dworzec kolejowy i zakładał tam swój posterunek obserwacyjny na krótki czas przed godziną policyjną. Po to, żeby zwabić i zwerbować kilka wybranych wiejskich dziewczyn, spóźnionych na ostatnie pociągi, i zabrać je do domu. Z litości, jak mówił. Ale głównie, żeby obserwować, jak niepewne i zażenowane pokładły się na materacach, którymi pokrywał kuchenną podłogę, i próbowały zasnąć w tym obcym dla siebie otoczeniu. Kończyło się to na ogół nie snem, ale libacją z alkoholem na czele”[234].

Właściciel willi, będący zagorzałym wielbicielem elektroniki, radiofonizował cały dom. W piwnicy słuchano zakazanej stacji BBC, natomiast „na poddaszu w maleńkim pomieszczeniu znajdowało się wewnętrzne studio nadawcze z mikrofonem i wszystkimi niezbędnymi urządzeniami, a w każdym pokoju i kuchni mieściły się głośniki”. Z tego studia nadawano informacje i komunikaty dla domowników, ale raz w tygodniu „zamieniało się na miejsce artystycznych występów”. To właśnie tam Holoubek stawiał pierwsze kroki jako recytator poezji romantycznej. W

związku z okupacyjnymi zakazami deklamacje te miały dla niego specyficzny smak.

„Żeby jednak nie być posądzonym o udział w jakimś poważnym stowarzyszeniu – tłumaczył po latach – muszę powiedzieć, że oczywiście wszystkim tym przeżyciom towarzyszyły normalne młodzieńcze doświadczenia; miłość, czytanie poezji, wyprawy w góry i picie alkoholu. Uważaliśmy, że bezpiecznie przeżyty wieczór powinien być uczczony pić wódki, zdobywanej przez każdego z nas, gdzie kto mógł” [235].

Przyszły aktor tak się zaangażował w życie towarzyskie grupy, że właściwie w ogóle nie bywał w domu. Matka ciężko to znosiła, ale Gustaw czuł się coraz bardziej związany ze swoimi rówieśnikami. I oczywiście z Basią.

„Pod tym względem nie różniliśmy się od wszystkich młodych ludzi, którzy podlegają uczuciowej euforii niezależnie od czasu i okoliczności. Z tym tylko zastrzeżeniem, że myśmy świadomie podporządkowali się specjalnym regułom lojalności i wierności. Skąd się to brało? Prawdopodobnie z wiszącego nad nami ciągłego zagrożenia. Podświadomie wyczuwaliśmy, że trwałość więzi, dotrzymywanie danego słowa jest ratunkiem, jedyną wartością, do której będzie można odwołać się po wojnie” [236].

Koniec okupacji hitlerowskiej okazał się jednak również kresem przyjaźni i miłości. Drogi przyjaciół rozeszły się, a Basia zniknęła z życia Gustawa.

„Skończyła się wojna, a z nią pamięć o niej, albo raczej pragnienie, aby zapadła w niepamięć. Zaczęły się oddalać przyjaźnie, wiadomości o wspaniałych dziewczynach i chłopcach. Wszyscyśmy się rozeszli. Strasznie nagle, niemal z dnia na dzień. [...] Moja dziewczyna poszła gdzieś, w swoje życie, a ja pobiegłem do teatralnej szkoły” [237].

Nigdy więcej się nie spotkali, dopiero pół wieku później Holoubek poznał losy swojej okupacyjnej miłości. Gdy bowiem na rynku wydawniczym pojawiły się *Wspomnienia z niepamięci*,

jego dawna sympatia napisała do niego. Z perspektywy lat uznała, że ich uczucie nie było wcale takie głębokie ani piękne, natomiast ona „wyszła za mąż, potem owdowiała, ma wnuki i prawnuki”[238].

## KRAKÓW – KATOWICE

Podczas wojny Gustaw odkrył w sobie upodobanie do deklamowania poezji. Recytacje w willi przy Królowej Jadwigi umożliwiły mu samodzielną pracę nad tekstem i poszukiwanie sposobu własnej interpretacji, co w przyszłości miało stać się znakiem rozpoznawczym jego aktorstwa.

„Zamykałem się w studiu, siadałem przy mikrofonie i całymi godzinami czytałem Mickiewicza, Słowackiego i innych ważnych poetów. Nie recytowałem wierszy, lecz mówiłem je od siebie, gdyż byłem przekonany, że to są moje własne słowa. Lubowałem się szczególnie w smutnych wierszach, bo mogłem się wypłakać do woli. Łkałem prawdopodobnie bez opamiętania, dając upust smutkowi i melancholii”[239].

Jak wielu młodych ludzi Holoubek uwierzył w swoje wrodzone umiejętności, uznał, że posiada „jakieś bliżej nieokreślone natchnienie, talent dany od Boga”. Zderzenie z rzeczywistością okazało się wyjątkowo bolesnym doświadczeniem, zdarzyło się bowiem na egzaminie wstępnym do szkoły teatralnej w Krakowie.

„Wybrałem sobie do prezentacji *Testament mój* Słowackiego. Byłem tak podniecony i przepełniony wzruszeniem, że uznałem za stosowne zapłakać się na śmierć. Posmarkałem się dokumentnie i bez żadnej kontroli. Kiedy skończyłem, serce przepełniało mi poczucie triumfu. W ciszy, która zapadła, usłyszałem głos przewodniczącego komisji: »Czy pan zwariował? Dlaczego pan płacze? Przecież to jeden z najweselszych wierszy Słowackiego, nie ma najmniejszych powodów do szlochania. Wyszedłem w poczuciu

całkowitej klęski”[240].

Interpretacja nie była wprawdzie specjalnie udana, ale egzaminatorzy uznali, że chłopak ma talent, i przyjęto go w szeregi adeptów sztuki teatralnej. A już w szkole okazało się, że Gustaw trafił do właściwego dla siebie środowiska. Był osobą bardzo popularną, znajomi z tego okresu wspominali, że „grywał w pokera, domino, był normalnym człowiekiem”. A jego charakterystyczny sposób bycia znalazł niebawem naśladowców w gronie studentów młodszych roczników.

„Śmieszny, chudy, te uszy odstające – opowiadał Bernard Krawczyk. – A potem się okazało, że wszyscy zaczynamy chodzić lekko pochyleni, ze studia wychodziły »Holoubki«. Tak samo pochylone, podobnie mówiące. [...] Kobiety go uwielbiały, miał piękne oczy, powłóczyście spojrzenie, był bardzo uwodzicielski. Emanowało z niego coś takiego, że wszyscy do niego lgnęli”[241].

W Studium Teatralnym poznał swoją pierwszą żonę Danutę Kwiatkowską, młodszą o rok córkę profesora Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej. Zakochał się bez pamięci i pojechał za dziewczyną do Katowic, chociaż ze względu na problemy z płucami bał się zanieczyszczonego śląskiego powietrza. Występowali razem w katowickim teatrze im. Stanisława Wyspiańskiego, a w 1949 roku postanowili się pobrać.

Tego nie mogła zaakceptować Eugenia Holoubek. Zrobiła synowi awanturę, wykrzykując, że o małżeństwie powinien myśleć dopiero, jak „będzie miał 40 lat”. Perswazje matki oczywiście nie przyniosły rezultatu, tym bardziej że coraz częściej traciła ona kontakt z rzeczywistością i żyła w świecie własnych wyobrażeń o synu.

„Pamiętam, że w [...] sztuce stylizowanej na dramat antyczny wystąpiłem rozebrany prawie do naga. Wszyscy zresztą byli rozebrani, choć z różnym skutkiem. Ja ważyłem niecałe czterdzieści dziewięć kilogramów, a Woźnik, który grał Odysa – sto pięć. Różnica natychmiast rzucała się w oczy. Moja matka, którą zaprosiłem na swój debiut, siedziała niedaleko sceny i



niecierpliwie mnie. wypatrywała. Kiedy Woźnik jako wyłowiony z Morza Śródziemnego Odys wszedł na scenę, matka nachyliła się do sąsiadki i zapytała, czy to jestem ja. W jej oczach byłem atletą. Po tej próbie stwierdziłem, że nie ma sensu więcej namawiać jej, aby oglądała mnie w teatrze”[242].

Dwa lata po ślubie urodziło się jedyne dziecko Gustawa i Danuty, córka Ewa. Nie zmieniło to stosunku pani Eugenii do synowej, nadal uważała bowiem Danutę za przyczynę wszelkiego zła. Na szczęście nigdy nie opuszczała jednak Krakowa, a młodzi rzadko tam się pokazywali. A właściwie pojawiał się tylko sam Gustaw.

„Tak więc się działo, że przez wszystkie moje dorosłe lata tylko ja odwiedzałem matkę w jej mieszkaniu przy placu Dominikańskim. I kiedy wpadałem, na ogół bez uprzedzenia, niezmiennie czekał na mnie wspaniały obiad, niezmienna jej czułość dla mnie i te same pytania: »Czy wysypiasz się w nocy? Czy ona daje ci jeść? Dlaczego nosisz takie krótkie paletko? Na pewno marzniesz w kolana«”[243].

## GRUŻLICA

Wprawdzie Holoubek starał się zapomnieć o prześladowającej go chorobie, ale pierwsze poważne próby leczenia musiał podjąć już rok po wojnie. Opiekował się nim doktor Fiszer, który „był optymistą, bo jak twierdził, choroba jest w zasadzie nieuleczalna”... Aktor miał jednak dużo szczęścia, podczas kilkutygodniowego pobytu w zakopiańskim sanatorium stan jego zdrowia uległ samoistnemu polepszeniu.

„Doktor Fiszer odznaczał się poczuciem humoru i oryginalnym sposobem bycia. Zwłaszcza zabawne były jego reakcje, zawsze przeciwne do treści zdarzeń. Na przykład, kiedy w ciemności przed ekranem rentgena słyhać było okrzyki: »Świetnie! Wspaniale! Wszystko się zgadza!« – diagnoza brzmiała:

»Ma pan w płucach dziurę wielkości głowy«. Innym zaś razem padało pełne przygnębienia pytanie: »Jezus Maria, co się z panem dzieje? To niewiarygodne, ale jest pan zdrowy! «»[244].

Holoubek wyszedł z sanatorium „nie tyle zdrowszy, ile podniesiony na duchu”. Starał się żyć normalnie i gdy dostał angaż w Teatrze Śląskim w Katowicach, to nie tylko grał, ale również reżyserował, zdobywając coraz większe uznanie. Pomyślnie rozwijająca się kariera została jednak brutalnie przerwana przez nawrót gruźlicy i pan Gustaw ponownie trafił do sanatorium w Zakopanem. Leczenia wymagały również jego żona i córka.

Okres ten wspominał jako czas spacerów po górach, medytacji i lektur. Powrót do zdrowia uznał za sposób odnalezienia siebie samego, albowiem właściwie „nie miał żadnych przykrych wspomnień związanych z chorobą”. Wprawdzie w Tatrach często myślał o śmierci, ale było to dla niego „źródłem zdrowia i optymizmu”. Zapewne z powodu – że „miał taki dar, a może przywarę, że zapominał”. Ale przede wszystkim miał jednak bardzo dużo szczęścia.

## ŚLUB, ROZWODY I STOLICA

W 1957 roku przeniósł się do Warszawy, chociaż dotychczas nie miał najlepszego zdania o stolicy. Gdy bowiem kilka lat wcześniej przyjechał do zniszczonego miasta, to zobaczył morze ruin, które jednak „tętniło jakąś niezrozumiałą dla niego wtedy, pierwotną siłą”. Wszędzie widział „straszny tłok”, wszyscy spieszyli się, nie wiadomo z jakiego powodu, a „ludzie zwisali z tramwajów jak winogrona”. Dotarł pieszo na Krakowskie Przedmieście i tam postanowił się ostrzyć. Polecono mu fryzjera w Bristolu.

„Było sporo klientów, więc musiałem odczekać około dwóch godzin, zanim usiadłem w fotelu. Energiczny fryzjer wykonał zręczny manewr świeżym prześcieradłem, ale nagle zatrzymał się

w pół gestu i spojrzął na mnie uważnie, oczywiście na moje odbicie w lustrze – wszyscy fryzjerzy porozumiewają się z klientami »przez lustro« – i zapytał: »Kto pana strzygł?«. Trochę speszony odpowiedziałem, że fryzjer w Krakowie. Uśmiechnął się szeroko, jakby spodziewał się mojej odpowiedzi, i rzekł: »Tak jest! Proszę pana, z tą głową nie da się nic zrobić«. I wyprosił mnie z fotela. Nie przewidywałem wówczas, że to niejasne poczucie winy za związki z Krakowem będzie mi towarzyszyło po dzień dzisiejszy”[245].

Po przyjeździe na stałe zaadaptował się jednak w stolicy. Rozpoczął od angażu w zespole Teatru Adekwatnego (jednak w ogóle nie pojawił się tam na scenie), aby następnie przenieść się do Polskiego. Nie myślał już o powrocie do Krakowa czy Katowic, wiedział, że prawdziwą karierę może zrobić tylko w Warszawie. Wprawdzie stolica „bezwzględnie ferowała wyroki, szybko zachwycała się przybyszami, a potem równie szybko przestawała się nimi interesować”, ale dawała nieporównywalnie większe możliwości niż jakiegokolwiek inne miasto.

„Kiedy nastąpiłem tu już zawodowo, uderzył mnie dziwny sposób porozumiewania się ludzi ze sobą. Wszyscy coś nieustannie organizowali, kombinowali, załatwiali. Dla mnie krakowiczka, a potem mieszkanka Śląska, wyglądało to na jedno wielkie szalbierstwo. Dopiero później zrozumiałem, że takie są prawa stolicy, miejsca centralnego, jeśli chodzi o politykę, sztukę i biznes”[246].

Adaptacja przysłała mu tym łatwiej, że odnosił coraz większe sukcesy. Z powodzeniem występował nie tylko na scenie, ale również w Teatrze Telewizji. W tym czasie miał już za sobą pierwsze filmy, zadebiutował bowiem w *Żołnierzu zwycięstwa* (w roli Feliksa Dzierżyńskiego!), ale prawdziwą sławę przyniosła mu główna rola w *Pętli* Wojciecha Hasa. Rok później zagrał w jego kolejnym filmie, w *Pożegnaniach*, wcielił się wówczas w rolę Mirka, filmowego męża Lidki (Marii Wachowiak). Aktorka ta niebawem miała zostać jego drugą żoną.

Sukcesy zawodowe nie przełożyły się bowiem na szczęście rodzinne. Trzy lata po przyjeździe do stolicy Holoubek rozwiódł się z Danutą Kwiatkowską, nigdy też specjalnie nie interesował się córką, czego po latach żałował.

„Rodzice rozeszli się w 1961 roku – wspominała Ewa Holoubek-Laskowska – miałam dziesięć lat. Nie pamiętam ojca z dzieciństwa, nasze kontakty były ograniczone. Mam taką fotografię z Katowic: on siedzi na leżaku w ogrodzie, ja na jego kolanach... Potem co roku spędzałam z nim miesiąc wakacji”[247].

Dwa lata później ożenił się z młodszą o 15 lat Marią, którą podobno odbił zakochanemu w niej Marianowi Kociniakowi. Ale również i to małżeństwo okazało się nieudane, wprawdzie Holoubkowie doczekali się w 1967 roku córki Magdaleny, lecz cztery lata później byli już po rozwodzie.

„Fakt, że coś się kończy między mężczyzną i kobietą – tłumaczył po latach aktor – nie powinien być kryterium oceny, tylko stopień krzywd, jakie wyrządza się drugiej osobie. Czy należy bezwzględnie być z jedną kobietą i zdradzać ją bez przerwy? Czy nie okłamywać jej i z lojalności odchodzić? Ja odchodziłem”[248].

Z perspektywy lat wydaje się, że jednym z głównych powodów porzucenia drugiej żony była jednak inna kobieta. W 1969 roku Gustaw grał na scenie Teatru Dramatycznego w jednej sztuce z Magdaleną Zawadzką, która kilka lat później została jego kolejną żoną. I na pewno zwrócił uwagę na piękną dziewczynę.

Jako inną przyczynę rozvodu z Marią wskazywano rywalizację pomiędzy małżonkami aktorami, uważano bowiem, że żona była zazdrosna o jego sukcesy. Być może pewną poszlakę stanowi zachowanie głównych bohaterów *Miazgi* Jerzego Andrzejewskiego, pisarz był bowiem dobrym znajomym obojga małżonków. Dlatego podejrzewano, że pod postaciami aktorów Konrada Kellera i Moniki Panek przedstawił historię Holoubka i Wachowiak. Keller to pierwsze nazwisko warszawskich teatrów, mężczyzna w sile wieku, inteligentny, ale cyniczny, a do tego

zazdrosny o własną pozycję. Natomiast Monika, znacznie młodsza od męża aktorka, dopiero rozpoczynała karierę i nie mogła się pogodzić z faktem, że partner bagatelizował jej ambicje. W powieści do ślubu nie doszło, natomiast w życiu było małżeństwo, ale niebawem też rozwód.

W rzeczywistości jednak Holoubek wspierał kariery swoich żon, chociaż w przypadku Danuty i Marii protekcja nie przyniosła rezultatów. O drugiej żonie pana Gustawa mawiano nawet, iż „jest taką artystką, że nawet za uszy męża nie uda się jej wyciągnąć”...

Po rozwodzie z Holoubkiem Maria sporadycznie pojawiała się jeszcze przed kamerą. W 1983 roku wyjechała z córką, Magdą, do Republiki Federalnej Niemiec, gdzie pracowała w Radiu Wolna Europa. Grała również w niemieckiej telewizji, należała do obsady telenoweli *Lindenstrafie*, najdłużej nadawanej niemieckiej opery mydlanej. W Niemczech była znana pod nazwiskiem Wachowiak-Holoubek.

## STOLIK CZYTELNIKA

Pan Gustaw uwielbiał życie towarzyskie i nawet gdy był już dyrektorem Teatru Dramatycznego, to wolał pogawędki w bufecie teatralnym od rozmów w swoim biurze. Nie wyobrażał sobie również życia bez długich spotkań w kawiarniach, gdzie mógł swobodnie oddawać się wymianie myśli z przyjaciółmi. I kilka lat po przeprowadzce do stolicy znalazł idealne miejsce.

Jak powszechnie bowiem wiadomo, Polacy nie potrafią żyć bez „chodzenia na kawę”, a zwyczaj ten nie ma wiele wspólnego z piciem samego napoju. Najczęściej stanowi pretekst do spotkania towarzyskiego, wymiany poglądów czy flirtu. Przed wojną w Warszawie działało wiele modnych lokali ze słynną Małą Ziemiańską na czele, a ich legendę tworzyli stali bywalcy „posiadający” tam „własne” stoliki. W czasach PRL liczba lokali z ambicjami drastycznie spadła, a najważniejszym z nich okazała się

kawiarnia działająca w podziemiach wydawnictwa Czytelnik przy ulicy Wiejskiej. Zgodnie z intencją założycieli miało to być miejsce, gdzie twórcy mogliby swobodnie porozmawiać, wypić kawę czy zjeść śniadanie. I chyba nikt nie podejrzewał, że w ten sposób powstanie legenda.

Stworzył ją mieszkający w pobliżu Tadeusz Konwicki. Początkowo pojawiał się tam od czasu do czasu w towarzystwie Leopolda Tyrmanda, niebawem jednak zaczął okupować lokal codziennie. Do jego stolika przysiadali się Irena Szymańska i Antoni Słonimski, a stałymi partnerami kawiarnianych debat byli Dygat, Andrzejewski i Leszek Kołakowski. Wkrótce grono bywalców rozszerzono o ludzi filmu (Kawalerowicz oraz Holoubek) i stolik Konwickiego stał się ważnym punktem na artystycznej mapie stolicy. Dominowały dyskusje literackie i filmowe, jednak w pobliżu „na wszelki wypadek” przesiadywali funkcjonariusze SB. Konwicki zawsze podkreślał, że dla niego jest „to impreza czy- sto rekreacyjna”, co chyba zraziło bojowo nastawionego Słonimskiego. Przeniósł się do maleńkiej kawiarni PIW na Foksal, gdzie znalazł środowisko bardziej zaangażowane politycznie.

„Połączyliśmy nasze dwa kawiarniane stoliki – wspominała Irena Szymańska – spośród moich przyjaciół wielu, wiedząc o tym, czym jest dla mnie kawiarnia, tutaj mnie odwiedzało. Tadzio [Konwicki – S.K.] siadywał tu już od paru lat stale z kolegami z filmu – Ludwikiem Hagerem, Kurtem Weberem oraz z zaprzyjaźnionymi pisarzami i aktorami. Po połączeniu stolik się ustabilizował i zaludnił nowymi osobami. Na stałe dołączył Gustaw Holoubek, z góry, z redakcji Czytelnika na pierwszym piętrze schodziła Janka Borowiczowa, po powrocie do Polski ze Stanów pojawiła się Mira Michałowska. Ale opoką, stałą i nienaruszalną była nasza trójka: Tadzio, Gucio [Holoubek – S.K.] i ja”[249].

Holoubek wprowadzał w tym towarzystwie element humoru, początkowo zresztą rywalizował o to z Antonim Słonimskim. Ale gdy z upływem czasu ska- mandryta pojawiał się tylko

sporadycznie (podobno zawsze na kwadrans w ostatnią sobotę miesiąca), to odpowiedzialność za poprawę nastroju wziął na siebie pan Gustaw. I wzorowo wywiązywał się z zadania.

„Nie Tadzio był jednak tym, który przodował w wypełnianiu swymi opowieściami stolikowych godzin – kontynuowała Szymańska. – Królował przy nim niewątpliwie Gucio. Tadeusz bawił się tylko w reżysera tych Guciowych występów. Nikt chyba tak nie lubił dowcipów Gucia jak właśnie on. Od najdawniejszych – od serii o lordzie Pembroke'a – po dowcipy góralskie, teatralne [...] po szmoncesy i aktualne dowcipy polityczne”[250].

Holoubek potrafił znakomicie opowiadać, w jego interpretacji nawet najbardziej błaha historia nabierała „niebywałych wyżyn komizmu”. Nic zatem dziwnego, że w spisie reguł obowiązujących przy stoliku zakazano opowiadania anegdot przez inne osoby. Było to zbyteczne, albowiem „i tak nikt nie był w stanie zrobić tego lepiej niż Holoubek”, a poza tym „wszystkie najśmieszniejsze dowcipy on już opowiedział”.

Przy stoliku obowiązywały zasady ustalone przez Konwickiego. Wzorowane na regulaminie przedwojennego kabaretu Pod Pikadorem wprowadzały humorystyczne obostrzenia dla potencjalnych rozmówców Konwickiego i Holoubka:

„Osoba raz zaproszona nie ma prawa uważać, że może tu sobie siadać, kiedy zechce. Prawo stałego przychodzenia mają tylko ci, którzy usłyszeli »przychodź« (nie – »przyjdź!«)”[251].

Zapraszającym gościom zakazywano „nudzenia, perorowania, udowadniania swojej mądrości”. Nie wolno było również „mówić o sobie, opowiadać snów, streszczać książek lub co gorsza filmów”. Za najwyższy występek uznawano jednak chwalenie się, a za „skończoną zbrodnię” próby odczytywania własnych utworów. Jednocześnie zakazywano jednak milczenia, albowiem nie było to „miejsce dla pasożytów, które żerują na cudzym gadaniu”.

Gustaw był najbardziej rozpoznawalną osobą w lokalu. Przekonał się o tym pewnego dnia Stanisław Dygat siedzący przy

słynnym stoliku razem z Konwickim i Holoubkiem.

„[...] Dygat jak zwykle bujał się niecierpliwie na krzeselku – pisał Jacek Żakowski – a zza innego stolika zerkała w jego stronę elegancka starsza pani. Wyglądało na to, że pożera oczami słynnego Dygata, Dygat zaś ukradkiem zerkał na stolik, jakby chciał się upewnić, czy wszyscy widzą objawy jego pisarskiego sukcesu. W pewnym momencie starsza pani przełamała nieśmiałość, podeszła do Dygata i zaczęła mu coś szeptać do ucha. Ten stęzał, spąsowiał, a potem chwycił krzesło i nie podnosząc się, energicznymi skokami zaczął się przesuwac, gwałtownie przy tym sapiąc. »Tyle? Bardzo proszę. Tyle? Tak już starczy?«. Kiedy wreszcie odeszła, a Dygat opadł na krzesło, cały stolik konfidenjonalnie przechylił się w jego stronę. »Stasiu, czego ta pani od ciebie chciała?«. »Prosiła, żebym się przesunął, bo jej zasłaniam Holoubka«”[252].

Stolik Konwickiego i Holoubka funkcjonował aż do wprowadzenia stanu wojennego. Wprawdzie jego bywalcy podlegali naturalnej lub politycznej selekcji (szczególnie po Marcu 1968), to jednak dwaj główni animatorzy wydawali się nieśmiertelni. Tym bardziej że już w 1982 roku kawiarnia wznowiła działalność, aczkolwiek wówczas gości zapraszał już wyłącznie Konwicki (czasami także Szymańska). Dopiero upadek komunizmu spowodował, że „wolność rozkwitła”, ale za to „stolik uwiądnął”. W 1993 roku Konwicki i Holoubek przenieśli się do kawiarni Nowy Świat, a potem znaleźli swoje miejsce u Bliklego. Tam na stoliku numer dwa zawsze stała tabliczka z napisem „zarezerwowane”, aby nikt niepowołany nie zajął im miejsca.

„Wszyscy znajomi wiedzieli – opowiadał Andrzej Blikle – gdzie przed południem mogą spotkać Gustawa Holoubka. W niektóre weekendy przychodził z żoną, z artystami – Joanną Szczepkowską, Ewą Wiśniewską, Januszem Morgensternem [...] Kiedyś przy kawie i pączku, a ostatnio przy tostach z masłem i zielonej herbacie Holoubek dyskutował o polityce, opowiadał anegdoty”[253].



Do Czytelnika przychodził jednak na obiad, a jego wizyty stanowiły cały rytuał.

„Obiad zaczynał z Tadeuszem Konwickim przy stoliku na końcu sali – opowiadała właścicielka kawiarni, Jadwiga Drożdż. – Później przesiadał się o jeden stolik bliżej, do Henryka Berezzy. Kiedy już porozmawiali, szedł np. do Janusza Morgensterna”[254].

I jak zwykle sypał dowcipami, które opowiadał w niezrównany sposób. Wiele z nich balansowało na granicy dobrego smaku, ale pan Gustaw znakomicie je interpretował.

„Słynął z dowcipów na granicy pornografii – opisywał Łukasz Radwan – którymi uwielbiał zawstydząć niewinne dziewczęta. [...] przy słynnym stoliku u Bliklego można było usłyszeć od niego żart o dwóch starszych paniach, które jadą autobusem. Jedna mówi do drugiej: »Taki marny sezon w tym roku, takie małe pomidorki i takie małe marchewki«. Na co druga: »No, ale może dobry człowiek...«. Jednym z ostatnich ulubionych kawałów był ten o budzącej się kobiecie u boku nowo poznanego mężczyzny. Kobieta rozgląda się leniwie, po czym mówi: »Pokoik też ma pan malutki«”[255].

Faktycznie był mistrzem w opowiadaniu anegdot i z tej jego umiejętności szczerze korzystano. Pan Gustaw o tym wiedział i wysoko to sobie cenił.

„Kiedy było nudno – wspominał Andrzej Łapicki – to wszyscy prosili Gucia, by coś opowiedział. A on sypał jak z rękawa. Tych samych żartów słuchałem z zainteresowaniem po kilkanaście razy, bo za każdym razem opowiadał inaczej”[256].

## *DZIADY*

„Całe życie marzyłem, żeby zagrać Gustawa – Konrada – zwierzał się Holoubek. – Zdaję sobie sprawę, że jest to banalna odpowiedź na najczęściej zadawane aktorom pytanie: »O jakiej roli pan marzy?«. Ale w moim przypadku rzeczywiście tak było”[257].

Marzenie aktora spełniło się w drugiej połowie 1967 roku, kiedy to Kazimierz Dejmek w Teatrze Narodowym przystąpił do prób *Dziadów*. Nikt wówczas nie przypuszczał, że inscenizacja zapoczątkuje ciąg wydarzeń, które wywołają wręcz niewyobrażalne skutki polityczne: zaburzenia studenckie, kampanię antysemitką i walkę o władzę w kierownictwie PZPR.

„W sprawie legendy, która narosła wokół naszych *Dziadów* – tłumaczył pan Gustaw trzydzieści lat później – wielokrotnie już mówiłem, że cała ta otoczka polityczna była dla mnie czymś całkowicie drugorzędnym i zaskakującym. Odczuwałem to jako narastającą lawinę wydarzeń niemających nic wspólnego ani ze mną, ani z teatrem. Późniejsze konsekwencje tych wydarzeń można zakwalifikować zwłaszcza z dzisiejszego punktu widzenia jako zjawisko przede wszystkim polityczne, i to o sporych rozmiarach. Ale wówczas, kiedy przystępowaliśmy do premiery po wielu, wielu próbach, nie myśleliśmy, że wywołamy takie poruszenie. Po prostu chciało się dobrze zagrać *Dziady*”[258].

Według oficjalnych informacji inscenizacja miała być elementem obchodów rocznicy wybuchu rewolucji październikowej. Faktycznie, dramat Mickiewicza jest utworem o antycarskiej wymowie, ale bez większych problemów można utożsamić rosyjski imperializm z sowieckim. A to w czasach PRL stanowiło już poważny problem.

Premiera odbyła się 25 listopada 1967 roku, a kurtyna po przedstawieniu szła w górę 11 razy. Trzy dni później w „Życiu Warszawy” ukazała się entuzjastyczna recenzja.

„Nigdy chyba jeszcze w teatrze – pisał August Grodzicki – Improwizacja nie zabrzmiała z taką jasnością, precyzją myślową, z taką siłą intelektu i z takim skupionym natężeniem uczucia. Krecja Holoubka to jedno z największych osiągnięć teatru polskiego. To Konrad, od którego doskonalszego trudno sobie wyobrazić”[259].

Już na premierze spektaklowi towarzyszył duży aplauz publiczności, ale nikt nie spodziewał się jeszcze reperkusji

politycznych. Aktorzy „przypuszczali nawet, że będą to grali głównie dla szkół jako literaturę obowiązkową”. Stało się jednak inaczej, a przyczyną tego miały być rozgrywki wewnątrz aparatu władzy.

Inna sprawa, że inscenizacja *Dejmka* faktycznie była czymś wyjątkowym. Holoubek, aktor z 20-letnim stażem scenicznym, nigdy czegoś podobnego nie przeżył.

„Stałem za kulisami, czekając na wejście Konrada, i dygotałem z emocji. Nie byłem w stanie powstrzymać wzruszenia ogarniającego wspólnie widownię i scenę. Rzeczywiście [...] w pierwszej fazie przedstawienia miałem taką treść, że nie mogłem grać. No i zaczęło się coś, czego nigdy później nie doznałem w teatrze, całkowite unieważnienie dystansu między sceną a widownią, my, aktorzy, staliśmy się częścią publiczności”[260].

Najbliższy współpracownik Gomułki, Zenon Kliszko, uznał, że przedstawienie ma klerykalną i antyradziecką wymowę. Pod naciskiem władz *Dejmek* zobowiązał się do wystawiania *Dziadów* tylko raz w tygodniu, a po dwóch miesiącach spektakl miał zostać skreślony z repertuaru. Nie uchroniło to jednak dyrektora przed oskarżeniami o antypaństwową działalność.

Ostatnie przedstawienie odbyło się 30 stycznia, rozpoczęło się z półgodzinnym opóźnieniem. Widownia bowiem dosłownie pękała w szwach, a do wnętrza przedostało się również wiele osób bez biletów. Pojawili się studenci PWST z transparentami, żądając utrzymania sztuki w repertuarze – w efekcie Komenda Stołeczna MO ściągnęła do centrum miasta oddziały prewencji. I gdy po przedstawieniu 200-osobowa grupa studentów przeszła pod pomnik Mickiewicza, wznosząc okrzyki „*Dejmek – Mickiewicz!*”, to została brutalnie rozpedzona przez siły porządkowe.

Trzy dni później warszawski oddział Związku Literatów Polskich rozpoczął akcję zbierania podpisów pod protestem do władz przeciwko zakazowi grania *Dziadów*. Poparł ją nawet prezes ZLP, Jarosław Iwaszkiewicz, uznając, że ta decyzja „budzi w środowisku literackim głęboki żal i zaniepokojenie”.

7 lutego na posiedzeniu PEN Clubu Słonimski „wygłosił wiele superlatyw pod adresem Dejmka, a szczególnie Holoubka” i zażądał rewizji „dotychczasowej polityki kulturalnej wywołującej sprzeciw środowiska”. Uzyskał poparcie zebranych, natomiast na posiedzeniu komisji programowej SPATiF-u Holoubek (jako przewodniczący tej komisji) skrytykował partyjnych decydentów. Odczytano wówczas także dwa listy od aktorów, którzy nie mogli przybyć na spotkanie. Byli to: Tadeusz Łomnicki i Halina Mikołajska.

Sprawy wymknęły się jednak już spod kontroli. 8 marca na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego zorganizowano wiec, który został brutalnie rozpedzony przez ZOMO i partyjne bojówki (tzw. aktyw robotniczy). W odpowiedzi zastrajkowały inne uczelnie, a w całym kraju rozpętała się antyinteligencka i antysemicka nagonka. A przy okazji partyjni notable walczyli o władzę w kraju.

Gustaw Holoubek chyba nigdy nie docenił swojej roli w tych wydarzeniach. A przecież to on, bardziej nawet niż Kazimierz Dejmek, sprowokował anty– sowiecki wydzwitek *Dziadów*. To właśnie jego genialna gra wywoływała ekstazę na widowni, podobno gdyby ze sceny krzyknął „»Na Belweder«!, to mielibyśmy powstanie”...

„Wielkiej Improwizacji oni właściwie nigdy nie próbowali – wspominał asystent Dejmka, Maciej Prus. – Któregoś dnia, gdy stanęły na scenie niedokończone dekoracje, Holoubek przyjrzał się im i zażartował: »Gramy jak na klepisku – bo były gołe deski. – To ja powinienem zagrać trochę z chłopską...«. Zaczął zaciągać, parodiował tak przez dwa wiersze, oparł się na kolanie i... zaczął mówić. Było nas czworo na widowni. Od tamtej chwili wierzę w metafizykę teatru, wierzę, że Holoubka musiały słuchać nawet puste krzesła. Jego interpretacja była prosta jak czy tanka dla dzieci. Jasna i przejrzysta. Na koniec krzyknął z rozpędu: »...żeś ty nie ojcem świata, ale.../carem«, to »carem« w oryginale krzyczy szatan, i zapadła cisza. Asystentka płakała. Holoubek bardzo

wolno schodził ze sceny, ale nie w stronę saloniku dla aktorów, tylko w odwrotną, widać było, że chce być sam. Dejmek siedział oniemiały i tarmaił swoje okulary”[261].

Dejmek i Holoubek odeszli z Teatru Narodowego, a podczas antysemickiej kampanii aktora oskarżano, że jego ojciec był czeskim Żydem. Ale wyszedł z całej sytuacji obronną ręką, on naprawdę interesował się sztuką, a nie polityką. I chyba był przerażony wydarzeniami, które mimowolnie sprowokował.

„Gdy pewna znajoma Zbigniewa Raszewskiego [teatrologa – S.K.] w marcu 1968 roku złorzeczyła na ludzi ówczesnej władzy, wołając w zapamiętaniu: »Ja bym ich wszystkich podusiła!« – aktor ripostował: »Jak już pani musi tak koniecznie dusić, to niech pani najpierw udusi Kuronia i Modzelewskiego. Tych, co teraz nami rządzą, już znamy i wiemy, czego się po nich spodziewać. Ale tamci nam dopiero pokażą!«”[262].

Holoubek związał się z Teatrem Dramatycznym i w 1972 roku został jego dyrektorem. W szybkim tempie uczynił z placówki pierwszą scenę Warszawy, a stabilizacja zawodowa była mu tym bardziej potrzebna, że w jego życiu pojawiła się kolejna miłość. Pomimo jednak swojego dyrektorskiego stanowiska nigdy nie wstąpił w szeregi PZPR, nawet wówczas, gdy przez dwie kadencje był posłem na Sejm PRL.

## MAGDALENA ZAWADZKA

W czerwcu 1969 roku w Teatrze Dramatycznym odbyła się premiera sztuki *Życie jest snem* hiszpańskiego dramaturga, Pedra Calderona de la Barca. W głównej roli wystąpił Holoubek, natomiast w postać Rosaury wcieliła się 25-letnia Magdalena Zawadzka.

„Próby mają się rozpocząć od zaraz – wspominała aktorka. – Wpadam w panikę, bo już na nic przecież nie mam czasu, na dodatek dostaję propozycję zagrania we współczesnym filmie i

chcę z niej skorzystać. Zdobywam się na odwagę i proszę dyrektora o zwolnienie mnie z prób Calderona. »Chyba zwariowałaś! – dziwi się nie na żarty. – Odmawiasz pracy w spektaklu, w którym główną rolę męską będzie grał Gustaw Holoubek?!«. Przytomnieję dość szybko i rezygnuję z filmu”[263].

Magdalena Zawadzka okazała się jedyną żoną pana Gustawa, która nie przyjęła jego nazwiska. Była obsadzana w różnych inicjatywach artystycznych męża, ale nie potrzebowała jego pomocy. Rola Baśki Jeziorkowskiej (słynnego Hajduczka) w ekranizacji *Pana Wołodyjowskiego* zagwarantowała jej bowiem na zawsze popularność wśród widzów.

Na ekranie debiutowała w wieku 17 lat epizodyczną rolę w filmie *Spotkanie w „Bajce”*. Obraz miał znakomitą obsadę: Aleksandra Śląska, Holoubek, Łapicki. Ale Magdalena przed wyjazdem na zdjęcia obiecała rodzicom, że „po pracy z nikim nie będzie się zadawać”, i odrzuciła zaproszenie na kawę złożone jej przez obu gwiazdorów.

„Grzecznie, ale stanowczo odmówiłam, niemal wystraszona [...]. Przejęta sytuacją odwróciłam się tak gwałtownie, że na oczach zdumionych dżentelmenów z całym impetem weszłam w zamknięte oszklone drzwi. Posypało się szkło...”[264].

Po tym incydencie przez kilka następnych lat nie miała żadnego kontaktu z przyszłym mężem. Ukończyła Państwową Wyższą Szkołę Teatralną w Warszawie, zagrała w kilku przeciętnych filmach, aż wreszcie Jerzy Hoffman zaangażował ją do *Pana Wołodyjowskiego*. Nie narzekała również na życie prywatne, w wieku 19 lat wyszła za mąż za operatora filmowego Wiesława Rutowicza.

Wszystko zmieniło się jednak wraz z propozycją roli w *Życie jest snem* w reżyserii Ludwika Rene. A pierwsze próby spektaklu zapowiadały już dalszy przebieg wypadków:

„Wtedy tak naprawdę po raz pierwszy przyglądam się panu Gustawowi, którego do tej pory znam właściwie tylko ze sceny i ekranu. Ma miłą łagodną twarz i ogromne oczy,

nieprawdopodobnie niebieskie i prześwietlone, z czającymi się chochlikami. Przyciągają jak magnes. Gęste, czarne, aż granatowe włosy z lekkim szpakiem na skroniach i śniada cera jeszcze bardziej podkreślają charakter tych oczu. Duże, odstające uszy dodają łobuzerskiego wdzięku. Można powiedzieć, że te oczy i uszy są jego znakiem firmowym. Nienaganne maniere, styl bycia i wysławiania się, dowcip i wesołość. Piękny, męski, właściwy tylko jemu głos. Zdaje mi się czarującym mędrcom. Patrzę zdumiona i zastanawiam się jak to możliwe, że do tej pory widziałam w nim tylko wielkiego aktora, a nie fascynującego mężczyznę?”[265].

Fascynacja musiała być obustronna, ponieważ „wielki aktor” adorował urodziwą koleżankę, nie zwracając uwagi na ich stan cywilny. Wydaje się zresztą, że Holoubek obserwował Magdalene już od pewnego czasu.

„Wszyscy zauważyli, że Gustaw zwrócił na mnie uwagę. Wszyscy, oprócz mnie. Była wiosna, ja byłam bardzo młoda i miałam głowę zaprzątniętą tysiącami spraw. O tym, że Gustaw się mną interesuje, powiedzieli mi koledzy”[266].

Wychowana w konserwatywnej rodzinie uważała swój stan cywilny za „naturalną barierę dla pokus”. Z drugiej strony były to przecież czasy rewolucji seksualnej, a Zawadzka chciała się zaliczać do dzieci kwiatów, które „patrzyły na świat bezczelny, pewnym siebie wzrokiem i łamały wszelkie kanony postępowania”. Nowoczesne poglądy w zadziwiający sposób łączyła jednak z tradycyjnym podziałem życiowych ról.

„Dom, wychowanie, zakazy, nakazy ograniczają moją swobodę, ale mam w sobie pewną dozę tego wyzwolenia, które zagłusza we mnie panienkę z dobrego domu. Nigdy więc nie zabiegam o względy mężczyzn. To panom pozostawiam przywilej walki o mnie, a raczej łaskawie pozwalam, żeby zdobywali mnie w pięknym rycerskim stylu. Nawet gdy ktoś mi się bardzo podoba, nie daję tego po sobie poznać. Jestem zbyt ambitna, żeby ponieść uczuciową porażkę. Dopiero absolutna pewność, że druga strona jest mocno zaangażowana, może osłabić moje nieprzejednanie. I

taka właśnie siedzę naprzeciw pana Gustawa”[267].

Holoubek nie tracił czasu, „rozpoczął delikatną walkę podjazdową”, chociaż początkowo dziewczyna poważnie traktowała swoje małżeńskie zobowiązania. A pan Gustaw musiał nie tylko przełamać opory młodej mężatki, lecz także poradzić sobie z konkurencją.

„Jeśli wierzyć doniesieniom mediów, aktor zmierzyć się musiał z jeszcze jednym rywalem – Tadeuszem Łomnickim, z którym Zawadzka spotkała się na planie »Pana Wołodyjowskiego«. Płomienne uczucie łączące ich bohaterów, Basię i Michała, szybko przeniosło się ponoć poza ekran... lecz zanim wynikło z tego coś więcej, aktorka natknęła się na Holoubka. Zaciętrzewieni i nieznoszący się panowie mieli przez jakiś czas walczyć ze sobą o względy wybranki, choć szybko stało się jasne, że zwycięstwo tego drugiego absztyfikanta jest nieuniknione”[268].

Przez całe życie Tadeusz Łomnicki cierpiał na kompleks pana Gustawa. Powtarzał z zadumą, że „każdy ma swojego Holoubka”, co przyjmowano jako objaw rywalizacji dwóch znakomitych aktorów. Niewykluczone jednak, że na współzawodnictwo zawodowe nałożyła się jeszcze konkurencja o względy pięknej Magdaleny. Ponownie wygrał Holoubek, a jego rywal miał kolejny powód do frustracji...

Otoczenie obojga było jednak zaskoczone ich związkiem.

„Przyjaciele aktora odradzali mu rozwód z Marią Wachowiak – opisywał Piotr Łopuszański. – Andrzej Łapicki zaprzyjaźniony z obojgiem, angażował żonę przyjaciela do słuchowisk, które realizował. Również rodzice Magdy Zawadzkiej początkowo nie kryli obaw przed związkiem córki ze starszym o 21 lat człowiekiem. Stanisław Dygat, Tadeusz Konwicki i całe towarzystwo, z którym od połowy lat 60. Holoubek regularnie spotyka się w kawiarni Czytelnika, dręczyli go: »I ty naprawdę jej wierzysz? Przecież ona cię rzuci«”[269].

Magdalena i Gustaw najmniej problemów napotkali ze strony pierwszego męża Zawadzkiej. Pan Wiesław ze zrozumieniem



przyjął decyzję żony i zgodził się na rozwód. Natomiast ona uznała po latach swoje pierwsze małżeństwo za ważny etap w jej życiu.

„Być może dzięki pierwszemu małżeństwu stałam się dojrzała, czujniejsza i potrafiłam docenić drugiego męża w sposób właściwy. I może moja miłość stała się przez to też dojrzała niż ta pierwsza, młodzieńcza, dziewiętnastolatki, całkowicie niedoświadczonej życiowo. Tym bardziej że mój pierwszy związek też uważam za udany. O pierwszym mężu mogę powiedzieć same dobre rzeczy”[270].

Nie doczekała natomiast poznania trzeciej synowej Eugenia Holoubek. A Magdalenę zapewne zaakceptowałyby, gdyż „zakochana była w Baście Wołodyjowskiej i stworzyła sobie na jej podstawie wzór kobiety, a on nie mógł sprostać jej gustom”. Niestety matka Gustawa zmarła w styczniu 1973 roku, a syn nie chciał przedstawiać swojej nowej wybranki przed ślubem, który odbył się kilka miesięcy później.

Magdalena i Gustaw starali się bowiem zachowywać pozory. Gdy wybrali się do Szwecji, to podróżowali osobno, umawiając się o określonej godzinie przed gmachem filharmonii. Nie wiedzieli wprawdzie, gdzie ona się mieści, ale uznali, że w stolicy zamożnego państwa filharmonia być powinna...

Nie afiszowali się również ze swoim ślubem, pobrali się we wrześniu 1973 roku podczas cichej uroczystości w Zakopanem. Obrączki podarowała im babcia Magdaleny, nigdy ich jednak nie nosili, gdyż „uważali je za bezcenne”. Po uroczystości spędzili miesiąc miodowy w Tatrach. Właściwie był to tylko tydzień, bowiem Holoubek jako dyrektor teatru nie mógł sobie pozwolić na dłuższą przerwę w trakcie sezonu.

## TEATR DRAMATYCZNY

„Taką mam ochotę od dawna napisać coś o Gustawie Holoubku – notował w 1976 roku Tadeusz Konwicki – czyli o

moim przyjacielu Gucieńku. Odczuwam wielką pokusę i coś mi przeszkadza, odstręcza, napawa jakby lękiem. Bo pięć lat temu mógłbym z łatwością wysmażyć zgrabny eseik o Gucieńku, królu naszego aktorstwa, Gucieńku – krnąbrnym i opozycyjnym, Gucieńku – samostnej instytucji kulturalnej, o Gucieńku, w którym jest coś z Gustawa – Konrada i coś z chuligana. Ale teraz sprawa mocno się skomplikowała. Nie ma już miłego, nonszalanckiego kompana. Nie ma już Gustawa – Konrada. Jest Gustaw – prezes, jest Gustaw – dyrektor, jest Gustaw – funkcjonariusz”[271].

1 września 1972 roku Holoubek został dyrektorem Teatru Dramatycznego. Doskonale wiedział, że będzie to oznaczać konieczność daleko idącego kompromisu z władzą, ale dla dobra sztuki zdecydował się przyjąć nominację. I z wielką energią przystąpił do pracy.

„Zaczyna się wreszcie coś dziać – wspominała Irena Górską-Damięcka. – Nowa wspaniała era tego teatru. Świetny zespół aktorski. Wspaniałe scenografie Kosińskiego, szereg znakomitych kreacji Zapasiewicza, Fronczewskiego, przede wszystkim Holoubka”[272].

Do istniejącego już zespołu aktorskiego (Zapasiewicz, Zawadzka, Walczewski, Hanin, Rysiówna) nowy dyrektor ściągnął Piotra Fronczewskiego, Jadwigę Jankowską-Cieślak i Marka Kondrata. I wyjątkowo dbał o dobrą atmosferę w zespole, osobiście nie stwarzając zbędnego dystansu.

„Przychodził do teatru na próbę, na przedstawienie – wspominał Zbigniew Zapasiewicz – albo tak sobie i grał w kości. A za nim latała sekretarka i on ze wstrętem jakieś pisma podpisywał”[273].

Pan dyrektor lubił zresztą swoją ekipę, co nie zawsze wychodziło scenie na dobre. Ale Holoubek był przede wszystkim kolegą, a dopiero potem przełożonym.

„Za jego czasów zespół bardzo spuchł – kontynuował Zapasiewicz – bo Gustaw starał się nikogo nie eliminować,

natomiast dobierać młodych, nie zawsze zresztą trafnie. Ulegał naciskom swoich przyjaciół, znajomych, własnym sympatiom”[274].

To właśnie wówczas do Karola Strasburgera przyłgnęło ironiczne przezwisko Halabardnik, w zespole Teatru Dramatycznego pojawiał się bowiem w mało znaczących, epizodycznych rolach. Ale przez całą dyrekcję pana Gustawa pozostał jednak aktorem tego teatru.

Stanowisko miało jednak swoją cenę i Holoubek regularnie uczestniczył we wszelkiego rodzaju partyjnych i państwowych uroczystościach (łącznie z rocznicami wybuchu rewolucji październikowej). W gronie aktorów z większym dorobkiem zawodowym praktycznie jednak wszyscy tak postępowali, a wielu szczerze uwierzyło Edwardowi Gierkowi i jego ekipie.

W zamian pan Gustaw otrzymywał godziwe wynagrodzenie, liczne przywileje, obsypywano go również odznaczeniami. Z obranej drogi nie chciał zrezygnować, gdy raz już podjął decyzję, to zamierzał pozostać konsekwentny.

„Nie miałem nigdy poczucia, że służę reżimowi – mówił po latach. – Pełniłem te funkcje, aby reżim powstrzymywać od głupoty i szkodliwości wobec naszego środowiska”[275].

W 1976 roku został posłem na Sejm, nigdy jednak nie wstąpił w szeregi PZPR. A zarzutu, że kandydował z listy Frontu Jedności Narodu nie można traktować poważnie, gdyż świadczy to tylko o kompletnym braku zrozumienia ówczesnej sytuacji politycznej. Do parlamentu można było dostać się jedynie z racji członkostwa w partiach politycznych (było ich raptem trzy, z czego dwie fasadowe), a jeśli chodzi o bezpartyjnych, to z kół katolickich (Znak, Pax lub Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne) lub właśnie FJN. W przypadku Holoubka, dwukrotnego rozwodnika, raczej nie wchodziła w rachubę nominacja z ramienia organizacji chrześcijańskich.

„Byłem desygnowany na przedstawiciela naszego środowiska – tłumaczył wiele lat później. – Widocznie dano wiarę moim

umiejętnościom, mojej postawie społecznej i artystycznej. [...] Poselstwo było prostą konsekwencją sprawowania funkcji prezesa stowarzyszenia [SPATiF-u – S.K.] reprezentującego środowisko tak eksponowane społecznie jak nasze. Przecież wtedy nikt nikogo nie wybierał. Oczywiście radziłem się w gronie zaufanych kolegów i przyjaciół, czy przyjąć tę funkcję. Argumenty, że w ten sposób będę mógł wpływać na interesy teatru, załatwiać więcej spraw dla kultury, wydały mi się sensowne i ważne, dlatego się zgodziłem”[276].

Doświadczonych aktorów nie pociągała wówczas polityka (poza Haliną Mikołajską), zdecydowanie bardziej natomiast interesowały ich sprawy bytowe. Kwestia odpowiednich zarobków i dostępu do dóbr konsumpcyjnych była najważniejszym problemem środowiska.

„Grałem dotąd 18 głównych ról filmowych – skarżył się Daniel Olbrychski w 1974 roku – na całym świecie aktor o takim dorobku miały już przynajmniej zabezpieczony byt, możliwość odpoczynku. Na to nie stać ani mnie, ani nawet wielu moich bardzo zasłużonych kolegów. [...] Bardzo na to liczymy, że władze państwowe rozwiążą i problemy niskich płac i wielu innych bolączek naszego zawodu”[277].

Postępowanie Holoubka zaczęło jednak irytować jego przyjaciół literatów. Musiał znosić złośliwości Konwickiego, doczekał się także ostrego ataku ze strony sfrustrowanego Dygata. Autor *Jeziora Bodeńskiego* miał wówczas coraz większe problemy z władzami i nie mógł zrozumieć postawy przyjaciela. Szczególnie po wypadkach w Ursusie i Radomiu oraz zmianach w konstytucji wprowadzających obowiązek przyjaźni z ZSRR i przewodnią rolę PZPR.

„Robił awantury Kutzowi i Holoubkowi – pisała Joanna Siedlecka – uczestnikom spotkania z Gierkiem [...] »zaprzedaliście Polskę już chyba ostatni raz – mówił – bo nic więcej do sprzedania już nie ma. Jak ochoczo zaprzęgliście się w służbę socjalizmowi i uwierzyliście, że będzie jednak jakiś marginesik na

wolność»[278].

Mimo to Holoubek pozostał wierny raz przyjętemu kursowi. Starał się działać, chociaż tak naprawdę jego możliwości były bardzo ograniczone. Zgodził się jednak na kolejną kadencję sejmową, inna sprawa, że w tym czasie poważnej zmianie uległa jego sytuacja rodzinna. W marcu 1978 roku Magdalena urodziła syna, Jana.

## ULICA NARBUTTA

„Magda jest człowiekiem, który najbardziej mnie w życiu zaskoczył – mówił o swojej partnerce Holoubek. – Krótco po ślubie przekonałem się, że przy pozorach pewności siebie i dzielności boi się życia. Każdy dzwonek do drzwi, niespodziewany telefon lub wizyta wywołują w niej takie napięcie, że trzeba ją niemal ratować”[279].

Pani Magdalena wspominała, że zaczynając nowe życie, mogli liczyć właściwie tylko na siebie, ale nie była to jednak prawda. Mimo zobowiązań alimentacyjnych Gustaw dobrze zarabiał (w 1973 roku było to 6 tysięcy złotych), a władza ludowa dbała o lojalnych artystów. Niebawem Holoubkowie zamieszkali na elitarnym osiedlu Szwoleżerów w pobliżu Łazienek.

„Gustaw miał talent do załatwiania spraw. Z kocurka zamieniał się w kociczkę. Spuszczał głowę, widać było tylko charakterystyczny nos, z przepięknych wielkich oczu leciały łzy, patrzył na rozmówcę i cedził:

– Jestem w takiej sytuacji, że się rozwodzę. (Pauza). Mieszkam w teatrze...

– Dyrektorze, pan mieszka w teatrze?! – dziwiła się władza.

A władza w PRL miała jedną wielką zaletę – chociaż prymitywna, to się snobowała i kochała artystów. Znajomość z artystami nobilitowała. I Holoubek otrzymywał kolejne locum..”[280].

Otrzymali też talon na samochód, był to fiat 127, marzenie wielu polskich kierowców. Aby uczcić fakt posiadania pojazdu, postanowili odbyć dłuższą wycieczkę. Wybór padł na rodzinne miasto Gustawa.

„Radość z kupna tego auta mieliśmy świętować w Krakowie – wspominała pani Magdalena. – Obchody tego naszego »święta« miały polegać na tym, że pojedziemy we dwójkę do Krakowa i cały dzień spędzimy na przyjemnościach. Zostawiliśmy samochód na parkingu strzeżonym i udaliśmy się w miasto. Byliśmy i na krakowskim Rynku, i u Wierzyńka, i Pod Jaszczurami. Wreszcie udaliśmy się na dworzec kolejowy i z biletami w rękę wsiedliśmy do pociągu do Warszawy. Wysiedliśmy na pierwszej możliwej stacji, która była już odległa od Krakowa o kilkadziesiąt kilometrów... I wracaliśmy po ten samochód. Furmanka nas wtedy podwoziła, milicja. Na piechotę szliśmy. To było straszne, ale myśmy się cały czas z siebie śmiali. Ani ja jemu, ani on mnie nie zrobił awantury: trzeba było przypomnieć, no przecież wiedziałaś – bo ludzie tak ze sobą rozmawiają – mówiłem ci tyle razy, a ty mimo wszystko. Nie było takich rozmów między nami i tak dalej. Myśmy się śmiali ze swojego roztargnienia. Oboje byliśmy tak samo winni. Bogu dzięki, że byliśmy tacy sami pod tym względem»[281].

Roztargnienie było ich wspólną cechą. I kiedy mieli się rodzinnie wybrać w góry, to na początek wysłali tam dziecko z matką Magdaleny. Sami natomiast mieli dojechać niebawem i zapakowali kilka walizek z niezbędnymi rzeczami dla całej rodziny. Gdy dotarli do Zakopanego, to okazało się, że bagaż został w Warszawie. I co gorsza, na ulicy, nie włożyli go bowiem do bagażnika, nic zatem dziwnego, że przepadł...

czasami jednak roztargnienie przybierało niebezpieczne formy, zdarzyło się, że Gustaw po powrocie „do domu narzekał, jakiego to paskudnego barszczu próbował u Zbyszka Zapasiewicza”. I okazało się, że obaj panowie „odgrzali sobie wodę z czerwonym płynem do zmywania, która miała pomóc w

odmoczeniu stojącego w kuchni garnka”.

Wobec takich przypadków fakt zamknięcia pana dyrektora we własnym teatrze, gdy zasiedział się do późnej nocy, wydaje się niewielką sprawą...

Oboje starali się jednak walczyć ze swoimi przypadłościami. Pani Magdalena notowała wszystko w terminarzu, natomiast Gustaw wprawdzie również „nosił mały kalendarzyk w wewnętrznej kieszeni marynarki, ale nic w nim nie zapisywał”. Uważał, że pamięć mu wystarczy, i gdy później „widział czyste kartki, z ulgą stwierdzał, że nie ma żadnych obowiązków”.

„Ojciec był leniem, nie chciało mu się pracować – uważał Jan Holoubek. – Tekstów uczył się w ostatniej chwili. W kilka dni potrafił nauczyć się stu kilkudziesięciu stron. Dwa razy przeczytał i wszystko pamiętał. Ale zawsze zostawiał to na ostatnią chwilę”[282].

W środowisku opowiadano, że tajemnicą udanego związku Magdaleny i Gustawa była ich wzajemna umiejętność kompromisu. Podczas wycieczek zagranicznych Holoubek bez oporów odwiedzał z żoną muzea, nie informując jej, że to „najbardziej w świecie go męczy”. Towarzyszył jej również podczas pobytów nad Bałtykiem (czego jeszcze bardziej nie cierpiał), Zawadzka wychowana bowiem w Szczecinie „nie wyobrażała sobie lata bez statków i plaży”. Wprawdzie czasami uciekał do kawiarni, ale w zamian za to ona jeździła z nim w góry, za czym też nie przepadała.

Niekiedy jednak pan Gustaw tracił cierpliwość, późne ojcostwo nie było dla niego najłatwiejszą próbą. Zdarzyło się nawet, że po dwóch godzinach namawiania syna, aby zjadł zupę, zdenerwowany wepchnął mu głowę w talerz. Magdalena, gdy to zobaczyła, krzyknęła tylko, „że nie wolno, że utopi się”...

Holoubek nie był ze swojego postępku specjalnie dumny, z przyjemnością natomiast opowiadał anegdotę z planu *Szpitala przemienienia* na podstawie powieści Stanisława Lema. Zdjęcia realizowano w autentycznym szpitalu psychiatrycznym, co stało

się przyczyną zabawnego nieporozumienia.

„Gustaw w przerwie zdjęć poszedł na spacer do parku – opowiadała Magdalena. – Jedna z odwiedzających chorego zobaczywszy go, wykrzyknęła ze współczuciem: »Panie Holoubek, pan także?!«. Nie chciała uwierzyć, że spotkanie w tym traumatycznym miejscu jest tylko przypadkiem”[283].

U schyłku epoki propagandy sukcesu małżonkowie przenieśli się do kamienicy przy ulicy Narbutta. Kupili lokal od miasta, był on jednak zniszczony i Holoubek wynegocjował umowę, że koszt remontu odejmie od ceny zakupu. Niebawem stało się to przyczyną poważnych problemów rodziny.

Okazję do przeprowadzki Holoubkowie mieli zresztą już wcześniej, Gustaw mógł bowiem otrzymać przydział na działkę z domkiem jednorodzinny na warszawskim osiedlu Pod Skoczną. Zrezygnował jednak i zaproponował, aby parcelę przydzielono Zapasiewiczowi, który nie miał własnego mieszkania. Pan dyrektor dbał jednak o swoich pracowników...

## STAN WOJENNY

Holoubek do końca pozostał lojalny wobec Edwarda Gierka, natomiast po jego obaleniu uznał, że nic go już nie wiąże z komunistycznymi decydentami. 5 września 1980 roku poparł z mównicy sejmowej postulaty strajkujących robotników, co dobrze wpisywało się w ówczesne nastroje środowiska aktorskiego. Z dnia na dzień pojawiło się bowiem potężne grono kontestatorów Polski Ludowej i nic dziwnego, że Kazimierz Dejmek mówił z niesmakiem, iż aktorzy są od grania, a nie od leżenia krzyżem w kościołach...

Holoubek był jak zawsze konsekwentny, popierał w Sejmie działania Solidarności, był również pomysłodawcą Niezależnego Kongresu Kultury Polskiej, który miał odbyć się w grudniu 1981 roku w Teatrze Dramatycznym. Kongres faktycznie rozpoczął



obrady, ale zostały one przerwane przez stan wojenny.

W tych trudnych dniach pan Gustaw zachowywał się w sposób wzbudzający szacunek. Zaproponował Andrzejowi Łapickiemu przejście do swojego zespołu, wiedział bowiem, że przyjaciel jest zagrożony na stanowisku rektora PWST. Oczywiście przyłączył się również do bojkotu radia i telewizji.

„Bojkot był konieczny – mówił po latach – i dziś widać to jeszcze wyraźniej niż wtedy, kiedy ogromną rolę odgrywały emocje. Nie chodziło przecież tylko o to, co stało się 13 grudnia. Był to protest przeciwko naszej sytuacji przez wiele lat, czyli przeciwko manipulacji, jakiej podlegaliśmy. Aktorzy chcieli w ten sposób zmanifestować, że nie ograniczają się tylko do wykonywania swojego zawodu, lecz też są obywatelami i odpowiadają za miejsce, które zajmują w społeczeństwie”[284].

Wprawdzie Teatr Dramatyczny wznowił działalność już po miesiącu, to jednak godzina próby dla pana Gustawa miała nadejść dziesięć dni później. 25 stycznia 1982 roku Sejm PRL zaaprobował wprowadzenie stanu wojennego w Polsce, Holoubek nie wziął jednak udziału w tym posiedzeniu. Wiele osób miało mu to za złe, ale wydaje się, że wybrał jedyną rozsądną drogę. Miał żonę i trzyletnie dziecko, oboje z Magdaleną byli aktorami, a w Polsce Ludowej nie działały prywatne instytucje kulturalne. Byli zatem zależni od kaprysu władz, a żona zapewne miała wpływ na decyzję Gustawa. Jako kobieta zawsze dbała bowiem o sytuację rodziny.

Holoubek nie zamierzał jednak firmować bezprawia i dwa tygodnie później wysłał do marszałka Sejmu list z rezygnacją z mandatu poselskiego. Zrobił to, co musiał, nie był zresztą w tym odosobniony. Tadeusz Łomnicki, członek KC PZPR (!), oddał swoją legitymację partyjną, nie mogąc pogodzić członkostwa partii z wprowadzeniem stanu wojennego.

Na efekty swojego postępowania pan dyrektor nie musiał specjalnie długo czekać.

„Dziś odwiedził mnie Holoubek – zapisał 12 marca

Mieczysław Rakowski. – Przyszedł ze sprawą osobistą. Kupił mieszkanie od miasta. Na podstawie porozumienia z magistratem miasto zobowiązało się pokryć koszty remontu, ponieważ mieszkanie było bardzo zniszczone. Ale już po remoncie przysłano rachunek na kilkaset tysięcy złotych, których Holoubek po prostu nie ma. Domyślam się, że postanowiono mu dokuczyć za jego postawę polityczną”[285].

W archiwach Instytutu Pamięci Narodowej zachowały się dokumenty potwierdzające działania Służby Bezpieczeństwa przeciwko niepokornym aktorom. W przypadku Holoubka i Zawadzkiej miały to być „akcje nękające”, a jednym z ich przejawów była sprawa wspomniana przez Rakowskiego. Na adres domowy małżonków wysłano również uchwałę mieszkańców osiedla protestujących przeciwko przyznaniu im mieszkania.

Przy okazji w prasie pojawiły się niewybredne ataki autorstwa reżimowych dziennikarzy.

„Łatwo być kontestatorem – pisał Zdzisław Jastrzębski na łamach »Ilustrowanego Kuriera Polskiego« – gdy za państwowe (czyli nasze) pieniądze siaduje się w domowych apartamentach na tronie w asyście Hajduczka. I nie może wówczas dziwić ani przekonanie o własnej boskości, żądanie osobistej nietykalności, ani nieprzeparta chęć pouczenia maluczkich”[286].

Prawdziwe problemy zaczęły się jednak wówczas, gdy ekipa Jaruzelskiego postanowiła zlikwidować Teatr Dramatyczny. Ogłoszono, że w jego dotychczasowej siedzibie powstanie Teatr Rzeczypospolitej, a Holoubek ze swoim zespołem mieli stać się jego częścią. To był koniec znakomitej sceny oraz wielu lat pracy Gustawa i Magdaleny.

„Kiedy czas Dramatycznego Holoubka zbliżał się do końca – wspominał Karol Strasburger – po jednym z ostatnich przedstawień *Dwóch głów ptaka* przemówiliśmy prywatnie do widzów. Cały zespół na scenie, publiczność wstała, [Gustaw] powiedział wówczas, że są to ostatnie przedstawienia Dramatycznego i tak przemawiał, że ludziom łzy płynęły z

oczu...”[287].

Razem z Gustawem i Magdaleną teatr opuścili Łapicki, Zapasiewicz, Fronczewski i Walczewski, już nigdy więcej w dziejach naszego kraju nie było tak znakomitego zespołu aktorskiego.

„Było to jedno z większych morderstw dokonanych na teatrze – oceniał reżyser Maciej Prus. – Wiele osób nie mogło się pozbierać po odejściu Holoubka. Niektórzy przestali być aktorami. Ja zmieniałem dyrekcje i nie znalazłem miejsca dla siebie. Zrujnowano nie tylko teatr, ale także życie paru ludzi”[288].

Zawadzka, Holoubek i Łapicki trafili do Dejmka do Teatru Polskiego. Znakomity dyrektor miał swoje zdanie na otaczającą rzeczywistość, uważał bowiem, że rolą aktora jest „zabawianie, a nie politykowanie”. Okazywał jednak dużo wyrozumiałości dla kolegów.

„[...] całą naszą trójkę – Łapickiego, Szczepkowskiego i mnie – wspominał Holoubek – nazywał kretynami, którzy wdając się w politykę, prowadzą do upadku teatru. A jednocześnie dostaliśmy od niego salę do ćwiczeń wokalnych w piwnicy teatru na konspiracyjne spotkania. Oburzaliśmy się na jego wypowiedzi. [...] Dziś nie oceniam go surowo, próbuję zrozumieć, czemu jego poglądy były tak skrajnie różne od naszych, że wynikało to z głębokiego lęku przed Rosją”[289].

Holoubek nie udzielał się jednak specjalnie na deskach Teatru Polskiego, w ciągu kilku lat wziął udział tylko w pięciu inscenizacjach. Nie dołączył też do Zapasiewicza, gdy ten u schyłku PRL chciał odbudować dawny zespół Dramatycznego. Nie tylko zresztą on, odmówił również Fronczewski, obaj panowie wycofali się w ostatniej chwili, a Zapasiewicz przypłacił to zawałem serca.

### III RZECZPOSPOLITA

Do polityki Holoubek powrócił wraz z sejmem kontraktowym w 1989 roku. Został senatorem z ramienia Komitetu Obywatelskiego, a w trakcie kadencji przeszedł do Unii Demokratycznej. Była to jego jedyna kadencja, zyskał wówczas opinię „milczka parlamentarnego”, albowiem ani razu nie zabrał głosu. Wkrótce jednak ponownie stanął na czele teatru, gdy w 1996 roku dyrektor Ateneum, Janusz Warmiński, namaścił go na swojego następcę.

„Dla mnie Ateneum zawsze odznaczało się pewną odrębnością od innych teatrów – tłumaczył pan Gustaw kilka lat później – polegającą głównie na tym, że w tym teatrze w centrum uwagi znajduje się twórczość aktorska. Od początku przez nasz teatr przewinęła się czołówka polskich aktorów. [...] Publiczność, która tłumnie nas odwiedza, potwierdza to moje przekonanie i chce chodzić na aktorów”[290].

Jego decyzje nie u wszystkich jednak znalazły aprobatę, studenci PWST protestowali przeciwko konserwatyzmowi sceny, żądając nowych środków wyrazu. Pan Gustaw był jednak człowiekiem innej epoki i uważał, że dawniej „wszelkie obcinanie głów, wyłupywanie oczu i tym podobne straszliwe rzeczy działały się poza” sceną. Widownia była tylko informowana o wydarzeniach, natomiast „dziś młodzi twórcy nie tylko w okrucieństwie, chamstwie i patologiach społecznych znajdują twórcze natchnienie, ale decydują się nawet na pokazywanie kopulacji czy masturbacji”.

„[...] Pod Teatrem Ateneum, gdzie przez wiele lat był dyrektorem – pisał Janusz Majcherek – grupa studentów domagająca się zmian artystycznych i personalnych w warszawskich teatrach urządziła demonstrację z finezją właściwą »pryszczatym« wszystkim pokoleń. Przed budynkiem teatru uznanego za trupa zapalili znicze, wbijali »ostatni gwóźdź« do

trumny z kartonu. Wzorem hunwejbínów nie zważali na to, że dokonują symbolicznej egzekucji na Starym Mistrzu, bardzo już wtedy schorowanym, i Profesorze uczelni, w której większość demonstrantów studiowała”[291].

Pan Gustaw do końca pozostał sobą, niedługo przed śmiercią chciał się jeszcze raz zmierzyć z legendą *Dziadów*. Los zdecydował jednak inaczej, zmarł 6 marca 2008 roku, a tydzień później został pochowany na warszawskich Powązkach. Po trzech miesiącach Teatr Dramatyczny otrzymał imię Gustawa Holoubka.

Jan Holoubek jest aktorem i operatorem filmowym, natomiast pani Magdalena do dzisiaj pozostaje w zespole Teatru Ateneum. W ostatnich latach dużo uwagi poświęciła na kultywowanie pamięci męża, wydała także wspomnieniową książkę *Gustaw i ja*.

Faktycznie powinna czuwać nad wszystkim, bo obecne władze stolicy zachowują się czasami w sposób zbliżony do ekipy Jaruzelskiego. W listopadzie 2012 roku radni zdecydowali o połączeniu Teatru Dramatycznego (imienia Gustawa Holoubka) z Teatrem na Woli (imienia Tadeusza Łomnickiego) w jedną instytucję. Powstał w ten sposób Teatr Dramatyczny miasta stołecznego Warszawy.

„Uznaliśmy, że będzie lepiej – tłumaczyła przewodnicząca Rady Warszawy, Ewa Malinowska-Grupińska – jeśli nie będziemy wybierać między dwoma wybitnymi aktorami i pozostawimy nazwę Teatr Dramatyczny ze względu na profil instytucji. Warszawa ma największą liczbę teatrów w Polsce, od lat staramy się ją zmniejszyć ze względów organizacyjnych. Dwie sceny mogą mieć tego samego dyrektora, dwa teatry już nie”[292].

Przy okazji warszawscy samorządowcy z właściwym sobie wdziękiem uznali, że sceny zachowają swoich patronów. W ten prosty sposób z pełnej nazwy Teatru Dramatycznego zniknęło nazwisko Holoubka. A dodatkowo niektórzy z nich dawali do zrozumienia, że cała sprawa została uzgodniona z Zawadzką. „Radni zrobili to po cichu – wyjaśniała pani Magdalena – i przy użyciu nikczemnego oszustwa, bo powiedziano im, że ja jakoby o

tym wiem, że skonsultowano ze mną tę propozycję i się na nią zgodziłam. Otóż ja o niczym nie wiedziałam, dowiedziałam się przypadkiem”[293].

Odebranie patronatu instytucji kulturalnej to praktyka rodem z epoki „przodującego ustroju”. I trudno się dziwić zdenerwowaniu pani Magdaleny – można było przecież znaleźć inny sposób, by nie degradować pamięci dwóch wielkich aktorów. Chyba szczęśliwszym rozwiązaniem byłoby powołanie zespołu teatrów, w którym każdy zachowałby swoją nazwę i patrona, natomiast biurokracja i tak zostałaby znacznie uproszczona. Ale w naszym kraju jak zwykle podejmuje się decyzje, a dopiero potem następują dyskusje.

Pozbawienie Teatru Dramatycznego imienia pana Gustawa oznacza w praktyce odrzucenie pamięci o najwybitniejszym polskim aktorze od czasów Stefana Jaracza. Artysty wielkiego formatu, który potrafił zachwycać i zmuszać do myślenia kilka pokoleń widzów...

## **Rozdział 5**

### **Wszyscy mężczyźni Maryli Rodowicz**



**Najmilej wspominam podróż z Danielem konno z Drohiczyzna do Warszawy.**

*Ponad sto kilometrów lasami, polami, bezdrożami.*

*Spanie w stodołach, wstępowanie do przydrożnych knajp, do kowala.*

*Jak na kowbojskim filmie.*

*Okoliczna ludność była zresztą przekonana, że jest świadkiem kręcenia jakiegoś filmu.*

*Mnie też się to udzielało.*

*(Maryla Rodowicz)*



## AWF I GITARA

**M**arylę Rodowicz można kochać albo jej nie lubić, ale należy ją doceniać, gdyż w polskim show-biznesie jest postacią wyjątkową. Ponad 40 lat kariery i niemal zawsze na szczycie. Uznawana niegdyś za „najpopularniejszą artystkę RWPG” potrafiła przetrwać wszelkie burze dziejowe i mody, do dzisiaj pozostając w czołówce polskich piosenkarzy. Zmieniały się pokolenia, pojawiali nowi słuchacze i wykonawcy, a Rodowicz ciągle znakomicie prosperuje, sprzedając duże nakłady płyt.

Zapewne niewiele osób jednak pamięta, że pani Maryla (właściwie Maria Antonina) rozpoczęła karierę od zespołu folkowego. Osobiście byłem zaskoczony, gdy na początku lat 80. jeden z kolegów wyciągnął mocno sfatygowaną płytę (oczywiście winylową) i zmusił mnie do jej przesłuchania. Nazwisko Rodowicz kojarzyło mi się wówczas z muzyką pop, której wręcz organicznie nie znosiłem, przeżyłem zatem duże zaskoczenie. Z wydanej w 1970 roku płyty usłyszałem bowiem charakterystyczny głos znany z różnych *Małgosi* oraz *Sing-singów* i brzmienie akustycznych gitar. A do tego znakomity repertuar kojarzący się z twórczością Boba Dylana czy Joan Baez.

Album sygnowany przez „Marylę Rodowicz i jej gitarzystów” był tylko początkiem drogi do sławy. Pani Maryla studiowała wówczas na warszawskiej AWF (uczelni tej ostatecznie nie ukończyła), grając w stołecznych klubach. Jej partnerem życiowym był basista zespołu, Grzegorz Pietrzyk, a przyszła gwiazda zachowywała się podobnie jak większość jej rówieśników.

„Akademiki były podzielone na męski i żeński – opowiadała po latach – więc trzeba albo faceta przemycić do żeńskiego, albo wchodzić przez okno, albo zakradać się chyłkiem. Koledzy z męskiego mieli zabawny patent: stukali oszczepem, że niby idzie

panienka na szpilkach. Słyszac to »Kwadratowa«, czyli pani z recepcji, wybiegala ze swojej kanciapy, a wtedy z drugiej strony dziewczyna myk na schody z kolega»[294].

Związek z Grzegorzem nie miał jednak przyszłości. Rodowicz była atrakcyjną dziewczyną, do tego zapowiadała się na gwiazdę i na brak adoratorów nie narzekała. A dla jednego z nich, menedżera czeskiej grupy The Rebels, zupełnie straciła głowę.

„Powiedziałam więc Grzegorzowi, że nie jesteśmy już razem, ale on długo nie mógł się z tym pogodzić. Dzwonił do mnie na przykład z budki telefonicznej w Katowicach i mówił, że właśnie połknął truciznę. A pół godziny później znowu dzwonił i informował mnie, że już [...] trucizna zaczyna działać. I tak mnie straszyl pół nocy. Bardzo to wtedy przeżywałam, nie wiedziałam, gdzie jest i co się z nim dzieje. Robił mi numery poniżej pasa. Najgorsze było to, że jeszcze przez jakiś czas Grzegorz grał w moim zespole...»[295].

## ZŁOTA PRAGA

The Rebels byli grupą rockową grającą anglosaskie standardy spod znaku The Mamas and The Papas oraz Cream. Na basie grał Jiří Korn, znany później z kariery solowej, natomiast menedżerem zespołu był František Janeček. Bardzo przystojny, „wysoki, dobrze ubrany, pachnący dobrymi kosmetykami” i palący wyłącznie zachodnie papierosy.

„Na tle wszystkich moich managerów – wspominała pani Maryla – z jakimi przyszło mi przez lata pracować, František pozostaje nie do pobicia. Reszta to organizatorzy. Franek umiał kreować i był prawdziwym producentem. Umiał poprowadzić artystę, wytyczać mu drogę, rozumiał znaczenie reklamy i dbał o nią jak nikt. Oczywiście, spieraliśmy się często o wartości artystyczne różnych przedsięwzięć. Franek był bardzo komercyjny, wielokrotnie się z nim nie zgadzałam i forsowałam

swoje pomysły, ale i tak zrobił dla mnie dużo”[296].

František był o rok starszy od Maryli, ale miał już za sobą bogatą przeszłość. Do muzyki zachęcił go ojciec, zapalony akordeonista. Po ukończeniu szkoły średniej przeniósł się do Pragi, gdzie studiował biologię i chemię, aby wreszcie zapałać miłością do prawa (uzyskał nawet doktorat). Ale już wówczas wiedział, że jego przeznaczeniem jest muzyka, a The Rebels byli jego pierwszym poważnym projektem.

„[...] zaczęliśmy jeździć do Polski – wspominał Janeček po latach. – Tam było całkiem odwrotnie w porównaniu do znormalizowanej Czechosłowacji, wszystko nowoczesne, otwarte, egzystował tam sektor prywatny, funkcjonowali menedżerowie. Jednak w 1971 Jiřka Korn odszedł do »Olympiku« i zespół »Rebels« się rozpadł”[297].

Maryla jeździła z Czechami w trasy koncertowe jako support zespołu. Szybko nauczyła się języka i niebawem prowadziła już konferansjerkę po czesku. Nad Wełtawą zdobyła swoją publiczność, co można uznać za sukces, biorąc pod uwagę antypolskie nastroje panujące tam po stłumieniu praskiej wiosny. František został jej partnerem życiowym i dziewczyna na stałe przeniósła się do Pragi. Pewien kłopot sprawiała jednak obecność Grzegorza w zespole Maryli, ale Janeček rozwiązał to we właściwy sobie sposób.

„[Pietrzyk] był nie tylko zazdrosny – opowiadała Maryla – lecz także dość złośliwy, to kiedy pojawiał się Franio, dochodziło między nimi do scysji. Pamiętam Wielkanoc w Zakopanem. Przyjechała też moja mama ze swoim mężem, żeby tu spędzić ze mną choć jeden dzień. Z Czech dojechał Franio. Znowu spiął się z moim byłym i namówił technicznego, niejakiego Elephanta, żeby spuścił Grzegorzowi łomot”[298].

Więszym problemem był jednak brak własnego mieszkania, przez pewien czas Maryla z František koczowali w domu kultury, gdzie ojciec Janečka był stróżem nocnym. Dużo czasu spędzali jednak w trasach koncertowych, a wówczas nocowali w hotelach.

Ostatecznie jednak Janeček kupił działkę i wspólnie z Marylą rozpoczęli budowę domu.

Czeski menedżer miał jednak dość oryginalne pomysły na finansowanie inwestycji. Wprowadził bowiem rodzaj pańszczyzny i na budowie musieli pracować zależni od niego muzycy. Rodowicz zresztą również.

„Nie tylko Maryla, ale i Jiřka Korn, i wszyscy muzycy ciężko pracowaliśmy – wspominał czeski piosenkarz Michał David – i stawialiśmy surowe ściany w jego ogrodzie w Sianym. Było to ciekawe doświadczenie. Janeček był taki, że z jednej strony pomógł w show-biznesie i z człowieka robił gwiazdę, ale z drugiej strony nie chciał płacić.

Pracowaliśmy wszyscy, z wyjątkiem Jany Kratochvilovej, która absolutnie odmówiła jakiegokolwiek fizycznej pracy. Maryla woziła materiały i budowała mu dom, a ja stawiałem ogrodzenie i myłem mu samochód. I to wszystko charytatywnie, bez żadnego wynagrodzenia”[299].

Po rozpadzie The Rebels František stworzył nowy projekt, Kroky (Steps). Miał to być zespół grupujący różnych artystów, a czołowe miejsce przeznaczył w nim dla Maryli. To się jednak nie udało, gdyż wokalistka zdecydowała się już na zerwanie znajomości. Zapewne duży wpływ na to miały sukcesy odnoszone w rodzinnym kraju.

Pani Maryla nigdy bowiem nie zaniedbywała rynku polskiego. Pasma sukcesów rozpoczęła w 1970 roku na festiwalu w Opolu, gdzie zaprezentowała *Jadą* wozy *kolorowe*. Przez kolejne cztery lata zawsze wyjeżdżała z Opolą z nagrodą, pojawiała się również na wszelkiego rodzaju festiwalach we wschodniej Europie (Bratysława, Słoneczny Brzeg, Split). Nie mogło oczywiście zabraknąć jej również w Kołobrzegu, udział w Festiwalu Piosenki Żołnierskiej był bowiem obowiązkiem każdego polskiego artysty.

Wprawdzie Rodowicz umiejętnie dzieliła czas pomiędzy Czechosłowację i Polskę, ale związek z Janečkem coraz bardziej

jej ciążył.

„Na początku to ja zabiegałam o jego względy – przyznawała wokalistka – czekałam godzinami na telefon z Pragi, godziłam się na jego humory, awantury. Kiedy poczułam się tym wszystkim zmęczona, sytuacja się odwróciła, a ja zaczęłam coraz częściej wymykać się do Warszawy. Każdy pretekst był dobry: nagrania, telewizja, zdjęcia”[300].

Ciekawostką pozostaje natomiast fakt, że do chwili obecnej w czeskim świecie muzycznym panuje przekonanie, iż Maryla była pierwszą żoną Janečka. Oczywiście nie musi to być prawdą, nie ma zresztą powodów, aby nie wierzyć piosenkarce, że nigdy nie sformalizowała tego związku. Inna sprawa, że dla Františka bliska zażyłość z późniejszą „Madonną RWPG” do dzisiaj jest powodem do dumy.

Po powrocie do kraju w życiu Rodowicz pojawił się fotograf, Krzysztof Gierałtowski. Pani Maryla zamieszkała w jego kawalerce, ale po kilku tygodniach (tuż przed festiwalem w Sopocie) miała już jednak dosyć nowego amanta. Fotograf nie przyjął tego do wiadomości, podobnie zresztą jak František. I obaj panowie mieli zemścić się w Sopocie.

„[...] Gierałtowski naopowiadał innym fotografom, że ma wyłączność na robienie mi zdjęć – wspominała Rodowicz. – I chociaż w Sopocie osiągnęłam megasukces, to z tego festiwalu mam chyba tylko jedno zdjęcie! Po koncercie, na uroczystym bankiecie wręczono mi kopertę, którą dałam mu do potrzymania. Oczywiście mi jej nie oddał... W nocy oświadczyłam mu, że z nami koniec. Mieszkaliśmy w Grand Hotelu – w pokoju były dwa łóżka: on leżał goły na jednym, ja na drugim. Kiedy usłyszał, że z nim zrywam, powiedział: »Tak? To ja ci nie oddam twoich rzeczy«. Zobaczyłam na stole kluczyki do jego fiata, zerwałam się z łóżka, złapałam za te kluczyki i wyleciałam na korytarz. On za mną. Scena, o której marzyłyby teraz »Pudelek«. Chociaż to była noc, zobaczyłam na korytarzu pokojową i schowałam się we wnękę drzwiową. Na pewno mnie widziała i musiała być w szoku:

Jezuu, goła Rodowicz biega po hotelu!”[301].

Zemsta Františka była bardziej wyrafinowana. Na festiwalu Rodowicz zaprezentowała słynną *Małgoškę* Katarzyny Gaertner ze słowami Agnieszki Osieckiej. Z konieczności pojawiła się na scenie z dwoma czeskimi muzykami, z których jeden grał na gitarze, a drugi na dziwnym kiju perkusyjnym. Natomiast sama Maryla akompaniowała sobie na dwunastostrunowej gitarze.

Czesi byli dobrymi kolegami Františka i zrobili wiele, aby zniszczyć występ Maryli. Oglądając po latach relację z festiwalu, trudno ukryć zdziwienie, gdy widzi się, jak perkusista tłucze kijem na prawo i lewo, wydając przy tym odgłosy zbliżone do jodłowania (do mikrofonu!), a gitarzysta również czasami nie trafia we właściwe akordy. Cały występ sprawiał bardzo dziwne wrażenie. Ale Rodowicz zdobyła główną nagrodę, jej talent wraz ze znakomitą piosenką okazały się wystarczające.

„Pracowałem dla niej przez kilka lat jako dyrektor artystyczny – wspominał Janeček Marylę. – Udało mi się wtedy z polskiej gwiazdy zrobić i czeską gwiazdę. Byliśmy jednak zawieszani pomiędzy dwoma krajami, a ona jako Polka chyba nie chciała dopuścić do tego, aby pozostać na stałe w Czechach. [...] Dlatego jeździliśmy często do Polski. Dobrze nam płacili, a tam była jednak większa wolność niż w Czechosłowacji, dla nas to był Zachód”[302].

Nie zmienia to jednak faktu, że Czech okazał się osobnikiem całkowicie bez klasy i zabrał Maryli wszystkie swoje prezenty, łącznie z złotym fiatem 850 sport, z którego była bardzo dumna. Z czasem jednak wzajemne żale minęły i dzisiaj utrzymują ze sobą dobre kontakty.

Oboje z Rodowicz mają zresztą wspólną cechę: utrzymali się bowiem na szczycie pomimo wszelkich zawieruch dziejowych. Janeček zawsze znakomicie prosperował, twierdzono nawet złośliwie, że urodził się z banknotem o nominale tysiąca koron w rękę. Zespoły przez niego prowadzone sprzedały ponad 10 milionów płyt, a sam František posiada prawa autorskie do wielu

przebojów. Obecnie pełni funkcję menedżera Karela Gotta i jednocześnie jest ważnym animatorem życia muzycznego nad Wełtawą. On i jego o 30 lat młodsza żona, piosenkarka Tereza Mátlová, uchodzą za czeskich celebrytów.

## DANIEL OLBRYCHSKI

Po zerwaniu z Františkem w życiu Maryli pojawił się inny ważny mężczyzna, a tym razem jej związek uczuciowy zelektryzował całą Polskę. Związała się bowiem z Danielem Olbrychskim, co można uznać za PRL-owski odpowiednik romansu Elizabeth Taylor i Richarda Burtona czy też Victorii Adams i Davida Beckhama. Dodatkowej pikanterii sprawie dodawały jeszcze okoliczności towarzyszące zakończeniu ich trzyletniego związku i rola, jaką odegrał w tym naczelny celebryta epoki propagandy sukcesu, Andrzej Jaroszewicz. A na domiar wszystkiego obaj panowie rywalizujący o względy Maryli byli wówczas żonaci.

Początek romansu Maryli i Daniela Olbrychskiego datuje się na przełom lat 1973/1974. Aktor był wówczas u szczytu powodzenia, które czasami jednak miało dla niego gorzki smak. Po sukcesach w *Popiołach*, *Panu Wołodyjowskim*, *Brzezynie* i *Weselu* po raz pierwszy spotkał się bowiem ze zmasowaną krytyką, i to jeszcze zanim rozpoczęły się zdjęcia do kolejnego filmu.

Jerzy Hoffman, przystępując do realizacji *Potopu*, zaproponował mu rolę Andrzeja Kmicica. Była to postać wręcz stworzona dla pana Daniela, widzowie jednak mieli na ten temat inne zdanie. W ostatniej bowiem części *Trylogii* (cykl Sienkiewicza ze względów politycznych ekranizowano od końca) Olbrychski brawurowo zagrał Azję Tuhajbejowicza i zakończył swoje filmowe życie na palu. Większości widzów nie mieściło się w głowie, aby ten sam aktor wcielał się w dwie różne postacie

podczas ekranizacji *Trylogii* i w kraju rozpętała się dyskusja na temat obsady filmu. Trudno zresztą mówić o dyskusji, Olbrychski stał się bowiem celem bezpardonowych ataków.

„Publiczność, która kilka lat wcześniej głosowała na mnie w plebiscytach – wspominał aktor – teraz usiłowała zmieszać mnie z błotem. Nagonka najpierw rozpętała się w prasie. Dlaczego? Skąd u części prasy taka napastliwość? Odnosiłem wrażenie, że cała Polska nie mówi o niczym innym, tylko o tym, że Olbrychski nie nadaje się do roli Kmicica. Nie mam wątpliwości, kampania była sterowana, ale, u diabła, przecież nie z powodów politycznych! Wtedy jeszcze nikomu się nie narażałem”[303].

Na widok Olbrychskiego ludzie wysiadali z tramwaju, aktora wyzywano, a czasami wręcz grożono przemocą fizyczną. Było to szczególnie niebezpieczne w lokalach z wyszynkiem, pan Daniel nie unikał bowiem życia towarzyskiego, a jak wiadomo, alkohol z reguły wzmagają agresję.

„Byłam w towarzystwie Daniela i naszego wspólnego przyjaciela, Bolesława Sulika – relacjonowała Agnieszka Osiecka. – Najpierw bankietowaliśmy w klubie filmowców, a potem pół nocy błąkaliśmy się po knajpach. Nad ranem zawędrowaliśmy do baru mlecznego Zodiak – na poranny kefir. Nagle spostrzegłam, że pijani ludzie zbili się w grupkę i zaczęli bardzo agresywnie zaczepiać Daniela. Niektórzy chcieli go bić – za to, iż śmie grać Kmicica. Obronił nas jakiś tajniak, też pijany, ale czujny.

Do dziś czuję ciarki na plecach: tak wielkiej agresji, wręcz wściekłości, w błahej w końcu sprawie, nigdy później nie widziałam”[304].

Ostatecznie Olbrychski nie ugiął się pod presją i zagrał Kmicica. I zrobił to tak znakomicie, że oponenci zamilkli, a film dostał nominację do Oscara.

Nie układało się natomiast Danielowi życie prywatne. Był mężem starszej o sześć lat Moniki Dzienisiewicz, aktorki Teatru Ateneum, która dla niego porzuciła Włodzimierza „Wowo” Bielickiego. Olbrychscy cztery lata po ślubie doczekali się syna,



Rafała.

„Nie byłam dla niego dobrą żoną – przyznawała Monika Dzienisiewicz-Olbrychska. – Robiłam mu sceny zazdrości, bo był ode mnie młodszy. Skoro ja porzuciłam wspaniałego męża, to nikt mi nie mógł zagwarantować, że Daniel nie porzuci starszej od siebie żony”[305].

Podobno małżonkowie kłócili się niemal zawsze i wszędzie, a Olbrychski powoli dojrzewał do odejścia. W jego życiu pojawiały się inne kobiety, aż wreszcie poznał Marylę Rodowicz.

### KMICIC I MARYLA

O wszystkim zadecydował przypadek, dotychczas bowiem znali się wyłącznie z widzenia. Natomiast do bliższej znajomości doszło z powodu ostrej zimy.

„[...] akurat byłam w trasie – wspominała Maryla – kiedy zaatakowała zima. Lód na drogach, o oponach zimowych nikt wtedy jeszcze nie słyszał. Nie odważyłam się jechać dalej i zostawiłam auto w Lublinie. Mój menadżer wrócił do Warszawy i w parku, w Łazienkach, spotkał Daniela. »Chcesz się przejechać porsche?« – zagaił. »Pewnie, że chcę!« – Daniel na to. I ukradkiem, w tajemnicy przed żoną, pojechał pociągiem do Lublina. Towarowym zresztą. Przeprowadził mój samochód do Warszawy i wysłał mi zaczepną kartkę: »Nieznany fetyszysta porwał pani samochód. Na razie tulę się do kierownicy«. Oho, wiedziałam, że będzie się działo”[306].

Według Maryli wypadki potoczyły się w szybkim tempie. Daniel zapraszał ją na jazdę konną i pewnego dnia, w szatni klubu jeździeckiego, cały „pachnący podniecająco koniem i potem” pocałował ją po raz pierwszy. Czytając wspomnienia Olbrychskiego, można natomiast odnieść wrażenie, że trwało to trochę dłużej, ale efekt był ten sam. Zostali kochankami, chociaż pan Daniel wciąż był żonaty.

„Gdyby między mną i Danielem działa się dobrze – uważała Monika Dzienisiewicz – to ani Maryla Rodowicz, ani nikt inny nie zdołałby zauroczyć mojego męża. Nie traktowałam jej w kategorii potencjalnej rywalki. Dla mnie była to popularna piosenkarka. Jako kobieta w ogóle mnie nie interesowała. W związku z nią nie zapalało się żadne ostrzegawcze światełko.

Wiedziałam, że do Daniela dzwoni impresario pani Rodowicz, namawiając go, by uczył gwiazdę jeździć konno i prowadzić samochód. Sama przekazywałam mężowi informacje o tych telefonach”[307].

Panią Monikę zawiodła tym razem kobieca intuicja. Mąż romansował już dłuższy czas z Marylą, a ona o niczym nie wiedziała. Kochankom sprzyjały zresztą okoliczności, Daniel rozpoczął zdjęcia do *Ziemi obiecanej* i wyjazdy służbowe wykorzystywał do spotkań z Rodowicz. Sprawa wyszła na jaw przez zupełny przypadek, a spowodowali to Marina Vlady i Włodzimierz Wysocki. Jako bliscy przyjaciele Daniela, przejeżdżając przez nasz kraj w drodze do zachodniej Europy, postanowili zrobić mu niespodziankę. I faktycznie zrobili.

„Mamy do niego zadzwonić, jak tylko dotrzemy do Warszawy – opisywała Marina Vlady – przyjedzie po nas i zabierze do siebie. Telefonujemy z pierwszego napotkanego hotelu, słuchawkę podnosi jego ówczesna żona, Monika. Nie znamy jej jeszcze, mówi, że Daniel kręci film w Łodzi i wróci późnym wieczorem, ale ona sama już po nas jedzie. Czekamy, pijąc kawę w hotelowym barze. Minęło sporo czasu, wreszcie widzimy piękną rudowłosą kobietę, jest wyraźnie podenerwowana. Dopiero w domu Olbrychskich zrozumieliśmy, że niechcący popełniliśmy gafę. Pech chciał, że w hotelu, skąd telefonowaliśmy, Daniel, niestały żonkoś, spędzał popołudnie w damskim towarzystwie”[308].

Daniel faktycznie chyba nie miał wprawy w zdradzaniu żony, okazał się bowiem wyjątkowo nieostrożny. Kiedy w stolicy pojawili się Wysocky, to akurat spędzał czas z Marylą w warszawskim hotelu MDM, a swój samochód (trabanta!)

zaparkował „klamka w klamkę” z wozem Rodowicz. W efekcie pani Olbrychska „lekką się zdenerwowała” i zrobiła awanturę. Znalazła pokój, w którym przebywał mąż z Marylą, i „walała w drzwi” oraz przeraźliwie „krzyczała”. Ale przyjęcie na cześć Wysockiego w mieszkaniu Olbrychskich i tak się odbyło...

## WE DWOJE

Ujawnienie romansu spowodowało, że Olbrychski wyprowadził się z domu i zamieszkał z Rodowicz.

„Mieszkanie, które wynajmowaliśmy – wspominał aktor – należało do rodziców Piotrka Szymanowskiego, mojego kolegi z liceum »Batorego«. Byli wówczas za granicą. Przyjmowaliśmy mnóstwo gości – moich i Maryli, a potem naszych wspólnych. Gdy zostawaliśmy sami, Marylka coś tam pichciła... Najwspanialsze befsztyki na świecie! W tym domu znajdowałem wszystko: spokój, zrozumienie, miłość. Żadnych poważnych konfliktów”[309].

Związek ten od samego początku skazany był jednak na porażkę. Maryla oczekiwała ostatecznej deklaracji Daniela, a tą byłoby dla niej małżeństwo. I chociaż wiedziała, że żona nie da partnerowi rozwodu, to jednak w głębi duszy marzyła o ślubnym kobiercu. Natomiast Olbrychski uważał, że jest to niemożliwe.

„Z latami narastało coś, do czego nie przywiązywałem wagi – wspominał pan Daniel. – Nie potrafiłem wyjaśnić swojej sytuacji prawnocywilnej. Wciąż byłem formalnym mężem Moniki Dzienisiewicz, więc nie mogłem zrobić nic, by doprowadzić do ślubu z Marylą. Nie chciałem, aby rozwód przeprowadzano z orzekaniem o winie; po co w sądzie wylewać na siebie pomyje?”[310].

Wzajemne oskarżenia na sali sądowej faktycznie nie należą do przyjemności, ale wydaje się, że Olbrychskiemu chodziło także o sprawę bardziej przyziemną. W przypadku orzeczenia rozwodu z

winy Daniela Monika mogła przecież uzyskać dla siebie alimenty z powodu obniżenia jej stopy życiowej. A znając jej stosunek do całej sprawy, było to bardzo prawdopodobne. I trudno nawet się jej dziwić.

„Nie chciałam dać mu rozwodu na złość – przyznawała. – Na początku byłam zdecydowana na rozwód, ale zadzwoniła do mnie koleżanka – nie podam nazwiska – i powiedziała:

– Zaklinam cię, nie daj mu rozwodu, bo ona już sobie szyje ślubną suknię. Termin ślubu wyznaczony!”[311].

Maryla twierdziła jednak, że nigdy nie miała sukni ślubnej i raczej powinniśmy jej wierzyć. Piosenkarka żyła bowiem dniem bieżącym i nie należała do osób, które przygotowywałyby się do ceremonii mogącej nigdy nie nastąpić. Ale miała wobec partnera poważne zamiary, czego on niestety nie rozumiał. Był klasycznym egocentrykiem, którego najbardziej interesowały popularność i potwierdzanie własnego talentu. Inna sprawa, że przez długi czas nie był akceptowany w środowisku aktorskim, nigdy bowiem nie skończył regularnych studiów na PWST.

„[...] wysunięty przez Wajdę, pobudliwy i skrzywiony psychicznie – pisał w kwietniu 1968 roku TW »Mathis« w notatce służbowej dla SB. – Odbił żonę Monikę Bielicką dekoratorowi filmowemu Bielickiemu. Ma powiązania ze światem literackim, a przez żonę z kołami partyjnymi w Łodzi. Przez Wajdę ma powiązania z ośrodkami zagranicznymi żydowskimi i NRF. Nie jest traktowany poważnie i nie uchodzi za dobrego aktora...”[312].

I chociaż od tego czasu pan Daniel osiągnął wiele sukcesów oraz złożył eksternistyczny egzamin aktorski, to wciąż odczuwał potrzebę akceptacji. A do tego był człowiekiem posiadającym głęboką potrzebę rywalizacji z innymi.

„Szpanował: chodził na rękach, na przyjęciach spuszczał się z okien – wspominał Stefan Friedmann – wisiał na parapecie na jednej ręce. Uwielbiał zwracać na siebie uwagę. Sztuczki z pudełkiem od zapalek albo z kartką przy ścianie:

– No, chodźcie, robimy zawody, kto ile razy kartkę złapie...

– Daniel, spierdalaj, chcemy się spokojnie napić wódki.  
– Dobra, wypijemy, ale przedtem zmierzmy się, posiłujmy na rękę, poskaczmy, kto dalej”[313].

Chorobliwe upodobanie do potwierdzania sprawności fizycznej było wyjątkowo uciążliwe dla otoczenia. W środowisku aktorskim krążyły na ten temat prawdziwe legendy, a pana Daniela postrzegano jako osobnika, który nie potrafi dorosnąć.

„O brawurze Olbrychskiego opowiadano anegdoty – kontynuował Friedmann. – Reżyser mówi do aktora na przykład:

– Musi pan wskoczyć do komina, wyskoczyć piecem, zabić trzystu Niemców i przepłynąć wplaw rzekę...

– Eee, nie... Nie dam rady. To może zagrać tylko Olbrychski. Niech pan jego zaangażuje”[314].

Z upływem lat pan Daniel dojrzewał, ale pozostał niezwykle zazdrosny o sławę i uznanie. I to chyba miało duży wpływ na jego związek z Marylą.

Piosenkarka była bowiem jego przeciwieństwem, wprawdzie lubiła być adorowana, ale nie przeszkadzała jej popularność Olbrychskiego. Chyba zresztą lubiła czuć się kobietą znanego artysty i sprawiało jej to dużą przyjemność.

„Daniel nie bardzo dobrze czuł się ze mną w takim NRD na przykład – wspominała Maryla. – Wyraźnie cierpiał z powodu swojej mniejszej popularności w tym kraju. Raz się ożywił, kiedy spotkaliśmy na ulicy wycieczkę szkolną z Polski. Otoczył go tłum panienek i znowu był gwiazdą”[315].

Na swój sposób Olbrychski okazał się jednak znakomitym partnerem życiowym. Idealnie trafił w upodobania Maryli do przygody i wędrówek, był bowiem w stanie zaproponować to, czego żaden mężczyzna przed nim zaoferować jej nie potrafił. A to niezwykle imponowało piosenkarce.

„Najmilej wspominam podróż konno z Drohiczyzna do Warszawy. Ponad sto kilometrów lasami, polami, bezdrożami. Spanie w stodołach, wstępowanie do przydrożnych knajp, do kowala. Jak na kowbojskim filmie. Okoliczna ludność była zresztą

przekonana, że jest świadkiem kręcenia jakiegoś filmu. Mnie też się to udzielało”[316].

Z Olbrychskim nuda była niemożliwa, ale czasami „było to męczące”, zresztą „życie rodzinne trochę na czymś innym polega”. Pan Daniel wprawdzie potrafił wjechać konno po schodach do karczmy w Drohiczynie (!), ale miał zbyt częsty kontakt z alkoholem, co zaczynało być poważnym problemem.

„Daniel wtedy sporo pił, zdarzało się, że nie wracał na noc. W tym Drohiczynie najczęściej pił z sąsiadem, panem Motelem. Zdarzyło się na przykład, że pojechali furmanką po siano na pole, a rankiem następnego dnia jeszcze ich nie było. Opowiadali potem, że w polu złapała ich burza, więc położyli się między zagonami, gdzie strasznie przemokli i zmarzli. Trafili do jakiejś chaty, gospodarz poczęstował ich alkoholem, żeby się rozgrzać, i tak się rozgrzali, że nie byli w stanie wrócić”[317].

W tym czasie rzadziej pojawiał się na ekranie, po *Ziemi obiecanej* zagrał tylko w *Dagny*, polsko-norweskim filmie biograficznym o nieszczęsnej żonie Stanisława Przybyszewskiego. Niewiele lepiej było na scenie, inna sprawa, że raczej nie dostawał interesujących propozycji. Poza tym spalał go związek z Marylą, z upływem czasu coraz bardziej zależało mu na piosenkarce.

„Jeździłem z nią, by – jak często mówiłem – nosić gitarę – wspominał pan Daniel po latach. – Zrozumiałem, że bardziej mi zależy na Maryli niż na własnych sukcesach zawodowych. Doskonale się z tym czułem. [...] Gdy potrzebowałem pieniędzy, prosiłem Czarka Owerkowicza, by towarzyszył mi w występach. W miejscowości, gdzie koncertowała Maryla, zawsze znalazł się jakiś dom kultury, w którym mógłbym powiedzieć kilka wierszy”[318].

Chałtury w domach kultury zapewniały całkiem przyzwoity dochód, a dzięki temu Daniel przebywał cały czas u boku ukochanej kobiety. I chyba nie dostrzegął, że ona odczuwała już zmęczenie jego obecnością. Zapewne gdyby doczekali się dziecka, to wypadki potoczyłyby się inaczej. Ale Maryla poroniła, a na

horyzoncie pojawił się groźny rywal. Był nim Andrzej Jaroszewicz, starszy syn premiera PRL.

## GWIAZDY I POLITYKA

Z perspektywy lat Marylę uważa się za artystkę „reżimową”, natomiast Daniela za człowieka opozycji. Całkiem niesłusznie, albowiem w połowie lat 70. oboje starali się nie narażać władzom. Był to konieczny warunek dla rozwoju ich karier, zresztą ówczesne środowiska artystyczne ułożyły sobie względnie wygodny konsensus z władzą.

Oficerowie Służby Bezpieczeństwa po raz pierwszy pojawili się w mieszkaniu Rodowicz i Olbrychskiego w październiku 1976 roku. Pani Maryla wyparła się (zgodnie z prawdą) wszelkich związków z opozycją, natomiast jej partner potwierdził znajomość faktów związanych z działalnością KOR-u. Oznajmił jednak, że nie podpisywał żadnych dokumentów, gdyż „wśród sygnatariuszy petycji widział nazwiska znane, jak i również nazwiska osób, które według niego próbują wykorzystać to dla swoich prywatnych celów”. Dodał również, że w „takie rzeczy to on i Rodowicz się nie bawią”, ponieważ „chcą spokojnie pracować bez żadnych trudności”[319].

Interesujące są natomiast wnioski, jakie wyciągnął z wizyty ppor. Zbigniew Grabowski. Funkcjonariusz SB, sporządzając notatkę ze spotkania, napisał:

„[...] z przeprowadzonej rozmowy wnioskuje, że M. Rodowicz nie poprze akcji prowadzonej przez »Komitet Obrony Robotników«, zwłaszcza że Daniel Olbrychski (jej aktualny przyjaciel) ma na nią duży wpływ. M. Rodowicz w przeciwieństwie do D. Olbrychskiego posiada bardzo słabe rozeznanie w sprawach natury politycznej”[320].

Niebawem jednak w życie Rodowicz i Olbrychskiego wtargnęła polityka, albowiem pan Daniel podpisał *List 172*. Był to

memoriał skierowany „Do przedstawicieli świata kultury i nauki – posłów na Sejm PRL”, a jego sygnatariusze protestowali przeciwko represjom wobec robotników Radomia i Ursusa. Przy okazji większość sygnatariuszy zastrzegła jednak, że występuje wyłącznie przeciw przypadkom łamania prawa, natomiast nie wnosi żadnych uwag co do obowiązującego w kraju ustroju.

Podpis Olbrychskiego wystarczył, aby SB rozpoczęła działania w sprawie operacyjnego rozpoznania o mało oryginalnej nazwie „Kmicic”. I w pierwszych dniach stycznia 1977 roku w mieszkaniu Maryli i Daniela pojawiło się dwóch oficerów SB, znany już ppor. Grabowski oraz por. Jerzy Filipowski. Przy ich rozmowie z Olbrychskim obecna była Maryla.

Aktor po raz kolejny potwierdził, że wcześniej nie podpisywał żadnych petycji, albowiem uważał, iż „była to akcja o charakterze politycznym wymierzona przeciwko władzom politycznym i państwowym, do których działalności nie ma zastrzeżeń”. Natomiast obecnie jest to sprawa o charakterze etycznym, bez negatywnych następstw dla ekipy rządzącej. Natomiast Maryla listu nie podpisała, gdyż „w razie stosowania represji wobec sygnatariuszy kultura polska poniosłaby zbyt duże straty”[321].

Tajniacy uznali, że spory wpływ na zachowanie aktora ma jego zbyt wysokie mniemanie o własnej osobie:

„W sprawach politycznych jest on faktycznie osobą niezbyt zorientowaną, bardziej kieruje się uczuciem, emocjami niż rozumem. Uważa, że jego nazwisko jest już tak wielkim, że samo to wystarczy, aby sprawy wagi państwowej były rozpatrywane w sposób, jaki on sobie wyobraża, m.in. powiedział w rozmowie, że jeśli posłowie, którzy go bliżej znają, przeczytają pod listem jego nazwisko, to z innej perspektywy będą oceniać ten list, niż gdyby był podpisany przez osoby skompromitowane, karane lub w ogóle nieznane. Z jego wypowiedzi odnosi się wrażenie, że nie wchodzi tu w rachubę jego zła wola, zapędy politykierskie ani chęć pokazania się w środowisku (co sam stwierdził)”[322].

Wbrew pozorom pan Daniel przeżywał jednak rozterki. W



tych dniach dostał bowiem wezwanie od ministra kultury, Józefa Tejchmy, a tuż przed wizytą spotkał Mariana Brandysa.

„Daniel jest piękny, modnie ubrany, w aurze najwyższej życiowej pomyślności – zanotował pisarz. – Ale wyczuwa się w nim wewnętrzną drżączkę. Ma dużo do stracenia. Boi się nie tylko o własną karierę, lecz także o pomyślność swojej obecnej żony, pieśniarki Maryli Rodowicz. W rozmowie wypowiada zdanie, które jeszcze przed miesiącem byłoby dla mnie całkowicie zrozumiałe, ale teraz jest tylko dowodem, jak potężnie oddziałuje telewizyjna propaganda. Mówi: »Tejchmie się oprę, lecz gdyby sam pierwszy sekretarz, to nie wiem... nie wiem»[323].

Po latach pan Daniel twierdził jednak, że Służba Bezpieczeństwa usiłowała go zastraszyć. Podobno używano do tego sprawdzonych już metod.

„Dzwoniono na przykład do mojego ojca z informacją: »Umrzesz jutro« – wspominał aktor. – Ojciec mieszkał sam, był chory na serce. Doszli do wniosku, że to słaby punkt, w który mogą uderzyć. Ojciec spotkał się ze mną. »Czuję się dosyć głupio – powiedział. – Nie bardzo wiem, co jako człowiek inteligentny mam im odpowiedzieć« – tłumaczył. Poradziłem mu, żeby na »Umrzesz jutro« odpowiedział: »A ty, chuju, myślisz, że jesteś nieśmiertelny?«. Chyba poczuł się lepiej. Za jakiś czas przestali dzwonić»[324].

Relacja aktora w dziwny sposób przypomina historię anonimowych telefonów do Stanisława Dygata. Czy był to zatem efekt rozmowy Olbrychskiego z Brandysem, czy też konfabulacja aktora? O tym jednak wie tylko sam pan Daniel...

Natomiast wymiernym skutkiem zaangażowania Olbrychskiego w sprawy opozycji był dwuletni zakaz wydawania mu paszportu. Tak na wszelki wypadek...

## ANDRZEJ JAROSZEWICZ

„Daniel miał marynarkę od Lapidusa: był z niej bardzo dumny – wspominała Maryla Rodowicz. – Zanim go poznałam, odpruła się podszewka. Trudno sobie wyobrazić, ale przez cały czas naszego związku nie mogłam się zmobilizować, by tę podszewkę przyszyć. Pamiętam, kiedy spotkaliśmy się już po rozstaniu, gdy Daniel był z Zuzią Łapicką, [...] powiedział:

– Czuję, że to poważny związek, Zuzia zszyla mi marynarkę od Lapidusa”[325].

Chyba niejedna kobieta zrozumiałaby panią Marylę, gdyż brak zamięłowania do zszywania męskiej odzieży wcale nie należy do objawów braku uczucia. Osobiście pamiętam, jak wkrótce po ślubie usiłowałem nakłonić żonę do zszycia moich rozprutych spodenek. Celu nie osiągnąłem, a po pewnym czasie usłyszałem, że tym „marudzeniem o spodenkach zepsułem jej całe lato”...

Pan Daniel, miał zresztą niebawem zetknąć się ze znacznie poważniejszymi problemami niż odpruta podszewka od marynarki. W pobliżu Maryli pojawił się bowiem Andrzej Jaroszewicz, nazywany Czerwonym Księciem, jedna z barwniejszych postaci PRL.

Syn urzędującego premiera był z zawodu kierowcą rajdowym, a z zamięłowania playboyem. W kraju plotkowano o wielkich sumach przepuszczanych przez niego w kasynach Monte Carlo, o przypalaniu papierosów banknotami, o niezliczonych podbojach miłosnych. Podobno żadna kobieta nie potrafiła mu się oprzeć, a jego kolejnym celem stała się Maryla Rodowicz.

„Mijaliśmy się – wspominał Olbrychski ostatnie miesiące związku z Marylą. – Dosłownie i w przenośni... Wybuchwały drobne z pozoru nieporozumienia, do których przywiązywaliśmy większą wagę, niż na to zasługiwały. Nie odnajdywaliśmy się w łóżku. Rozvodu wciąż nie było...”[326].

Daniel przestał jeździć w trasy z Marylą, w zamian często

przesiadywał w SPATiF-ie. Piosenkarka po powrocie „zastawała go pijanego albo nie zastawała w ogóle”. W efekcie przedłużała trasy koncertowe, nie chcąc wracać do stolicy. Zawsze zresztą doskonale realizowała się w bezpośrednim kontakcie z publicznością, czego Daniel jej zazdrościł. I chyba zdawał sobie sprawę z faktu, że zdecydowanie już przewyższała go popularnością.

Maryla poznała Andrzeja Jaroszewicza dzięki Sobiesławowi Zasadzie, obaj reprezentowali bowiem rajdowy świat. Przy ich pierwszym spotkaniu obecny był Daniel, podobnie jak przy następnym. Rodowicz koncertowała wówczas w Gdańsku, a po upojnej nocy w jednym z klubów (towarzyszył im jeszcze Krzysztof Materna) wesołe towarzystwo przeniosło się do pokoju hotelowego Rodowicz i Olbrychskiego.

„Okolo siódmej rano – wspominała artystka – panowie stwierdzili, że są głodni. Zamówili jajecznicę z kilkudziesięciu jajek, szampany, kawy. Kiedy po pewnym czasie wszedł kelner i zobaczył śpiącego na łóżku Olbrychskiego, drzemającego na podłodze Jaroszewicza, zwisającego z krzesła Maternę i krzątającą się Rodowicz – zwątpił. Nie wiedział, czy ma się wycofać, czy pomylił pokoje. Zaczęłam się niewyraźnie tłumaczyć: »Wie pan, to tak długo trwało, koledzy się zdrzemnęli«. Popatrzył jakoś dziwnie i wybiegł, żeby opowiedzieć w kuchni, co widział”[327].

Syn premiera doskonale wiedział, w jaki sposób zrobić odpowiednie wrażenie na kobiecie. Inna sprawa, że pieniędzy nigdy mu raczej nie brakowało, podobnie zresztą jak fantazji. Potrafił z wynajętego samolotu (!!!) zrzucić róże nad Poznaniem, gdzie akurat Maryla koncertowała, a jak przysyłał kwiaty bezpośrednio, to był to bukiet złożony z kilkuset (!!!) goździków. Piosenkarce nie przeszkadzał nawet fakt, że Jaroszewicz miał żonę. Ostatecznie było to jego trzecie małżeństwo, a Maryla zdążyła się już przyzwyczaić, że interesujący się nią mężczyźni nie są stanu wolnego.

„[...] zjawił się z żoną, zwaną w środowisku »piękną praczką« – opisywała Rodowicz ówczesną partnerkę Jaroszewicza. – Miała

swoje pralnie w Katowicach, a była rzeczywiście efektowna, choć o dość banalnej urodzie. Z przyjemnością patrzyło się na jej dobrą figurę i naprawdę ładne, niebieskie oczy. Największe wrażenie zrobiła jednak swoim niesamowitym futrem. Rysie syberyjskie. Długi, jasny włos z ciemnymi kropkami”[328].

„Piękną praczką” była Irena Morcinczyk, córka właściciela sieci pralni na Śląsku (późniejsza żona Karola Strasburgera). Jaroszewicz był jej drugim mężem, a jako kobieta znająca realia życiowe podejrzliwie obserwowała zachowanie partnera wobec Maryli. I nie pomyliła się, Jaroszewicz zrobił wiele, aby zaimponować piosenkarce.

Pan Andrzej, znając upodobanie Rodowicz do szybkich samochodów, zabierał ją na przejażdżki swoją sportową lancją stratos. Na polnych drogach „wzbijał tumany kurzu i wyrwał pomniejsze kamienie”, wzbudzając prawdziwy zachwyty piosenkarki. Regularnie również jeździł na koncerty Maryli, zawsze okazując jej wielkie zainteresowanie. A gdy pewnego dnia po kłótni z Danielem Maryla pojechała do zaprzyjaźnionego pośrednika sprzedaży samochodów, Ksawerego Franka, stało się to, co musiało się stać.

„Nieoczekiwanie, a może oczekiwanie, przyjechał Andrzej. Byłam przez niego wyraźnie adorowana i sprawiało mi to przyjemność. Robiło się coraz później. Zadzwonił Daniel i powiedział, że za dziesięć minut mam czekać na niego na ulicy. Zbuntowałam się. Nad ranem Daniel sforsował wysoki mur i zaczął się dobijać do zaryglowanych drzwi i okiennic. Frank, bojąc się awantury [przez płot mieszkał generał Jaruzelski – S.K.], nie chciał otworzyć. W końcu wpuścił Daniela, który podszedł do siedzącego za stołem Andrzeja i po prostu dał mu w pysk. Ten oszołomiony, nie zareagował. Wróciliśmy do domu. To był koniec”[329].

Olbrychski, przedstawiając rozstanie z Rodowicz, był bardziej sentymentalny. Opisywał scenę pakowania się przed opuszczeniem wspólnego mieszkania, wspominał, jak Maryla

wyrywała mu odzież, aby nie dopuścić do umieszczenia jej w walizce. Bez wątpienia było to dla obojga traumatyczne przeżycie, ale aktor zrobił jednak wiele, aby zemścić się na niewiernej partnerce.

„Wyprowadził się co prawda z mieszkania – opowiadała pani Maryla – ale zostawił sobie klucze i czasami tam przychodził. Wracam z trasy, a tam stolik i lampa spalone – w wynajętym mieszkaniu. Okazało się, że Daniel wpadł tam któregoś wieczora z Edwardem Stachurą. Akurat była wtedy rocznica śmierci Zbyszka Cybulskiego, więc panowie postanowili odtworzyć scenę z *Popiołu i diamentu*, tę z płonącym spirytusem. No i spalili wielką lampę i stolik”[330].

Wspominanie zmarłego przyjaciela za pomocą płonącego wyposażenia mieszkania można jeszcze zrozumieć, ostatecznie niejeden mężczyzna pod wpływem procentów ma podobne sprawy na sumieniu. Gorzej, że Danielowi zdarzały się zachowania niemające nic wspólnego z dobrym smakiem ani kulturą osobistą.

„Przyszedł też kiedyś w nocy z kolegą i jakimiś panienkami, niespecjalnie przejmując się tym, że śpię. Całą noc musiałam znosić głośną muzykę i wrzaski. Nad ranem ucichło, ale kiedy szłam do łazienki, moim oczom ukazał się krajobraz po bitwie: jedna naga panienka spała na kanapie, druga w jakimś kącie, panowie też zalegali gdzieś nieprzytomni. Zamknęłam się w swoim pokoju, bo nie wiedziałam, co może im strzelić do głowy, jak się obudzą”[331].

## SPOWIEDŹ KMICICA

Daniel zamieszkał w hotelu MDM, gdzie na zmianę się alkoholizował i rozczulał nad sobą. Wbrew jednak temu, co pisał w swoich wspomnieniach, to w jego życiu dość szybko zaczęły pojawiać się inne panie. Potwierdzeniem tego jest pewien

dokument ze zbiorów Instytutu Pamięci Narodowej, dotyczący pewnej nocy na początku kwietnia 1977 roku, a więc kilka tygodni po zerwaniu z Marylą. Olbrychski spędził tę noc w hotelu Brda w Bydgoszczy w towarzystwie plastyczki, Małgorzaty Lutomskiej.

Pan Daniel zjawił się w hotelu razem z pianistą, Cezarym Owerkowiczem. Zameldowali się w sąsiadujących ze sobą pokojach na piątym piętrze, Małgorzata natomiast nie dopełniła obowiązku meldunkowego. Nikt z nich nie wiedział, że pokoje są na podsłuchu, a funkcjonariusze SB nagrywali wszystko, co tam się działo.

Owerkowicz poszedł na miasto, Daniel zaś kochał się z dziewczyną, a potem oboje przez długi czas „rozmawiali przyciszonymi głosami”. Musieli znać się już od pewnego czasu, bo gdy plastyczka zamówiła rozmowę telefoniczną z rodziną w Gdyni, to chwilami słuchawkę przejmował Olbrychski i konwersował z matką oraz siostrą partnerki.

Nie spali zresztą od wpół do drugiej w nocy, a Daniel wyzalał się dziewczynie na żonę, Marylę i Jaroszewicza. Twierdził, że „ten skurwiel ma teraz fajną dziewczynę”, a on „obecnie jest do dupy jako amant”.

Nie przeszkadzało mu to w porównywaniu Moniki i Maryli pod względem erotycznym i oskarżaniu obu pań, że z ich powodu dostał „padaczki alkoholowej”. Ale nienawiść skierował głównie w stronę Jaroszewicza, kwitując, że „to jest autentyczny debil, prosty, wyraźny słowiański debil”.

Dostało się jednak także Maryli. Rozżalony Olbrychski twierdził, że „lubi chłopców, którzy chodzą w obcisłych dżinsach”, bo wtedy zawsze „mogła obrzucić ich spojrzeniem w dół”. Z zadowoleniem oznajmił, że jej pierwsze kontakty erotyczne z nowym amantem „były nieudane” i podobno piosenkarka powiedziała, iż „jeśli tak dalej pójdzie, to przyjdzie do Daniela, aby się dobrze wykochać”[332].

Abstrahując od całej ohydy tego dokumentu, reagował w

bardzo ludzki sposób. Czy nie były to bowiem zachowania typowe dla porzuconego mężczyzny, któremu niewierna partnerka wciąż nie jest obojętna? Jednocześnie kocha ją i jej nienawidzi, a przy okazji wypląkuje się na ramieniu swojej nowej dziewczyny...

## SCENY Z ŻYCIA GWIAZD

Andrzeja Jaroszewicza nazywano w środowisku „Extra Mocny” i to przezwisko sprawiało mu znacznie więcej przyjemności niż określenie „Czerwony Książę”. Był typem zdobywcy, człowieka, który lubi potwierdzać się w kontaktach z kobietami, ale z reguły nie zamierza kontynuować znajomości, gdy już osiągnie cel. Maryla była dla niego tylko epizodem, jakich miał w życiu wiele.

„Zjawił się na moim ostatnim koncercie w Pradze, podjeżdżając nowym porsche 924 – wspominała piosenkarka. – To był w zasadzie koniec naszej krótkiej dwutygodniowej znajomości. Rzekomo to jego tatuś nalegał na przerwanie romansu, straszony przez żonę Andrzeja, że ta wyjawia jakieś rodzinne tajemnice. Cierpiałam. Byłam zaangażowana w dużo większym stopniu niż Andrzej. [...] Był dość infantylnym, aczkolwiek niepozabawionym wdzięku chłopcem. [...] Otoczony sforą kombinujących klakierów i lizusów, co zresztą lubił, był, jaki był”[333].

Pani Maryla z trudem wracała do równowagi, jednym z elementów terapii miał się stać urlop w Bułgarii. Pojechała tam z Agnieszką Osiecką, a już na miejscu spotkały Jerzego Urbana z żoną. Razem spędzali miło czas, chociaż Maryla jeszcze trochę „wypatrywała Andrzeja”. Według Urbana wyglądało to jednak zdecydowanie bardziej dramatycznie:

„[...] wtedy, kiedy popijaliśmy w Bułgarii, akurat świeżo rzucił ją kierowca rajdowy Jaroszewicz jr. Na widok każdego rozebranego mężczyzny zrywała się biedulka, bladła i mówiła drżącym głosem: »To chyba Andrzej«. A wówczas na plażach

bułgarskich rozebrane były miliony budowniczych socjalizmu”[334].

Pani Maryla dostrzegała jednak również innych mężczyzn. Z dnia na dzień zaczęła pilnie pobierać lekcje tenisa, a powodem tej nagłej miłości okazał się przystojny miejscowy trener. Nie zrobiła na nim jednak większego wrażenia, chociaż była osobą niezwykle popularną w Bułgarii. Tubylcy nazywali ją „polską bułeczką” i rozpoznawali na ulicach. Jaroszewicz nie przyjeżdżał i Rodowicz postanowiła przynajmniej dobrze się zabawić. I faktycznie starała się nie tracić czasu, tym bardziej że wypoczywała przecież w niezwykle rozrywkowym towarzystwie.

„[...] zaprosiłem obie panie na lunch, jakbyśmy to dzisiaj nazwali – wspominał Urban. – Wywiązała się szalona zabawa, postanowiliśmy urządzić bal w knajpie na statku niby-pirackim. Jechaliśmy otwartym powozem, ludzie na deptaku pozdrawiali Rodowicz. [...] Obie panie miały jakieś fantazyjne stroje, wciąż gotowe były na różne draki. Co wieczór to tak funkcjonowało. W knajpianej orkiestrze grał polski flecista. Nad ranem on kończył pracę, a myśmy kończyli picie, wchodził do morza i grał na flecie, wyłaniając się z wody”[335].

Maryla uchodziła w tych latach za dziewczynę „do tańca i do różańca”. Była „bardzo fajna, naturalnie życzliwa”, a „obcowanie z nią” stanowiło „naturalną przyjemność”. I rzeczywiście lubiła się bawić, czego wielokrotnie doświadczyła jej przyjaciółka, Helena Vondráčková.

„Maryla to kobieta demoniczna – wspominała czeska gwiazda. – Spontaniczna i zarazem eteryczna. Podejrzewam, że najchętniej zagłębia się w marzeniach, których nikt nie zna. Rozmawiałam z nią na przykład i mam wrażenie, że w ogóle mnie nie słucha, a ona nagle wstaje od stołu i mówi: »Wiesz co? Dajmy sobie spokój z tym głędzeniem i skoczmy na drinka«”[336].

Zdarzyło się, że Helena nagrywała we Wrocławiu program dla telewizji, gdy pojawiła się tam Maryla. Telefonicznie wyciągnęła przyjaciółkę nocą z hotelu i obie panie „poszły w



miasto”. Rodowicz nakłoniła jednak Vondráčkovą, aby nie szedł z nimi jej partner, albowiem „noc jest jeszcze młoda, a kto wie, kiedy się znowu spotkają”.

Artystki trafiły do jakiejś dyskoteki, a wydarzeń, które tam się rozegrały, Helena miała nigdy nie zapomnieć:

„Kilku facetów z miejsca nas rozpoznało i zaprosiło do tańca. Maryla, ze swoim niewyparzonym językiem, zbyła jednego, a biedaka tak to dobiło, że dał w pysk pierwszemu, który mu się pod rękę nawinął. Chwilę później lali się już wszyscy. Faceci pijani jak bele rozwalili chyba wszystkie stoły i krzesła, potem zaczęli tłuc szyby, a następnie didżeja. Ja przestraszyłam się nie na żarty, kiedy nad głową przeleciała mi butelka wódki. A Maryla siedziała spokojnie, popijając drinka przy barze, i kiedy nie było już nic do potłuczenia, oznajmiła: »Zbieramy się, tu nie mają już nam w co nalać«”[337].

W chwilach gdy Rodowicz nie była z nikim związana na dłużej, nie unikała przygód erotycznych na jedną noc. Korzystała ze swojego statusu gwiazdy, przyznawała zresztą, że pod tym względem była zwolenniczką równouprawnienia płci.

„To zawsze jest miłe, te flirty i romanse w różnych krajach i miastach. Kiedyś w NRD, po koncercie, zawałczyłam w barze z moją chórzystką o pewnego wysokiego, bardzo przystojnego faceta o niebieskich oczach. Niestety zakochał się we mnie, a ja już następnego dnia nie byłam nim zainteresowana. Zresztą od razu zraził mnie do siebie, składając ubranie w kostkę [...] Poza tym nosił kalesony. Innym razem, też w Niemczech, na jakimś bankiecie spodobał mi się pianista. Właściwie tylko dlatego, że był podobny do Daniela Olbrychskiego”[338].

Środowiska artystyczne PRL nigdy nie były specjalnie pruderyjne, co potwierdzać mogą losy Agnieszki Osieckiej czy Kaliny Jędrusik. Natomiast postępowanie Katarzyny Gaertner potrafiło zadziwić nawet Marylę, chociaż piosenkarka nigdy nie oceniała swoich przyjaciółek.

„Czasami odwiedzałam swoją szaloną koleżankę, Kasię

Gaertner, mieszkającą nad jeziorem parę kilometrów od najbliższej wsi – wspominała Rodowicz pobyt na Kaszubach latem 1980 roku. – Co ona tam robiła? Hodowała gęsi, pływała nago w jeziorze, romansowała ze znanym bluesmanem – Irkiem Dudkiem, później z jakimś tapicerem. No i pisała marsze dla wojska – na zamówienie. Opowiadała mi, że kiedy była sama, a zdarzało się jej to całymi miesiącami – brała do ręki lornetkę i oglądała sobie robotników kopiących jakieś rowy. Kiedyś wypatrzyła w ten sposób rosnącego blondyna i poczęstowała go kompotem z wiśni. Osilek się zakochał. Kiedy przyjechał tapicer – wiejski amant wchodził do sypialni Kasi po drabinie. Rozumiem, że tapicer sypiał na dole. Na dodatek Kasia sprezentowała zakochanemu chłopakowi nowy garnitur. Ten natychmiast opowiedział całej wsi, że szykuje się wesele. Skończyło się to wszystko bójką między warszawskim tapicerem i miejscowym kandydatem na męża”[339].

## PODRÓŻE, PODRÓŻE

Życie artysty estradowego to ciągłe wędrówki i Maryla nie była pod tym względem wyjątkiem. Za granicę zaczęła wyjeżdżać już na samym początku kariery, a jedną z pierwszych okazji był udział w Festiwalu Piosenki Politycznej (!) w Soczi. Z perspektywy lat wydawać się to może przejawem skrajnego oportunistu, ale tak postępowali praktycznie wszyscy. Chętnych do kontestacji brakowało, gdyż w przypadku odmowy udziału artysta w zasadzie mógł sobie poszukać innego zajęcia. Kariera wymagała kompromisów i nikt nie zamierzał zdobywać się na opozycyjne gesty.

Maryla do dzisiaj z sentymentem wspomina pobyt w Soczi, inna sprawa, że organizatorzy dołożyli starań, aby zaproszeni goście wywieźli z festiwalu jak najlepsze wspomnienia.

„To był tydzień zabawy. Zorganizowali nam czas tak, by

pokazać, że jest wesoło i wszyscy się bratamy. Wywieźli nas kiedyś do lasu, a tam stoliki z pni, na drewnianych stołach jedzenie... i nagle pojawia się niedźwiedź, który dla nas tańczy. W ciągu dnia też jakieś atrakcje. No i do tego nagroda. Dobrze się tam czułam. Poznałam też sporo fajnych, młodych ludzi”[340].

Maryla dostała nagrodę za piosenkę *Żyj, mój świecie*, której tekst – mimo iż nie pochodził z komsomolskiej czytanki jak zaangażowane prezentacje innych wykonawców – można było uznać za pacyfistyczny.

„Wygrała piosenka o sztandarze socjalizmu, patetyczna – oczywiście tutejsza – pisała Maryla do matki. – Drugie miejsce – piosenka bułgarska o Wietnamczyku, któremu mina urwała trzy palce [...], trzecie miejsce – włoska piosenka o młodych komunistach, czwarte – węgierska o studencie, który w studenckim obozie pracy cały dzień będzie przerzucał łopatą ziemię bez jedzenia i odpoczynku”[341].

Rok później Maryla trafiła z koncertami na Kubę, co również mile wspomina. Podobne wrażenia wzbudził w niej zresztą kolejny wyjazd na karaibską wyspę, kilka lat później brała bowiem udział w Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów. Razem z nią pojawiła się tam całkiem mocna ekipa: Czesław Niemen, Dwa plus Jeden, Andrzej i Eliza, chór Politechniki Szczecińskiej i zespół taneczny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Trzy tygodnie spędzone na Kubie były okresem nieprzerwanej zabawy:

„Mieszkaliśmy w akademiku pod Hawanę, więc warunki dość surowe – piętrowe prycze, zimna woda. Ale jak już wstaliśmy, czekał na nas autokar i zawoził nad morze, do klubu, który był do naszej wyłącznej dyspozycji. [...] Pod koniec pobytu już nawet nie wracaliśmy do akademika. Spaliśmy, gdzie popadło, na dekoracjach, ja na jakichś flagach. Słońce budziło nas o świcie. Głównie moczyliśmy się w basenie”[342].

Nawet po latach pani Maryla nie ukrywała wrażenia, jakie zrobiła na niej wizyta Fidela Castro. I chyba dobrze, że piosenkarka szczerze pisze o swoich ówczesnych przeżyciach i nie

usiłuje wmawiać, iż czuła się opozycjonistką. Czytając bowiem obecnie relacje innych artystów, czasami trudno ukryć odruch zażenowania, gdy ulubieńcy komunistycznych mediów opowiadają o szykanach władz. Nie ustrzegła się tego błędu również Helena Vondráčková, która najwyraźniej zapomniała już, że przed laty stanowiła najlepszy produkt eksportowy CSRS.

„[...] nie ufałam ZSRR – wspominała czeska gwiazda. – I znam wielu piosenkarzy, którzy o wyjazdach tych nie mówią do dzisiaj. Trasy koncertowe po Związku Radzieckim czasami przypominały wygnanie, którego jedynym urozmaiceniem były tysiące kilometrów jazdy śmierdzącymi pociągami, gdzie nawet okien nie można było otworzyć. No, ale po powrocie było o czym opowiadać. Trafialiśmy do zakichanych dziur na Syberii i Dalekim Wschodzie, ale przynajmniej zobaczyliśmy kawałek świata”[343].

Pani Helena wiele miejsca poświęciła opisom przygotowań do koncertów w ZSRR, a wertując jej wspomnienia, można odnieść wrażenie, że pisała je dla czytelników cierpiących na amnezję. Czeszka podawała bowiem wykaz rzeczy zabieranych przez siebie na Wschód, który przypomina bagaż ekspedycji do amazońskiej dżungli. Najwyraźniej zdążyła już zapomnieć, że była wielką gwiazdą uroczyście fetowaną w całym bloku wschodnim:

„Oprócz ciepłych ubrań, szczoteczki do zębów, pasty i blaszanego pudełka na pieniądze, które organizatorzy wypłacali nam po każdym koncercie, było tam mnóstwo rzeczy nadających się do zjedzenia, sprzedania albo wymiany: cukier, sól, kawa, dwa serdelki salami, cztery konserwy, zupki w proszku, butelka prawdziwej coca-coli, wszystkie leki oraz jeansy, za które rosyjscy cinkciarze czy też *farcowszcziki* gotowi byli zapłacić kilkaset rubli”[344].

Natomiast Maryla traktowała wyjazdy za wschodnią granicę zupełnie naturalnie i nie dziwiła się specjalnie tamtejszej egzotyce. W tych czasach nie była bowiem osobą wymagającą i właściwie niewiele potrzebowała do szczęścia. Nie kaprysiła, a do tego miała znakomitą kondycję, co stanowiło podstawę sukcesu w trakcie

sześciotygodniowych tras koncertowych.

„[...] fajna grupa, było wesoło. Po każdym koncercie biesiadowaliśmy, potem spaliśmy prawie do koncertu i... W Odessie nocami włóczyliśmy się po parku i piliśmy miejscowy samogon, który nazywał się czacza. Piliśmy z milicjantami. Malowniczo wyglądali, mieli płaszcz jak nasi podhalańczycy, no i czaczę”[345].

Nie przeszkadzali jej nawet „opiekunowie” z ramienia tajnych służb. Wspominała, że pomimo inwigilacji mogła „bez problemu chodzić po mieście, tyle że nie było po co” A z niektórymi oficerami KGB potrafiła się nawet zaprzyjaźnić.

Rodowicz dobrze wpisywała się w komunistyczną rzeczywistość, a przy okazji potrafiła być twardą realistką. Nigdy nie myślała, aby pozostać w USA, chociaż koncertując dla Polonii, miała ku temu możliwości. Wiedziała wprawdzie, że drogę tę wybrało wielu polskich artystów, ale uznała, iż osobiście ma zbyt wiele do stracenia. Podczas pobytu w USA miała zresztą okazję poznać los innych krajowych gwiazd, które z trudem zarabiała tam na życie.

„Co ja bym tam robiła? [...] Krzysiu Krawczyk reperował dachy, Stan Borys w Chicago obkoczył wszystkie kluby, ale nie było roboty i musiał się wyprowadzić do Las Vegas. A wiesz, jak się męczył Andrzej Zieliński ze Skaldów? Widziałam na własne oczy, jak grał, sam, w strasznym, śmierdzącym klubie, śpiewał repertuar Skaldów. Do tego alkohol. Mieliśmy nawet pomysł, żeby go upić do nieprzytomności, zataszczyć do samolotu i uprowadzić do Polski, ale się nie udało”[346].

## SAMOCHODY PANI MARYLI

Piosenkarka prowadziła w Polsce zbyt wygodne życie, aby ryzykować niepewny los w świecie zachodniego show-biznesu. I chociaż przez dłuższy czas nie przywiązywała wagi do warunków,

w jakich mieszkała, to w zamian realizowała swoje pasje samochodowe. Dzięki temu w siermiężnych latach PRL mogła rozbijać się (dosłownie) po krajowych drogach wozami marki Porsche...

Pierwszym jej samochodem był jednak fiat 850 sport, dostała go jeszcze od Františka w Pradze. Maryla zawsze zresztą dobrze czuła się za kierownicą i nie wyobrażała sobie życia bez samochodu.

„Chyba lubię się bać. Stąd pewnie moje ukochanie szybkiej jazdy samochodem. Właściwie w ogóle jazdy. Mogę jechać nawet daleko, prowadząc sama. Czuję się wtedy wolna. Panuję nad potwornym smokiem. Chcę w prawo – proszę bardzo, w lewo – to w lewo. Lubię mieć przy tym włączone radio”[347].

W 1973 roku spełniła swoje marzenia i z Berlina Zachodniego przywiozła używane porsche 914. Był to model przeznaczony dla mniej zamożnej klienteli, a jego cenę obniżono kosztem wykorzystania części i podzespołów z różnych modeli volkswagena. Z Wolfsburga pochodził również czterocylindrowy silnik, a na karoserii pojazdu znajdowały się oznaczenia obu producentów. Nie zmienia to jednak faktu, że w Polsce pojazd ten był symbolem wręcz nieprawdopodobnego luksusu, a dodatkową uwagę przyciągały elektrycznie otwierane reflektory i składany dach.

Maryla tak przejęła się zakupem, że z komisju wyjechała na zaciągniętym hamulcu ręcznym, a następnie nie mogła znaleźć silnika! A było to konieczne, bo jej porsche, auto „z przeszłością”, wymagało stałego uzupełniania oleju. I gdy Maryla oraz towarzyszący jej muzyk znaleźli wreszcie silnik, to nie mogli trafić na wlew oleju. Ostatecznie „wyciągnęli bagnet i pomalutku, połowę wylewając, przelali całą puszkę” przez lejek z gazety...

Wprawdzie Daniel Olbrychski po latach uznał samochód Maryli za „picerskie auto w sam raz dla najpopularniejszej piosenkarki Europy Wschodniej”, to jego opinia była wyłącznie złośliwością porzuconego mężczyzny. Olbrychski jeździł bowiem wówczas trabantem, aby następnie przesiąść się do malucha. Miał

zatem powody, by zazdrościć partnerce samochodu...

Pani Maryla nie nacieszyła się jednak długo swoją zdobyczą, rozbiła bowiem pojazd na Mazurach, gdy była z wizytą u Agnieszki Osieckiej. Obie panie pojechały po siodło (Rodowicz chciała pojeździć konno) i piosenkarka weszła w jeden z zakrętów ze zbyt dużą prędkością.

„Samochód owinął się o drzewo po stronie Agnieszki – wspomina Maryla. – Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po odzyskaniu przytomności, było dotknięcie mojej twarzy. Zapytała nerwowo: »Mańka, nic ci się nie stało? Bo twarz jest dla ciebie najważniejsza! Ty pracujesz twarzą!«. Miała wstrząs mózgu, a ja zerwane wiązadła lewej nogi. Chłopak ze wsi, który nas zobaczył, powiedział: »Głupie baby! Miały więcej szczęścia niż rozumu!«”[348].

Był to w ogóle pechowy dzień dla kierowców z kręgu znajomych pani Maryli. Daniel Passent, jadąc na Mazury z zaprzyjaźnioną Amerykanką, wpadł do rowu, a gdy wreszcie pojawił się w Krzyżach, to urządził poturbowanej Osieckiej awanturę za brak kolacji. Natomiast Olbrychski nie doczekał się na Marylę w Warszawie i po mocno zakrapianym wieczorze rozbił swojego malucha o autobus...

Rodowicz sprzedała pechowe porsche, ale pozostała wierna tej marce. Wprawdzie jeździła również innymi autami (fiat 1300, polonez, mercedes), to jednak gdy tylko nadarzała się okazja, powracała do samochodów ze Stuttgartu. Obecnie używa już piątego modelu, czerwonej carrery 911S z 2009 roku.

## KONFLIKTY I AFERY

Rodowicz była najpopularniejszą piosenkarką krajów RWPG, nic zatem dziwnego, że często wzbudzała zawiść kolegów i koleżanek z branży muzycznej. Niektóre z tych spraw ciągną się zresztą do dnia dzisiejszego i co jakiś czas wybucha medialna burza, a jej przyczyny z reguły tkwią w epoce propagandy

sukcesu.

Jedną z nich był konflikt Rodowicz z Urszulą Sipińską, która w połowie lat 70. zaczęła prezentować zbliżony image sceniczny, szczególnie pod względem ubiorów i uczesania.

„[...] zmieniła swój estradowy styl laleczki – wspominała Rodowicz – i zaczęła kupować ciuchy, podejrzywałam, w tym samym sklepie w Berlinie Zachodnim. Nagle patrzę, a Urszula ma podobne długie, postrzępione spódnice, podobne haftowane bluzki, zaczyna też nosić kapelusze w stylu country. I do tego obcięła sobie grzywkę. Było to lekko wkurzające”[349].

Do otwartego konfliktu doszło w Opolu w 1977 roku, gdy Maryla uznała, że Sipińska przekroczyła granice przyzwoitości. Wystąpiła bowiem z dwiema chórzystkami (tak jak Rodowicz), naśladując jej zachowanie sceniczne. W rezultacie obie artystki przeszły do rękoczynów.

„Urwałam jej rękaw. Jak skończyła śpiewać, zdjęła swój biały kapelusz, zamachnęła się nim na mnie, a ja wzięłam swój i zaczęłyśmy się okładać tymi kapeluszami jak na szpady. W tym momencie pękł jej rękaw w białej marynarce”[350].

Od tego wydarzenia obie panie nie przepadały za sobą, a do kolejnego konfliktu doszło już w czasach III RP. Maryla, przygotowując bowiem materiał na płytę *Przed zakrętem*, nagrała utwór Gaertner i Osieckiej *Weselne dzieci*. Piosenka ta ukazała się w 1975 roku na singlu i longplayu Sipińskiej (jako *Komu weselne dzieci*), a kamieniem obrazy okazał się wywiad telewizyjny, w którym Rodowicz miała stwierdzić, że piosenkę napisano przed laty specjalnie dla niej.

„Utwór powstał nie tylko dla mnie, ale przy mnie – protestowała Sipińska. – Przez kilka tygodni mieszkalam u Kasi Gaertner. Spałam, gdy z łóżka zbudził mnie Robert, mąż Kasi: »Wstawaj! Musisz posłuchać, co ci Kasia skomponowała! Na drugi dzień w południe zjawiła się Agnieszka Osiecka, a w tydzień miałam już gotową piosenkę«”[351].

Podobno Maryla przeprosiła panią Urszulę, ale przy okazji



stwierdziła, że nic nie wiedziała o okolicznościach powstania utworu. Dodatkowego smaczku całej sprawie dodawał także fakt, że w pierwotnej wersji we wstępie do piosenki zagrał (na sitarze) Zbigniew Hołdys, były gitarzysta zespołu Rodowicz. A zatem człowiek skonfliktowany od dłuższego czasu z Marylą.

To bowiem Rodowicz odkryła Hołdysa, który w wieku 19 lat trafił do jej zespołu. Towarzyszył artystce przez kilkanaście miesięcy, do dzisiaj zresztą niesamowite wrażenie wywołuje archiwalne nagranie z festiwalu w Kołobrzegu (*Gdy piosenka szła do wojska*), gdzie obok Maryli pojawia się przyszły lider Perfectu. Szczupły chłopiec z bujną czupryną, bez zarostu na twarzy...

Hołdys był znakomitym gitarzystą, ale zdecydowanie przesadzał wtedy z alkoholem. Podczas tournée po ZSRR stało się to poważnym problemem i Maryla nie mogła tolerować takiego lekceważenia obowiązków.

„Zbyszka wyrzuciłam za pijaństwo, gdy grał u mnie na gitarze podczas mojej trasy po ZSRR. Od rana pił i na koncertach też był pijany. Ludzie to widzieli. Po prostu dał plamę. Musiałam go odesłać do kraju. Po tym wydarzeniu przez 15 lat się do mnie nie odzywał, nawet jak się gdzieś widzieliśmy. Dopiero po 15 latach zaczął mi mówić »cześć«”[352].

Cała sprawa miała swój ciąg dalszy kilka lat temu. W jednym z felietonów dla tygodnika „Wprost” Hołdys napisał, że odszedł z własnej woli, co wyjątkowo rozżłościło jego dawną szefową. Rodowicz przypomniała fakty, a w odpowiedzi usłyszała zarzut, że cierpi na demencję starczą. A zapewne miała rację, gdyż wspominała o tym wydarzeniu już w 1991 roku, gdy nikt jeszcze nie zarzucał jej zmian sklerotycznych...

Afery z Hołdysem i Sipińską dobrze ilustrują dzisiejsze metody promocyjne pani Maryli. Zawsze miała doskonałe wyczucie obowiązującej mody i obecnie można ją uznać za jedną z ważniejszych krajowych celebrytek. Ciągnęła obecność w mediach stanowi przecież najlepszą reklamę, znakomicie wspomagając sprzedaż płyt i koncertów. W czasach PRL do zrobienia kariery

potrzebne były talent, szczęście i brak zaangażowania w politykę, natomiast teraz bez tabloidów raczej trudno utrzymać się na topie. Rodowicz znakomicie to zrozumiała, ale balansuje na granicy kiczu. Inna sprawa, że robiła to właściwie przez całą swoją karierę...

## KRZYSZTOF JASIŃSKI

Maryla poznała Krzysztofa Jasińskiego przy okazji przygotowań do realizacji oratorium *Zagrajcie nam dzisiaj wszystkie srebrne dzwony* z muzyką Katarzyny Gaertner i tekstem Ernesta Brylla. Krakowski reżyser (założyciel i dyrektor Teatru STU) zrobił na niej już wówczas duże wrażenie, bliższą znajomość nawiązali jednak dopiero podczas realizacji musicalu *Szalona lokomotywa*. Spektakl oparty na tekstach Witkacego wystawiono w Krakowie, a Jasiński był jego reżyserem.

„[...] fascynował mnie – przyznawała Maryla. – Lekko tajemniczy, przeszywający ludzi zimnym szarozielonym spojrzeniem, jednocześnie pełen poczucia humoru i niezwykłej wyobraźni. Czułam, że jestem pod wrażeniem. Gdy nasze spojrzenia krzyżowały się, widać było przelatujące iskry. Nie zapaliła się żadna czerwona lampka ostrzegająca o ewentualnym niebezpieczeństwie. Owszem, dochodziły mnie słuchy, że pożeracz serc, że apodyktyczny, że często nieelegancki wobec kobiet, ba, nawet to obserwowałam, widziałam na własne oczy, ale – jak wiadomo – zamroczenie jest ślepe” [353].

*Szalona lokomotywa* była niezwykle przedsięwzięciem. Teksty Witkacego, doskonała muzyka Marka Grechuty i Jana Kantego Pawлуśkiewicza, do tego znakomici wykonawcy (Grechuta, Rodowicz, Jerzy Stuhr, a wśród muzyków bracia Ścierańscy).

„To był bardzo wesoły spektakl – wspominał były prezydent Krakowa, Józef Lassota. – Rozpędzona lokomotywa ze skrzydłami

wjeżdżała na sam środek areny. Były tam drezyny, rowery, no i Maryla Rodowicz w tak niecodziennej roli. Ale dokładnie nie pamiętam, o co chodziło”[354].

Fascynacja Jasińskim okazała się dla Maryli wyzwoleniem z rozpacz po zerwaniu z Andrzejem Jaroszewiczem. Reżyser intrygował ją jako mężczyzna i artysta, udzielała się jej również atmosfera Krakowa.

„Zamieszkałam w cudownym Hotelu Francuski. Lato, sam środek tego magicznego miasta, spacer po rynku, codziennie tenis, próby, nowi koledzy. Wieczorem kolacyjki, jazdy zaczarowaną dorożką zamglonymi uliczkami: Szewską, Kanoniczą, włożenie przez okno do mieszkania Piotra Skrzyneckiego, jakieś wódki, rozmowy”[355].

Jasiński miał jednak żonę, jego partnerką była socjolog, Krystyna Gonet. Absolwentka liceum plastycznego (pracowała również jako dziennikarka i barmanka) zajmowała się scenografią teatralną. Od lat współpracowała z Teatrem STU, była współautorką scenariuszy i scenografii do wielu przedstawień reżyserowanych przez Jasińskiego.

Małżeństwo nie układało się jednak najlepiej, pan Krzysztof był bowiem człowiekiem o wyjątkowo trudnym charakterze. Mawiał, że do szczęścia „potrzebna jest mu tylko szczoteczka do zębów”, a „mieszkać może byle gdzie, a najlepiej w teatrze”. Nie interesowały go również dobra materialne i nigdy „nie zamierzał chałturzyć”. Maryli to jednak nie zrażało, zawsze bowiem miała słabość do mężczyzn o mrocznej psychice i nie był to również pierwszy żonaty mężczyzna w jej życiu. Inna sprawa, że już na początku romansu zdarzały się sytuacje, które trudno uznać za normalne.

„Krzysztof miał żonę. O tym, że naprawdę była, przekonałam się w nieprzyjemny sposób w Warszawie. Kiedyś zatrzymał się w hotelu Forum, więc postanowiłam go odwiedzić. Wzięłam słoik konfitur z malin, bo był przeziębiony, i pojechałam. Wparowałam do pokoju, a tam w łóżku leży jego żona. I w dodatku to ona

zaczęła się tłumaczyć...”[356].

Podobno piosenkarka „spaliła cegłę i wyszła”, zostawiając im te nieszczęsne maliny. Natomiast innym razem, w Poznaniu, Krzysztof długo tłumaczył się żonie z braku w swoim pokoju hotelowym „przy- borów do golenia i szczoteczki do zębów”.

„Przyszedł czas trudnych rozmów – wspominała Rodowicz. – Krzysztof wyraźnie bał się tego związku. Bał się mnie, niewyjaśnionej sytuacji z żoną, wszystkiego”[357].

Pani Maryla w ogóle nie wspomina o jeszcze jednym problemie Jasińskiego. Reżyser bowiem nie tylko był żonaty, lecz także miał córkę, Magdę – dziecko ze związku pozamałżeńskiego, które przyszło na świat, gdy Jasiński był jeszcze bardzo młody. Ukrywał zresztą ten fakt przed otoczeniem i piosenkarka zapewne nic o tym nie wiedziała. Zresztą nie wiadomo nawet, czy prawowita małżonka zdawała sobie sprawę z tego, że jej mąż jest już ojcem...

## KRAKÓW

Rodowicz zaszła w ciążę i Jasiński postanowił ostatecznie zerwać z żoną. Nie zmienił jednak swojego sposobu bycia i pozostał egocentrykiem do szóstianu. I nawet gdy w ramach „wielkiego wyróżnienia” zaprosił Marylę „na Mazury na ryby”, to wciąż zachowywał się tak, jakby był centralnym elementem Układu Słonecznego.

„Spędziliśmy dwa tygodnie pod namiotem, w rezerwacie bobrów koło Olsztyna – wspominała piosenkarka. – Ale trafiliśmy na beznadziejną pogodę, było zimno, cały czas lało, wszystko mieliśmy mokre. [...] Codziennie pływaliśmy niewielkim pontonem po wzburzonym jeziorze. Bałam się. Ja tu z brzuchem, a fale huśtają tym pontonem, jest zimno, pada deszcz... Prawdziwy survival. Ale przynajmniej nauczyłam się wiązać spławiki i przypony. [...] No i przed wyjazdem Krzysztof kazał mi szorować

ponton, a sam pił z gajowym”[358].

Według pani Maryli podobnie wyglądał cały ich związek, reżyser bowiem myślał wyłącznie o własnej wygodzie. Gdy piosenkarka miała urodzić ich pierwsze dziecko, to partner wyjechał na Festiwal Sztuki Cyrkowej w Monte Carlo. O urodzeniu Jasia dowiedział się w Paryżu i niezwłocznie poszedł z kolegą na wódkę, nie interesując się specjalnie partnerką...

„Krzysztof początkowo przyjeżdżał z Krakowa w piątek, wyjeżdżał w poniedziałek rano. Potem w sobotę, wracał w niedzielę, a po paru latach coraz trudniej było mu się wyrwać do Warszawy. Premiera gonila premierę, wiadomo, męczące próby non stop, a po – jeszcze bardziej męczące bankiety. Dochodziło do tego, że dzwonił z miasta – przeważnie z ZPR (Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe), oświadczając, że chyba nie wpadnie, bo samolot, bo musi wracać, bo właśnie jest przed premierą albo ma gości z zagranicy”[359].

Niewiele zmieniła przeprowadzka Rodowicz do Krakowa. Mieszkali w gabinecie Jasińskiego, co raczej trudno uznać za komfortowe rozwiązanie dla kobiety z małym dzieckiem. Tym bardziej że pani Maryla prowadziła normalną działalność koncertową.

Nie układały się również codzienne kontakty pomiędzy partnerami, a Jasiński (szczególnie pod wpływem alkoholu) bywał człowiekiem porywczym. Zdarzyło się nawet, że nogą (!) rozciął Maryli łuk brwiowy, a piosenkarka wolała wierzyć, że był to tylko przypadek. Najbardziej jednak irytującą pasją Jasińskiego było wędkarstwo, dla którego gotów był poświęcić niemal wszystko. Dosłownie „świata nie widział poza rybami” i „łowił do późnej nocy”. Swojemu hobby całkowicie podporządkowywał nawet wyjazdy rodzinne.

„Za domem zorganizował sobie hodowlę białych robaków na starym, śmierdzącym mięsie – relacjonowała pani Maryla pobyt w Łagowie. – Ubierał się w bardzo malowniczy strój wędkarski. Wkładał przywieziony przeze mnie ze Stanów piękny, szary

kombinezon lotniczy, na to zawodową kamizelkę z klapkami, kólkami, rzepami na różne haczyki, żyłki, gumki, błystki. Do tego długie za kolana wodery, na głowie amerykańska wojskowa czapka z daszkiem, przez ramię przewieszona torba-koszyk pełna przegródek na śrubki, przynęty i Bóg wie co jeszcze. [...] Kiedyś zabrał ze sobą Jaśka. Prosiłam, błagałam: »Nie spuszczaaj go z oczu«.

Po godzinie dziecko samo przydreptało do domu. Tatuś nawet tego nie zauważył”[360].

Maryla powróciła do Warszawy, ale po urodzeniu córki zdecydowała się na jeszcze jedną próbę ratowania związku. Tym bardziej że Jasiński dostał w Krakowie mieszkanie kwaterekowe i można było rozpocząć normalne, rodzinne życie. Ale pan Krzysztof nigdy nie zapomniał, że jest artystą, a przede wszystkim dyrektorem jednej z najważniejszych placówek teatralnych w kraju.

„Kiedyś w czasie wielkiego sprząwania krakowskiego mieszkania zaproponowałam Krzysztofowi, żeby pomógł mi w zmywaniu podłogi. Zrobiła się awantura. Dyrektor teatru – podłogę?

– »Zapamiętaj sobie – nigdy!«.

Oczywiście zanieśenie tobołów z bielizną do pobliskiego magła też nie wchodziło w rachubę”[361].

Ten dziwny związek trwał aż siedem lat, a Maryla mieszkała w Krakowie, chociaż dzieci cierpiały tam na chroniczne zapalenia dróg oddechowych. Jasiński stawiał zresztą warunki dotyczące wspólnej przyszłości, żądając, aby partnerka sprzedała swoje warszawskie mieszkanie. Tłumaczył, że „nie zniesie jej niezależności”, ale gdy przystanie na jego warunki, to wtedy będzie mógł się z nią ożenić.

„Kiedy wracałam z koncertów – pisała z rezygnacją pani Maryla – na których byłam w centrum uwagi i zainteresowania, najbardziej pragnęłam, żeby on objął mnie ramieniem – ten najważniejszy, jedyny człowiek. Było niestety inaczej. Rosnąca obojętność, agresja. Działo to na mnie coraz gorzej. Krzysztof

próbował się nawet zmieniać, ale głównie zewnątrznie. Postanawiał na przykład, że od jutra będzie jadł, dajmy na to, tylko małe zwierzątka. I że obcina włosy”[362].

W pewnej chwili Maryla poczuła, że ma już jednak wszystkiego dość. Podjęła decyzję o powrocie do Warszawy, zamówiła ciężarówkę do przeprowadzki i opuściła krakowskie mieszkanie. Wiedziała, że wyjeżdża na zawsze, że już nie wróci pod Wawel.

Krzysztof Jasiński do dzisiaj jest dyrektorem Teatru STU. Ożenił się z aktorką i piosenkarką Beatą Rybotycką, małżeństwo uchodzi za bardzo udane. Kilka lat temu reżyser zrealizował również swoje największe marzenie, we wsi Grom na Mazurach wybudował dom, gdzie stara się spędzać jak najwięcej czasu. Oczywiście oddaje się tam swojemu ukochanemu wędkowaniu, ale przyznaje, że dopiero teraz ma czas dla rodziny.

„[...] chciałem mieć wreszcie prawdziwy, wielopokoleniowy dom – tłumaczył w wywiadzie. – Taki, jakiego nigdy nie miałem i w którym mógłbym pomieścić wszystkie swoje dzieci: najstarszą Magdę z wnukiem Mateuszem, Jaśka i Kaśkę, dzieci Maryli Rodowicz, i córeczkę Beaty, 12-letnią Zosię. [...] To wielkie nieszczęście, gdy dzieciom nie poświęca się dość uwagi. Ja wcześniej wyszedłem z domu, wcześniej zmarł mój ojciec i nie umiałem sobie radzić z pierwszą rodziną. Dla najstarszej córki w ogóle nie miałem czasu. Byłem zapracowany, tworzyłem wtedy Teatr STU. Dla średniej miałem go już trochę więcej. Teraz wreszcie potrafię to wszystko poskładać i dla Zochy bezwarunkowo mam czas. Tym wspólnym domem chciałem sobie i innym co nieco zrekompensować”[363].

## WŁAŚCIWY MĘŻCZYZNA

Nie wiadomo, jak długo trwałaby agonია związku Rodowicz i Jasińskiego, gdyby nie Agnieszka Osiecka. Poetka od dawna już

twierdziła, że przyjaciółka powinna dać sobie spokój z artystami, a zainteresować się kimś zupełnie niezwiązanym z branżą rozrywkową. Miała już nawet odpowiedniego kandydata i za wszelką cenę usiłowała zainteresować nim Marylę.

„[...] przez dwa lata opowiadała mi, że zna takiego inżyniera, prywaciarza o ksywie Peugeot – bo prowadził serwis Peugeota. Opowiadała, że inżynier ów organizuje wystawne bankiety w swoim domu na Woli, i próbowała mnie na którąś z tych imprez zaciągnąć”[364].

Rodowicz jednak nigdy nie miała czasu, do pierwszego spotkania doszło zatem przypadkiem. Andrzej Dużyński (tajemniczy pan Peugeot) zrobił na artystce spore wrażenie:

„Miał duże, okrągłe, brązowe oczy, jak u misia. Przebywanie w jego towarzystwie sprawiało mi wyraźną przyjemność. Podobała mi się jego barczysta sylwetka. Było w nim coś łagodnego, a jednocześnie ekscytującego”[365].

Na temat dalszych wydarzeń pani Maryla podaje różne relacje. Odbiegają one dość daleko od siebie, według bowiem jednej z nich pan Andrzej był żonaty, natomiast według innej miał tylko przyjaciółkę. Rodowicz w bardzo dowolny sposób przedstawia również kolejność wypadków, można wręcz odnieść wrażenie, że z upływem lat starała się nieco wygładzić całą historię i nie przyznawać do rozbicia małżeństwa swojego wybranka.

Fakt, że Dużyński nie był wolny, nie zrobił na niej jednak większego wrażenia. Podobne sytuacje miały przecież miejsce, gdy związała się z Olbrychskim, Jaroszewiczem czy Jasińskim. Pani Maryla szukała osobistego szczęścia i zapewne wychodziła z założenia, że jeżeli związek Dużyńskiego jest udany, to ona go nie zniszczy. Chyba jednak nie przewidywała, że pan Peugeot okaże się dla niej „tą drugą połową jabłka”, której przez całe życie bezskutecznie szukała.

„W połowie stycznia rozpadł mi się silnik w mercedesie – wspominała artystka. – Warsztatowiec rozkładał ręce. Nie ma części. Rany boskie, za parę tygodni wiozę dzieci na narty do



Bukowiny. Wtedy przyszedł mi do głowy pan Andrzej. Wiedziałam, że pracuje w branży samochodowej. Prowadził autoryzowaną stację Peugeota. Zadzwoiłam. Po paru dniach dostałam ogromny bukiet róż, a w środku tkwił nieosiągalny błyszczący tłok. Tłok w różach. I jak tu się nie zakochać”[366].

Kilka dni później Maryla trafiła do państwa Dużyńskich na bankiet, po czym gospodarz odwiózł ją do domu. Według piosenkarki „podróż trwała stanowczo za krótko”, a pierwszy raz „pocałowali się na wiadukcie ulicy Marynarskiej”. Z tego powodu piosenkarka „była w siódmym niebie”, ale broniła się jeszcze przed uczuciem.

Pan Andrzej odwiedził ją w Bukowinie, chociaż prosiła, aby tego nie robił. Zawsze wiedział, jak się zachować, i gdy „odbywali wielogodzinne romantyczne przejażdżki” przy pełni księżyca, to zawsze miał przy sobie jej „ulubione wino reńskie” i „wytworny kieliszek na smukłej nóżce”. A do tego jak na prawdziwego dżentelmena przystało, zasypywał ją kwiatami...

Wydaje się, że Dużyński był pierwszym czułym i dobrze wychowanym mężczyzną w życiu Maryli, oboje też szybko ulegli wzajemnej fascynacji. Nie oznaczało to wcale, że ich sytuacja była zupełnie jasna. Maryla wciąż trwała w związku z Jasińskim, a Dużyński był żonaty. Ale artystka zawsze twierdziła, że „jeśli chodzi o mężczyzn”, to „skakała do basenu na głowę, nie sprawdzając, czy jest w nim woda”. I postanowiła zaryzykować jeszcze raz.

Jedno wiedziałam na pewno. Nie mogę się pomylić. Mężczyzna, którego przedstawię dzieciom, nie może być efemerydą. Andrzej, którego poznałam, prowadził życie lwa salonowego. Bankiety, narzeczone, duże powodzenie u kobiet, sukcesy towarzyskie. A tu nagle kobieta z przychówkiem, często nieobecna z racji zawodowych wyjazdów, masa nowych przyziemnych obowiązków”[367].

Początki faktycznie nie były łatwe. Pan Andrzej jeszcze niedawno opowiadał piosenkarce ze zgrozą o dzieciach

znajomego, które wdeptały mu w dywanik ciasteczko, a teraz musiał pogodzić się z faktem, że cierpiący na chorobę lokomocyjną syn Maryli „obrzygał mu ten piękny samochód”. Ale jak powszechnie wiadomo, gdy kobieta i mężczyzna bardzo chcą być razem, to pokonają wszystkie przeszkody. A Maryla i Andrzej bardzo chcieli.

„Przez pierwszy rok prowadziliśmy zupełnie wariacki tryb życia. Spotykaliśmy się wieczorem, często późno (usypiałam dzieci), jechaliśmy do wolskiego mieszkania Andrzeja, po czym byłam odwożona głęboką nocą, a zdarzało się, że i nad ranem – na Ursynów. Ja mogłam pospać parę godzin, byłam więc w dużo lepszej sytuacji niż Andrzej, który zwykle między siódmą a ósmą zaczynał urzędowanie w swoim warsztacie. W dodatku, litując się nade mną, wracał około dziewiętej, żeby odwiedzić Jaśka do przedszkola”[368].

Dużyński przeprowadził się ostatecznie do Rodowicz, na świat przyszedł ich syn, zalegalizowali również swój związek podczas cichej uroczystości (świadkami byli Agnieszka Osiecka i Seweryn Krajewski). A co najważniejsze, bez swojego partnera Rodowicz zapewne nie utrzymałaby się na topie w branży muzycznej po upadku komunizmu. To bowiem pan Andrzej okazał się jej pierwszym menedżerem z prawdziwego zdarzenia i nauczył ją, „co to jest promocja”, a przy okazji „uświadamiał, że jest takim samym produktem, co proszek do prania”.

Namówił też żonę do pierwszych edycji płyt kompaktowych, a gdy okazało się, że wytwórnie nie są zainteresowane ich publikacją, sam założył firmę, która się tym zajęła. On również odpowiadał za projekt *Marysi biesiadnej*, który błyskawicznie stał się bestsellerem. Wprawdzie branża wyjątkowo chłodno przyjęła ten album, zarzucając Rodowicz stylistykę disco polo, to jednak okazał się on dla piosenkarki powrotem na szczyty popularności. A Maryla była zbyt doświadczoną artystką, aby zmarnować podobną okazję.

Obecnie Rodowicz nie ma już problemów z wydawcami i

mediami, a Dużyński nadal zajmuje się biznesem (obecnie działa w nieruchomościach). Cały czas jednak sprawuje dyskretną opiekę nad karierą żony.

Patrząc na ich małżeństwo, trudno oprzeć się refleksji, że na osobiste szczęście nigdy nie jest za późno, a nadejść może ono z najbardziej nieoczekiwanej strony. Pani Maryla trafiła na odpowiedniego mężczyznę w chwili, kiedy zbliżała się do 40. roku życia, miała już dwoje dzieci i bagaż negatywnych doświadczeń. Z Andrzejem Dużyńskim jest już od ponad ćwierć wieku, a mąż okazał się nie tylko jej najlepszym partnerem życiowym, lecz także znakomitym przyjacielem i menedżerem. A czy artystka może chcieć czegoś więcej od życia? Nawet jeżeli partner ma swoje wady, bywa zazdrosny i nie pozwala jej tańczyć z innymi mężczyznami? Życie wymaga przecież kompromisów, a zazdrość (w umiarkowanych dawkach) bywa potwierdzeniem uczucia...

## **Rozdział 6**

### **Małżeństwa premiera Jaroszewicza**



**Po raz pierwszy Piotr Jaroszewicz spotkał Alicję, wtedy jeszcze „Inkę”, już pod koniec 1944 roku, na naradzie w Lublinie.**

*Zauważyłem piękną, zgrabną, młodą, wysoką dziewczynę w oficerskim mundurku w stopniu porucznika, który otrzymała za przeprawę przez Wisłę w czasie Powstania Warszawskiego. Mogła bez trudu wpaść w męskie oko. Poznaliśmy się dopiero w 1947 roku, kiedy była już żoną płk. inż. Pawła Solskiego. Przed wyborami do Sejmu w 1947 roku, kiedy miał się ukazać mój wywiad w „Głosie Ludu”, gdzie Ina pracowała jako dziennikarka, przyszła do naszego domu na Lekarskiej, ubrana już po cywilnemu.*

*(Piotr Jaroszewicz)*

## NAUCZYCIEL Z PILAWY

**D**ziadek, powstaniec z 1863 roku, 10 lat na Syberii – pisał o rodzinie Piotra Jaroszewicza Mieczysław Rakowski. – Ojciec nauczyciel ludowy. Po rewolucji październikowej dwie siostry nie wróciły do Polski. Jedna wyszła za generała, którego w 1937 roku aresztowano i rozstrzelano, ona zaś uciekła na Syberię. Druga siostra wyszła za męża za profesora szkoły średniej, którego w 1937 roku usunięto ze szkolnictwa. Facet dostał pomieszania zmysłów. Ona wyszła ponownie za męża za człowieka, który w czasie wojny walczył na słynnej szosie wołokołamskiej. Jest jednym z 60 żołnierzy, którzy z całego pułku wyszli z tej masakry. Podczas walk utracił obie stopy. On, Piotr, w 1940 roku został aresztowany i wywieziony na Syberię. Przez trzy lata ścinał drzewa za kołem podbiegunowym. Był na skraju śmierci, dopadł go tyfus, paraliż itp. (Kiedy nieco później rozmawiałem z jego szwagrem i powiedziałem, że premier opowiadał mi ciekawe szczegóły ze swego życia, usłyszałem: »Często mówią, że Piotr jest człowiekiem radzieckim. Proszę pana, jak można być po takich przeżyciach człowiekiem radzieckim? Jest proradziecki, bo tego wymaga polityka»)[369].

Niepisaną zasadą biografii partyjnych prominentów epoki PRL było zachowywanie w tajemnicy życia prywatnego. Informacje o sprawach rodzinnych pomijano w oficjalnych biografiach – w efekcie badacze mają dzisiaj duży problem z odróżnieniem faktów od propagandowych fałszerstw. W przypadku elit politycznych PRL na wiarę nie zasługują nawet urzędowe świadectwa, komuniści bowiem skutecznie fałszowali znacznie ważniejsze dokumenty niż akty urodzenia czy ślubu.

Najbardziej tajemnicze życiorysy mają działacze reprezentujący pokolenie, które objęło władzę po zakończeniu II wojny światowej, w ich przypadku faktycznie niewiele oficjalnych informacji można bezdyskusyjnie uznać za prawdziwe. Badania

dotyczące późniejszego okresu są już łatwiejsze, ale pozostał jeden znaczący wyjątek. Dotyczy on Piotra Jaroszewicza, premiera rządu w epoce Edwarda Gierka. Życiorys tego polityka obrósł bowiem w tak liczne mity, że po latach trudno odróżnić prawdę od kłamstwa.

Relacje zgadzają się właściwie tylko w bardzo ogólnych zarysach. Piotr Jaroszewicz urodził się w 1909 roku w Nieświeżu, a przed wojną był nauczycielem i kierownikiem szkoły w Pilawie na Mazowszu. Ożenił się z pracującą razem z nim Oksaną Stefurak.

Natomiast według innych przekazów późniejszy premier miał być synem prawosławnego duchownego, Rosjanina, a nazwisko i obywatelstwo zawdzięczał przyjęciu go na wychowanie przez małżeństwo Jaroszewiczów z Nieświeża. Jest to jednak tylko plotka nieoparta żadnymi dowodami, chociaż jej zwolennicy powołują się na opinię działacza mikołajczykowskiego PSL, Stefana Korbońskiego.

„Za biurka podniósł się wysoki szatyn, lat około 35 – opisywał Korboński pierwsze spotkanie z Jaroszewiczem w styczniu 1946 roku – w mundurze generała i przywitał mnie uprzejmie, tym razem w nienagannym polskim. Ale już po wymianie kilku zdań, gdy przerwał nam telefon, Jaroszewicz podniósłszy słuchawkę, przeszedł z miejsca z zupełną swobodą na doskonały rosyjski, zacząwszy »zdrastwujcie generał«, zaczął rozpytywać rozmówcę o zdrowie, dowcipkując i sypiąc rosyjskimi przysłowiami i powiedzonkami jak z rękawa. [...] Gdy zastanawiałem się, skąd Jaroszewicz może tak dobrze znać oba języki, przypomniałem sobie, że jest on Rosjaninem, który wychował się w Polsce, podobno synem popa z Kresów Wschodnich”[370].

W rzeczywistości Piotr to syn nauczyciela z Nieświeża, Konstantego Jaroszewicza, i Ludmiły z domu Horoszewicz. Ojciec przyszłego premiera w czasach II Rzeczypospolitej był kierownikiem szkoły we wsi Bereźne koło Stolina na Polesiu. A jego syn wybrał podobną drogę kariery.

„W 1939 roku miałem już pewną pozycję w zawodzie nauczycielskim – wspominał Piotr Jaroszewicz – bowiem wciąż kształciłem się, tworząc sobie dobre perspektywy zawodowe. W 1933 i 1934 roku byłem słuchaczem Wyższego Kursu Nauczycielskiego w Warszawie. Dwa lata pracowałem nocami, by przygotować się do konkursowego egzaminu wstępnego. W 1938 roku rozpocząłem studia na wydziale społeczno-pedagogicznym Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie i zakończyłem pomyślnie I rok studiów latem 1939 roku”[371].

Wolna Wszechnica Polska była placówką prywatną, zatem przyszły premier faktycznie musiał przywiązywać dużą wagę do podnoszenia swoich kwalifikacji. I najwyraźniej zamierzał na stałe związać się z zawodem nauczyciela.

## OKSANA STEFURAK

Jeszcze większe problemy napotykały przy próbach ustalenia pochodzenia pierwszej żony Jaroszewicza, Oksany. W tym przypadku praktycznie nie ma żadnych pewnych informacji i musimy opierać się wyłącznie na relacji premiera. Jaroszewicz napisał, że Oksanę poznał w 1935 roku, kiedy prowadził zajęcia w Publicznej Szkole Przynależności Rolniczego w Miętnej koło Garwolina.

W placówce tej uczył również Grzegorz Stefurak, z wykształcenia inżynier rolnik, absolwent Uniwersytetu Medycyny Weterynaryjnej w Wiedniu. To właśnie jego córką była młodsza od Piotra o 5 lat Oksana. Pobrali się w 1937 roku w Warszawie.

Nic właściwie nie wiadomo o pochodzeniu rodziny Stefuraków, poza faktem, że ślady prowadzą na Kresy II Rzeczypospolitej. Wprawdzie nigdzie nie ma wzmianki na temat ukraińskich korzeni rodziny, ale kierunek ten wskazują imiona córek Grzegorza Stefuraka: Oksana i Orysia (Orysława). To



typowe ukraińskie imiona i wątpliwe, aby polska rodzina z Mazowsza nadała je swoim córkom. Pewną poszlakę stanowią również studia inżyniera Stefuraka w Wiedniu, gdyby bowiem pochodził z okolic Garwolina (jak sugeruje w swoich wspomnieniach Jaroszewicz), to raczej wybrałby jedną z rosyjskich uczelni.

Innym ważnym sygnałem okazał się fakt, że jakaś ciotka Oksany (siostra ojca?) mieszkała we wsi Sopów na Pokuciu, niedaleko Kołomyi. Jaroszewiczowie często tam bywali, spędzili w Sopowie również ostatnie przed wojną wakacje.

Poszukiwanie śladów rodziny Stefuraków na Pokuciu przyniosło całkiem obiecujące efekty. W Peczenieżynie, w pobliżu Kołomyi, żyło przed wojną małżeństwo Jana i Teodozji Stefuraków, natomiast w grudniu 1937 roku przed Sądem Okręgowym w Kołomyi toczył się proces niejakiego Prokopa Stefuraka (kolejne ukraińskie imię) oskarżonego o uprowadzenie nieletniej dziewczyny wbrew woli rodziny.

O ukraińskim pochodzeniu rodziny wybranki Piotra Jaroszewicza ostatecznie przesądza relacja prasowa w „Gazecie Lwowskiej” z listopada 1883 roku.

„Teatr ruski [ukraiński – S.K.] goszczący we Lwowie od kilku tygodni i dający przedstawienia w Sali »Narodnego Domu« posiada wcale przyzwoite siły do wykonywania utworów lżejszych oraz sztuk ludowych. Przedstawienia idą gładko, równo, poprawnie. Suflera nie słychać, mimo że publiczność siedzi bardzo blisko sceny. W personelu tego subwencionowanego przez kraj teatru pochlebnie wyróżnić się dają panie: Biberowiczowa i Stefurakowa oraz panowie: Hryniewiecki, Stefurak i Biberowicz” [372].

Oksana Jaroszewicz pochodziła zatem ze spolszczonej rodziny ukraińskiej, zapewne też wyznawała unicką wersję katolicyzmu. Natomiast lojalność jej ojca wobec państwa polskiego nie mogła wzbudzać żadnych obiekcji, Grzegorz Stefurak pracował bowiem w szkole znajdującej się pod bacznią obserwacją władz oświatowych. Działalność placówki inaugurował osobiście

prezydent Wojciechowski i w tym miejscu nie tolerowano by żadnego niepewnego politycznie pedagoga.

Z dala od polityki trzymał się również Piotr Jaroszewicz. Chociaż był zwolennikiem umiarkowanej lewicowej ideologii, to wówczas nie miał jeszcze żadnych kontaktów z komunistami. Jego światopogląd można było zresztą uznać za charakterystyczny dla większości środowiska nauczycielskiego w tych latach.

Większe zdziwienie wywołuje natomiast fakt, że Piotr (człowiek wykształcony i kierownik szkoły) nie odbył służby wojskowej ani nie przeszedł przeszkolenia obronnego. Choć cieszył się dobrym zdrowiem (udało mu się potem przetrwać sowieckie łagry i dożyć sędziwego wieku), to jednak w ostatnich dniach sierpnia 1939 roku nie został zmobilizowany. Po latach tłumaczył, że miał przydział do „pospolitego ruszenia z bronią”, dzięki czemu „nie podlegał mobilizacji”, co nie było jednak prawdą. Zarządzenie mobilizacyjne prezydenta Rzeczypospolitej powoływało bowiem do służby także „podoficerów, starszych szeregowców i szeregowców rezerwy oraz pospolitego ruszenia”. Dlaczego zatem Jaroszewicz nie trafił do armii? Kolejna tajemnica, nie uznano go bowiem za dezertera...

Dobrą kondycję Jaroszewicza potwierdza fakt, że w czasie kampanii wrześniowej wraz z żoną ewakuowali się na rowerach (!!!) do matki Piotra, do Bereźnego. Pod niemieckimi bombardowaniami, w tłumie uchodźców przebyli ponad 400 kilometrów, jadąc po fatalnych drogach. A Oksana była w tym czasie w ciąży.

## SOWIECKIE PORZĄDKI

Pierwsze miesiące sowieckiej okupacji Kresów Rzeczypospolitej były wyjątkowo tragiczne dla polskiej ludności. W lutym i kwietniu 1940 roku przeprowadzono masowe deportacje i w głąb Azji (głównie do Kazachstanu) zesłano około

200 tysięcy ludzi. Okupanci za wszelką cenę usiłowali zniszczyć polski żywiol na wschodnich obszarach Rzeczypospolitej.

W tym czasie Piotra Jaroszewicza mianowano kierownikiem szkoły w Bereźnem. Oksana również znalazła tam zatrudnienie i małżonkom wydawało się, że zdołali urządzić sobie życie pod sowiecką okupacją.

„Pracy było dużo – wspominał premier. – Trudna była i budowa, i organizacja szkoły na bazie nowego białoruskiego języka nauczania, który dla narzecza, jakim rozmawiała miejscowa ludność, był prawie językiem tak samo obcym, jak język polski. Z tym że do języka polskiego ludność nawykła od lat, natomiast język literacki białoruski był dla niej całkowicie obcy i trudny w wymowie, choć zroszowały tak samo jak polski”[373].

Białoruski jako język wykładowy nie był jedynym problemem polskich pedagogów. Wszystkich uczniów szkół na Kresach przesunięto o klasę niżej (w ZSRR rzekomo był znacznie wyższy poziom szkolnictwa), uczniowie i nauczyciele musieli zresztą dostosować się do sowieckiego systemu edukacyjnego. Wielu z nich jednak nie zdążyło, w tym również Piotr i Oksana. Zostali bowiem deportowani w czerwcu 1940 roku w ramach trzeciej fali sowieckich represji. Tym razem na celowniku NKWD znaleźli się polska inteligencja oraz uciekinierzy spod okupacji niemieckiej. A małżeństwo Jaroszewiczów spełniało oba te warunki.

Jako wrogowie ludu zostali wywiezieni, wraz z małutką córeczką Aliną, do Wasiliewa w obwodzie archangielskim. Po latach Piotr uznał, że mógł trafić znacznie gorzej:

„Nie przeżyłem ani więcej, ani mniej niż miliony podobnych zesańców. [...] Pracowałem w brygadzie przy wyrębie i transporcie drewna. Tam – jeśli tak można powiedzieć – nabyłem też kwalifikacje drwala. [...] I nie ta praca była straszna dla silnych młodych mężczyzn z naszej brygady, choć do roboty wychodziłiśmy przy 40-stopniowym mrozie i często o głodzie. Straszny był obozowy system narzucony przez NKWD. [...] Oni potrafili w Wasiliewie stworzyć piekło. Dla starych i chorych oznaczało to

śmierć. Ze 156 osób przywiezionych w lipcu 1940 roku do września 1941 zmarło kilkanaście. Potem dowiedziałem się, że Wasiliewo to nie było to najgorsze. W 1941 roku zobaczyłem więźniów zwalnianych z obozów położonych na północ od naszego, w górnym biegu rzeki Uftiugi – były to żywe jeszcze szkielety obciążone skórą”[374].

Wasiliewo faktycznie nie mogło być najgorszym miejscem na mapie sowieckich łagrów, gdyż pobyt w obozie przetrwali nie tylko Oksana i Piotr, ale również ich córka. Inna sprawa, że pomimo wszystkich szykan mieli tam możliwość dodatkowego dożywiania Aliny. By wzmocnić córkę, stosowali wprawdzie prymitywne metody, które okazały się jednak skuteczne.

„Niektórzy zesłańcy otrzymywali paczki. Co prawda docierała niewielka liczba wysłanych – może jedna na dwadzieścia, reszta ginęła, prawdopodobnie »zostawała« w rękach dozoru, ale z tych, które dotarły do adresatów, otrzymywaliśmy zawsze coś dla córeczki, a to parę sucharków, a to odrobinę cukru. W zimie piliśmy wywar z zimowych pąków sosny zwanej pichtą. Było tam na pewno sporo witamin. Potem, kiedy Skrzeczka [tak nazywali córkę – S.K.] stanęła na nogi, jadła wszystko. Wyrosła na silne, dobrze zbudowane dziecko. Nie zapadała na żadne dziecięce choroby. Spała w łóżeczku splecionym przeze mnie z jodłowych gałęzi, kąpaliśmy ją w korycie, które wydłubałem w pniu grubej jodły. Ubieraliśmy ją we flanelowe płótno, które dostawaliśmy na onuce. Jej szczebiot, jej uśmiech, dziecięca radość cieszyły cały nasz barak.

Oksana i ja żyliśmy dla tego dziecka. To dodawało nam sił. Może właśnie ta wielka potrzeba pozwalała nam przeżyć”[375].

## PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI

Sytuacja Polaków pod sowiecką okupacją uległa gwałtownej zmianie z chwilą niemieckiego ataku na ZSRR. Wielka Brytania

stała się naturalnym sojusznikiem Stalina i stosunki polsko-radzieckie wymagały uregulowania. W Londynie rozpoczęły się dwustronne rozmowy i pod koniec lipca 1941 roku podpisano tak zwany pakt Sikorski–Majski (od nazwiska radzieckiego ambasadora).

Największym osiągnięciem strony polskiej było wymuszenie na Sowietach amnestii dla Polaków przetrzymywanych w więzieniach i zesłanych w głąb Rosji. Było to wydarzenie bez precedensu w dziejach ZSRR, w praktyce oznaczało też wyzwolenie od śmierci setek tysięcy polskich obywateli. A to było ważniejsze niż granice, miasta czy wszystkie terytoria razem wzięte. Jednym podpisem Sikorski ocalił więcej istnień ludzkich niż na frontach II wojny światowej zginęło polskich żołnierzy.

Amnestia objęła również Jaroszewiczów, którzy podobnie jak tysiące dzielących ich los Polaków ruszyli na południe, aby dołączyć do formowanej na Powołżu polskiej armii. Ludzie ścigali z całej Rosji, a relacje z ich wędrówek stanowią nieprawdopodobną lekturę. Niezwykłe wrażenie wywołują opisy spływu tratwami po syberyjskich rzekach, jazdy pociągami towarowymi (na zewnątrz!) czy marszu przez bezkresne równiny. Ci ludzie szli po prostu przed siebie, dopóki nie padli ze zmęczenia, była to dla nich jedyna szansa na wyrwanie się ze stalinowskiego piekła.

Jaroszewicz wraz z rodziną dotarł do Saratowa nad Wołgą. Było to niecałe 500 kilometrów od Buzułuku, gdzie mieścił się sztab polskiej armii, zatem jak na rosyjskie normy już całkiem niedaleko. Tam spotkała go jednak przykra niespodzianka.

„[...] w Saratowie w Delegaturze Ambasady Polskiej zgłosiłem się do wydziału wojskowego – wspominał premier. – Niestety, po wypełnieniu ankiety powiedziano mi, że nie mogę liczyć na przyjęcie do armii w pierwszym rzucie, tzn. w 1941 roku. Nie byłem przeszkolony, nie odbyłem przed 1939 rokiem służby czynnej. Do wojska wcielano wówczas tylko przeszkolonych żołnierzy. W delegaturze zarejestrowałem się, udzieliłem też odpowiedzi na

pytania o znane mi obozy i miejsca zesłania Polaków. Kiedy poprosiłem o radę, dokąd jechać, odpowiedziano mi, że najlepiej trzymać się ustalonego kursu – jechać Wołgą do Astrachania. Tam również była delegatura, która rozporządza możliwościami pomocy materialnej sprowadzonej przez Iran. Na szczęście już w Saratowie otrzymaliśmy kartki na zakup żywności, 25 rubli oraz paczkę gazet i broszur polskich”[376].

Faktycznie, stan armii ustalono na 30 tysięcy ludzi, okazało się to jednak niewystarczające wobec tłumnego napływu ochotników. Liczebność polskich oddziałów usiłowali zresztą ograniczyć Sowieci, zmniejszając liczbę dostarczanych racji żywnościowych. Niebawem jednak stan osobowy podniesiono, a Polacy nadal ściągali ze wszystkich stron Stalinów–skiego imperium. I nie tylko mężczyźni zdolni do noszenia broni, ale również kobiety, starcy i dzieci. Przy formowanych oddziałach powstały polskie osiedla, a liczba uchodźców trzykrotnie przekroczyła stan osobowy wojska. Żołnierze dzielili się zresztą z cywilami wszystkim, co otrzymywali.

W każdej armii potrzebni są specjaliści z różnych dziedzin i relacja Jaroszewicza wydaje się kompletnie niezrozumiała. W Buzułuku znalazła bowiem swoje miejsce na przykład duża grupa polskich artystów estradowych, a wielu inteligentów wykonywało obowiązki biurowe. Przyszły premier PRL był człowiekiem wykształconym, nauczycielem ze stażem, podobnie jak jego żona. Polskie dowództwo przykładło dużą wagę do edukacji podkomendnych, przy polskich oddziałach powstały również sierocińce i szkoły. Jaroszewiczowie na pewno znaleźliby tam zatrudnienie.

Oksana i Piotr zrezygnowali jednak z wędrówki do armii Andersa i ruszyli do Stalingradu. Tam na zapalenie płuc zmarła ich córeczka, a małżonkowie osiedlili się w miasteczku Dubovka nad Wołgą. Piotr podjął pracę woźnicy i nie uczynił już więcej nic, aby znaleźć się w szeregach polskiej armii.

Wydaje się, że wbrew relacji Jaroszewicza jego akces do armii

Andersa został odrzucony. Zapewne zdecydował o tym fakt, iż przyszły premier PRL był kierownikiem szkoły pod sowiecką okupacją, co uznano za kolaborację.

## W DRODZE NAD OKĘ

Niebawem zresztą Jaroszewiczowie mieli większy problem, dopadł ich tyfus – prawdziwa plaga wśród wyczerpanych i niedożywionych uchodźców. Fakt ten miano w przyszłości wykorzystywać, tłumacząc nim nieobecność Jaroszewicza w szeregach armii Andersa. Rzeczywistość była jednak bardziej prozaiczna, tyfus powalił przyszłego premiera w chwili, gdy ten już zrezygnował z zaciągu do wojska.

Rekonwalescencja trwała kilka miesięcy, po czym Jaroszewiczowie podjęli pracę w kołchozie w Rodnikach niedaleko Dubovki. Niebawem Piotr został ponownie aresztowany, wówczas też pod przymusem przyjął wraz z żoną sowieckie obywatelstwo (po ewakuacji armii Andersa narzucano je wszystkim pozostałym w ZSRR Polakom). Został skierowany do Armii Czerwonej, na front jednak nie trafił. Wywieziono go do kopalni węgla na Syberii, natomiast Oksana pozostała w północnym Kazachstanie, gdzie znalazła zatrudnienie na kolei.

Zwolnienie przyszło wraz z utworzeniem polskich sił zbrojnych podporządkowanych Kremlowi. W Sielcach rozpoczęto formowanie dywizji piechoty i z dnia na dzień Sowietci zaczęli potrzebować Polaków zdolnych do noszenia broni. Oddziały powstałe pod egidą Związku Patriotów Polskich u boku Armii Czerwonej miały wkroczyć na ziemie polskie, stwarzając ważny precedens polityczny. Przy rekrutacji napotkano jednak ogromny problem, wprawdzie nie brakowało ochotników do armii, ale wśród nich praktycznie nie było oficerów ani ludzi z wyższym wykształceniem. Większość została bowiem zamordowana w Katyniu, Charkowie i Miednoje, a ci, którzy przetrwali, wyszli z

armią Andersa. Fakt ten w pewnym sensie tłumaczy szybko karierę wojskową Jaroszewicza.

Przyszły premier wprawdzie nie zdążył do Kościuszkowców i pod Lenino, ale znalazł się w szeregach kolejnej formowanej polskiej dywizji. Jednostka ta również powstała w Sielcach nad Oką, a Jaroszewicz zaczął służbę od stopnia szeregowca.

## KONTROWERSJE

Obiektywnie trzeba przyznać, że kariera niedawnego zesańca nie ma odpowiednika w dziejach nowożytnej wojskowości. W sierpniu 1943 roku Jaroszewicz był bowiem jeszcze szeregowcem, po kilkunastu miesiącach już pułkownikiem, a po kolejnych ośmiu (już po zakończeniu wojny) generałem! Nawet Napoleonowi Bonaparte awans od podporucznika do generała zabrał trochę więcej czasu.

Wprawdzie w Ludowym Wojsku Polskim obowiązywała szybka ścieżka kariery (czas oczekiwania na promocję na kolejny stopień oficerski wynosił zaledwie kilka miesięcy), to Jaroszewicz przekraczał nawet i te bariery. A przy kolejnych awansach w ogóle pomijano niektóre szczeble, bezpośrednio ze stopnia chorążego został bowiem mianowany porucznikiem. I co najważniejsze, Jaroszewicz nigdy nie był oficerem liniowym biorącym bezpośredni udział w walkach.

Zaczął od stanowiska pisarza magazyniera, po czym skierowano go do pionu politycznego. Po ukończeniu odpowiedniego szkolenia pełnił funkcję oficera polityczno-wychowawczego, a następnie instruktora do spraw propagandy. Kolejno został zastępcą szefa i szefem wydziału propagandy, a następnie zastępcą dowódcy 2. Dywizji Piechoty ds. polityczno-wychowawczych. Ukoronowaniem jego błyskotliwej kariery stała się funkcja zastępcy dowódcy 1. Armii Wojska Polskiego, a pół roku później stanowisko zastępcy szefa Głównego Zarządu



Politycznego WP. Tego było za wiele nawet dla liderów PPR, Jakub Berman sprzeciwiał się awansom Jaroszewicza, twierdząc, że nie jest on komunistą.

Towarzysz Piotr (wstąpił do PPR w 1944 roku) faktycznie komunistą nie był, ale okazał się człowiekiem wyjątkowo pragmatycznym. Nie miał złudzeń, jakiemu reżimowi służy, on i jego rodzina doskonale bowiem poznali sowieckie porządki. Zdawał sobie sprawę ze zbrodni NKWD, nie miał też wątpliwości, kto odpowiadał za mord w Katyniu. Wiedział jednak, że zachodni alianci pozostawili Polskę na pastwę Kremla, a sam nie zamierzał podzielić losu tysięcy rodaków. Zresztą razem z nim w szeregi 2. Dywizji Piechoty trafiła także Oksana, dosłużyła się tam stopnia porucznika.

Najlepszy chyba specjalista od najnowszej historii Polski, Paweł Wieczorkiewicz, zauważył, że przypadek Jaroszewicza „oczywiście nie może budzić wątpliwości co do rzeczywistej roli, jaką odgrywał, i zobowiązań, jakie zaciągnął”[377]. A były to zobowiązania wobec sowieckich służb, dzięki którym możliwa stała się jego kariera. Niezależnie od tego, co sądzili na jego temat przywódcy PPR.

Funkcjonariusze GRU (sowieckiego wywiadu wojskowego) dysponowali poważnymi argumentami, a ludzie, którzy przeszli przez komunistyczne łagry, stosunkowo łatwo ulegali ich perswazji. Jeżeli zresztą Jaroszewiczowie chcieli powrócić do kraju, to nie mieli wyboru, Piotr musiał pójść na współpracę, odrzucenie oferty sowieckiego wywiadu nie wchodziło w rachubę. Natomiast w przypadku lojalności wobec radzieckich służb rysowała się przed nim całkiem wygodna przyszłość, zupełnie odmienna od tego, co przeżył w ostatnich latach.

„Nasze życie od wiosny 1943 roku toczy się jak w kalejdoskopie – mówiła Oksana do Piotra zaraz po zakończeniu wojny – nie mamy na nie żadnego wpływu. Mknijemy na wielkiej fali przemian. Co będziemy robić, jeśli ciebie zdemobilizują. Nie mamy nic, ani mieszkania, ani łóżka, ani stołu, a ja chcę gdzieś

osiąść na stałe, chcę mieć dom i dziecko”[378].

Poparcie sowieckich służb odegrało decydującą rolę w karierze Jaroszewicza, nikt bowiem z dowództwa LWP nie zamierzał sprzeciwić się dyktatowi Kremla. A kariera przyszłego premiera nabiera szczególnego znaczenia, gdy zestawimy ją z awansami Wojciecha Jaruzelskiego. Służył on w tej samej dywizji co Jaroszewicz, w odróżnieniu jednak od niego brał udział w walkach na froncie. I wojnę zakończył zaledwie w stopniu kapitana...

## ŚMIERĆ OKSANY

Odmiennej teorię na temat przyczyn błyskotliwej kariery Jaroszewicza przedstawił Włodzimierz Sokorski. Naczelnny plotkarz PRL twierdził bowiem, że za szybkimi awansami towarzysza Piotra stał osobiście Stalin. Ale protekcja kremłowskiego despoty była jak najbardziej przypadkowa.

Według Sokorskiego, gdy miało dojść do kolejnego spotkania delegacji Związku Patriotów Polskich ze Stalinem, to zaszła potrzeba włączenia w jej skład oficera dobrze mówiącego po polsku (większość kadry armii Berlinga stanowili Rosjanie), a do tego o słowiańskim wyglądzie. Członkowie ZPP mieli bowiem najczęściej żydowskie pochodzenie, a dyktator nigdy nie przepadał za przedstawicielami tego narodu.

Wybór padł na Jaroszewicza, który znakomicie prezentował się w oficerskim mundurze. Podobno nie odzywał się wtedy w ogóle, ale jego obecność wystarczyła, aby Stalin zapamiętał sobie nazwisko. I gdy przy kolejnym spotkaniu zapytał, „co tam słychać u tego wysokiego porucznika Jaroszewicza”, odpowiedziano mu, że jest już kapitanem. Satrapa przyjął to z zadowoleniem, a gdy niebawem sytuacja powtórzyła się, to Jaroszewicz dostał awans na majora i do śmierci Stalina był już dobrze zainstalowany w sferach partyjnych i rządowych.

To oczywiście tylko anegdota, ale faktycznie przyszły premier

bez problemów odnalazł się w nowych władzach Polski. Zmienił specjalizację i jako fachowiec od gospodarki (!!!) został szefem kwatremistrzostwa LWP, a następnie przesunięto go do rządu, gdzie nadzorował przemysł zbrojeniowy. W 1952 roku został wicepremierem i pełnił tę funkcję aż do 1970 roku.

Przez wiele lat był przedstawicielem Polski przy RWPG, miał doskonałe kontakty z kremlowskimi decydentami. W odróżnieniu jednak od innych prominentów PRL nie brał w ogóle udziału w rozgrywkach wewnątrzpartyjnych. W przyszłości miało to zaprocentować.

W czerwcu 1952 roku Jaroszewicz przeżył ogromną tragedię osobistą, zmarła bowiem jego ukochana żona, Oksana. Pozostawiła syna, Andrzeja.

„[...] matki niewiele pamiętam – mówił w wywiadzie radiowym Andrzej Jaroszewicz. – Ona zmarła, jak miałem niecałe 7 lat, pamiętam ją właściwie tak na zasadzie klatki filmowej gdzieś w pamięci i jakiś fragment głosu czyjej widoku, czy spojrzenia”[379].

Życie nie znosi jednak próżni i niebawem u boku wicepremiera pojawiła się nowa kobieta. Była nią dziennikarka „Trybuny Ludu”, Alicja Solska.

## ALICJA DUCHIŃSKA

Była młodsza od Jaroszewicza o 16 lat i miała za sobą całkiem interesującą przeszłość. Podczas okupacji należała do Armii Ludowej i w jej szeregach (jako „Inka”) wzięła udział w Powstaniu Warszawskim. Była łączniczką, walczyła na Starym Mieście i po kilkunastu dniach walk znalazła się w grupie wyznaczonej do nawiązania kontaktu z oddziałami AL na Żoliborzu. Jedyna droga wiodła przez kanały ściekowe.

„Nawiązanie bezpośredniej łączności z Żoliborzem to sprawa wielkiej wagi – wspominała po latach – sytuacja Starówki pogarsza

się z godziny na godzinę, nikt po przeszło dwóch tygodniach ciężkich zmaganiach nie ma już złudzeń co do możliwości utrzymania się na Starym Mieście. Rannych przybywa. Nasz szpital Pod Halami na Świętojerskiej wypełniony po brzegi, w szpitalach AK – to samo i trzeba z góry opracować plan ewakuacji rannych w wypadku ewakuacji Starówki. Możliwości są tylko dwie: Żoliborz i Śródmieście. Łączność z Żoliborzem utrzymywaliśmy kanałami i zdawaliśmy sobie sprawę, że tymi niskimi kanałami przejść mogą tylko lżej ranni, ci, którzy są w stanie iść i pełzać o własnych siłach. O przenoszeniu rannych na noszach w ogóle nie mogło być mowy. Natomiast na Żoliborz prowadziły kanały o wysokości podobno 2-metrowej i jak twierdzili fachowcy z kanalizacji, transport rannych – jeżeli tylko włazy nie są zbyt uważnie strzeżone – nie powinien nasuwać większych trudności”[380].

„Inka” wielokrotnie zapuszczała się do kanałów, co o mało nie stało się przyczyną jej śmierci. Łączność kanałami odbywała się bowiem pod kontrolą dowództwa AK, które z niepokojem obserwowało poczynania swoich lewicowych sojuszników.

Przy kolejnej próbie wejścia do kanałów „Inka” wraz ze swoją grupą została zatrzymana przez żandarmerię AK i wpadła w ręce jej osławionego szefa, majora „Barry ego” (Włodzimierza Kozakiewicza). Ten człowiek (jak na żandarma przystało) wyznawał proste zasady.

„Major »Barry« – pisał Stanisław Podlewski – wydaje rozkaz, aby rozwalić alowców w ruinach.

Żandarmi nie kwapią się z wykonaniem tego rozkazu. Odprowadzają całą grupę do pałacu Raczyńskich na ulicy Długiej, zamykają ich na najwyższym piętrze, zapowiadając, że w razie próby ucieczki dostaną »w czapę«”[381].

„Inka” miała jednak szczęście, po kilkunastu godzinach (!) na osobisty rozkaz pułkownika Wachnowskiego (dowódcy obrony Starego Miasta) cała grupa została zwolniona. Ale chyba nigdy nie zapomniła oczekiwania na egzekucję, w przyszłości miała bowiem bardzo nieprzychylnie wypowiadać się o kadrze AK...

Po upadku Starówki Alicja przedostała się do Śródmieścia, a następnie skierowano ją na Czerniaków. Tam otrzymała zadanie przeprawy przez Wisłę (!) w celu nawiązania kontaktu z oddziałami sowieckimi zbliżającymi się do Pragi.

„Koncepcja wysłania łączniczek drogą Śród- mieście- Mokotów i przeprawy przez Wisłę w okolicach Wilanowa – wspominała Alicja dwa lata po wojnie – szybko upadła wskutek coraz bardziej zaostrzającej się sytuacji na Mokotowie. Pozostała tylko droga przez Port Czerniakowski znajdujący się wówczas w rękach powstańców. Drugi brzeg był wprawdzie opanowany przez wojska niemieckie, lecz zwiad wysłany nocą ustalił, że pomimo gęstych posterunków można się między nimi, przy zachowaniu środków ostrożności, prześliznąć do pierwszych domów, gdzie już ludność niewątpliwie przyjdzie łącznikom z pomocą”[382].

Jako pierwsze w nocy z 12 na 13 września wyruszyły dwie łączniczki: Helena Jaworska i Janina Balcerzak. Następnego dnia nie zaobserwowano jednak umówionego sygnału o powodzeniu operacji (firanka w jednym z domów na Saskiej Kępie), w związku z czym zapadła decyzja o powtórzeniu akcji. Tym razem wyznaczono do niej „Inkę” i Ewę Płoską („Ewę”) ze zgrupowania AK „Radosław”.

„[...] wszystko odbywa się w głuchym milczeniu – wspominała „Inka”. – »Tadek« (Tadeusz Gąsiorowski) wyciąga z zarośli przygotowany już kajak i pakujemy się do niego we trójkę – sześciotygodniowa powstańcza kuracja odchudzająca na coś się teraz przydaje. Za chwilę fort i majaczące wśród nocy sylwetki przesyłające nam jeszcze ostatnie pozdrowienia powstańców zamazują się coraz bardziej. Płyniemy”[383].

„Ince” (podobnie jak reszcie uczestników eskapady) nie można było odmówić odwagi. Podjęli się wyjątkowo niebezpiecznej misji, ale w powstańczej Warszawie praktycznie każde zadanie można było uznać za samobójcze.

„Uwaga, reflektor! Szept »Tadka« wydaje się w tej naprężonej ciszy niemal krzykiem. Szybkie dwa ruchy wiosel, jesteśmy już

przy zaroślach. Skok, a raczej zsunięcie się do wody i zmiana położenia kajaka – na wciągnięcie w zarośla nie ma już ani sekundy. Reflektor metr za metrem lustruje gładką powierzchnię wody, rozświetla zarośla kępy, w których zbawczym cieniu trwamy w trwożnym bezruchu, ślizga się po powierzchni kanału, i wreszcie – sekunda to była czy wiek cały – gaśnie. Seria z cekaemu po kępie”[384].

Pomimo wielu problemów („Inka” przekradając się na praskim brzegu, wpadła nawet w ręce Niemców) łączniczki dotarły do sztabu sowieckiej 175. Dywizji Uralskiej. A wówczas okazało się, że ich wysiłek nie był potrzebny, zadanie wykonał bowiem poprzedni patrol, ten, który wyruszył noc wcześniej...

Po zakończeniu wojny „Inka” zajęła się pracą dziennikarską, była reporterką „Walki Młodych”, a następnie „Głosu Ludu” – organu PPR. Natomiast po powstaniu PZPR znalazła się w zespole redagującym najważniejszy tytuł prasowy PRL – „Trybunę Ludu”.

Wyszła za mąż za inżyniera Pawła Solskiego pracującego w transporcie wojskowym i miała z nim dwoje dzieci. Jaroszewicz zwrócił na nią uwagę już pod koniec 1944 roku, na naradzie w Lublinie:

„[Zauważyłem] piękną, zgrabną, młodą, wysoką dziewczynę w oficerskim mundurku – wspominał po latach pierwsze spotkanie – w stopniu porucznika, który otrzymała za ową przeprawę przez Wisłę w czasie powstania. Mogła bez trudu wpaść w męskie oko. Poznaliśmy się dopiero w 1947 roku, kiedy była już żoną płk. inż. Pawła Solskiego. Przed wyborami do Sejmu w 1947 roku, kiedy miał się ukazać mój wywiad w »Głosie Ludu«, gdzie Ina pracowała jako dziennikarka, przyszła do naszego domu na Lekarskiej, ubrana już po cywilnemu”[385].

Jaroszewiczowie i Solscy czasami spotykali się podczas letniego wypoczynku w Sopocie, podobno „nawiązała się wtedy między obiema rodzinami nić sympatii” Czy jednak „Inkę” połączyło wówczas z towarzyszem Piotrem coś więcej? Nie wiadomo, wprawdzie premier zawsze twierdził, że ogromnie

kochał swoją pierwszą żonę, ale mężczyźni czasami w bardzo różny sposób interpretują słowo „miłość”. Bliższych informacji na ten temat jednak nie posiadamy...

## MACOCHA I PASIERB

„W latach pięćdziesiątych poprzednie małżeństwo Iny rozpadło się – relacjonował Jaroszewicz. – W jakiś czas po śmierci Oksany nastąpiło nasze przypadkowe z Iną spotkanie. Poznaliśmy się bliżej i pokochali, a w 1956 roku wzięliśmy ślub”[386].

Małżonkowie zamieszkali w Aninie, w willi przy ulicy Zorzy 19, zajmowanej poprzednio przez Juliana Tuwima z rodziną. Po jego śmierci wyeksmitowano jednak wdowę i przybraną córkę, wicepremier był przecież znacznie ważniejszą personą niż żona martwego poety.

Dużym problemem dla Jaroszewicza stała się natomiast sprawa wychowania syna. Andrzej był dzieckiem, które wymagało ciepła i miłości, a ojciec z racji obowiązków zawodowych nie mógł mu tego zapewnić. W rezultacie chłopcem opiekowały się matka premiera i siostra Oksany mieszkające w Warszawie.

„Ale ona zajęta była wychowaniem swych własnych dwojga dzieci – przyznawał premier. – Nie była to łatwa dla mnie sytuacja, zapewne nie najkorzystniejsza także dla dziecka. Andrzej był bardzo przywiązany do matki i długo nie mógł pogodzić się z jej utratą. Ciągle oczekiwał, że kiedyś wróci, choć był przy śmierci matki w Sopocie i czasem razem zanosiliśmy kwiaty na jej grób na Powązkach. [...] Swe przywiązanie do matki przeniósł stopniowo na babcię [zmarła w 1972 roku – S.K.], która miała na niego największy wpływ, i na mnie”[387].

Solska miała dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa, urodziła również Piotrowi syna, Jana. Ze wspomnień premiera przebija sielankowy obraz życia rodzinnego, przesyconego wzajemną miłością i zrozumieniem.

„Kiedy dzieci były małe, a miałem wolną niedzielę, spędzaliśmy czas zawsze razem, od rana do późnego wieczora. Wyjeżdżaliśmy często za miasto w okolice Warszawy. Odwiedzaliśmy moje nauczycielskie strony w powiecie garwolińskim, włączyliśmy się po Puszczy Kampinoskiej, odwiedzając zamczysko i groby powstańcze, spacerowaliśmy po lasach w rejonie Wyszkowa, Modlina, Pułtusza i Czerska. Zmęczeni, ale odświeżeni, powracaliśmy do babci na obiad. Wieczorem następowały popisy dzieci z ich zdobytych umiejętności i wiedzy, przyjacielskie rozliczanie dobrych i złych uczynków tygodnia”[388].

Czy jednak w tych rodzinnych wyprawach brał udział Andrzej, syn Oksany? Bardzo wątpliwe, albowiem jego stosunki z Alicją układały się fatalnie. Nawet wiele lat po śmierci ojca i Solskiej twierdził, że „macocha była okrutna” wobec niego. I powtarzał, iż tego określenia używa jak najbardziej świadomie i z premedytacją.

„Premier i pani Solska nie byli zgodnym małżeństwem – wspominała gosposia Jaroszewiczów, Marianna Oleszczuk. – To była kobieta nie do życia. Nie lubiła Andrzeja. Chciała go zlikwidować. Powiedziała, że ten szczeniak jest niepotrzebny tutaj”[389].

Towarzysz Piotr zajęty był własną karierą i znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Kochał żonę i syna, nie potrafił jednak znaleźć właściwego rozwiązania. Kłótnie z Alicją nie przynosiły rezultatu, a rozwód był mu zupełnie niepotrzebny. W efekcie Andrzej wyjechał z domu, maturę zdał daleko od Warszawy, w Pruszczu Gdańskim.

Awantury domowe spowodowane osobą syna Oksany nie były jednak tajemnicą dla środowiska partyjno-rządowego.

„[...] rozmawialiśmy trochę o dzieciach elity – zanotował w lipcu 1964 roku Mieczysław Rakowski. – Okazało się, że i te sprawy były przedmiotem dyskusji na posiedzeniach politbiura. Jednym z największych chuliganów jest syn Jaroszewicza,



Andrzej, znany z systematycznego przekraczania szybkości na ulicach Warszawy. Zatrzymywany przez MO zasłania się swoim tatusem. Jaroszewicz tłumaczył się, że chłopiec miał trudne dzieciństwo, nie chce zaakceptować drugiej matki (Inka Solska), i że on, Jaroszewicz, płaci za niego systematycznie mandaty. Powstaje jednak pytanie, dlaczego żaden z członków BP [Biura Politycznego – S.K.] nie zadał pytania, jak to się dzieje, że synalek korzysta z wozu służbowego. Widocznie to wolno dzieciom elity”[390].

### CZERWONY KSIĄŻĘ

„[...] Andrzejek z perspektywy lat – pisał Paweł Wieczorkiewicz – jawił się jako postać raczej sympatyczna, ubarwiająca nudny i szary krajobraz PRL. Jednak w ówczesnych przasnianych czasach ekstrawagancje młodzieńca, o którym mówiło się głośno w całej Warszawie, szalenie irytowały tzw. przeciętnych Polaków. Gdy rozbijał kolejne samochody (co w końcu należało do jego profesji), nie tłumacząc się nawet pomroczością jasną, wyklinano, że wszyscy za to płacimy, a gdy rywalizował o względy Maryli Rodowicz (każdy by chciał!) z Danielem Olbrychskim, opinia publiczna stanęła murem za »Kmicicem«, choć jeszcze nie tak dawno, zdania na ten temat były mocno podzielone”[391].

Osobiście pamiętam, jak moi rodzice w rozmowach ze znajomymi ze zgrozą plotkowali o kolejnych ekstrawagancjach młodego Jaroszewicza, zwanego – jak już wspomniałem w poprzednim rozdziale – „Extra Mocny”. Szczególną irytację wzbudzały opowieści o jego wyczynach w Monte Carlo, gdzie regularnie bywał z okazji udziału w rajdach samochodowych.

„Trudno nie być w Monte Carlo, jak się startuje tam na rajdzie – tłumaczył po latach pan Andrzej. – To trudno nie pójść do kasyna, jak się dostaje nalepkę kierowcy. Sama taka nalepka, którą

się ma na marynarce czy swetrze, powoduje, że po prostu nie płaci się wstępu do kasyna. Te mity o przegrywaniu przeze mnie jakichś wielkich kwot to są w ogóle z księżyca, bo my mieliśmy tam bardzo małe środki”[392].

W grudniu 1970 roku ekipa Gomułki została odsunięta od władzy, stracił także swoje stanowisko dotychczasowy premier, Józef Cyrankiewicz. Jego miejsce zajął towarzysz Piotr, od tej pory mawiano, że „Gierek wprawdzie panuje, ale rządzi Jaroszewicz”. A kolejne wybryki jego syna nie przysparzały szefowi rządu popularności.

Andrzej od lat sprawiał ojcu problemy, jako student prawa brał nawet udział w zajściach na uniwersytecie w marcu 1968 roku. Polityką wprawdzie nigdy się nie interesował, ale razem z innymi zrzucił ławki na zomowców szturmujących uczelnię.

„[Ta sprawa] uregulowała na zawsze stosunki między mną a ojcem w tym 1968 roku – opowiadał – kiedy ja byłem świeżo po ślubie z pierwszą żoną. Jakoś uciekłem z tego uniwersytetu, nie złapali mnie, potem proszono mnie, abym tam nie chodził. [...] Ojciec też prosił: »Siedź w domu, nie idź, bo potem to wykorzystają przeciwko mnie, jak cię tam dorwą«. Ale prawdopodobnie zrobiono parę zdjęć i wtedy wyrzucono mnie ze studiów. I dostałem po 4 dniach wezwanie do wojska, w trybie pilnym, do jednostki, która miała pod względem dyscypliny pierwsze miejsce w Polsce. Przyszedłem z tym do ojca: »Weź mi pomóż, załatw, żebym ja do wojska nie szedł. Dopiero wziąłem ślub, rozleci mi się małżeństwo«. A ojciec mówi: «Nie, każdemu mogę załatwić, ale tobie nie»”[393].

Andrzej trafił do Oleśnicy, wprawdzie nie na długo, albowiem na uczelni zaliczył wcześniej szkolenie wojskowe i złożył przysięgę. Ale opowiadając o całej sprawie po latach, nawet się nie zająknął, że w jednostce zachowywał się tak jak zwykle – tym razem sprawiał problemy dowódcy. A historia z powołaniem do wojska też wyglądała trochę inaczej, niż to przedstawił.

„Chłopak ma trudny charakter – notował Rakowski. – Inka

(Solska) uważa, że Andrzej ma zanik uczuć wyższych i Piotr daremnie usiłuje go okiełznać. Doszło do tego, że jedyny ratunek widział w powołaniu go do wojska. I tak też się stało. Po kilku tygodniach dowódca zadzwonił do Jaroszewicza i prosił go, aby zabrał syna, bo on nie może sobie z nim dać rady”[394].

Andrzej faktycznie mógł mieć trudny charakter, ale w zamian za to od dzieciństwa wykazywał ogromny talent rajdowy. Zaczynał bardzo wcześnie, mając zaledwie 16 lat (od tego wieku wydawano prawo jazdy), a w dodatku mocno nietypowym pojazdem. W 1962 roku wystartował bowiem w Rajdzie Polski, prowadząc mercedesa pożyczonego od Józefa Cyrankiewicza. Premier nie miał specjalnych obiekcji i bez problemu pożyczył limuzynę, prosząc tylko, aby chłopak jej nie rozbił. Andrzej ukończył rajd (zajął 12. miejsce) i nie uszkodził pojazdu premiera.

„Na początku uczył się – wspominał pilot Jaroszewicza, Ryszard Żyszkowski – ale jak już zaczął jeździć, to był jednym z najlepszych kierowców w Polsce. Szalenie zdolny, znakomicie jeździł, gdyby był jeszcze bardziej pracowity, a nie taki leń, to na pewno zostałby mistrzem Europy”[395].

W PRL zawodowstwo oczywiście nie istniało, zatem Andrzej musiał dostać państwowy etat. Znalaziono dla niego idealne rozwiązanie, został dyrektorem Ośrodka Badawczo-Rozwojowego FSO. Tak mógł w pełni się realizować, bo samochody kochał chyba bardziej niż kobiety. I to właśnie młody Jaroszewicz był prawdopodobnie pierwowzorem jednego z bohaterów serialu „Dom” w reżyserii Jana Łomnickiego – bowiem między nim a filmowym Aleksandrem Ekstra-Mocnym, kierowcą rajdowym, mającym gest uwodzicielem, występuje uderzające podobieństwo.

„Było jakby dwóch Andrzejów – tłumaczył Żyszkowski. – Jeden, który był dyrektorem [zawsze] w otoczeniu grupy ludzi, kibiców, będący ważną osobą. A w samochodzie był przeuroczym facetem. Normalnym, z którym miło się jechało, normalnie rozmawiało, a do tego pięknie śpiewał. Po prostu fajny, równy kolega i przyjaciel”[396].

W epoce PRL ogromne znaczenie miały odpowiednie znajomości i kontakty, był to bowiem czynnik decydujący o dostępie do wielu dóbr. Andrzej Jaroszewicz lubił pomagać kolegom, bez problemu załatwiał im przydziały mieszkań czy też talony na samochody. Dlatego w środowisku był bardzo lubiany.

To właśnie Jaroszewicz przyczynił się do podjęcia słynnej próby bicia rekordu prędkości w jeździe na długim dystansie fiatem 125p. Wcześniej z podobną propozycją wystąpili Sobiesław Zasada i dziennikarz Eugeniusz Pach, ale dopiero poruszenie tematu przez syna premiera przyniosło efekty. Pomysł idealnie wpisywał się zresztą w propagandę sukcesu epoki Edwarda Gierka, został zatem bez problemów zaakceptowany przez ekipę rządzącą.

Do próby bicia rekordu doszło w czerwcu 1973 roku na specjalnie wyremontowanym odcinku autostrady pod Wrocławiem. Obok Zasady i Jaroszewicza wzięło w niej udział jeszcze sześciu kierowców, a największym problemem okazała się praca zespołowa, bez prób osiągania najlepszych czasów indywidualnych. Nadspodziewanie dobrze sprawdził się natomiast odpowiednio przygotowany egzemplarz polskiego fiata 125, w efekcie pobito rekord średniej prędkości na 25 tysięcy kilometrów, 25 tysięcy mil i 50 tysięcy kilometrów. A przy okazji warto pamiętać, że był to rekord liczący już 21 lat, z którym nie potrafili uporać się Anglicy (Ford) ani Japończycy (Datsun). Krajowe media oczywiście ogłosiły kolejny triumf ekipy Edwarda Gierka.

Problemem młodego Jaroszewicza było jednak jego barwne życie, syn szefa rządu lubił bowiem zabawę. I chociaż twierdził, że większość plotek fabrykowali wrogowie ojca, to jednak stale bulwersował społeczeństwo swoim zachowaniem.

„[...] kiedy Andrzej wchodził do lokalu – wspominała Maryla Rodowicz – kazał zamykać knajpę, wszyscy goście musieli wyjść, a on do rana śpiewał piosenki Elvisa Presleya, z zespołem, bo kiedyś wszędzie do tańca grała »żywa« kapela»[397].

Zdarzały się jednak również znacznie gorsze wydarzenia niż zamykanie knajpy i rozpędzanie jej klientów. Syn premiera

czasami zachowywał się bowiem w sposób zupełnie nieodpowiedzialny.

„[...] był też niezłym awanturnikiem – kontynuowała Rodowicz. – Pamiętam, że po jednym z koncertów, gdzieś w Polsce, weszliśmy do przydrożnego zajazdu – mój menedżer, jego pilot rajdowy, ja i może ktoś jeszcze. Krótka wymiana zdań z miejscowymi i zrobiła się szarpanina. Przyjechała milicja. Zdrętwiałam ze strachu. Tym bardziej, że na Andrzeja milicja działała jak płachta na byka, nie znosił ich. Kiedyś zgarnęli go po jakiejś bójce, zawieźli na komisariat, a on zobaczył, że w kantorku, w którym siedzi dyżurny, stoi dużo karabinów. Dał więc nura przez to okienko, złapał broń i zaczął się ostrzeliwać! Wtedy jednak, w tym zajeździe, milicja wybawiła nas z opresji. Miejscowi mogli nas zatłuc”[398].

Każda nowa awantura Jaroszewicza była odpowiednio nagłaśniana i szeroko komentowana w kraju. Tym bardziej że obracał się on w kręgach ówczesnych celebrytów, tzn. artystycznej i sportowej elity. Czasami też spotykał się z innym skandalistą, Władysławem Komarem, panowie lubili dyskutować, kto z nich jest bardziej osadzony w aparacie władzy. Czy Andrzej jako syn premiera, czy też słynny kulomiot, zięć Mariana Spsychalskiego.

Z Komarem połączyła go również tzw. sprawa Słonia, handlarza samochodów i przyjaciela sportowca. Po szczególnie udanej transakcji zaprosił on Komara i włoskiego kierowcę rajdowego, Lelio Lattarięgo na obławianie sukcesu. Wieczór zakończył się tragedią, której przyczyną był nieszczęsny piecyk w łazience.

„Słoń» posłał po wódkę swoją dziewczynę – opowiadał Komar. – Kiedy wróciła, zabrał ją do łazienki, a my oglądaliśmy dziennik telewizyjny, w którym premier Piotr Jaroszewicz informował o podwyżkach cen wódki, benzyny i czegoś tam jeszcze. Po jakimś czasie osoba towarzysząca Lattariemu chciała sobie poprawić makijaż i kiedy weszła do łazienki, rozległ się

przeszywający krzyk. W przelewającej się wannie unosiły się ciała »Słonia« i jego dziewczyny. Próby reanimacji nie przyniosły powodzenia»[399].

Wezwano pogotowie i milicję, pod domem zebrali się gapie, szybko też pojawiły się pogłoski o orgii rajdowców z udziałem syna premiera. Na parkingu stały bowiem dobre samochody, a ktoś zeznał, że słuchano Jaroszewicza w telewizji. I wystarczyło samo nazwisko, aby plotka zaczęła żyć własnym życiem.

„Nazajutrz rano w kawiarni Hotelu Europejski – wspominał z rezygnacją Komar – spotkałem kolegę, który opowiedział mi, jak to z Andrzejem Jaroszewiczem zamordowaliśmy dwie nieletnie dziewczynki, racząc je przedtem narkotykami”[400].

Na całą sprawę nałożyła się jeszcze podwyżka cen zapowiedziana poprzedniego wieczora przez premiera. A gdy Komar słuchał opowieści o swojej rzekomej orgii z Andrzejem, to w Ursusie i Radomiu trwały już zaburzenia robotnicze. Plotka o zbrodniczej imprezie syna premiera trafiła na bardzo podatny grunt...

Inną aferą, którą żyła cała Polska, była sprawa pobicia Andrzeja przez Daniela Olbrychskiego. Do zajścia rzekomo doszło w jednym z warszawskich lokali, a jego przyczyną miały być obraźliwe słowa, jakie Jaroszewicz skierował pod adresem Jana Pawła II. Wprawdzie syn premiera dementował pogłoski o zajściu, to jednak nikt mu nie wierzył. A pan Daniel po latach przedstawił plotkę w swoich wspomnieniach w taki sposób, że można było odnieść wrażenie, iż faktycznie pobił Andrzeja. I do dzisiaj właściwie nie wiadomo, czy była to tylko złośliwość Olbrychskiego, czy też w ten sposób wyrównywał po latach rachunki za Marylę Rodowicz...

## PREMIER I JEGO MAŁŻONKA

Alicja Solska jako żona szefa rządu miała dostęp do informacji

nieosiągalnych dla innych dziennikarzy. Szczodrze z tego przywileju korzystała, wzbudzając zawiść środowiska. Z drugiej jednak strony często starała się występować w roli pośrednika pomiędzy prasą a premierem.

„Inka Solska, żona Jaroszewicza, zaprosiła nas do siebie – notował Rakowski. – Zorganizowała spotkanie kilku dziennikarzy (Karol Małcużyński, Guz [Eugeniusz] z »Trybuny Ludu«, Darek Fikus, Roman Bratny i ja) z Janiurkiem, rzecznikiem rządu. Chodziło jej o to, abyśmy delikatnie »pouczyli go«, jak powinien postępować, udzielili rad, jak ma budować swój autorytet, jak ma być osobą, której pozycja osłabi autorytet Biura Prasy i jej wspaniałego kierownika, towarzysza Beka. [...] Przez godzinę siedział z nami premier. Wysłuchał kilku uwag krytycznych, głównie ode mnie, na temat prezentowania opinii publicznej różnych problemów. Krytykowałem także zbyt długie wystąpienia, których prawie nikt nie czyta. Zastaniał się koniecznościami, w czym dzielnie sekundował mu ten głupi Janiurek. Na koniec jednak powiedział, że się zgadza, że zastanowi się nad moją sugestią, aby stale zapraszał na przykład kilku dziennikarzy na rozmowy nie do druku. Zobaczymy, czy spełni to przyrzeczenie. Po jego wyjściu Inka powiedziała mi, abym próbował z nim rozmawiać, tłumaczyć mu to i owo, pamiętając jednak, że »Piotr krytyki nie lubi«. Ba, a kto ją lubi?»[401].

Rakowski osobiście wysoko cenił Inkę i jako jeden z nielicznych dziennikarzy dostrzegał jej intelekt i zdrowy rozsądek. Przy okazji wyjątkowo nie lubił Andrzeja Jaroszewicza i pogłoski na temat złego traktowania pasierba przez Alicję nie robiły na nim większego wrażenia.

„Z Inką zaprzyjaźniłem się pod koniec lat pięćdziesiątych. Była wtedy członkiem Prezydium Zarządu Głównego SDP [Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich – S.K.], a ja jego prezesem. [...] Bardzo miła, zgrabna i sympatyczna pani. Nigdy nie zadziera nosa, nie daje odczuć, że jest żoną ważnej osobistości. Zawsze była i jest przede wszystkim dziennikarką. Teraz widzę, że bardzo jej

zależy (co uważam za naturalne) na korzystnym dla męża klimacie w prasie”[402].

W czasach propagandy sukcesu żony dostojników partyjnych i państwowych wreszcie wyszły z cienia. Stanisława Gierek towarzyszyła mężowi w podróżach zagranicznych, Solska również uczestniczyła w oficjalnych spotkaniach premiera. Czasami jednak przynosiło to efekty odwrotne do zamierzonych, jak w przypadku podróży do Indii w styczniu 1973 roku. Nowa polityka prasowa rządu spowodowała, że delegacji rządowej towarzyszył sztab dziennikarzy, a relacja autorstwa Jana Bijaka zamieszczona w „Polityce” wzbudziła spore kontrowersje. Dziennikarz skupił się bowiem na towarzyskiej stronie wizyty, co wzbudziło irytację partyjnego Biura Prasy. Również Jaroszewicz nie był zachwycony, Bijakowi zdarzyło się bowiem ewidentne przejęzyczenie na temat Solskiej. Wspominając złożenie oficjalnych wieńców, napisał, że Inka pojawiła się na uroczystości „w samych pończochach”. Dziwne, że nikt (?) tego lapsusu nie zauważył przed wysłaniem do druku...

Inna sprawa, że Jaroszewicz nigdy nie potrafił się wyrzec osobistego wpływu na najdrobniejsze szczegóły. Szef rządu wtrącał się do wszystkiego, wzbudzając zdziwienie swoich współpracowników oraz pracowników różnych instytucji.

„Pewnego razu nagle, bez zapowiedzi – wspominał z niesmakiem wicepremier, Józef Tejchma – Jaroszewicz wpadł na posiedzenie kolegium telewizji i zarządził wspólne przesłuchanie jakiegoś reportażu. Jeden z redaktorów nie wytrzymał: że też premier ma czas zajmować się takimi duperelami. Premier trochę otrzeźwiał, ale nie przestał dzwonić do telewizji po różnych programach”[403].

Pod szczególną kontrolą premiera była Polska Kronika Filmowa. W tym przypadku Jaroszewicz miał jednak rację, był to bowiem program wyświetlany obowiązkowo przed każdym seansem kinowym. Stanowił zatem ważny element propagandy, ale Jaroszewicz z jego kontroli zrobił prawdziwe misterium. Dwa



razy w tygodniu zaczynał bowiem swoje urzędowanie od cenzury nowego wydania kroniki.

„Każdego ranka w środę i w piątek – wspominał Mirosław Chrzanowski – jeszcze »gorące« pudło z nagraniem kroniki (pierwsza kopia) redaktor naczelny, Michał Gardowski, brał pod pachę i jechaliśmy do Urzędu Rady Ministrów w Aleje Ujazdowskie, gdzie pracował Piotr Jaroszewicz. Tam w wielkiej sali narad, przy odsłoniętych olbrzymich oknach, prezes Rady Ministrów w otoczeniu wicepremierów i wyższych rangą urzędników oglądał jako pierwszy widz w ludowej ojczyźnie Polską Kronikę Filmową”[404].

Podobno pierwsze „seanse przebiegały znośnie”, a premier wprawdzie „zadawał pytania”, ale nie było specjalnych ingerencji w treść programu. Z czasem jednak sytuacja uległa zmianie, Jaroszewiczowi nie podobały się na przykład konie z wiejskiego targu (zbyt dobrze się prezentowały!), ewentualnie połów jesioteń w delcie Dunaju (wyglądało, że rumuńscy rybacy łowili wypatroszone wcześniej ryby). Do prawdziwej afery doszło dopiero przy okazji reportażu z inauguracji nowego roku szkolnego. Zamieszczono bowiem w nim materiał „o zaniedbanej wiejskiej szkole w powiecie limanowskim” oraz „samotnej i bezradnej, zapomnianej przez Boga i władze nauczycielce”. Jaroszewicz dostał prawdziwej furii.

„Zaczął na nas wrzeszczyć, że szkalujemy socjalizm, że jesteśmy złośliwymi, nieodpowiedzialnymi dziennikarzami. »Ja jestem nauczycielem i wiem, że takich szkół w Polsce Ludowej nie ma« – krzyczał premier rozgniewany do białości. Kazał natychmiast usunąć z kroniki »kawałek o szkole«, grożąc, że jak nie wykonamy polecenia, to on nas wyrzuci na zbite pyski!”[405].

Dziennikarze posłusznie usunęli zakwestionowany materiał, w pośpiechu zapomnieli jednak, że inną kopię kroniki emituje telewizja. Premier zobaczył reportaż na szklanym ekranie i awantura wybuchła na nowo.

To nie był wyjątek, podobno Jaroszewicz dostał szału, gdy

obejrzał reportaż *Trudne zniwa*. Ukazano w nim bowiem obraz daleki od oficjalnej propagandy epoki Edwarda Gierka.

„»Kosy w Polsce już nikt nie używa« – oznajmił kategorycznie. Skąd on czerpał taką wiedzę, nie mieliśmy najmniejszego pojęcia. Tłumaczyliśmy, że to tereny podmokłe, po długotrwałych opadach. Skończyło się na krzyku. Ale w następnym wydaniu pokazaliśmy przewspianiałe kombajny w PGR w Wielkopolsce i premier był usatysfakcjonowany»[406].

Problemem stawały się również upodobania muzyczne i literackie szefa rządu. Towarzysz Piotr chciał ingerować w dziedzinę rozrywki i decydować, jacy wykonawcy mają pojawiać się w programie telewizyjnym. Szczególnie zaś lansował Irenę Santor, która była jego ulubioną piosenkarką.

„Tejchma wydał obiad dla Witolda Małcużyńskiego – zapisał Rakowski. – Byli Wicek Kraśko, Lucek Motyka, Karol Małcużyński i premier z żoną. Początkowo rozmowa toczyła się wokół różnych drobiazgów, zupełnie błahych. Później, już przy stole, premier zaczął wypowiadać się na temat sztuki. Prezentował poglądy, od których można dostać skrętu kiszek. Ideałem dla niego jest Irena Santor (rzewno-patriotyczna śpiewaczka). Z oburzeniem mówił o inscenizacji przez Adama Hanuszkiewicza »Balladyny«. Nie może mu wybaczyć wprowadzenia na scenę motocykli (hondy). Jest faktem, że inscenizacja Adama wielu zaszokowała, ale to przecież nie jest jeszcze powód, żeby oskarżać go o nihilizm narodowy. A tak właśnie »ustawił« go Jaroszewicz. [...] Zaprezentował się jako najbardziej klasyczny okaz nauczyciela ludowego, który po obejrzeniu »Balladyny« Hanuszkiewicza głośno wrzeszczał, że jest to szarganie świętości narodowych. W czasie wywodów premiera przyglądałem się Ince. Widziałem, że cierpi katusze. Nie dziwię się, jest to bowiem bardzo inteligentna pani, która swym bystrym okiem i dobrym słuchem od razu wyczuwa, z kim ma do czynienia»[407].

Z czasem jednak także Solska zaczęła tracić kontakt z rzeczywistością. Przebywanie na szczytach władzy i otoczenie

usłużnymi dworakami okazały się zbyt trudną próbą dla dziennikarki. Rakowski widział zachodzące zmiany i ze smutkiem stwierdzał, że nie jest to już osoba, którą znał od wielu lat.

„[...] zauważyłem, że przewróciło jej się w głowie. Rozmawialiśmy o polityce wydawniczej, o książkach, których ukazanie się skrytykował Łukaszewicz. Alicja słuchała, a w pewnej chwili powiedziała: »No tak, ale wydaje się nieraz zupełnie głupie pozycje« i zaczęła opowiadać o jakiejś książce, która wpadła w ręce Piotrowi. Mówiła o niej tonem potępienia i dezaprobaty. Powiedziałem: »Alicjo, na miłość boską, czy ty wyobrazasz sobie jakikolwiek ruch umysłowy w warunkach, gdy będą się ukazywać tylko prawidłowe, słuszne książki? Przecież nie było jeszcze takiej twórczej epoki w historii ludzkości, która byłaby wynikiem glajszaltowania wszystkiego, od góry do dołu«. Nie wiem, co pomyślała, ale doszedłem do wniosku, że i ona już złapała wirusa władzy absolutnej”[408].

Życie pod jednym dachem z Jaroszewiczem nie było najłatwiejszą próbą. Premier bywał nerwowy i porywczy, zdarzało mu się nawet publicznie wygłaszać krytyczne uwagi pod adresem żony. A nie były to miłe słowa.

„Obiad z premierem w Urzędzie Rady Ministrów – kontynuował Rakowski. – Był tylko Karol [Małcużyński] i – oczywiście – Inka Solska. To był jej pomysł. Inka odgrywa bardzo pozytywną rolę, ale nie zawsze potrafi w sposób dyplomatyczny przeprowadzić pewne sprawy. Już niejedną raz zauważyłem, że to, co mówi, denerwuje premiera, a nawet złości. Mówi do niej: »uspokój się«, »ty wszystko czarno widzisz«, »babskie gadanie« etc. Alicja jest rzeczywiście kobietą wrażliwą i skorą do emocjonalnych reakcji, co nie znaczy, że mówi głupstwa. Bardzo troszczy się o to, żeby Piotr chodził po ziemi”[409].

## DYGNITARZE I ŚWIĘTA

Obyczaje prominentów partyjnych lat siedemdziesiątych zdecydowanie odbiegały od zwyczajów z czasów Gomułki czy Bieruta. Pomimo bowiem oficjalnie głoszonego ateizmu dyskretnie obchodzono święta kościelne, nadawano im wprawdzie świecką treść, ale podkreślano tradycję. Gierek i Jaroszewicz często spędzali wspólnie Boże Narodzenie i Nowy Rok (w Łańsku lub Arłamowie), a tam zachowywali się w sposób nietypowy dla działaczy komunistycznych. Jak przysięgali naoczni świadkowie, towarzysze dzielili się z rodzinami opłatkiem, a potem wspólnie kolędownali. Nic dziwnego, iż Tejchma notował ironicznie, „że lubimy to wszystko, choć jesteśmy tzw. komunistami”.

Czasami dochodziło jednak do sytuacji przypominających sceny z filmów Stanisława Barei. Zdarzyło się, że na wieczerzy wigilijnej w Łańsku podano bigos (mięsny), ale „tradycja” została zachowana...

W resorcie kultury okres świąteczny wzbudzał jednak prawdziwy popłoch. Przygotowywano bowiem specjalny program telewizyjny, a jego najsurowszym krytykiem okazywał się Jaroszewicz. Często miał poparcie Gierka, obaj towarzysze w święta oglądali głównie telewizję, a po powrocie do stolicy zawsze wygłaszali krytyczne uwagi.

„Już drugi raz po Nowym Roku spędzonym przez Jaroszewicza i Gierka w Arłamowie – skarżył się Tejchma – otrzymuję od szefa rządu uwagi o kulturze na tle świątecznego programu telewizyjnego. Teraz pieklenie wywołał »występ jakiegoś byka, który mógłby budować bloki mieszkalne«, a wyje w telewizji. Trzeba ograniczyć szkolnictwo muzyczne, bo psuje młodzież, pobudzając nierealne aspiracje. Ograniczenie tego szkolnictwa jest jedną z rezerw naszej gospodarki. Dość nikły wynik dziesięciodniowego pobytu w Arłamowie”[410].

## OSTATNIE LATA

Wszystko to zmieniło się w czerwcu 1976 roku, kiedy władze usiłowały dokonać drastycznej podwyżki cen. Operacja okazała się nieudana, wybuchły protesty robotnicze w Ursusie i Radomiu, a rachunek za porażkę wystawiono Jaroszewiczowi. Wprawdzie utrzymał się na stanowisku, ale Gierek publicznie zaczął tytułować go „towarzyszem Piotrem”, nie zwracając się już do niego po imieniu. A w partyjnej nowomowie oznaczało to niełaskę.

Trzy lata później szef rządu doznał rozległego zawału serca. Chociaż powrócił do aktywności zawodowej, to jednak jego dni były już policzone. Polska zmierzała ku katastrofie gospodarczej i Gierek zdecydował się na zmiany. W lutym 1980 roku nowym premierem został Edward Babiuch, a towarzysza Piotra usunięto również z Biura Politycznego KC PZPR. Rok później, jako człowiek odpowiedzialny za kryzys gospodarczy, został wykluczony z partii, stanął także przed specjalną komisją powołaną na X Plenum KC PZPR. Po wprowadzeniu stanu wojennego został internowany i wraz z innymi dostojnikami poprzedniej dekady trafił do obozu na poligonie w Głębokiem koło Drawska.

„Pod wieczór u Alicji Solskiej – zanotował 30 stycznia 1982 roku Mieczysław Rakowski. – Przypadkowo trafiłem na dzień dla mnie ważny, ponieważ Alicja rano wróciła od Piotra. Umieszczono go (wraz z grupą internowanych prominentów) na poligonie w Drawsku. Alicja opowiadała, jak odbyło się internowanie Piotra. Noc z 12 na 13 grudnia, godzina druga. Zabrał go z domu porucznik i sierżant. Pod karabinami został przewieziony gdzieś pod Warszawę. Po tygodniu przewieziono go do Drawska. Mieszka w pokoju o wymiarach 4 na 1,8 m. Początkowo nawet do stołówki prowadzono go pod strażą. Na piętrze siedziało trzech facetów z pistoletami automatycznymi wymierzonymi w każdego z internowanych. Po interwencji Alicji u generała Janiszewskiego

w pierwszej dekadzie stycznia posterunki te zdjęto. Alicja opowiadała mi o psychicznym i fizycznym stanie Piotra. Jest załamany i schorowany. Ma 73 lata i jest po ciężkim zawale. Gdy go odwiedziła, był na dnie psychicznym. Mówił o samobójstwie, głodówce itp”[411].

Jaroszewicza zwolniono po roku internowania, całkowicie zniknął wówczas ze sceny politycznej. Nigdy nie trafił przed Trybunał Stanu (czym mu grożono), wraz z żoną spędzali czas na zajęciach właściwych emerytom. Podobno mieli problemy finansowe, ale ratowali się wyprzedając numizmatów, które Piotr zgromadził podczas swojej długiej kariery. W 1991 roku ukazała się pierwsza część jego wspomnień, przeprowadzony przez dziennikarza Bohdana Rolińskiego wywiad rzeka. Nosił znamieny tytuł *Przerywam milczenie*, a Roliński podobno opublikował tylko fragment rozmów z byłym premierem. Planowano wydanie drugiej części, miała ona wstrząsnąć polską sceną polityczną, ale Jaroszewicz nie zdołał już jej autoryzować.

W nocy z 31 sierpnia na 1 września 1992 roku Alicja i Piotr zostali bestialsko zamordowani przez nieznaną sprawców. Mordercy wdarli się do ich willi, ofiary długo torturowano, następnie Solską zastrzelono, a Jaroszewicz został uduszony. W śledztwie pojawiały się różne motywy – od zemsty funkcjonariuszy tajnych służb do faktu posiadania przez byłego premiera tajemniczego archiwum hitlerowskiego, które miał zdobyć u schyłku wojny. Nie zabrakło również wątku rabunkowego (choć z domu nic nie zginęło), ewentualnie motywów rodzinnych. Morderców do dzisiaj nie wykryto i cała sprawa stanowi jedną z największych tajemnic III RP.

Premiera i jego małżonkę pochowano u boku Oksany w rodzinnym grobowcu na Powązkach Wojskowych. Alicja pominęła Andrzeja Jaroszewicza w swoim testamencie, a Czerwony Książę nie utrzymuje stosunków z jej dziećmi. Wzajemna nienawiść macochy i pasierba najwyraźniej przetrwała aż za grób, a pan Andrzej do dzisiaj nie potrafi mówić o niej bez

zdeenerwowania...

# Zakończenie



Gdy Państwo będą kończyć lekturę tej książki, mnie zapewne pochłonie już praca nad następną pozycją z dziejów PRL. Tym razem zamierzam napisać o skandalistach tej epoki, o ludziach, których śmiało można by uznać za prekursorów dzisiejszych celebrytów. Nie brakowało ich bowiem w czasach przodującego ustroju, a od swych obecnych odpowiedników różnili się jednak tym, że z reguły były to pierwsze nazwiska ze świata kultury czy sportu.

Przypuszczam zresztą, że nie uda mi się wyczerpać tematu, dlatego planuję także książkę „Stracone pokolenie PRL”, w której opowiem o złamanych karierach i tragicznych losach niespełnionych do końca artystów. Polska Ludowa obfitowała bowiem w wielkie talenty, ale uwarunkowania społeczno-polityczne spowodowały, że wielu znakomicie zapowiadających się przedstawicieli sztuki nigdy nie osiągnęło poziomu, do jakiego byli predysponowani. Przegrali swój talent w oparach alkoholu i beznadziejności epoki, a przy okazji najczęściej tracili również życie.

Nie zamierzam jednak ograniczać się wyłącznie do samych tragicznych tematów, w czasach poprzedniej formacji zdarzały się również niezaprzeczalne sukcesy. Jedną z dziedzin, które osiągnęły wysoki poziom, była kinematografia, dlatego też i tego wątku nie może zabraknąć w moim cyklu.

Zresztą pomysłów mam tak wiele, że właściwie nie potrafię określić, kiedy uda mi się je zrealizować. Ale na pewno nie zrezygnuję z cyklu o czasach PRL, zawsze bowiem uważałem, że jest to niezwykle interesująca epoka, niesłusznie niedoceniana przez historyków...

## Ważniejsza bibliografia

- Abramowicz A., *Magda Zawadzka wspominała Gustawa Holoubka*, [http://info.siedlce.pl/index.php?option=com\\_content&task=view&id=3766&Itemid=1](http://info.siedlce.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=3766&Itemid=1)
- Batura E., *Księżycowy chłopiec*, Warszawa 2001 Bielas J., *Kobiety niezapomniane. Kalina Jędrusik-pierwsza madonna PRL-u*, [http://www.ikmag.pl/miesiecznik/kobiety\\_niezapomniane/kalina\\_jedrusik\\_pierwsza\\_madonna\\_prlu.html](http://www.ikmag.pl/miesiecznik/kobiety_niezapomniane/kalina_jedrusik_pierwsza_madonna_prlu.html)
- Bikont A., *Szczęsa J., Pan Marian od szwoleżerów*, „Magazyn”, 51/1994
- Błażejowska J., Wieczorkiewicz P., *Przez Polskę Ludową naprzetaj i na przekór*, Warszawa 2011
- Brandys K., *Nierzeczywistość*, Warszawa 2009
- Brandys M., *Dziennik 1972*, Warszawa 1997
- Brandys M., *Dziennik 1976-1977*, Warszawa 1996
- Brandys M., *Dziennik 1978*, Warszawa 1999
- Brandys M., *Od dzwonka do dzwonka*, [w:] *Moje przygody z historią*, Łomianki 2003
- Brandys M., *Wyprawa do oflagu*, Warszawa 1955 Broszkiewicz J., *Spotkania ze Stefanem*, [w:] *Sceptyk pełen wiary. Wspomnienia o Stefanie Otwinowskim*, Kraków 1979
- Buthenhoff-Duffy C., *Komeda – muzyczne ścieżki życia*, 2009
- Chrzanowski M., *Premier Jaroszewicz redaguje PKF*, <http://www.kronikarzprl.com.pl/spis-treści/8-premier-jaroszewicz-redaguje-pkf>
- Cieślak J., *Komeda był buntownikiem*, <http://info.rp.pl/artykul/649162.html?print=tak&p=0>
- Cieślak J., *Umarł Gustaw, umarł Konrad*, <http://info.rp.pl/artykul/986980.html?print=tak&p=0>  
[dygat.pl/biografia/wiecej](http://dygat.pl/biografia/wiecej)
- Dyगत M., *Rozstania*, Kraków 2001
- Dyगत S., *Jak zdałem maturę*, [w:] *Utwory rozproszone*, Warszawa 1991

- Elana Eden: Hollywood's Newest Cinderella Story*,  
<https://news.google.com/newspapers?id=QCwxAAAAIIBAJ&sjid=ABAEAAAIAIBAJ&pg=5733,3289272&dq=the+story+of+ruth+elana+eden&hl=en>
- Ferens A., *Errata do biografii. Stanisław Dygat*, TVP S.A. 2009
- Gańczak F., *Kryptonim Kmicic*,  
<http://www.newsweek.pl/kryptonim-kmicic,76714,1,1.html>
- „Gazeta Lwowska”, 16.11.1883,  
<http://jbc.bj.uj.edu.pl/dlibra/docmetadata?id=18440&from=publication>
- Gieron A., *Szalona Zośka Komedowa pamiętana w Bieszczadach*,  
[http://www.biznesstyl.pl/ludzie/sylwetki/1492\\_szalona-zoska-komedowa-pamietana-w-bieszczadach.html](http://www.biznesstyl.pl/ludzie/sylwetki/1492_szalona-zoska-komedowa-pamietana-w-bieszczadach.html)
- Grochowska M., *Wytrąceni z milczenia*, Warszawa 2005
- Gustaw Holoubek we wspomnieniach kolegów*, red. Mroziński A.,  
Warszawa 20.09
- Gutowski G., *Od Holocaustu do Hollywood*, Kraków 2004  
*Halina Mikołajska nie chciała, aby nazywać ją bohaterką*, Polskie Radio,  
29.05.1997,  
<http://www.polskieradio.pl/39/247/Artykul/807621,Halina-Mikolajska-nie-chciala-by-nazywano-ja-bohaterka>
- Holoubek G., *Wspomnienia z niepamięci*, Warszawa 2009  
IPN BU 00945/2185  
IPN BU 0204/628  
IPN BU 0246/992
- Janečkovi jsme museli stavět barák, vzpomíná Michal David*,  
<http://tn.nova.cz/zpravy/zajimavosti/janeckovi-jsme-museli-stavet-barak-vzpomina-michal-david.html>
- Jaroszewicz P., Roliński B., *Przerywam milczenie*, Warszawa 1991  
Kaczmarek R., Kalinowski M., *Czas Komedy*, TVP1994
- Kisielewski S., *Abecadło Kisiela*, Warszawa 2011
- Kisielewski S., *Dzienniki*, Warszawa 1996
- Kocham ludzi z poczuciem humoru*,  
<http://kisiel.salon24.pl/19887,kocham-ludzi-z-poczuciem->

## humoru

- Komar W., *Alfabet Władysława Komara. Sportowcy-artyści-prominenci*, Kraków 1991
- Komedowa Z., *Byłam skandalistką*, [http://www.wiadomosci24.pl/artykul/zofia\\_komedowa\\_bylam\\_skandalistka\\_107161.html](http://www.wiadomosci24.pl/artykul/zofia_komedowa_bylam_skandalistka_107161.html)
- Komeda-Trzcńska Z., *Komeda, Zośka i inni...*, Warszawa 1996
- Komeda-Trzcńska Z., *Moje Bieszczady Wilki*, <http://www.panstwo.net/854-moje-bieszczady-wilki>
- Konrad w oczach bezpieki, <http://fakty.interia.pl/prasa/tygodnik-solidarnosc/news-konrad-w-oczach-bezpieki,nld,871619>
- Konwicki T., *Kalendarz i klepsydra*, Warszawa 2005
- Koprowski J., *Portret z okruchów*, „Literatura”, 10/1978
- Korboński S., *W imieniu Kremla*, Warszawa 1997
- Krajewski A., *Między współpracą a oporem*, Warszawa 2004
- Krakowska ], *Mikołajska. Teatr i PRL*, Warszawa 2011
- Krawczyk B., *Czarowi Holoubka ulegli wszyscy od razu...*, [w:] *Gustaw Holoubek we wspomnieniach kolegów*, red. Mroziński A., Warszawa 2009
- Krůta J., *František Janeček – Doktor Byznys*, <http://www.pozitivni-noviny.cz/cz/clanek-2008060005>
- Kumanowska ], *Magdalena Zawadzka: Tęsknię za światem szlachetnych wartości*, <http://www.kobieta.pl/gwiazdy/emocje/zobacz/arttykul/magdalena-zawadzka-tesknie-za-swiatem-szlachetnych-wartosci/>
- Kurowski E., *Moje życie ze Stanisławem Dygatem*, Toruń 2004
- Kutiak M.T., *Na grandę, czyli przez płot na stadion Cracovii*, <http://plock.gazeta.pl/plock/1,82015,4238465.html>
- Kutz K., *Klasy i ścinki. Mój alfabet filmowy i nie tylko*, Kraków 1999
- Kutz K., *Portrety godziwe*, Kraków 2004
- Lach T., *Ostatni tacy przyjaciele. Komeda, Hłasko, Niziński*, Warszawa 2013

- Lapru J., *Tutaj nadrabiamy stracony czas*,  
<http://www.daltonpizza.com/br/prasowe/przyjaciolka.html>
- Łapicka K., *Łapa w łapę. Z Andrzejem Łapickim rozmawia Kamila Łapicka*, Warszawa 2012
- Łopuszański P., *Gustaw Holoubek. Filozof bycia*, Warszawa 2010
- Majcherek J., *Holoubek. Paradoksy konserwatysty*,  
<http://www.teatrateneum.pl/?p=2196>
- Majka D., *Muzyka go wezwwała i absolutnie jej uległ. Był apostołem*,  
[http://lublin.wyborcza.pl/lublin/1,35637,12207874,Muzyka\\_go\\_wezwala\\_i\\_absolutnie\\_jej\\_ulegl\\_Byl\\_apostolem.html](http://lublin.wyborcza.pl/lublin/1,35637,12207874,Muzyka_go_wezwala_i_absolutnie_jej_ulegl_Byl_apostolem.html)
- Maryla Rodowicz kontra Urszula Sipińska: wojna o piosenkę,  
[http://www.se.pl/rozrywka/gwiazdy/maryla-rodowicz-kontra-urszula-sipinska-wojna-o-piosenke\\_162266.html](http://www.se.pl/rozrywka/gwiazdy/maryla-rodowicz-kontra-urszula-sipinska-wojna-o-piosenke_162266.html)
- Maryla Rodowicz: urwałam rękaw Sipińskiej!,  
<http://www.fakt.pl/maryla-rodowicz-o-konflikcie-z-urszula-sipinska,artykuly,215476,1.html>
- Matuszewski R., *Alfabet. Wybór z pamięci 90-latk*, Warszawa 2004
- Matuszewski R., *Pisarskie uroki młodości*, „Polityka”, 6/1978
- Michał Olszański zaprasza na rozmowę z „Czerwonym księciem”,  
<http://www.polskieradio.pl/9/1363/Artykul/443831,Michal-Olszanski-zaprasza-na-rozmowe-z-Czerwonym-ksieciem>
- Michnik A., *Mądrość i gniew. Na jubileusz Mariana Brandysa*,  
[http://wyborcza.pl/1,101405,7166082,Madrosic\\_i\\_gniew\\_Na\\_jubileusz\\_Mariana\\_Brandysa.html](http://wyborcza.pl/1,101405,7166082,Madrosic_i_gniew_Na_jubileusz_Mariana_Brandysa.html)
- Michnik A., *Wyznania nawróconego dysydenta*, Warszawa 2003
- Mikołajska H., *Wspomnienie o Jerzym Zawieyskim*, „Nasza Rodzina”, 6/1979
- Miniewicz S., *Magdalena Zawadzka: taka miłość się nie zdarza*,  
<http://film.onet.pl/artykuly-i-wywiady/magdalena-zawadzka-taka-milosc-sie-nie-zdarza/vp45q>
- Minkiewicz J., *Pamiętniki. Rozdział X*, „Nowiny Literackie”,

15/1947

Morelle E.M., *Słodkie życie*, Kraków 2007

Mrozek W., *Witkacy na szynach*,  
<http://www.dwutygodnik.com/arttykul/4432-witkacy-na-szynach.html>

Nie było ludzi, którzy go nie lubili,  
<http://uwaga.tvn.pl/reportaze.2671,n/nie-bylo-ludzi-ktorzy-go-nie-lubili.134315.html>

Olbrychski D., *Anioły wokół głowy*, Warszawa 1992

Osiecka A., *Szpetni czterdziestoletni*, Łódź 1985 Otwinowska E.,  
*Stas Dygat*, „Przekrój”, 9/1978

Para J., *Naśmiewał się ze wszystkich, ale i z samego siebie*, [w:]  
*Gustaw Holoubek we wspomnieniach kolegów*, red.  
Mroziński A., Warszawa 2009

Podlewski S., *Przemarsz przez piekło*, Warszawa 1971

Polański R., *Roman*, Warszawa 1989

Ponikowski M., *Zabytkowe porsche 914 w Gdyni. Samochód podobny do tego, którym jeździła Maryla Rodowicz*,  
<http://www.dziennikbaaltycki.pl/arttykul/671071,zabytkowe-porsche-914-w-gdyni-samochod-podobny-do-tego-ktory-jezdzi-la-maryla-rodowicz-zdjecia,id,t.html>

Po połączeniu teatry utraciły patronów. „Degradacja dla dwóch wielkich ludzi”,  
<http://tvnwarszawa.tvn24.pl/informacje,news,po-polaczeniu-teatry-utracily-patronow-degradacja-dla-dwoch-wielkich-ludzi,109841.html>

Pytlakowska K., *Tylko nie oblej się zupą*, „Viva!”, 22/2002

Radwan Ł., *Każdy ma swojego Holoubka*, „Wprost”, 11/2008

Rakowski M., *Dzienniki polityczne 1963-1966*, t. 2, Warszawa 1999

Rakowski M., *Dzienniki polityczne 1969-1971*, t. 4, Warszawa 2002

Rakowski M., *Dzienniki polityczne 1972-1975*, t. 5, Warszawa 2002

- Rakowski M., *Dzienniki polityczne 1976-1978*, t. 6, Warszawa 2002
- Rakowski M., *Dzienniki polityczne 1981-1983*, t. 8, Warszawa 2004
- Riege K., *Komeda*, TVP1973
- Rodowicz M., *Niech żyje bal*, Warszawa 1991
- Rodowicz M., *Szubrycht Wariatka tańczy*, Warszawa 2013
- Rodowicz o Hołdysie: „Wyrzuciłam go, bo pił”,  
<http://www.wideoportal.pl/site/items/4663,rodowicz-o-holdysie-wyrzucilam-go-bo-pil>
- Sipińska o Rodowicz: święta krowa!, <http://www.fakt.pl/Urszula-Sipinska-obraza-Maryle-Rodowicz-Wojna-piosenkarek,artykuly,216925,1.html>
- Smoleń-Wasilewska E., *Jowita z Disneylandu. Rozmowa ze Stanisławem Dygatem*, „Film”, 40/1967
- Solska A., *Na pomoc walczącej Warszawie*, „Głos Ludu” 26.08.1947
- Solska A., *W kanałach Starówki*, „Stolica” 33/1957  
[sopot.net/jazz.html](http://sopot.net/jazz.html)
- Stanisławczyk B., *Był moim Gucieńkiem*, <http://www.e-teatr.pl/pl/artykuly/55483.html>
- Stawecki M., *Krzysztof Komeda. Chłopiec to był*,  
<http://www.wzielonej.pl/radio/news/2560,krzysztof-komeda-chlopiec-to-by.html>
- Strasburger K., *Nienawidził głupoty i donosicielstwa*, [w:] *Gustaw Holoubek we wspomnieniach kolegów*, red. Mroziński A., Warszawa 2009
- Szałkowski A., *Krzysztof Komeda w Wałbrzychu*,  
<http://walbrzych.naszemiasto.pl/artykul/krzysztof-komeda-w-walbrzychu,1081791,artgal,t,id,tm.html>
- Szczerba J., *Co ja, Jezus Chrystus jestem?*,  
[http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,6894162,Co\\_ja\\_Jezus\\_Chrystus\\_jestem\\_.html](http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,6894162,Co_ja_Jezus_Chrystus_jestem_.html)
- Szczęśna J., *Natura – reporter*, „Gazeta Wyborcza”, 01.01.1998,

<http://kapuscinski.info/natura-reporter.html>

Szymańska I., *Czego wtedy nie powiedziałam...*, „Polityka” 6/1978

Szymańska I., *Miałam dar zachwytu. Wspomnienia wydawcy*, Warszawa 2001

Szymańska I., Wyżyńska D., *Gustaw Holoubek (1923-2008)*,

<http://wyborcza.pl/1,75248,4998795.html>

Szymański P.W., *Rozmowa ze Stanisławem Dygatem*, „Tygodnik Powszechny” 28/1965

Tejchma J., *Kulisy dymisji. Z dzienników ministra kultury 1974-1977*, Kraków 1991

Tejchma J., *Odszedł Gomułka, przyszedł Gierek. Notatki z lat 1971-1973*, Toruń 2006

Terlecka-Reksnis M., *Holoubek. Rozmowy*, Warszawa 2008

*Tropem tajemnic rodziny Jaroszewiczów*, za:

<http://uwaga.tvn.pl/reportaze.2671,n/tropem-tajemnic-rodziny-jaroszewiczow.134368.html>

Urban J., *Alfabet Urbana. Od UA do Z*, Warszawa 1990

Urban J., Stremecka M., *Jerzy Urban*, Warszawa 2013

Vlady M., *Wysocki, czyli przerwany lot*, Warszawa 1990

Vondráčková H., *Wspominam i niczego nie żałuję*, Warszawa 2009

*Warszawa oszczędza na teatrach. Przy okazji wyrzuca Gustawa Holoubka z nazwy jednej z najważniejszych placówek kultury*,

<http://wpolityce.pl/polityka/172322-warszawa-oszczedza-na-teatrach-przy-okazji-wyrzuca-gustawa-holoubka-z-nazwy-jednej-z-najwazniejszych-placowek-kultury>

Wąsowska R., *Kawaler z kolonii Staszica*, „Rzeczpospolita”, 24/1998

Zapert T.Z., *Salonowiec warszawski*, „Wprost”, 5/2008

Zawadzka M., *Gustaw i ja*, Warszawa 2011

Zawadzka M., *Lubię wejść do jego pokoju*,

<http://www.gala.pl/wywiady-i-sylwetki/magdalena-zawadzka-lubie-wejsc-do-jego-pokoju-6762/>



Żakowski J., *Przy stoliku w Czytelniku*,  
[http://wyborcza.pl/1,75402,10054974,Przy stoliku w Czytelniku cz I.html](http://wyborcza.pl/1,75402,10054974,Przy_stoliku_w_Czytelniku_cz_I.html)

## Przypisy

- 1 J. Minkiewicz, *Pamiętniki. Rozdział X*, „Nowiny Literackie” 1947, nr 15, s. 6-7.
- 2 *Ibidem*, s. 7.
- 3 S. Dygat, Jak *zdałem maturę*, [w:] *Utwory rozproszone*, Warszawa 1991, 1.1, s. 62-63.
- 4 Za: R. Wąsowska, *Kawaler z kolonii Staszica*, „Rzeczpospolita”, 24/1998.
- 5 J. Broszkiewicz, *Spotkania ze Stefanem*, [w:] *Sceptyk pełen wiary. Wspomnienia o Stefanie Otwinowskim*, Kraków 1979, s. 166.
- 6 P.W. Szymański, *Rozmowa ze Stanisławem Dygatem*, „Tygodnik Powszechny” 1965, nr 28, s. 4.
- 7 *Ibidem*.
- 8 *Ibidem*.
- 9 J. Minkiewicz, *op. cit.*, s. 7.
- 10 Za: R. Wąsowska, *op. cit.*
- 11 Za: <http://kisiel.salon24.pl/19887,kocham-ludzi-z-poczuciem-humoru>.
- 12 J. Minkiewicz, *op. cit.*
- 13 P.W. Szymański, *op. cit.*
- 14 M. Dygat, *Rozstania*, Kraków 2001, s. 16.
- 15 I. Szymańska, *Czego wtedy nie powiedziałam...*, „Polityka” 1978, nr 6, s. 9.
- 16 I. Szymańska, *op. cit.*
- 17 K. Kutz, *Portrety godziwe*, Kraków 2004, s. 58.
- 18 K. Kutz, *Klasy i ścinki. Mój alfabet filmowy i nie tylko*, Kraków 1999, s. 70.
- 19 *Kocham ludzi z poczuciem humoru*, <http://kisiel.salon24.pl/19887,kocham-ludzi-z-poczuciem-humoru>.
- 20 E. Otwinowska, *Staś Dygat*, „Przekrój”, 9/1978.

- 
- 21 M. Dygat, *op. cit.*, s. 42-46.
  - 22 *Ibidem*, s. 45.
  - 23 *Ibidem*, s. 49-50.
  - 24 E. Kurowski, *Moje życie ze Stanisławem Dygatem*, Toruń 2004, s. 47-48.
  - 25 *Ibidem*, s. 90-91.
  - 26 *Ibidem*, s. 57-58.
  - 27 M. Dygat, *op. cit.*, s. 82-83.
  - 28 *Ibidem*, s. 179.
  - 29 J. Koprowski, *Portret z okruchów*, „Literatura”, 10/1978.
  - 30 M. Dygat, *op. cit.*, s. 140.
  - 31 E. Kurowski, *op. cit.*, s. 120-121.
  - 32 <http://dygat.pl/biografia/wiecej/>.
  - 33 M. Dygat, *op. cit.*, s. 76.
  - 34 *Ibidem*, s. 77.
  - 35 K. Kutz, *Klasy i ścinki...*, s. 135-136.
  - 36 K. Kutz, *Portrety godziwe*, s. 70.
  - 37 M. Dygat, *op. cit.*, s. 206-207.
  - 38 *Ibidem*, s. 216-217.
  - 39 *Ibidem*, s. 222.
  - 40 D. Olbrychski, *Anioły wokół głowy*, Warszawa 1992, s. 212.
  - 41 K. Kutz, *Portrety godziwe*, s. 71.
  - 42 *Ibidem*, s. 64.
  - 43 T. Konwicki, *Kalendarz i klepsydra*, Warszawa 2005, s. 98.
  - 44 *Ibidem*, s. 96-97.
  - 45 M. Dygat, *op. cit.*, s. 219.
  - 46 *Ibidem*, s. 218.
  - 47 K. Kutz, *Klasy i ścinki...*, s. 136.
  - 48 IPN BU 0204/628, s. 64.
  - 49 T.Z. Zapert, *Salonowiec warszawski*, „Wprost”, 5/2008.
  - 50 A. Osiecka, *Szpetni czterdziestoletni*, Łódź 1985, s. 27.
  - 51 J. Bielas, *Kobiety niezapomniane. Kalina Jędrusik-pierwsza madonna*  
PRL-u,

---

[http://www.ikmag.pl/miesiecznik/kobiety\\_niezapomniane/kalina\\_jedrusik\\_pierwsza\\_madonna\\_prlu.html](http://www.ikmag.pl/miesiecznik/kobiety_niezapomniane/kalina_jedrusik_pierwsza_madonna_prlu.html).

52 *Ibidem*.

53 *Errata do biografii. Stanisław Dygat*, reż. A. Ferens, TVP S.A. 2009.

54 S. Kisielewski, *Abecadło Kisiela*, Warszawa 2011.

55 E. Otwinowska, *op. cit.*

56 *Errata...*, *op.cit.*

57 IPN BU 0204/628, s. 140.

58 *Ibidem*, s. 141.

59 *Errata...*, *op. Cit.*

60 *Ibidem*.

61 *Ibidem*.

62 *Ibidem*.

63 K. Kutz, *Klapy i ścinki...*, s. 71-72.

64 Za: J. Szczerba, *Co ja, Jezus Chrystus jestem?*,  
[http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,6894162,Co\\_ja\\_Jezus\\_Chrystus\\_jestem\\_.html?as=3](http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,6894162,Co_ja_Jezus_Chrystus_jestem_.html?as=3),

65 D. Olbrychski, *op. cit.*, s. 212-213.

66 *Komeda*, reż. K. Riege, TVP 1973.

67 A. Szatkowski, *Krzysztof Komeda w Wałbrzychu*,  
[http://walbrzych.naszemiasto.pl/artukul/galeria/1081791,krzysztof-komeda-w-walbrzychu,id,t.html?sesja\\_gratka=716cb77el6ab07db1e76dfdc3596fbb2](http://walbrzych.naszemiasto.pl/artukul/galeria/1081791,krzysztof-komeda-w-walbrzychu,id,t.html?sesja_gratka=716cb77el6ab07db1e76dfdc3596fbb2).

68 *Komeda, op. cit.*

69 E. Batura, *Księżycowy chłopiec*, Warszawa 2001, s. 36-37.

70 *Komeda, op. cit.*

71 Z. Komeda-Trzcińska, *Komeda, Zośka i inni...*, Warszawa 1996, s. 38.

72 *Komeda – muzyczne ścieżki życia*, reż. C. Buthenhoff-Duffy, 2009.

73 <http://www.sopot.net/jazz.html>.

- 
- 74 *Ibidem.*
- 75 E. Batura, *op. cit.*, s. 51.
- 76 *Ibidem*, s. 52.
- 77 *Czas Komedy*, reż. R. Kaczmarek, M. Kalinowski, TVP 1994.
- 78 *Ibidem.*
- 79 Z. Komeda-Trzcińska, *Komeda...*, s. 53.
- 80 *Ibidem*, s. 53-54.
- 81 Z. Komedowa, *Byłam skandalistką*,  
[http://www.wiadomosci24.pl/artukul/zofi.a\\_komedowa\\_byla\\_m\\_skandalistka\\_107161-3--6-d.html](http://www.wiadomosci24.pl/artukul/zofi.a_komedowa_byla_m_skandalistka_107161-3--6-d.html).
- 82 Z. Komeda-Trzcińska, *Komeda...*, s. 32.
- 83 *Ibidem*, s. 33.
- 84 *Ibidem*, s. 33.
- 85 *Ibidem*, s. 38.
- 86 E. Batura, *op. cit.*, s. 35.
- 87 Z. Komeda-Trzcińska, *Komeda...*, s. 57-58.
- 88 *Ibidem*, s. 58-59
- 89 *Komeda, op. cit.*
- 90 Z. Komeda-Trzcińska, *Komeda...*, s. 65.
- 91 E. Batura, *op. cit.*, s. 79.
- 92 *Komeda, op. cit.*
- 93 R. Polański, *Roman*, Warszawa 1989, s. 116.
- 94 *Ibidem*, s. 116.
- 95 *Komeda – muzyczne ścieżki życia, op. cit.*
- 96 *Ibidem.*
- 97 *Ibidem.*
- 98 *Ibidem.*
- 99 *Czas Komedy, op. cit.*
- 100 *Ibidem.*
- 101 *Komeda, op. cit.*
- 102 *Ibidem.*
- 103 *Ibidem.*
- 104 Z. Komeda-Trzcińska, *Komeda...*, s. 67.

- 
- 105 *Ibidem*, s. 67.
- 106 *Ibidem*, s. 67.
- 107 M. Stawecki, *Krzysztof Komeda. Chłopiec to był*, <http://www.wzielonej.pl/radio/news/2560,krzysztof-komeda-chlopiec-to-był.html>
- 108 *Komeda – muzyczne ścieżki życia*, *op. cit.*
- 109 Z. Komeda-Trzcińska, *Komeda...*, s. 2.
- 110 J. Cieślak, *Komeda był buntownikiem*, <http://www.rp.pl/artyku/649162.html?p=2>.
- 111 *Komeda – muzyczne ścieżki życia*, *op. cit.*
- 112 *Komeda*, *op. cit.*
- 113 E. Batura, *op. cit.*, s. 111.
- 114 *Ibidem*, s. 112.
- 115 *Komeda – muzyczne ścieżki życia*, *op. cit.*
- 116 *Krzysztof Komeda. Chłopiec to był*, *op. cit.*
- 117 *Komeda*, *op. cit.*
- 118 *Ibidem*.
- 119 *Ibidem*.
- 120 G. Gutowski, *Od Holocaustu do Hollywood*, Kraków 2004, s. 245.
- 121 *Komeda*, *op. cit.*
- 122 R. Polański, *op. cit.*, s. 227.
- 123 *Czas Komedy*, *op. cit.*
- 124 T. Lach, *Ostatni tacy przyjaciele. Komeda, Hłasko, Niziński*, Warszawa 2013.
- 125 R. Polański, *op. cit.*, s. 227.
- 126 Z. Komeda-Trzcińska, *Komeda...*, s. 101.
- 127 *Czas Komedy*, *op. cit.*
- 128 *Ibidem*.
- 129 *Komeda – muzyczne ścieżki życia*, *op. cit.*
- 130 *Elana Eden: Hollywood's Newest Cinderella Story*, <https://news.google.com/newspapers?id=QCwxAAAAIBAJ&sjid=ABAEAAAAIBAJ&pg=5733,32892>

---

[72&dq=the+story+of+ruth+elana+eden&hl=en](#)

131 *Ibidem*.

132 T. Lach, *op. cit.*, s. 221.

133 *Ibidem*, s. 222.

134 *Ibidem*, s. 224.

135 E.M. Morelle, *Słodkie życie*, Kraków 2007, s. 90.

136 *Ibidem*, s. 91.

137 *Ibidem*, s. 91-92.

138 T. Lach, *op. cit.*, s. 269.

139 *Komeda – muzyczne ścieżki życia, op. cit.*

140 *Ibidem*.

141 R. Polański, *op. cit.*, s. 235.

142 *Ibidem*, s. 235-236.

143 *Komeda – muzyczne ścieżki życia, op. cit.*

144 *Czas Komedy, op. cit.*

145 Z. Komeda-Trzcińska, *Komeda...*, s. 132.

146 *Ibidem*, s. 135.

147 *Komeda*, *op. cit.*

148 D. Majka, *Muzyka go wezwała i absolutnie jej uległ. Był apostołem*,

[http://lublin.wyborcza.pl/lublin/1,35637,12207874,Muzyka\\_go\\_wewizwała\\_i\\_absolutnie\\_jej\\_uległ\\_Był\\_apostolem.html#ixzz2kKMYBWNF](http://lublin.wyborcza.pl/lublin/1,35637,12207874,Muzyka_go_wewizwała_i_absolutnie_jej_uległ_Był_apostolem.html#ixzz2kKMYBWNF).

149 Z. Komeda-Trzcińska, *Komeda...*, s. 119.

150 *Ibidem*, s. 118.

151 *Ibidem*, s. 3.

152 *Ibidem*, s. 4.

153 A. Gieroń, *Szalona Zośka Komedowa pamiętana w Bieszczadach*,

[http://www.biznesistyl.pl/ludzie/sylwetki/1492\\_szalona-zoska-komedowa-pamietana-w-bieszczadach.html](http://www.biznesistyl.pl/ludzie/sylwetki/1492_szalona-zoska-komedowa-pamietana-w-bieszczadach.html)

154 *Ibidem*.

155 *Ibidem*.

- 
- 156 Z. Komeda-Trzcńska, *Moje Bieszczady Wilki*,  
<http://www.panstwo.net/854-moje-bieszczady-wilki>.
- 157 A. Osiecka, *Szpetni czterdziestoletni*, Łódź 1985, s. 76.
- 158 K. Brandys, *Nierzeczywistość*, Warszawa 2009, s. 35.
- 159 A. Bikont, J. Szczęsna, *Pan Marian od szwoleżerów*,  
„Magazyn”, 51/1994.
- 160 A. Bikont, J. Szczęsna, *op. cit.*
- 161 *Ibidem.*
- 162 *Ibidem.*
- 163 *Ibidem.*
- 164 *Ibidem.*
- 165 *Ibidem.*
- 166 M. Brandys, *Wyprawa do oflagu*, Warszawa 1955, s. 18.
- 167 Za: J. Szczęsna, *Natura-reporter*, „Gazeta Wyborcza”,  
01.01.1998, <http://kapuscinski.info/natura-reporter.html>.
- 168 A. Bikont, J. Szczęsna, *op. cit.*
- 169 Za: J. Szczęsna, *op. cit.*
- 170 A. Michnik, *Mądrość i gniew. Na jubileusz Mariana Brandysa*,  
[http://wyborcza.pl/1,101405,7166082,Madrosc\\_i\\_gniew\\_Na\\_jubileusz\\_Mariana\\_Brandysa.html](http://wyborcza.pl/1,101405,7166082,Madrosc_i_gniew_Na_jubileusz_Mariana_Brandysa.html)
- 171 Za: J. Krakowska, *Mikołajska. Teatr i PRL*, Warszawa 2011, s. 32.
- 172 Za: *Ibidem*, s. 32.
- 173 Za: *Ibidem*, s. 37.
- 174 Za: *Ibidem*, s. 41.
- 175 Za: *Ibidem*, s. 45.
- 176 H. Mikołajska, *Wspomnienie o Jerzym Zawieyskim*, „Nasza Rodzina”, 6/1979.
- 177 Halina Mikołajska *nie chciała, aby nazywać ją bohaterką*,  
Polskie Radio 29.05.1997,  
<http://www.polskieradio.pl/39/247/Artykul/807621,Halina-Mikolajska-nie-chciala-by-nazywano-ja-bohaterka>.
- 178 Za: J. Krakowska, *op. cit.*, s. 122.



- 
- 179 Za: A. Bikont, J. Szczęsna, *op. cit.*
- 180 Za: J. Krakowska, *op. cit.*, s. 21-22.
- 181 M. Brandys, *Dziennik 1972*, Warszawa 1997, s. 40.
- 182 *Ibidem*, s. 32-33.
- 183 *Halina Mikołajska...*, *op. cit.*
- 184 M. Brandys, *Dziennik 1972*, s. 158.
- 185 *Ibidem*, s. 132.
- 186 *Ibidem*, s. 12.
- 187 *Ibidem*, s. 65.
- 188 *Ibidem*, s. 7.
- 189 *Ibidem*, s. 9.
- 190 *Ibidem*, s. 123.
- 191 *Ibidem*, s. 123.
- 192 *Ibidem*, s. 76.
- 193 J. Krakowska, *op. cit.*, s. 23-24.
- 194 M. Brandys, *Dziennik 1976-1977*, Warszawa 1996, s. 35.
- 195 M. Brandys, *Dziennik 1972*, s. 23-24.
- 196 *Ibidem*, s. 173.
- 197 M. Brandys, *Dziennik 1978*, Warszawa 1997, s. 156.
- 198 M. Brandys, *Dziennik 1972*, s. 106-107.
- 199 *Ibidem*, s. 107.
- 200 S. Kisielewski, *Dzienniki*, Warszawa 1996, s. 861-862.
- 201 P. Wieczorkiewicz, J. Błazejowska, *Przez Polskę Ludową na przelaj i na przekór*, Warszawa 2011, s. 350-351.
- 202 *Halina Mikołajska...*, *op. cit.*
- 203 A. Michnik, *Wyznania nawróconego dysydenta*, Warszawa 2003, s. 139.
- 204 M. Brandys, *Od dzwonka do dzwonka*, [w:] *Moje przygody z historią*, Łomianki 2003, s. 144.
- 205 A. Michnik, *op. cit.*, s. 143.
- 206 M. Brandys, *Dziennik 1976-1977*, s. 16.
- 207 *Ibidem*, s. 62-63.
- 208 M. Brandys, *Od dzwonka...*, s. 133.

- 
- 209 M. Brandys, *Dziennik 1976-1977*, s. 20.
- 210 *Ibidem*, s. 10.
- 211 M. Brandys, *Dziennik 1978*, s. 180.
- 212 Za: M. Brandys, *Dziennik 1976-1977*, s. 29.
- 213 M. Brandys, *Od dzwonka...*, s. 106-108.
- 214 M. Brandys, *Dziennik 1976-1977*, s. 255.
- 215 M. Brandys, *Od dzwonka...*, s. 141.
- 216 M. Brandys, *Dziennik 1978*, s. 96.
- 217 K. Kutz, *Klasy i ścinki. Mój alfabet filmowy i nie tylko*, Kraków 1999, s. 207.
- 218 *Halina Mikołajska...*, *op. cit.*
- 219 *Ibidem*.
- 220 *Ibidem*.
- 221 A. Bikont, J. Szczęsna, *op. cit.*
- 222 R. Matuszewski, *Alfabet. Wybór z pamięci 90-latka*, Warszawa 2004, s. 51.
- 223 G. Holoubek, *Wspomnienia z niepamięci*, Warszawa 2009, s. 16.
- 224 Za: M.T. Kutiak, *Na grandę, czyli przez płot na stadion Cracovii*,  
<http://plock.wyborcza.pl/plock/1,82015,4238465.html>
- 225 M. Terlecka-Reksnis, *Holoubek. Rozmowy*, Warszawa 2008, s. 33-34.
- 226 G. Holoubek, *op. cit.*, s. 64-65.
- 227 M. Zawadzka, *Gustaw i ja*, Warszawa 2011, s. 339.
- 228 G. Holoubek, *op. cit.*, s. 101-104.
- 229 *Ibidem*, s. 65-66.
- 230 *Ibidem*, s. 66.
- 231 *Ibidem*, s. 66-67.
- 232 *Ibidem*, s. 132.
- 233 *Ibidem*, s. 142-143.
- 234 *Ibidem*, s. 155.
- 235 M. Terlecka-Reksnis, *op. cit.*, s. 47.

- 
- 236 *Ibidem*, s. 47-48.
- 237 *Ibidem*, s. 164.
- 238 P. Łopuszański, *Gustaw Holoubek. Filozof bycia*, Warszawa 2010, s. 39-40.
- 239 M. Terlecka-Reksnis, *op. cit.*, s. 48-49.
- 240 *Ibidem*, s. 60-61.
- 241 B. Krawczyk, *Czarowi Holoubka ulegli wszyscy od razu...*, [w:] *Gustaw Holoubek we wspomnieniach kolegów*, red. A. Mroziński, Warszawa 2009, s. 21.
- 242 M. Terlecka-Reksnis, *op. cit.*, s. 79.
- 243 G. Holoubek, *op. cit.*, s. 132.
- 244 M. Terlecka-Reksnis, *op. cit.*, s. 89.
- 245 G. Holoubek, *op. cit.*, s. 193.
- 246 M. Terlecka-Reksnis, *op. cit.*, s. 19.
- 247 Za: M. Grochowska, *Wytrąceni z milczenia*, Warszawa 2005, s. 386.
- 248 K. Pytlakowska, *Tylko nie oblej się zupą*, „Viva!”, 22/2002.
- 249 I. Szymańska, *Miałam dar zachwytu. Wspomnienia wydawcy*, Warszawa 2001, s. 102.
- 250 *Ibidem*, s. 103.
- 251 J. Żakowski, *Przy stoliku w Czytelniku*, [http://wyborcza.pl/1,75402,10054974,Przy stoliku w Czytelniku cz I. html?as=2](http://wyborcza.pl/1,75402,10054974,Przy_stoliku_w_Czytelniku_cz_I.html?as=2).
- 252 *Ibidem*.
- 253 Za: I. Szymańska, D. Wyżyńska, *Gustaw Holoubek (1923-2008)*, <http://wyborcza.pl/1,75248,4998795.html>
- 254 Za: *Ibidem*.
- 255 Ł. Radwan, *Każdy ma swojego Holoubka*, „Wprost”, 11/2008.
- 256 Za: *Ibidem*.
- 257 M. Terlecka-Reksnis, *op. cit.*, s. 127.
- 258 *Ibidem*, s. 128.
- 259 Za: *Konrad w oczach bezpieki*, <http://fakty.interia.pl/prasa/tygodnik-solidarnosc/news->

---

[konrad-w-oczach-bezpieki,nId,871619](#)

260 *Ibidem*.

261 Za: M. Grochowska, *op. cit.*, s. 413-414.

262 Za: P. Łopuszański, *op. cit.*, s. 166.

263 M. Zawadzka, *Gustaw...*, s. 15.

264 *Ibidem*, s. 15.

265 *Ibidem*, s. 18.

266 B. Stanisławczyk, *Był moim Gucieńkiem*, <http://www.e-teatr.pl/pl/artykuly/55483.html>

267 M. Zawadzka, *Gustaw...*, s. 18-19.

268 S. Miniewicz, *Magdalena Zawadzka: taka miłość się nie zdarza*, <http://film.onet.pl/artykuly-i-wywiady/magdalena-zawadzka-taka-milosc-sie-nie-zdarza/vp45q>.

269 P. Łopuszański, *op. cit.*, s. 174.

270 M. Zawadzka, *Lubię wejść do jego pokoju*, <http://www.gala.pl/wywiady-i-sylwetki/magdalena-zawadzka-lubie-wejsc-do-jego-pokoju-6762>.

271 T. Konwicki, *Kalendarz i klepsydra*, Warszawa 2005, s. 340.

272 Za: P. Łopuszański, *op. cit.*, s. 186.

273 Za: *Ibidem*, s. 187.

274 Za: *Ibidem*, s. 188.

275 Za: *Ibidem*, s. 191.

276 M. Terlecka-Reksnis, *op. cit.*, s. 165-167.

277 Za: A. Krajewski, *Między współpracą a oporem*, Warszawa 2004, s. 342.

278 Za: P. Łopuszański, *op. cit.*, s. 200.

279 M. Terlecka-Reksnis, *op. cit.*, s. 23.

280 J. Para, *Naśmiewał się ze wszystkich, ale i z samego siebie*, [w:] *Gustaw Holoubek we wspomnieniach kolegów*, *op. cit.*, s. 19.

281 Za: A. Abramowicz, *Magda Zawadzka wspominała Gustawa Holoubka*, [http://info.siedlce.pl/index.php?option=com\\_content&task=view&id=3766&Itemid=1](http://info.siedlce.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=3766&Itemid=1).

282 Za: *Nie było ludzi, którzy go nie lubili*,

---

<http://uwaga.tvn.pl/reportaze,2671,n/nie-bylo-ludzi-ktorzy-go-nie-lubili,134315.html>

283 M. Zawadzka, *Gustaw...*, s. 147.

284 M. Terlecka-Reksnis, *op. cit.*, s. 157.

285 M. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1981-1983*, t. 8, Warszawa 2004, s. 221.

286 Za: P. Łopuszański, *op. cit.*, s. 241.

287 K. Strasburger, *Nienawidził głupoty i donosicielstwa*, [w:] *Gustaw Holoubek we wspomnieniach kolegów*, *op. cit.*, s. 61.

288 Za: P. Łopuszański, *op. cit.*, s. 246-247.

289 M. Terlecka-Reksnis, *op. cit.*, s. 164.

290 *Ibidem*, s. 177.

291 J. Majcherek, *Holoubek. Paradoksy konserwatysty*, <http://www.teatrateneum.pl/?p=2196>.

292 Za: *Warszawa oszczędza na teatrach. Przy okazji wyrzuca Gustawa Holoubka z nazwy jednej z najważniejszych placówek kultury*, <http://wpolityce.pl/wydarzenia/68401-warszawa-oszczedza-na-teatrach-przy-okazji-wyrzuca-gustawa-holoubka-z-nazwy-jednej-z-najwazniejszych-placowek-kultury>.

293 Za: *Po połączeniu teatry utraciły patronów. „Degradacja dla dwóch wielkich ludzi”*, <http://tvnwarszawa.tvn24.pl//informacje,news,po-polaczeniu-teatry-utracyly-patronow-degradacja-dla-dwoch-wielkich-ludzi,109841.html>.

294 M. Rodowicz, J. Szubrycht, *Wariatka tańczy*, Warszawa 2013, s. 217.

295 *Ibidem*, s. 221.

296 M. Rodowicz, *Niech żyje bal*, Warszawa 1991, s. 207.

297 za: J. Krůta, *František Janeček – Doktor Byznys*, <http://www.pozitivni-noviny.cz/cz/clanek-2008060005> (tłum. M. Czerwieniec).

298 M. Rodowicz, J. Szubrycht, *op. cit.*, s. 221.

- 
- 299 *Janečkovi jsme museli stavět barák, vzpomíná Michal David*,  
<http://tn.nova.cz/zpravy/zajimavosti/janeckovi-jsme-museli-stavet-barak-vzpomina-michal-david.html> (tłum. M. Czerwieniec).
- 300 M. Rodowicz, *op. cit.*, s. 204.
- 301 M. Rodowicz, J. Szubrycht, *op. cit.*, s. 223-224.
- 302 Za: J. Kruta, *op. cit.*
- 303 D. Olbrychski, *Anioły wokół głowy*, Warszawa 1992, s. 148.
- 304 Za: *Ibidem*, s. 149.
- 305 Za: *Ibidem*, s. 100.
- 306 M. Rodowicz, J. Szubrycht, *op. cit.*, s. 224-225.
- 307 Za: D. Olbrychski, *op. cit.*, s. 161.
- 308 M. Vlady, *Wysocki, czyli przerwany lot*, Warszawa 1990, s. 96-97.
- 309 D. Olbrychski, *op. cit.*, s. 164.
- 310 *Ibidem*, s. 165.
- 311 Za: *Ibidem*, s. 165.
- 312 PN BU 00945/2185.
- 313 Za: D. Olbrychski, *op. cit.*, s. 98.
- 314 *Ibidem*, s. 99.
- 315 M. Rodowicz, *op. cit.*, s. 20-21.
- 316 *Ibidem*, s. 25.
- 317 M. Rodowicz, J. Szubrycht, *op. cit.*, s. 226.
- 318 D. Olbrychski, *op. cit.*, s. 163.
- 319 IPN BU 0246/992.
- 320 *Ibidem*.
- 321 *Ibidem*.
- 322 *Ibidem*.
- 323 M. Brandys, *Dziennik 1976-1977*, Warszawa 1996, s. 71.
- 324 F. Gańczak, *Kryptonim Kmicic*,  
<http://polska.newsweek.pl/kryptonim--kmicic-76754,1,1.html>.
- 325 Za: D. Olbrychski, *op. cit.*, s. 164.

- 
- 326 *Ibidem*, s. 166.
- 327 M. Rodowicz, *op. cit.*, s. 32.
- 328 *Ibidem*, s. 32.
- 329 *Ibidem*, s. 33-34.
- 330 M. Rodowicz, J. Szubrycht, *op. cit.*, s. 231.
- 331 *Ibidem*, s. 231.
- 332 IPN BU 0246/992.
- 333 M. Rodowicz, *op. cit.*, s. 37.
- 334 J. Urban, *Alfabet Urbana. Od UA do Z*, Warszawa 1990, s. 162.
- 335 J. Urban, M. Stremecka, *Jerzy Urban*, Warszawa 2013, s. 145.
- 336 H. Vondráčková, *Wspominam i niczego nie żałuję*, Warszawa 2009, s. 183.
- 337 *Ibidem*, s. 182.
- 338 M. Rodowicz, J. Szubrycht, *op. cit.*, s. 216.
- 339 M. Rodowicz, *op. cit.*, s. 94.
- 340 M. Rodowicz, J. Szubrycht, *op. cit.*, s. 96.
- 341 M. Rodowicz, *op. cit.*, s. 189.
- 342 M. Rodowicz, J. Szubrycht, *op. cit.*, s. 115-116.
- 343 H. Vondráčková, *op. cit.*, s. 64.
- 344 *Ibidem*, s. 70-71.
- 345 M. Rodowicz, J. Szubrycht, *op. cit.*, s. 100.
- 346 *Ibidem*, s. 123-124.
- 347 M. Rodowicz, *op. cit.*, s. 9.
- 348 M. Ponikowski, *Zabytkowe porsche 914 w Gdyni. Samochód podobny do tego, którym jeździła Maryla Rodowicz*, <http://www.dziennikbałtycki.pl/artukul/671071,zabytkowe-porsche-914-w-gdyni-samochod-podobny-do-tego-ktory-jezdziła-maryla-rodowicz-zdjecia,id,t.html>
- 349 Za: *Maryla Rodowicz: urwałam rękaw Sipińskiej!*, <http://www.fakt.pl/maryla-rodowicz-o-konflikcie-z-urszula-sipinska,artykuly,215476,1.html>
- 350 Za: *Sipińska o Rodowicz: święta krowa!*, <http://www.fakt.pl/Urszula-Sipinska-obraza-Maryle->

---

[Rodowicz-Wojna-piosenkarek,artykuly,216925,1.html](http://www.se.pl/rozrywka/plotki/maryla-rodowicz-kontra-urszula-sipinska-wojna-o-piosenke).

- 351 Za: *Maryla Rodowicz kontra Urszula Sipińska: wojna o piosenkę*, <http://www.se.pl/rozrywka/plotki/maryla-rodowicz-kontra-urszula-sipinska-wojna-o-piosenke> 162266.html.
- 352 Za: *Rodowicz o Hołdysie: „Wyrzuciłam go, bo pił!”*, <http://www.wideoportal.pl/site/items/4663>.
- 353 M. Rodowicz, *op. cit.*, s. 44.
- 354 Za: W. Mrożek, *Witkacy na szynach*, <http://www.dwutygodnik.com/artykul/4432-witkacy-na-szynach.html>.
- 355 M. Rodowicz, *op. cit.*, s. 42.
- 356 M. Rodowicz, J. Szubrycht, *op. cit.*, s. 232.
- 357 M. Rodowicz, *op. cit.*, s. 54.
- 358 M. Rodowicz, J. Szubrycht, *op. cit.*, s. 233.
- 359 M. Rodowicz, *op. cit.*, s. 77.
- 360 *Ibidem*, s. 98.
- 361 *Ibidem*, s. 121.
- 362 *Ibidem*, s. 133.
- 363 J. Lapru, *Tutaj nadrabiamy stracony czas*, <http://www.daltonpizza.com/br/prasowe/przyjaciolka.html>.
- 364 M. Rodowicz, J. Szubrycht, *op. cit.*, s. 234.
- 365 M. Rodowicz, *op. cit.*, s. 148.
- 366 *Ibidem*, s. 150.
- 367 *Ibidem*, s. 152.
- 368 *Ibidem*, s. 153.
- 369 M. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1972-1975, t. 5*, Warszawa 2002, s. 261-262.
- 370 S. Korboński, *W imieniu Kremla*, Warszawa 1997, s. 56-57.
- 371 P. Jaroszewicz, B. Roliński, *Przerywam milczenie*, Warszawa 1991, s. 14.
- 372 „Gazeta Lwowska”, 16.11.1883,  
<http://jbc.bj.uj.edu.pl/dlibra/docmetadata?id=18440&from=publication>



- 
- 373 *Ibidem*, s. 29.
- 374 *Ibidem*, s. 32.
- 375 *Ibidem*, s. 33.
- 376 *Ibidem*, s. 37.
- 377 P. Wieczorkiewicz, J. Błażejowska, *Przez Polskę Ludową na przełaj i na przekór*, Poznań 2007, s. 321.
- 378 Za: P. Jaroszewicz, B. Roliński, *op. cit.*, s. 92.
- 379 Za: Michał Olszański zaprasza na rozmowę z „Czerwonym księciem”,  
<http://www.polskieradio.pl/9/1363/Artykul/443831,Michal-Olszanski-zaprasza-na-rozmowe-z-Czerwonym-ksieciem>
- 380 A. Solska, W kanałach Starówki, „Stolica” 33/1957.
- 381 S. Podlewski, *Przemarsz przez piekło*, Warszawa 1971, s. 429.
- 382 A. Solska, *Na pomoc walczącej Warszawie*, „Głos Ludu” 26.08.1947.
- 383 *Ibidem*.
- 384 *Ibidem*.
- 385 P. Jaroszewicz, B. Roliński, *op. cit.*, s. 279.
- 386 *Ibidem*, s. 280.
- 387 *Ibidem*, s. 279.
- 388 *Ibidem*, s. 281.
- 389 *Tropem tajemnic rodziny Jaroszewiczów*, za:  
[http://uwaga.tvn.pl/9661,news.tropem\\_tajemnic\\_rodziny\\_jaroszewiczow,reportaz.html](http://uwaga.tvn.pl/9661,news.tropem_tajemnic_rodziny_jaroszewiczow,reportaz.html).
- 390 M. Rakowski, *Dzienniki polityczne, t. 2, 1963-1966*, Warszawa 1999, s. 296.
- 391 P. Wieczorkiewicz, J. Błażejowska, *op. cit.*, Warszawa 2011, s. 341-343.
- 392 Za: M. Olszański, *op. cit.*
- 393 Za: *Ibidem*.
- 394 M. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1976-1978*, t. 6, Warszawa 2002, s. 132.
- 395 Za: *Ibidem*.

---

396 Za: *Ibidem*.

397 M. Rodowicz, J. Szubrycht, *Wariatka tańczy*, Warszawa 2013, s. 228-229.

398 *Ibidem*, s. 229-230.

399 W. Komar, *Alfabet Władysława Komara. Sportowcy – artyści – prominenci*, Kraków 1991, s. 43.

400 *Ibidem*, s. 43.

401 M. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1969-1971*, t. 4, Warszawa 2002, s. 429.

402 *Ibidem*, s. 430.

403 J. Tejchma, *Odszedł Gomułka, przyszedł Gierek. Notatki z lat 1971-1973*, Toruń 2006, s. 147.

404 M. Chrzanowski, *Premier Jaroszewicz redaguje PKF*, <http://www.kronikarzprl.com.pl/spis-treści/8-premier-jaroszewicz-redaguje-pkf/>

405 *Ibidem*.

406 *Ibidem*.

407 M. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1972-1975*, t. 5, Warszawa 2002, s. 344-345.

408 *Ibidem*, s. 367.

409 *Ibidem*, s. 165.

410 J. Tejchma, *Kulisy dymisji. Z dzienników ministra kultury 1974-1977*, Kraków 1991, s. 183-184.

411 M. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1981-1983*, t. 8, Warszawa 2004, s. 183-184.